JOHN GRISHAM

Sprawiedliwość wreszcie zostanie wymierzona

BAR POD KOGUTEM

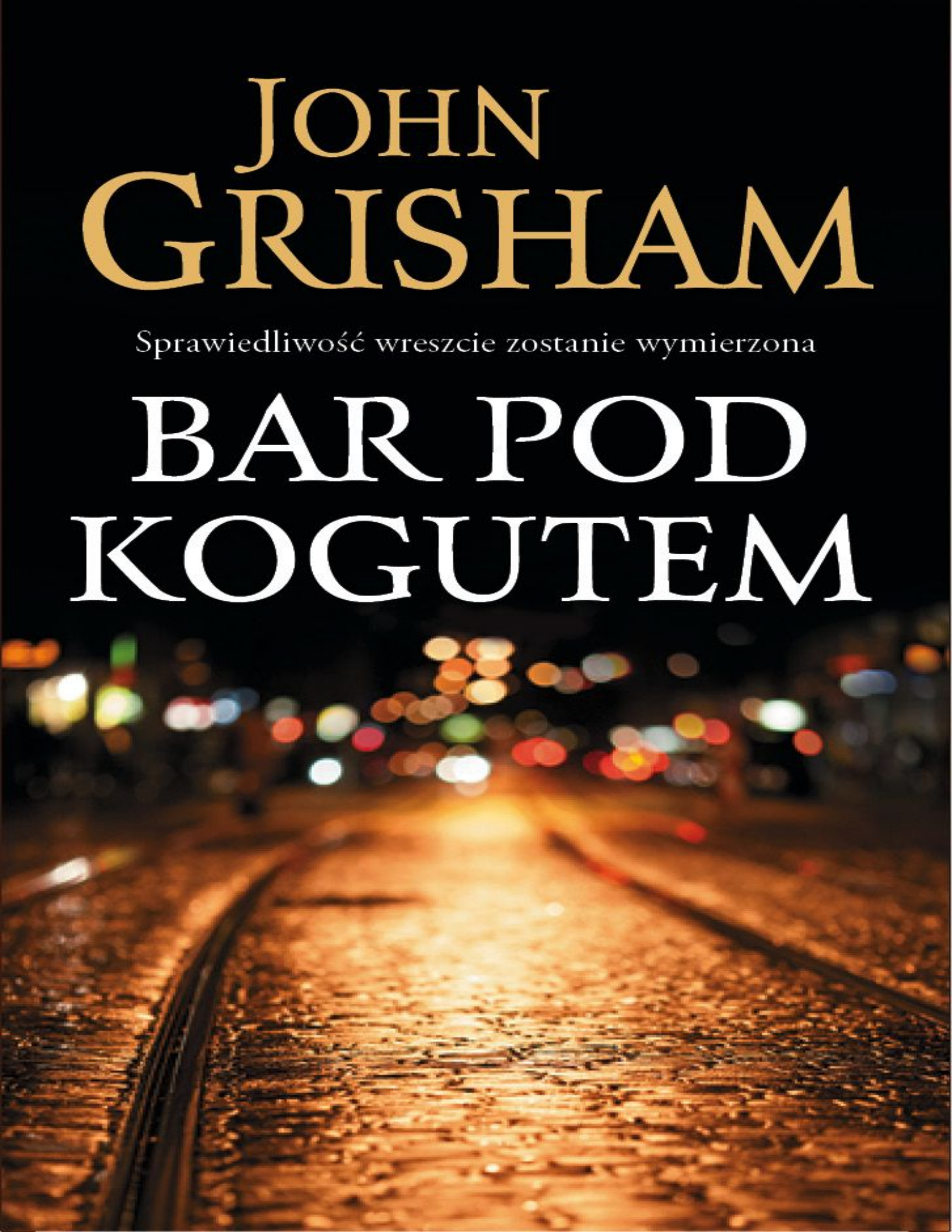

O książce

TRÓJKA PRZYJACIÓŁ WŁAŚNIE
ROZPOCZYNA OSTATNI SEMESTR
STUDIÓW NA WYDZIALE PRAWA.
ALE CO POTEM?

Zola, Mark i Todd zgodnie dochodzą do wniosku, że opinia o nieograniczonych możliwościach kariery prawniczej to mit. Czeka ich spłacanie kredytów studenckich, dyplom ich uczelni ma niewielką wartość, a w Waszyngtonie roi się od młodych prawników szukających pracy. W sytuacji, gdy każde z nich zmaga się dodatkowo z prywatnymi problemami, potrzebują jakiegoś rozwiązania. I je znajdują. Rzucają studia i pod fikcyjnymi nazwiskami zakładają kancelarię.

Pomysł szalony, lecz wydaje się trafiony. Zwłaszcza kiedy wpadają na sprawę, która może im przynieść miliony dolarów.

Ale może ich również zdemaskować.

JOHN GRISHAM

BAR POD KOGUTEM

Z angielskiego przełożył
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI

Wydanie elektroniczne

JOHN GRISHAM

Współczesny amerykański pisarz, autor 39 powieści (w tym sześciu dla młodzieży), fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 40 językach, a ich łączny nakład przekroczył 300 milionów egzemplarzy. W 2011 r. otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee. Po twórczość Grishama chętnie sięgają filmowcy, takiej miary jak Sydney Pollack, Francis Ford Coppola, Robert Altman czy Alan J. Pakula, a ekranizacje jego powieści, m.in. **Raport Pelikana** z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem, **Firma** z Tomem Cruise'em, **Klient** z Susan Sarandon czy **Zaklinacz deszczu** z Mattem Damonem, stały się megahitami.

www.facebook.com/JohnGrisham

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA
KANCELARIA
ZAKLINACZ DESZCZU
KRÓL ODSZKODOWAŃ
WIĘZIENNY PRAWNIK
OSTATNI SPRAWIEDLIWY
CALICO JOE
KOMORA
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA
UŁASKAWIENIE
NIEWINNY CZŁOWIEK
RAPORT PELIKANA
GÓRA BEZPRAWIA
CHŁOPCY EDDIEGO
KLIENT
SAMOTNY WILK
ADEPT
WERDYKT
DEMASKATOR
ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH
WEZWANIE

WSPÓLNIK
BAR POD KOGUTEM

Jake Brigance
CZAS ZABIJANIA
CZAS ZAPŁATY

Theodore Boone
MŁODY PRAWNIK
UPROWADZENIE
OSKARŻONY
AKTYWISTA
ZBIEG
AFERA

Tytuł oryginału:
THE ROOSTER BAR

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2018

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcie na okładce: Alex Emanuel Koch/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-291-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19

Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
OD AUTORA
PRZYPISY

Rozdział 1

Końcówka roku przyniosła jak zwykle atmosferę świąteczną, choć w domu Frazierów nie było specjalnie co świętować. Pani Frazier ubrała niedużą choinkę, zapakowała kilka tanich prezentów i upiekła kruche ciasteczka, których nikt tak naprawdę nie chciał jeść. No i jak co roku z głośników non stop płynęły dźwięki *Dziadka do orzechów*, do których zawzięcie nuciła w kuchni, jakby rzeczywiście miała się z czego cieszyć.

Sytuacja jednak zupełnie nie skłaniała do okazywania radości. Pan Frazier wyprowadził się z domu trzy lata wcześniej, a jego nieobecność budziła nie tyle tęsknotę, ile gryzącą niechęć, bo bardzo szybko zamieszkał ze swoją dużo młodszą sekretarką, która, jak się okazało, była już w ciąży. Porzucona, upokorzona i załamana pani Frazier wciąż jeszcze walczyła z depresją.

Louie, jej młodszy syn, przebywał w areszcie domowym po zwolnieniu za kaucją i miał przed sobą trudny rok zmagań z oskarżeniem o handel narkotykami i pokrewne występki. Nawet nie próbował kupić matce prezentu; tłumaczył się tym, że z przyczepioną do nogi bransoletką dozoru elektronicznego nie wolno mu opuszczać domu. Ale i bez tego nikt nie oczekiwał, by Louie myślał o kupowaniu prezentów. Ani rok temu, ani dwa lata wcześniej, gdy kostki jego nóg nie były jeszcze niczym obciążone, chłopak też nie zawracał sobie głowy prezentami.

Markowi, starszemu synowi, udało się wyrwać na święta z młyna nauki na studiach prawniczych i choć miał jeszcze mniej pieniędzy od brata, kupił matce perfumy. Kończył studia w maju przyszłego roku, w lipcu miał stanąć do egzaminu adwokackiego i we wrześniu podjąć pracę w kancelarii prawnej w Waszyngtonie – przypadkowo w tym samym miesiącu, na który wyznaczono termin rozprawy brata. Tyle że sprawa Louiego wcale nie miała trafić do sądu, i to z dwóch istotnych powodów. Po pierwsze, tajni agenci przyłapali go na gorącym uczynku sprzedaży dziesięciu paczuszek cracku i uwiecznili to nawet na nagraniu, a po drugie, ani jego, ani matki nie było stać na wynajęcie

przyzwoitego adwokata. Przez całe święta oboje przygadywali Markowi, że powinien się zająć obroną brata. No bo mógłby przecież opóźnić postępowanie na tyle, by zdążyć zdać egzamin adwokacki – do ukończenia prawa zostało mu już tylko parę miesięcy – a następnie jako pełnoprawny adwokat wykorzystać jakieś formalne uchybienia, o których tyle się czyta w gazetach, i doprowadzić do wycofania oskarżenia.

W obmyślonym przez matkę i brata scenariuszu było wiele dziur, ale Mark odmówił wdawania się w dyskusję, kiedy zaś okazało się, że Louie zamierza spędzić Nowy Rok na kanapie, okupując ją przez co najmniej dziesięć godzin i oglądając kolejno siedem meczów futbolowych, Mark cichaczem wymknął się z domu i pojechał do kolegi. Wracając wieczorem i prowadząc auto w stanie wskazującym, podjął decyzję, że pora stąd uciekać. Postanowił wrócić do Waszyngtonu i spożytkować resztę ferii na rozglądanie się po firmie, w której miał niedługo podjąć pracę. Przerwa w zajęciach trwała prawie dwa tygodnie, ale po dziesięciu dniach wysłuchiwania ciągłych narzekań Louiego i płynących z głośników dźwięków *Dziadka do orzechów* Mark miał tak serdecznie dość, że nawet

czekający go ostatni semestr studiów wydawał się miłą alternatywą.

Nastawił budzik na ósmą i przy porannej kawie oświadczył matce, że wraca do Waszyngtonu. Przykro mi, mamo, że muszę wyjechać trochę wcześniej, niż planowałem, i że zostawiam cię samą z twoim nieudanym synem, ale muszę znikać. Louie nie jest moim dzieckiem, żebym miał obowiązek go wychowywać. Mam swoje własne problemy.

Pierwszym z nich był jego samochód, ford bronco, którym jeździł od czasów liceum. Licznik przestał działać przy stanie trzystu tysięcy przebiegu i zdarzyło się to w połowie college'u. Samochód wymagał pilnej wymiany pompy paliwowej, która zajmowała pierwsze miejsce na liście wielu części do wymiany. Za pomocą taśmy klejącej i spinaczy biurowych Markowi udawało się przez ostatnie dwa lata utrzymać silnik, układ napędowy i hamulce na chodzie, ale z pompą paliwową poniósł klęskę. Wprawdzie wciąż działała, lecz ze znacznie obniżoną wydajnością, przez co bronco rozpędzał się na płaskim terenie maksymalnie do siedemdziesięciu paru kilometrów na godzinę. By uniknąć rozjechania na autostradach i drogach szybkiego ruchu przez osiemnastokołowe smoki, Mark wybierał boczne

drogi w wiejskim Delaware i na Wschodnim Wybrzeżu. W rezultacie dwugodzinna podróż z Dover do centrum Waszyngtonu zajmowała mu dwa razy dłużej, niż powinna.

Miał dzięki temu dużo czasu na dumanie o swych innych problemach. Numerem dwa na liście był dławiący go dług studencki. Kończąc college, miał zaciągnięte kredyty w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów i był bez pracy. Ojciec był wprawdzie w tym czasie szczęśliwy z nową żoną, ale tak jak syn tonął w długach i próbował zniechęcić go do dalszej nauki.

– Cholera, chłopcze, cztery lata nauki i masz sześćdziesiąt kawałków w plecy – mówił. – Odpuść, zanim jeszcze bardziej popłyniesz.

Mark uważał jednak, że słuchanie ojca w sprawach finansowych byłoby głupotą, więc przez dwa lata pracował dorywczo tu i tam, nalewając drinki, dostarczając pizzę i jednocześnie użerając się z wierzycielami. Teraz nawet nie bardzo umiał powiedzieć, skąd się wziął pomysł studiów prawniczych, pamiętał tylko podsłuchaną przypadkiem rozmowę dwóch facetów przy barze, którzy omawiali jakieś poważne sprawy, nie przestając ostro tankować. Mark stał za barem, w lokalu było pustawo i po czwartej kolejce wódki z sokiem żurawinowym

goście zaczęli mówić tak głośno, że trudno było ich nie słuchać. Spośród wielu usłyszanych ciekawostek dwie utkwiły mu mocno w pamięci: „Wielkie kancelarie prawne w Waszyngtonie przyjmują ludzi jak szalone” i „Pensje zaczynają się od stu pięćdziesięciu kawałków rocznie”.

Niedługo potem spotkał kolegę z college’u, który był studentem pierwszego roku prawa w Foggy Bottom w Waszyngtonie. Roztoczył przed Markiem plany szybkiego ukończenia studiów w ciągu dwóch i pół roku i podjęcia pracy w firmie prawniczej z pensją idącą w grube tysiące. Władze federalne oferowały kredyty studenckie każdemu, kto spełniał wymogi, co oznaczało, że wprawdzie skończy studia z gigantycznym długiem, ale przy takich zarobkach spłaci go po pięciu latach. Kolega uważał to za rozsądne rozwiązanie i zaciągnięcie długu nazywał „inwestowaniem w siebie”, bo dzięki temu zapewniał sobie doskonałe zarobki na przyszłość.

Mark połknął przynętę i rozpoczął przygotowania do egzaminu wstępnego. Osiągnął na nim niezbyt imponujący wynik 146 punktów, ale to – tak jak jego mizerna średnia 2,8 z college’u – wyraźnie nie zraziło komisji rekrutacyjnej w Foggy Bottom. Przyjęto go

z otwartymi ramionami, jego wnioski o kredyt studencki zostały bez trudu zaakceptowane i w rezultacie Departament Edukacji przekazywał co roku kwotę sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów na konto szkoły. Żałosna rzeczywistość na semestr przed ukończeniem studiów była taka, że jego zadłużenie za czas nauki w college'u i na wydziale prawa wynosiło łącznie z odsetkami dwieście sześćdziesiąt sześć tysięcy dolarów.

Następnym problemem było zatrudnienie, okazało się bowiem, że rynek pracy wcale nie jest tak chłonny, jak Mark sądził. Nie był też aż w takim rozkwicie, jak by to wynikało z kolorowych prospektów reklamowych Foggy Bottom czy wręcz oszukańczej strony w internecie. Absolwenci renomowanych uczelni prawniczych z najwyższej półki rzeczywiście wciąż dostawali oferty pracy za godne pozazdroszczenia wynagrodzenie, ale Foggy Bottom zdecydowanie do nich się nie zaliczała. W końcu udało mu się znaleźć pracę w średniej wielkości kancelarii prawnej, specjalizującej się w „relacjach państwowych", co w przekładzie na ludzki język znaczyło niewiele więcej niż lobbing. Jego pensji wyjściowej na razie nie ustalono, bo zarząd firmy miał się zebrać

w początkach stycznia, dokonać przeglądu wyników finansowych za rok ubiegły i dopiero na tej podstawie ustalić politykę płacową na rok bieżący. Za kilka miesięcy Mark był umówiony ze swym „doradcą kredytowym” na poważną rozmowę na temat restrukturyzacji swego zadłużenia i uzgodnienie sposobu wybrnięcia z tego bagna. Niemniej doradca już zdążył wyrazić zaniepokojenie tym, że Mark do dziś nie wie, ile będzie zarabiał. Marka też to niepokoiło, zwłaszcza że żadna z osób poznanych w jego przyszłej firmie nie wzbudziła w nim zaufania. I choć nie przestawał się łudzić, w głębi duszy czuł, że jego przyszłość jest daleka od stabilizacji.

Kolejnym problemem był czekający go egzamin adwokacki. W związku z sytuacją na rynku pracy waszyngtoński egzamin zaliczał się do najbardziej wymagających w kraju i zastraszająco wysoki procent absolwentów Foggy Bottom go oblewał. Tymczasem ci, co kończyli renomowane uczelnie, radzili sobie na nim dobrze; w ubiegłym roku wskaźnik powodzenia wyniósł 91 procent dla Georgetown i 89 procent dla Uniwersytetu George’a Waszyngtona, ale tylko żałosne 56 procent dla Foggy Bottom. By zdać egzamin, Mark powinien zasiąść do nauki od razu na

początku stycznia i ślęczeć nad książkami przez następne sześć miesięcy.

Ale brakowało mu do tego zapału, zwłaszcza w zimne, ponure i przygnębiające dni. Chwilami ciężar zadłużenia przygniatał go jak betonowe bloczki przytroczone do pleców. Chodzenie stawało się udręką. Uśmiechanie się sprawiało trudność. Żył w biedzie, a jego przyszłość, nawet przy perspektywie pracy, rysowała się mgliście. Większość jego kolegów ze studiów miała zaciągnięte kredyty i żadnej pracy. Pamiętał, że już na pierwszym roku słychać było narzekania, po czym z każdym semestrem robiło się coraz gorzej i narastała atmosfera przygnębienia i podejrzliwości. Sytuacja na rynku pracy systematycznie ulegała pogorszeniu. Wyniki egzaminów adwokackich absolwentów Foggy Bottom wprawiały w zakłopotanie. Długi rosły. Na zajęciach trzeciego roku coraz częściej dochodziło do scysji studentów z wykładowcami. Dziekan nie wyściubiał nosa ze swego gabinetu. Blogerzy wyżywali się na szkole i stawiali zaczepne pytania: „Czy to jest przekręt?”, „Czy wpuszczono nas w maliny?”, „Gdzie się podziały nasze pieniądze?”.

Wszyscy znajomi Marka w większym czy mniejszym stopniu byli zdania, że po pierwsze,

Foggy Bottom jest uczelnią poniżej wymaganego poziomu; po drugie, składa zbyt wiele obietnic bez pokrycia; po trzecie, kosztuje za drogo; po czwarte, zachęca do zaciągania zbyt wysokich kredytów; po piąte, przyjmuje za słabych kandydatów, którzy tak naprawdę nie mają czego szukać na studiach prawniczych; a po szóste, jej absolwenci są nieodpowiednio przygotowani do egzaminu adwokackiego lub są za głupi, by go zdać.

Krążyły pogłoski, że rekrutacja spadła o pięćdziesiąt procent. Taki spadek zainteresowania szkołą bez wsparcia ze strony władz oświatowych i dotacji państwowych musiał oznaczać różnego rodzaju bolesne cięcia kosztów, w wyniku czego zła uczelnia mogła tylko jeszcze bardziej się pogorszyć. Marka Fraziera i jego kolegów z roku akurat to specjalnie nie bolało. Jakoś przebiedują ostatnie cztery miesiące zajęć i z radością opuszczą Foggy Bottom, by już nigdy do niej nie powrócić.

* * *

Mark mieszkał w pięciopiętrowym budynku, który w ciągu osiemdziesięciu lat istnienia uległ znaczącej degradacji, ale czynsz był niski i to

przyciągało studentów George’a Waszyngtona i Foggy Bottom. Początkowo kamienica nosiła nazwę Domu Coopera, ale po trzech dekadach okupowania jej przez studenterię przyjęła się skrócona nazwa Coop[1]. Ponieważ windy rzadko działały, Mark wspiął się po schodach na trzecie piętro i wszedł do swego ciasnego, skromnie umeblowanego mieszkanka o powierzchni czterdziestu sześciu metrów kwadratowych, za które płacił osiemset dolarów miesięcznie. Po ostatnim egzaminie coś mu strzeliło do głowy i przed wyjazdem na święta dokładnie je wysprzątał. Zapaliwszy światło, z przyjemnością stwierdził, że wszystko jest na swoim miejscu. I nie było powodu, by mogło być inaczej. Właściciel tej rudery nigdy się w niej nie pokazywał. Mark rozpakował torby i z zaskoczeniem wsłuchiwał się w panującą ciszę. Zwykle dom był pełen studentów i przez cienkie ściany przenikały różne hałasy. Muzyka, odgłosy telewizji, kłótnie, śmiechy, awantury przy pokerze oraz dźwięki gitar, a nawet puzonu palanta z czwartego piętra, który pierdział na nim tak, że cały dom drżał w posadach, stanowiły nieodłączny akompaniament. Ale nie dziś. Wszyscy rozjechali się do domów na święta i w budynku panowała głucha cisza.

Po półgodzinie Mark zaczął się nudzić i wyszedł z domu. Szedł New Hampshire Avenue i czuł, jak pędzony wiatrem ziąb przenika jego cienką kurtkę i stare spodnie khaki. Coś mu kazało skręcić w Dwudziestą Pierwszą i sprawdzić, czy jego szkoła jest otwarta. W mieście, w którym nie brakowało okropnych nowoczesnych budynków, siedzibie Foggy Bottom i tak udawało się kłuć w oczy wyjątkową brzydotą. Był to powojenny ośmiokondygnacyjny budynek z wypłowiałej żółtej cegły, z niesymetrycznymi skrzydłami bocznymi, co zapewne świadczyło o próbie oryginalności architektonicznej projektanta. Pierwotnie znajdowały się tu jakieś biura, potem jednak porozwalano ściany działowe i utworzono ciasne sale wykładowe na czterech niższych kondygnacjach. Na piątej mieściła się biblioteka w postaci labiryntu sporych nor króliczych z regałami pełnymi rzadko dotykanych ksiąg i ścianami ozdobionymi portretami nikomu nieznanych sędziów i wykładowców prawa. Administracja szkoły zajmowała szóste i siódme piętro, na ostatnim – ósmym – piętrze, możliwie jak najdalej od studentów, mieściły się gabinety kierownictwa szkoły, w tym także schowany

w najdalszym kącie gabinet dziekana, którego ten prawie w ogóle nie opuszczał.

Drzwi frontowe nie były zamknięte i Mark wszedł do pustego holu. Wprawdzie z przyjemnością powitał panujące w nim ciepło, ale wnętrze jak zwykle zrobiło na nim przygnębiające wrażenie. Całą jedną ścianę zajmowała ogromna tablica z przyczepionymi do niej niezliczonymi komunikatami i ogłoszeniami, w tym kilkoma plakatami reklamującymi studia za granicą i masą ręcznie wypisanych ofert sprzedaży książek, rowerów, biletów i konspektów wykładów, korepetycji i lokali do wynajęcia. Nad całą szkołą wisiała groźba egzaminu adwokackiego jak ciemna gradowa chmura i na tablicy nie brakowało ofert zachwalających kursy powtórkowe do egzaminu. Pewnie gdyby się uparł, znalazłby też kilka ofert zatrudnienia, ale ostatnio zdarzało się to w murach Foggy Bottom coraz rzadziej. W rogu tablicy natknął się na ulotkę, którą już znał – z propozycją dalszych kredytów studenckich. W kącie holu mieścił się niewielki barek kawowy z automatami z napojami, ale najwyraźniej na czas ferii wszystko zostało wyłączone i zamknięte.

Opadł na mocno sfatygowany skórzany fotel i zanurzył się w ponurej atmosferze szkoły. Czy to naprawdę uczelnia, czy tylko drukarnia dyplomów? Odpowiedź na to pytanie stawała się coraz bardzie oczywista i Mark po raz tysięczny pożałował, że w ogóle wszedł przez te drzwi jako naiwny i niewinny student pierwszego roku. Teraz, niemal trzy lata później, uginał się pod ciężarem zadłużenia, którego spłacenia w ogóle sobie nie wyobrażał. Jeśli w tym tunelu było jakieś światełko, on go nie dostrzegał.

I dlaczego ktoś nazwał uczelnię „mglistym dnem”[2]? Jakby wkuwanie prawa nie było wystarczająco odstraszające, dwadzieścia lat temu jakiś dowcipniś nadał uczelni dodatkowo odstraszającą nazwę. Ów dowcipniś, dziś już nieżyjący, sprzedał potem szkołę grupie inwestorów z Wall Street, do których należała cała sieć uczelni prawniczych. Mówiło się o tych placówkach, że choć przynoszą godziwe zyski, nie są znane z wypuszczania wybitnych prawników.

Jak w ogóle się sprzedaje i kupuje szkoły prawnicze? Dla Marka stanowiło to nadal zagadkę.

Usłyszał jakieś głosy i w pośpiechu opuścił budynek. Poszedł dalej New Hampshire aż do

Dupont Circle, gdzie wstąpił do księgarni Kramer Books, żeby się rozgrzać i wypić kawę. Generalnie wszędzie chodził pieszo, bo jego bronco za bardzo szarpało i gasło w ulicznym ruchu. Trzymał samochód na placyku za Coop, zawsze z kluczykami w stacyjce, ale niestety jak dotąd nikt się nie skusił, żeby go ukraść.

Rozgrzany ruszył na północ Connecticut Avenue. Sześć przecznic dalej kancelaria prawna Ness Skelton zajmowała kilka pięter w nowoczesnym biurowcu niedaleko hotelu Hinckley Hilton. Podczas ubiegłorocznych wakacji Markowi udało się wyprosić w niej letnią praktykę za stawkę poniżej urzędowej płacy minimalnej. Letnie praktyki w takich wielkich firmach służyły oswajaniu najlepszych studentów z życiem prawnika i nie wymagano od nich zbyt wiele pracy. Praktykantów, których obowiązywał bardzo łagodny reżim biurowy, kuszono dodatkowo biletami na mecze i zaproszeniami na koktajle w ogrodach wspaniałych rezydencji bogatych wspólników. Wszystko po to, by ich złowić, namówić do podpisania umowy i tuż po dyplomie wrzucić w tryby maszynki mielącej biurowe mięso przez sto godzin tygodniowo.

Ale nie w Ness Skelton. Ta firma zatrudniała zaledwie pięćdziesięciu prawników i było jej daleko do czołówki kancelarii prawnych w mieście. Klientami były stowarzyszenia branżowe i pracownicze, takie jak Forum Plantatorów Soi, Związek Emerytowanych Pracowników Poczty, Komitet Wołowiny i Jagnięciny, Krajowe Stowarzyszenie Firm Asfaltowych, Stowarzyszenie Niepełnosprawnych Pracowników Kolei, a także kilka firm z przemysłu obronnego, które pragnęły uszczknąć coś dla siebie. Eksperci Ness Skelton – jeśli w ogóle tacy byli – utrzymywali kontakty z Kongresem, a firmowy program praktyk letnich nastawiony był bardziej na wykorzystywanie taniej siły roboczej niż na wyszukiwanie zdolnych studentów do przyszłej pracy. Mark pracował jak wół i zmagał się jak mógł z ogłupiającą pracą. W rezultacie, gdy pod koniec lata dostał propozycję, którą można było uznać za coś w rodzaju oferty pracy – pod warunkiem zdania egzaminu adwokackiego – nie wiedział, czy się z tego ucieszyć, czy rozpłakać. Ale i tak ją przyjął – nie miał nic innego w zanadrzu – i z dumą stał się jednym z nielicznych studentów Foggy Bottom z zapewnioną przyszłością. Przez całą jesień

delikatnie naciskał swego opiekuna w firmie o sprecyzowanie warunków przyszłego zatrudnienia, lecz niczego nie wskórał. Być może nastąpi fuzja. Być może dojdzie do rozbicia firmy na mniejsze części. Być może wydarzą się różne inne rzeczy, ale podpisanie z nim umowy nie było jedną z nich.

Więc czekał. Popołudniami, w soboty, w dni świąteczne, kiedy tylko zaczynał się nudzić, wpadał do firmy – zawsze ze sztucznie radosnym uśmiechem na twarzy i równie udawaną gorliwością, by w czymś pomóc. Nie miał pewności, czy mu to w czymś pomoże, zakładał jednak, że nie zaszkodzi.

Jego opiekunem był niejaki Randall, prawnik z dziesięcioletnim stażem, o krok od zostania wspólnikiem firmy. Prawnikowi, który po dziesięciu latach pracy w Ness Skelton nie kwalifikował się na wspólnika, dyskretnie pokazywano drzwi. Randall był absolwentem Uniwersytetu George'a Waszyngtona, co w kategoriach rankingowych plasowało go szczebel niżej od tych, którzy ukończyli Georgetown, ale kilka szczebli wyżej od absolwentów Foggy Bottom. Hierarchia była pod tym względem jasna, a jej najbardziej zaciekłymi obrońcami byli absolwenci

George’a Waszyngtona. Czuli się upokorzeni tym, że banda z Georgetown patrzy na nich z góry, i z tym większą zawziętością dawali odczuć swoją wyższość wszystkim absolwentom Foggy Bottom. W firmie aż się roiło od różnego rodzaju klik i układów i Mark wielokrotnie się zastanawiał, jak sobie z tym poradzi. Pracowało w niej już dwóch absolwentów jego uczelni, lecz obaj byli tak zajęci dystansowaniem się od dawnej szkoły, że nie mieli czasu na wyciągnięcie pomocnej dłoni do Marka. Prawdę mówiąc, ignorowali go nawet bardziej niż inni.

Często krzywił się pod nosem na stosunki panujące w firmie, był jednak skłonny pogodzić się z tym, że w każdym zawodzie obowiązuje specyficzna hierarchia. Poza tym za bardzo zajmowało go chronienie własnej skóry, by zastanawiać się, kto gdzie kończył prawo. Miał na głowie inne problemy.

Wysłał wcześniej do Randalla maila, że wpadnie do biura sprawdzić, czy może się do czegoś przydać. Ten powitał go krótkim burknięciem „Już wróciłeś?”.

Jasne, Randall, a tobie jak minęły święta? Wspaniale cię znów widzieć.

– Znudziło mnie już to świętowanie. Co słychać?

– Dwie sekretarki rozłożyła grypa – odparł Randall, wskazując na stertę papierów grubości trzydziestu centymetrów. – Potrzebuję po czternaście kopii z każdego, ułożonych i spiętych w komplety.

No pewnie, wracamy do kopiarni.

– Oczywiście – powiedział Mark z takim entuzjazmem w głosie, jakby już nie mógł się doczekać włączenia kopiarki. Zaniósł stertę dokumentów do podziemnego lochu z rzędem kopiarek i następne trzy godziny spędził na bezmyślnym zajęciu, za które nie dostanie ani centa.

Niemal zatęsknił za Louiem i jego bransoletką dozoru elektronicznego na nodze.

Rozdział 2

Dla Todda Lucero inspiracją do pójścia na studia prawnicze była, tak jak dla Marka, podsłuchana rozmowa o wyraźnie alkoholowym charakterze. Od trzech lat był barmanem w barze Pod Starym Rudym Kotem, wódopoju w stylu angielskiego pubu, cieszącym się popularnością wśród studentów George'a Waszyngtona i Foggy Bottom. Po skończeniu college'u we Frostburgu wyjechał z Baltimore do Waszyngtonu w poszukiwaniu pracy. Gdy jego wysiłki skończyły się niepowodzeniem, zaczepił się dorywczo Pod Starym Rudym Kotem, po czym szybko zdał sobie sprawę, że napełnianie kufli i nalewanie mocniejszych drinków bardzo mu pasuje. Pokochał życie barowe, odkrył w sobie talent do pogaduszek z klientami i umiejętność łagodzenia scysji. Szybko zyskał popularność i był po imieniu z setkami bywalców.

W ciągu minionych dwóch i pół roku wielokrotnie zmagał się z chęcią rzucenia studiów i zrealizowania marzenia o własnym barze, jednak jego ojciec był zdecydowanie temu przeciwny. Pan Lucero był policjantem w Baltimore i od zawsze namawiał syna do zdobycia zawodu z dyplomem uniwersyteckim. Tyle że namawianie nie szło niestety w parze z pomocą finansową i Todd, tak jak Mark, wpadł w pułapkę studenckiego zadłużenia.

Trafili na siebie od razu pierwszego dnia, podczas wstępnego zapoznawania się z uczelnią, gdy obaj widzieli przed sobą wielkie kariery prawnicze i jeszcze większe zarobki, wykazując się taką samą naiwnością jak reszta trzystu pięćdziesięciu pierwszorocznіaków. Po pierwszym roku Todd postanowił zrezygnować, ale ojciec strasznie na niego nawrzeszczał i Todd się ugiął. Obowiązki barmana nie zostawiały czasu na pukanie do różnych drzwi w Waszyngtonie i szukanie miejsca na letnią praktykę. Postanowił rzucić studia po drugim roku i powstrzymać przyrost długu, jednak jego doradca kredytowy zdecydowanie mu to odradził. Uświadomił mu, że dopóki studiuje, nie musi się borykać z bezwzględnym reżimem spłat zadłużenia, i że bardziej mu się opłaci pożyczać

dalej, skończyć studia i znaleźć dobrze płatną pracę, która – przynajmniej w teorii – pozwoli szybko wyjść z długów. Teraz, kiedy do skończenia studiów został mu już tylko jeden semestr, Todd doskonale wiedział, że takiej pracy po prostu nie ma.

Gdyby wtedy pożyczył z banku te same sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów i otworzył własny bar, dziś tarzałby się w pieniądzach i wiódł barwne życie.

* * *

Mark przyszedł do Rudego Kota tuż po zmroku i usiadł na swym ulubionym stołku przy końcu baru. Stuknęli się z Toddem pięściami.

– Fajnie cię widzieć, stary – powiedział Mark.

– Ciebie też. – Todd przysunął mu oszroniony kufel lekkiego piwa. Jego status w barze pozwalał mu stawiać wszystkim, którym chciał, i Mark już od lat nie płacił za drinki.

Studenci rozjechali się do domów na ferie i w barze było pustawo.

– No to co u ciebie? – spytał Todd, opierając się łokciami o ladę.

– Spędziłem urocze popołudnie w drogim starym Ness Skelton na kopiowaniu i sortowaniu

makulatury, której nikt nigdy nie będzie czytał. Kolejne durne zadanie. Nawet personel pomocniczy patrzy na mnie z góry. Nienawidzę tego miejsca. Nadal nie raczyli podpisać ze mną umowy.

– Nie masz jeszcze umowy?

– Nie, a obraz staje się coraz bardziej mglisty.

Todd upił łyk z kubka trzymanego pod ladą. Nawet status pierwszego barmana nie upoważniał go do picia podczas pracy, ale właściciela akurat nie było.

– To jak minęły święta w domu Frazierów? – spytał.

– Ho, ho, ho. Wytrzymałem dziesięć żałosnych dni i zwiałem. A u ciebie?

– Trzy dni, potem obowiązki wezwały mnie do powrotu. Co u twojego brata?

– Ma wciąż poważne kłopoty, nadal grozi mu odsiadka. Powinienem mu współczuć, ale trudno współczuć komuś, kto przez pół dnia śpi, a drugą połowę spędza na kanapie, oglądając *Sędzię Judy* i użalając się na bransoletkę dozoru elektronicznego na nodze. Biedna mama.

– Jesteś dla niego strasznie surowy.

– I tak niewystarczająco. Na tym polega jego problem. Nikt nigdy nie dobrał mu się do skóry. Złapali go z prochami, kiedy miał trzynaście lat.

Zrzucił winę na kolegę i oczywiście rodzice przybiegli mu na pomoc. Nigdy nie ponosił za nic winy. Aż do teraz.

– Cholera, nie wyobrażam sobie mieć brata w kiciu.

– No, to głupia sytuacja. Chciałbym mu pomóc, ale nie ma szans.

– O ojca nawet nie spytam.

– Nie widziałem się z nim ani nie rozmawiałem przez telefon. Nie przysłał nawet kartki na święta. Ma pięćdziesiąt lat i jest dumnym tatusiem trzylatka, więc pewnie musiał odgrywać przed nim Świętego Mikołaja. Zwalił pod choinką stertę zabawek i uśmiechał się jak idiota, a dzieciak z piskiem zbiegał ze schodów. Koszmar.

Para młodych ludzi weszła do baru i Todd przeszedł wzdłuż lady, by ich obsłużyć. Mark wyjął telefon i sprawdził wiadomości.

– Widziałeś już jakieś oceny? – spytał Todd po powrocie.

– Nie. Ale co za różnica? I tak wszyscy jesteśmy najlepsi.

Oceny w Foggy Bottom były przedmiotem żartów. Dla reputacji szkoły było ważne, by opuszczający ją absolwenci mieli czym się pochwalić, więc profesorowie sypali piątkami

i czwórkami jak z rogu obfitości. Na tej uczelni nikt nie oblewał egzaminów końcowych, co oczywiście rodziło wśród studentów lekceważący stosunek do nauki, a to z kolei podważało sens współzawodnictwa i mierni studenci stawali się jeszcze bardziej mierni. Nic dziwnego, że późniejszy egzamin adwokacki był takim wyzwaniem.

– A poza tym chyba sobie nie wyobrażasz, że nasi suto opłacani profesorowie będą w czasie ferii ślęczeli nad wystawianiem ocen – dodał Mark.

Todd pociągnął następny łyk i pochylił się nad barem.

– Mamy większy problem – mruknął.

– Z Gordym?

– Z Gordym.

– Tego się bałem. Wysłałem mu esemesa i próbowałem dzwonić, ale ma wyłączony telefon. A co się dzieje?

– Niedobrze. Wygląda na to, że pojechał na ferie do domu i święta zeszły mu na kłótniach z Brendą. Ona życzy sobie wielkiego ślubu w kościele z tysiącem zaproszonych gości, a Gordy w ogóle nie chce się żenić. Jej matka ma w tej sprawie dużo do powiedzenia, jego matka

nie rozmawia z jej matką i cała sprawa wisi na włosku.

– Ślub jest piętnastego maja, Todd. I o ile dobrze pamiętam, jesteśmy obaj proszeni na drużbów pana młodego.

– No więc ja bym na to nie stawiał. Wrócił już i przestał brać leki. Zola była tu dziś po południu i poskarżyła się.

– Jakie leki?

– To długa historia.

– Jakie leki?

– On ma dwubiegunówkę, Mark. Zdiagnozowano ją już parę lat temu.

– Żartujesz?

– Jak mógłbym żartować z czegoś takiego? Ma chorobę dwubiegunową i Zola mówi, że odstawił lekarstwa.

– Czemu miałby to przed nami ukrywać?

– Na to nie umiem odpowiedzieć.

Mark pociągnął długi łyk piwa i pokręcił głową.

– To Zola już wróciła? – spytał.

– Tak, najwyraźniej ona i Gordy przyśpieszyli powrót o parę dni, żeby się sobą nacieszyć, choć nie jestem pewien, czy aż tak bardzo się cieszą. Zola twierdzi, że odstawił leki jakiś miesiąc temu, w trakcie nauki do egzaminów końcowych.

Jednego dnia jest w euforii i skacze pod sufit, następnego popada w otępienie, sączy tequilę i pali trawkę. I plecie jakieś bzdury. Mówi, że chce rzucić studia i uciec na Jamajkę, oczywiście z Zolą. Ona się boi, że Gordy może popełnić jakieś głupstwo i zrobić sobie coś złego.

– Głupi jest. Od dawna jest zaręczony z ukochaną z liceum, naprawdę fajną dziewczyną, która w dodatku ma forsę. A on ugania się za Afrykanką, której rodzice i bracia przebywają w naszym kraju jako nielegalni imigranci, i to teraz, kiedy wokół nielegalnych jest tyle szumu. Koleś naprawdę jest głupi.

– Gordy ma kłopoty, Mark. Od paru tygodni tonie i naprawdę potrzebuje naszej pomocy.

Mark odsunął od siebie piwo, ale tylko na parę centymetrów, i splótł dłonie za głową.

– Jakbyśmy nie mieli dość własnych kłopotów. I niby jak mamy mu pomóc?

– Ty mi powiedz. Zola próbuje go pilnować i chce, żebyśmy przyszli dziś wieczór.

Mark parsknął śmiechem i łyknął piwa.

– Co cię tak śmieszy? – obruszył się Todd.

– Nic, ale wyobrażasz sobie ten skandal w Martinsburgu, jeśli się rozejdzie, że Gordonowi Tannerowi, którego ojciec jest diakonem w miejscowym kościele, a narzeczona córką

znanego lekarza, odbiło, rzucił studia prawnicze i uciekł na Jamajkę z afrykańską muzułmanką?

– Naprawdę uważasz, że to zabawne?

– Musisz się bardziej postarać. Bo to śmieszne jak cholera – powiedział Mark, ale sam przestał się śmiać. – Słuchaj, Todd, nie możemy zmusić go do łykania lekarstw. Jeśli spróbujemy, nakopie nam obu do tyłków.

– On potrzebuje naszej pomocy. Kończę dziś o dziewiątej i pojedziemy tam.

Przy barze usiadł mężczyzna w eleganckim garniturze i Todd podszedł, by przyjąć zamówienie. Mark nie ruszył się. Sącząc piwo, popadł w jeszcze większą zadumę.

Rozdział 3

Trzy lata przed narodzinami Zoli Maal jej rodzice uciekli z Senegalu. Wraz z dwoma synami zagnieździli się w slumsach Johannesburga i utrzymywali się z dorywczych prac przy myciu podłóg i kopaniu rowów. Przez dwa lata zaoszczędzili na bilety na statek i z pomocą miejscowego przemytnika odbyli wraz z kilkunastoma Senegalczykami męczącą podróż na pokładzie liberyjskiego frachtowca do portu w Miami. Po przeszmuglowaniu na brzeg spotkali się z jej wujkiem, który ich zabrał do swego domu w Newark w New Jersey, gdzie zamieszkali w dwupokojowym mieszkanku w bloku pełnym uchodźców z Senegalu. Nikt z mieszkańców tego bloku nie posiadał zielonej karty.

Rok po ich przyjeździe do Stanów w szpitalu uniwersyteckim w Newark urodziła się Zola, co automatycznie zapewniło jej amerykańskie

obywatelstwo. Podczas gdy rodzice imali się różnych zajęć, pracując w dwóch czy trzech miejscach naraz, zawsze za wynagrodzenie niższe od minimalnej ustawowej płacy, Zola i jej dwaj bracia chodzili do miejscowej szkoły, wtapiając się w otoczenie. Byli pobożnymi muzułmanami i z zapałem praktykowali swoją religię, choć trzeba przyznać, że Zolę od początku pociągał zachodni styl życia. Ojciec był człowiekiem pryncypialnym i upierał się, by dzieci zastąpiły angielskim rodzime języki wolof i francuski. Chłopcy szybko opanowali angielski i pomagali rodzicom w uczeniu się nowego języka. Rodzina przenosiła się z jednego do drugiego ciasnego mieszkania w Newark, zawsze w sąsiedztwie innych Senegalczyków, którzy tak jak oni żyli w strachu przed deportacją. Trzymanie się w większej grupie było bezpieczniejsze, przynajmniej tak im się zdawało, niemniej każde pukanie do drzwi wywoływało dreszcz strachu. Unikanie wszelkich awantur było nakazem chwili, więc Zola i jej bracia zostali nauczeni, że nie wolno im dać się wciągnąć do czegokolwiek, co mogłoby zwrócić na nich uwagę. I choć Zola miała w pełni legalne prawo pobytu, zdawała sobie sprawę, że jej rodzina jest w niebezpieczeństwie. Cały czas żyła

w strachu przed aresztowaniem i deportacją rodziców i braci do Senegalu.

W wieku piętnastu lat znalazła pierwszą pracę na zmywaku w lokalnej knajpce, oczywiście za gotówkę płatną z ręki do ręki, i to nędzną. Bracia także pracowali i rodzina ciułała grosz do grosza.

Zola nie zapominała też o nauce, skończyła liceum z dobrym wynikiem i podjęła studia zaoczne w państwowym college'u. Uzyskanie niewielkiego stypendium pozwoliło jej przenieść się na studia stacjonarne i nawet podjąć pracę w uczelnianej bibliotece, ale nadal zmywała naczynia, wraz z matką sprzątała po domach i jako babysitterka pilnowała dzieci w rodzinach znajomych, którym powodziło się lepiej. Starszy brat ożenił się z niemuzułmanką i choć to, że była Amerykanką, oznaczało łatwiejszą drogę do uzyskania obywatelstwa, wywołało poważny rozdźwięk z rodzicami. Wyjechał z żoną do Kalifornii, by tam zacząć nowe życie.

W wieku dwudziestu lat Zola wyniosła się z domu i rozpoczęła naukę na uniwersytecie stanowym Montclair. Zamieszkała w akademiku z dwiema Amerykankami, dość skromnie sytuowanymi. Jako główny przedmiot obrała księgowość, bo zawsze dobrze czuła się wśród

cyfr i miała smykałkę do finansów. Uczyła się pilnie, jednak obowiązki wynikające z paru prac dodatkowych nie zostawiały jej zbyt wiele czasu na naukę. Kiedy współlokatorki wprowadziły ją w świat studenckich imprez, okazało się, że do tego też ma smykałkę. I o ile uparcie przestrzegała muzułmańskiej abstynencji w odniesieniu do napojów wyskokowych – zresztą bez większego trudu, bo alkohol tak naprawdę jej nie smakował – o tyle w innych kwestiach, szczególnie mody i seksu, była dużo bardziej otwarta. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i często słyszała zachwyty nad tym, jak wygląda w obcisłych dżinsach. Jej pierwszy chłopak szczęśliwie nauczył ją wszystkiego o seksie, dzięki drugiemu poznała narkotyki. Pod koniec pierwszego roku po cichu, ale zdecydowanie zaczęła się uważać za niepraktykującą muzułmankę, o czym jej rodzice nie mieli pojęcia.

Czekały ich zresztą poważniejsze kłopoty. Podczas jesiennego semestru ostatniego roku studiów Zoli jej ojca aresztowano, w wyniku czego przesiedział dwa tygodnie w areszcie, zanim udało się zorganizować kaucję. Przed aresztowaniem pracował jako malarz u przedsiębiorcy budowlanego, także

Senegalczyka, ale z zieloną kartą. Szef firmy najwidoczniej wykosił konkurencyjną firmę związkową, sprzątnąwszy jej sprzed nosa lukratywny kontrakt na pomalowanie nowego kompleksu biurowego w Newark. Wściekły związkowiec powiadomił władze, że w firmie konkurenta pracują nielegalni imigranci. Już samo to było poważnym przestępstwem, ale dodatkowo ponoć zginęły jakieś materiały biurowe i oskarżycielski palec wskazał firmę Senegalczyka. W rezultacie ojca Zoli i czterech innych pracowników bez zielonej karty oskarżono o kradzież. Wszyscy dostali wezwania do stawienia się przed sądem imigracyjnym, w dodatku zostali oskarżeni o przestępstwo kryminalne.

Zola wynajęła adwokata, który rzekomo specjalizował się w takich sprawach, i rodzina wyłuskała ponad dziewięć tysięcy dolarów, praktycznie wszystkie swoje oszczędności. Adwokat okazał się strasznie zajęty, prawie nigdy go nie było i rzadko oddzwaniał na ich telefony. Rodzice i brat trzymali się w ukryciu, więc użeranie się z prawnikiem spadło na Zolę. Szybko znienawidziła tego faceta, który zalewał ją potokiem słów i bezwstydnie naciągał fakty. Najchętniej by go zwolniła, ale brakowało

pieniędzy na wynajęcie kogoś innego. Kiedy jednak nie stawił się w sądzie w wyznaczonym terminie, sam sędzia odsunął go od sprawy. Ostatecznie Zoli udało się dotrzeć do prawnika z organizacji pomocy prawnej, a ten doprowadził do oddalenia oskarżenia o przestępstwo kryminalne. Nie miało to jednak wpływu na zagrożenie deportacją; sprawa wlekła się w nieskończoność i wyniki Zoli na uczelni mocno na tym ucierpiały. Po wielu rozprawach i przesłuchaniach doszła do wniosku, że wszyscy prawnicy są leniwi albo głupi i lepiej poradziłaby sobie z tym sama.

Dała się złapać na lep propagandy, że łatwe kredyty federalne umożliwiają wszystkim studiowanie prawa, i podjęła pierwsze odważne kroki na drodze do Foggy Bottom. Będąc obecnie w połowie ostatniego roku studiów, miała dług większy, niż mieściło się to w jej głowie. Rodzicom i nieżonatemu bratu wciąż groziła deportacja, choć ich sprawa utknęła gdzieś w masie podobnych spraw imigracyjnych.

* * *

Mieszkała przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, w budynku niepodupadłym aż tak bardzo jak

Coop, ale pod wieloma względami podobnym. Zajmowała go gromada studentów gnieżdżących się w małych, mizernie umeblowanych klitkach. Na początku trzeciego roku poznała Gordona Tannera, przystojnego, atletycznie zbudowanego blondyna, mieszkającego dokładnie po drugiej stronie korytarza. Sprawy szybko nabrały tempa, wybuchł gorący romans i wkrótce zaczęły się rozmowy o wspólnym zamieszkaniu, naturalnie ze względów oszczędnościowych. Gordon ostatecznie wycofał się z pomysłu, bo Brenda, jego urodziwa narzeczona z rodzinnej miejscowości, polubiła wielkomiejskie życie i często go odwiedzała.

Lawirowanie między dwiema kobietami przerastało Gordona. Z Brendą był zaręczony praktycznie od zawsze, ale teraz ze wszystkich sił chciał uniknąć małżeństwa. Życie z Zolą pociągało jednak za sobą szereg problemów, więc wcale nie był pewien, czy jest gotów uciec z czarną dziewczyną i porzucić na zawsze rodziców i wszystkich przyjaciół. Na to nałożył się stres związany z szukaniem zatrudnienia na ciasnym czy wręcz niedostępnym rynku pracy, z trzymającym za gardło zadłużeniem i obawa, że nie zda egzaminu adwokackiego. W końcu Gordon się załamał. Pięć lat wcześniej

zdiagnozowano u niego chorobę dwubiegunową, jednak leki i psychoterapia zrobiły swoje i nie licząc jednego przerażającego epizodu w college'u, jego życie praktycznie wróciło do normy. Utrata kontroli nastąpiła na trzecim roku w Foggy Bottom, w okolicach Święta Dziękczynienia, gdy nagle odstawił leki. Zola przez jakiś czas z przerażeniem obserwowała nagłe skoki nastroju, aż w końcu się wtrąciła. Gordon przyznał się jej do swojej choroby i wrócił do zażywania lekarstw. Przez następne kilka tygodni jego stany euforyczne i depresyjne nie występowały.

Skończyli sesję egzaminacyjną i rozjechali się do domów na święta, choć żadne z nich się do tego nie paliło. Gordy był zdecydowany doprowadzić do ostatecznej kłótni z Brendą i odwołać ślub. Zola nie chciała spędzać świąt z rodziną. Wiedziała, że mimo własnych kłopotów ojciec znajdzie czas i energię na wygłaszanie kazań potępiających jej grzeszne życie w zachodnim stylu.

Po tygodniu oboje wrócili do Waszyngtonu: ona nienawrócona, Gordy nadal jako narzeczony z terminem ślubu wyznaczonym na piętnastego maja. Co gorsza, znów przestał przyjmować leki i zaczął się zachowywać w sposób

nieprzewidywalny. Przez dwa dni potrafił nie wyściubić nosa ze swojego pokoju; spał albo siedział zapatrzony w pustą ścianę, z brodą opartą o kolana. Zola przychodziła i wychodziła, nie wiedząc, co z tym fantem począć. Potem na trzy dni gdzieś zniknął i powiadomił ją tylko SMS-em, że pojechał pociągiem do Nowego Jorku „pogadać z pewnymi ludźmi". I że jest na tropie wielkiego spisku, w związku z czym jest bardzo zajęty. Spała u siebie, gdy o czwartej nad ranem wtargnął do jej pokoju, zerwał z siebie ubranie i zażądał seksu. W godzinach popołudniowych znów gdzieś zniknął, by – jak powiedział – „tropić złoczyńców i grzebać się w brudach". Wrócił w stanie skrajnego podniecenia i spędził wiele godzin nad laptopem, uprzedziwszy ją, by nie zawracała mu głowy, bo ma strasznie dużo do zrobienia.

Przerażona i zdesperowana Zola w końcu wybrała się Pod Starego Rudego Kota i opowiedziała wszystko Toddowi.

Rozdział 4

Czekała na nich na schodkach przed budynkiem i wszyscy razem weszli do jej mieszkania na drugim piętrze. Zamknęła za nimi drzwi i wylewnie podziękowała za przyjście. Widać było, że jest podenerwowana, wręcz zestresowana.

– Gdzie on jest? – spytał Mark.

– U siebie – odparła, wskazując głową korytarz. – Nie chce mnie wpuścić ani wyjść. Zdaje się, że przez ostatnie dwie doby prawie nie spał. Miota się po mieszkaniu i obija o ściany.

– Nie bierze lekarstw? – wtrącił Todd.

– Chyba nie, w każdym razie żadnych z apteki. Podejrzewam, że sam się czymś kuruje.

Spojrzeli po sobie, czekając, by ktoś zrobił pierwszy ruch.

– No to chodźmy – powiedział w końcu Mark i wyszedł z pokoju.

W korytarzu zapukał do drzwi.

– Gordy, tu Mark. Jest ze mną Todd i Zola. Chcemy z tobą porozmawiać.

Cisza. Gdzieś w tle ledwo słyszalny głos Springsteena.

Zapukał ponownie i powtórzył swoje słowa. Muzyka ucichła. Kopnięte krzesło – czy stołek – z rumorem przewróciło się na podłogę, klamka się poruszyła. Odczekali jeszcze chwilę i Mark pchnął drzwi.

Gordy stał pośrodku ciasnego pokoiku w samych żółtych spodenkach Redskins, w których widzieli go już setki razy, i wpatrywał się w ścianę, całkowicie ignorując ich wejście. W znajdującej się po lewej wnęce kuchennej panował nieopisany bałagan. Wszędzie walały się puszki po piwie i puste butelki, podłoga była zasłana papierowymi kubkami, zgniecionymi serwetkami i plastikowymi opakowaniami po kanapkach; stół po prawej, na którym stał otwarty laptop i drukarka, był zawalony stosami papierów. Kanapę, telewizor, fotel i stolik Gordy odsunął w kąt, jakby chciał zrobić jak najwięcej miejsca przy ścianie.

Ściana była obwieszona tablicami, do których kolorowymi pinezkami i taśmą klejącą przypiął plansze, ułożone w jakimś dziwacznym porządku. Linie i opisy zrobione czarnym,

niebieskim i czerwonym markerem świadczyły o tym, że Gordy jest w trakcie rozgryzania jakiejś skomplikowanej struktury korporacyjnej, jakiegoś wielkiego spisku z umieszczonymi na samej górze podobiznami przywódców.

Wyglądało na to, że właśnie im się przypatruje. Był blady i wymizerowany; bardzo schudł, czego Mark ani Todd nie zauważyli dwa miesiące wcześniej podczas egzaminów końcowych. Był pasjonatem sali gimnastycznej i siłowni, ale jego wyrzeźbione mięśnie gdzieś się zapodziały. Gęsta blond czupryna – przedmiot jego dumy – wisiała w od dawna niemytych strąkach. Patrząc na niego i otoczenie, obaj koledzy nie mieli wątpliwości, że Gordy'emu potężnie odbiło. Stał przed nimi osamotniony i zaburzony niczym maniakalny malarz przed dziełem swego życia.

– Czemu zawdzięczam zaszczyt? – zapytał, zwracając ku nim głowę i przewiercając ich wzrokiem. Oczy i policzki miał zapadnięte, na twarzy tygodniowy zarost.

– Musimy porozmawiać – zaczął Mark.

– Musimy. Ale to ja będę mówił, bo mam wam dużo do powiedzenia. Wszystko już przemyślałem. Rozgryzłem skurwieli i musimy szybko działać.

– Dobra, Gordy – powiedział niepewnym głosem Todd. – Jesteśmy tu i słuchamy. Co się dzieje?

– Proszę, siadajcie. – Gordy wskazał kanapę.

– Wolę postać, jeśli ci to nie przeszkadza – rzucił Mark.

– Przeszkadza! – syknął Gordy. – Właśnie, że przeszkadza. Róbcie, co mówię, i wszystko będzie gites. Siadajcie. – Prychał jak rozeźlony pies i wyglądało to tak, jakby za chwilę miał się na nich rzucić. Mark ani Todd nie wytrzymaliby dziesięciu sekund w walce wręcz z Gordym. Byli świadkami dwóch takich bójek w barach, obu zakończonych nokautem przeciwników.

Todd i Zola usiedli na kanapie, Mark przyciągnął sobie stołek z części kuchennej i wszyscy troje ze zdumieniem spojrzeli na ścianę. Na planszach przedstawiono cały labirynt powiązań, strzałki rozchodziły się w różnych kierunkach i łączyły dziesiątki nazwisk, firm i liczb. Jak uczniacy skarceni przez nauczyciela, w milczeniu wpatrywali się w diagramy, czekając na dalszy ciąg.

Gordy podszedł do stołu i wziął do ręki do połowy opróżnioną butelkę tequili. Nalał porcję do swego ulubionego kubka do kawy i zaczął popijać małymi łyczkami, jakby to była herbata.

– Schudłeś, Gordy – zauważył Mark.

– Nie zauważyłem. Z powrotem utyję. Ale nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o mojej wadze. – Z kubkiem w ręce i najwyraźniej nie zamierzając proponować gościom nic do picia, Gordy podszedł do ściany i wskazał palcem jedną z twarzy. – To jest Główny Szatan. Nazywa się Hinds Rackley i jest prawnikiem z Wall Street, zamienionym w oszusta inwestycyjnego, z majątkiem tylko czterech miliardów, więc biedak ledwie zasługuje na wzmiankę w „Forbesie". Tylko drobny miliarder, ale z odpowiednimi zabawkami: rezydencją przy Piątej Alei z widokiem na park, wielką posiadłością w Hamptons, jachtem, dwoma odrzutowcami, żoną jak z obrazka, z wszystkim co potrzeba. Skończył prawo na Harvardzie, potem pracował kilka lat w wielkiej korporacji prawniczej. Nie spodobało mu się tam, więc wraz z paroma kolegami poszedł na swoje, przeprowadził kilka fuzji tu i tam i obecnie jest właścicielem lub kontroluje cztery kancelarie prawne. Jak na miliardera jest dość nieśmiały i ceni sobie prywatność. Działa za kurtyną osłaniającą wiele różnych firm. Udało mi się namierzyć tylko kilka, ale to wystarczy.

Gordy mówił do ściany zwrócony plecami do słuchaczy i gdy unosił do ust kubek z tequilą, widać było na jego plecach drabinkę żeber. Schudł wręcz zdumiewająco. Mówił spokojnym tonem, jakby delektował się własnymi odkryciami.

– Jego głównym narzędziem jest Shiloh Square Financial, prywatna firma inwestycyjna zajmująca się między innymi wykupami lewarowanymi i skupem zagrożonych długów, typowymi machinacjami z Wall Street. Do Shiloh należy część Varanda Capital, ale nie wiadomo jak duża, bo ich księgi są oskrobane do kości i wszystko, co dotyczy tego człowieka, pachnie przekrętem. Do Varandy z kolei należy część Baytrium Group, a jak wam może wiadomo, Baytrium Group jest właścicielem wielu firm, w tym między innymi naszej drogiej uczelni Foggy Bottom. Naszej i jeszcze trzech innych. Natomiast na pewno nie wiecie, że Varanda jest też właścicielem czegoś o nazwie Lacker Street Trust z Chicago, do którego należą cztery inne prywatne uczelnie prawnicze. To razem osiem.

Na planszy po prawej stronie ściany widniały duże prostokąty z nazwami Shiloh Square Financial, Varanda Capital i Baytrium Group, pod nimi równym szeregiem ciągnęły się nazwy

ośmiu uczelni prawniczych: Foggy Bottom, Midwest, Poseidon, Gulf Coast, Galveston, Bunker Hill, Central Arizona i Staten Island. Pod każdą z nazw Gordy umieścił liczby i podpisy, ale tak drobne, że z kanapy były nieczytelne.

Podszedł do stołu i nalał sobie następną porcję tequili. Upił łyk, zawrócił pod ścianę i stanął twarzą do swoich gości.

– Rackley zaczął budować sieć uczelni jakieś dziesięć lat temu, oczywiście zawsze kryjąc się za różnymi parawanami. Posiadanie prywatnej szkoły podstawowej, średniej czy wyższej nie jest nielegalne, ale on i tak woli się z tym kryć. Pewnie się obawia, że ktoś zacznie grzebać w jego brudach. A ja to zrobiłem. – Upił kolejny łyk i wlepił w nich rozjarzony wzrok. – W dwa tysiące szóstym mędrcy w Kongresie postanowili, że każdy szaraczek ma prawo radykalnie polepszyć swój byt, zdobywając lepsze wykształcenie. W tym celu owi mędrcy stwierdzili, że praktycznie każdy, w tym tacy jak my, może zaciągnąć taki kredyt, jaki mu będzie potrzebny do zdobycia wyższego wykształcenia w wybranej dziedzinie. Kredyty dostępne dla wszystkich, łatwa forsa na pokrycie czesnego, kupno podręczników, nawet na utrzymanie,

obojętnie ile. Oczywiście poręczone przez władze federalne.

– Wszyscy o tym wiemy, Gordy – wtrącił Mark.

– Och, dzięki, Mark. A teraz, jeśli zechciałbyś się przymknąć, to będę mówił dalej.

– Tak jest, szefie.

– Nie wszyscy natomiast wiedzą o tym, że po przejęciu przez Rackleya ośmiu uczelni prawniczych zaczął się ich gwałtowny rozwój. W dwa tysiące piątym roku Foggy Bottom miało czterystu studentów. Kiedy zaczynaliśmy w dwa tysiące jedenastym, ich liczba wynosiła już tysiąc, i tylu jest obecnie. Podobnie wygląda to w innych uczelniach. Każda ma mniej więcej po tysiąc studentów. Zakupiły nowe budynki, zaangażowały wszystkich niedorobionych wykładowców, jakich dało się znaleźć, i sowicie opłacają personel administracyjny o jakich takich kwalifikacjach. No i oczywiście reklamują się na całego. Dlaczego? No cóż, jedną z rzeczy, o których nie wszyscy wiedzą, są finanse prywatnych uczelni prawniczych.

Kolejny raz łyknął z kubka, przesunął się do prawej krawędzi ściany i stanął pod planszą zapełnioną słupkami cyfr.

– Teraz trochę szkolnej matmy – powiedział. – Weźmy Foggy Bottom. Zdzierają z nas czterdzieści pięć tysięcy rocznie czesnego i tyle płacą wszyscy studenci. Nikt nie dostaje żadnych stypendiów ani zapomóg, jakie oferują prawdziwe uczelnie. To daje czterdzieści pięć milionów brutto. Wykładowcy zarabiają około stu tysięcy rocznie, co bardzo odstaje od średniej krajowej w dobrych uczelniach, wynoszącej około dwustu pięćdziesięciu tysięcy, ale dla niektórych klaunów z Foggy Bottom to i tak uśmiech losu. Stoi niekończąca się kolejka wykładowców prawa, którzy błagają o pracę, bo oczywiście tak kochają studentów. Uczelnia lubi się chwalić niskim wskaźnikiem liczby studentów na jednego wykładowcę, wynoszącym u nas dziesięć do jednego. Jak byśmy byli uczeni przez zdolnych profesjonalistów w małych przytulnych salkach, prawda? Pamiętacie męczarnię w pierwszym semestrze? Jak siedzieliśmy po dwieście osób na zajęciach Steve'a Jąkały?

– Skąd wiesz, ile zarabiają? – przerwał mu Todd.

– Bo dotarłem do jednego z nich. Wykładał prawo administracyjne na trzecim roku, ale nie mieliśmy z nim zajęć, bo dwa lata temu wywalili

go za picie w pracy. Upiliśmy się razem i wszystko mi opowiedział. Mam swoje źródła informacji, Todd, i wiem, co mówię.

– Dobrze, dobrze, po prostu spytałem z ciekawości.

– W Foggy Bottom jest około stu pięćdziesięciu wykładowców stanowiących największe obciążenie w budżecie szkoły, powiedzmy piętnaście milionów dolarów rocznie. – Gordy wskazał ręką masę niemal nieczytelnych liczb. – Następna co do wielkości pozycja to koszty administracyjne z górnego piętra. Wiedzieliście, że nasz pan dziekan zarabia osiemset tysięcy rocznie? Oczywiście, że nie. Dziekan wydziału prawa na Harvardzie zarabia pół miliona, ale on nie ma pod sobą drukarni dyplomów, w której chodzi tylko o wynik finansowy. Nasz dziekan ma imponujące CV na papierze, płynną wymowę, z której czasami korzysta, i świetnie się nadaje na szefa tego bajzla. Rackley dobrze płaci wszystkim swoim dziekanom i oczekuje, że w zamian za to będą kupczyli marzeniami. Dorzućmy następne trzy miliony na wysokie zarobki reszty kierownictwa i załóżmy, że koszty administracyjne Foggy Bottom mieszczą się w granicach czterech milionów dolarów rocznie. Bądźmy rozrzutni i powiedzmy, że sięgają pięciu

milionów, co łącznie z wynagrodzeniami wykładowców daje dwadzieścia milionów kosztów. W ubiegłym roku pozostałe koszty prowadzenia szkoły – budynki, personel techniczny i oczywiście marketing – wyniosły cztery miliony dolarów, z czego prawie dwa miliony poszły na reklamę mającą otumanić więcej kandydatów. Namówić, by zapisali się do szkoły, zaciągnęli kredyt i rozpoczęli chwalebną karierę prawniczą. Wiem to wszystko, bo znam niezłego hakera. Pewne rzeczy wyciągnął, do innych nie udało mu się dotrzeć. Przyznał, że jest pełen uznania dla ich zabezpieczeń. Mówi, że bardzo pieczołowicie chronią swoje dane.

– W sumie to daje dwadzieścia cztery miliony dolców – podsumował Mark.

– Szybki jesteś. Zaokrąglijmy to do dwudziestu pięciu. Główny Szatan zgarnia więc dwadzieścia milionów dolarów na czysto z jednej tylko kochanej Foggy Bottom. Pomnóżcie to przez osiem i zrobi wam się słabo. – Gordy odchrząknął i splunął na ścianę. Pociągnął tequili, powoli przełknął i zrobił kilka kroków. – Jak mu się to udaje? – Zawiesił głos. – Sprzedaje marzenia, a myśmy się na to złapali. Gdy jego osiem uczelni ruszyło do ataku, drzwi otworzyły się dla wszystkich, niezależnie od predyspozycji

i wyników egzaminów wstępnych. Przeciętny wynik egzaminu wstępnego, który zapewnia przyjęcie do Georgetown, wynosi sto sześćdziesiąt pięć punktów, a jak wiemy, wydział prawa w Georgetown należy do krajowej czołówki. W uczelniach z Ligi Bluszczowej jest nawet wyższy. Nie wiemy, jak to wygląda w Foggy Bottom, bo to tajemnica i mojemu hakerowi nie udało się do tego zajrzeć, ale myślę, że możemy spokojnie przyjąć, że poniżej stu pięćdziesięciu, bardzo możliwe, że bliżej stu czterdziestu. Podstawową wadą tego chorego systemu jest to, że nie istnieje wynik egzaminu wstępnego zbyt niski dla przyjęcia. Takie gówniane szkoły prawnicze przyjmą każdego, kto zaciągnie federalny kredyt, a jak już mówiłem, kredyty są dostępne dla wszystkich. Amerykańskie Stowarzyszenie Prawników da akredytację nawet przedszkolu, jeśli tylko nazwie się uczelnią prawniczą. Nikogo tam nie obchodzi, że kandydat może być głupi jak but. To samo dotyczy ludzi udzielających kredytów. Nie chcę obrazić nikogo w tym pokoju, ale wszyscy znamy swoje wyniki z egzaminu. Wszyscy poza Zolą upijaliśmy się na tyle, by mówić o nich głośno. Tak na marginesie Zola ma z naszej czwórki i tak najlepsze stopnie. Więc dyplomatycznie powiem,

że średnia dla całej naszej czwórki wynosi sto czterdzieści pięć. Statystycznie rzecz biorąc, szanse na zdanie egzaminu adwokackiego z wynikiem sto czterdzieści pięć wynoszą pięćdziesiąt procent. Ale nikt nas o tym nie uprzedził przy składaniu papierów, bo nikomu na nas nie zależy. Zależy im tylko na naszych pieniądzach. Zostaliśmy wydymani w chwili przejścia przez próg szkoły.

– Nawracasz nawróconych – burknął Mark.

– Jeszcze nie skończyłem tego kazania – prychnął Gordy i na chwilę zamilkł; wpatrywał się w ścianę, a oni wymieniali się spłoszonymi spojrzeniami.

Kazanie było ciekawe i przygnębiające, ale bardziej martwił ich stan kaznodziei.

– Znaleźliśmy się w tym szambie – podjął Gordy – bo dostrzegliśmy szansę realizacji naszych marzeń, na co inaczej nie byłoby nas stać. Żadne z nas nie powinno studiować na uczelni prawniczej, a teraz siedzimy w tym po uszy. To nie dla nas, ale my uwierzyliśmy, że jesteśmy stworzeni do lukratywnej kariery prawniczej. Wszystko to czysty marketing i mydlenie oczu pracą. Praca, praca, praca, świetna praca z wielkimi zarobkami. Prawda jest jednak taka, że taka praca nie istnieje. W zeszłym

roku największe kancelarie na Wall Street oferowały najlepszym absolwentom zarobki na poziomie stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy rocznie. Tu, w Waszyngtonie, to już tylko sto sześćdziesiąt tysięcy. Od lat słyszymy o tych posadach i jakimś cudem uwierzyliśmy, że możemy taką dostać. Ale teraz znamy już prawdę, że zdarzają się propozycje zatrudnienia na poziomie pięćdziesięciu tysięcy rocznie, w rodzaju tych, jakie znalazłeś ty, Mark. Choć tak naprawdę nawet tego nie możesz być pewny, bo ci jeszcze nie powiedzieli, ile będziesz zarabiał. To nieduże firmy, w których praca to brutalna orka, a przyszłość jest niepewna. Wielkie firmy płacą minimum sto sześćdziesiąt tysięcy i między tymi skrajnościami nie ma nic. Zero. Mamy za sobą rozmowy kwalifikacyjne, pukanie do drzwi i szukanie w internecie i wiemy, jak wygląda rynek.

Wszyscy pokiwali głowami, głównie, by go nie drażnić. Gordy upił kolejny łyk, przesunął się w lewo i wyciągnął rękę.

– A tu zobaczycie prawdziwy koszmar, o którym nie macie nawet pojęcia. Rackley jest właścicielem nowojorskiej kancelarii prawnej o nazwie Quinn and Vyrdoliac. Być może o niej słyszeliście, ja nie. W branży nazywają ją

w skrócie Quinn. Ma oddziały w sześciu miastach, zatrudnia około czterystu prawników, czyli nie mieści się w pierwszej setce firm. W Waszyngtonie ma niewielki oddział z trzydziestoma prawnikami. – Wskazał planszę z pogrubioną nazwą firmy w nagłówku. – Quinn zajmuje się głównie finansami, dość trefnymi: przejęciami nieruchomości, wywłaszczeniami, egzekwowaniem odsetek za zwłokę, bankructwami, praktycznie wszystkim, co się wiąże z zagrożonymi długami. W tym także kredytami studenckimi. Quinn dobrze płaci, przynajmniej na początku. – Wskazał ręką przyszpiloną do ściany kolorową broszurkę reklamową. – Zwróciłem na nią uwagę cztery lata temu, kiedy zastanawiałem się nad Foggy Bottom. Wy pewnie też ją widzieliście. Na okładce jest uśmiechnięta twarz niejakiego Jareda Molsona, absolwenta Foggy Bottom, którego Quinn zatrudnił z początkową pensją stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Pamiętam, jak wtedy pomyślałem: kurczę, jeśli absolwenci Foggy Bottom znajdują takie posady, to ja też chcę. No więc odszukałem pana Molsona i przeprowadziłem z nim długą rozmowę przy kieliszku. Rzeczywiście dostał propozycję pracy w Quinn, ale kontrakt podpisał dopiero po

zdaniu egzaminu adwokackiego. Pracował w firmie sześć lat i zrezygnował, bo jego pensja, zamiast rosnąć, z czasem malała. Opowiedział, jak co roku zbierał się zarząd firmy, analizował wyniki i decydował o dalszych oszczędnościach. W ostatnim roku pracy zarabiał już tylko nieco ponad sto tysięcy i powiedział sobie: pieprzyć to. Mówi, że żył jak szmaciarz pod presją spłacanego zadłużenia. Teraz pracuje w nieruchomościach i dorabia jako kierowca Ubera. Mówi, że ta firma to wyżymaczka i że stał się ofiarą propagandowej maszyny Foggy Bottom.

– I pewnie nie jest w tym odosobniony – zauważył Todd.

– O nie. Molson był jednym z wielu. Quinn ma rozbudowaną stronę w internecie i przeczytałem na niej biogramy wszystkich czterystu prawników. Trzydzieści procent pochodzi z uczelni prawniczych Rackleya. Trzydzieści procent! Czyli Rackley angażuje ich za godne pozazdroszczenia wynagrodzenie, a potem wykorzystuje ich uśmiechnięte buźki i gadki o sukcesach zawodowych w celach propagandowych.

Przerwał, upił łyk i uśmiechnął się, jakby czekał na aplauz. A potem podszedł do ściany i wskazał kolejną twarz, czarno-białą odbitkę

ksero, jedną z trzech pod wizerunkiem Głównego Szatana.

– Ten oszust to Alan Grind, prawnik z Seattle i wspólnik w firmie Varanda. Jest właścicielem kancelarii prawnej o nazwie King and Roswell, kolejnej niewielkiej kancelarii z dwustoma prawnikami w pięciu miastach, głównie na zachodzie kraju. – Wskazał miejsce po lewej stronie ściany, gdzie King and Roswell zajmowała miejsce obok Quinn and Vyrdoliac. – Na dwustu prawników Grinda czterdziestu pięciu to absolwenci ośmiu uczelni prawniczych Rackleya.

Dopił resztkę tequili i podszedł do stołu, żeby sobie dolać.

– Wydudlisz całą butelkę? – spytał kwaśno Mark.

– Jeśli tak mi się spodoba…

– Może powinieneś trochę zwolnić.

– A ty powinieneś martwić się o siebie. Nie jestem pijany, tylko nabuzowany. A kim ty jesteś, żeby kontrolować moje picie.

Mark westchnął, ale już się nie odezwał. Gordy rzeczywiście mówił wyraźnie i sensownie, a jego umysł pracował sprawnie. Wbrew swemu niezbornemu zachowaniu zdawał się w pełni

panować nad sobą, przynajmniej jak dotąd. Wrócił pod ścianę i powiódł ręką po fotografiach.

– Ten gość w środku to Walter Baldwin z Chicago, prowadzi kancelarię prawną o nazwie Spann and Tatta, trzystu prawników w siedmiu miastach od wybrzeża do wybrzeża. Tego samego typu zlecenia, taka sama miłość do absolwentów mniej znanych uczelni prawniczych. – Dotknął palcem trzeciej twarzy w rzędzie pod Rackleyem. – Ostatnim członkiem bandy jest pan Marvin Jockety, starszy wspólnik w firmie z Brooklynu o nazwie Ratliff and Cosgrove. Podobna struktura, podobny model biznesowy.

Gordy pociągnął łyk i z dumą przyjrzał się swojemu dziełu, po czym odwrócił głowę i spojrzał na słuchaczy.

– Nie chcę się rozwodzić nad sprawami oczywistymi, ale powtórzę, że Rackley ma na skinienie ręki cztery firmy z dwudziestoma siedmioma oddziałami, w których zatrudnia tysiąc stu prawników. W tych firmach pracuje wystarczająco wielu absolwentów jego uczelni, żeby było się czym chwalić i by waliły do nich tłumy frajerów z forsą zapewnioną przez Kongres. – Jego głos przybrał nagle histeryczny ton i Gordy zaczął niemal krzyczeć: – Wspaniale!

Cudownie! Jeden wielki przekręt ze studiami prawniczymi! Jeśli zawiedziemy, zapłacą za nas podatnicy. Rackley chowa do kieszeni zyski, a stratami obciąża społeczeństwo.

Gwałtownym ruchem wyrżnął kubkiem o ścianę, a ten odbił się od cienkiej płyty gipsowej i nieuszkodzony potoczył po podłodze. Gordy klapnął na podłogę plecami do ściany i wyciągnął przed siebie nogi. Podeszwy stóp miał czarne od brudu.

W pokoju zapadła cisza, obie strony wpatrywały się w siebie i przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Mark przeniósł wzrok na ścianę i zaczął przyglądać się diagramom. Nie było powodu nie wierzyć rewelacjom Gordy'ego. Todd wpatrywał się w ścianę, zafascynowany przedstawionym spiskiem, Zola nie spuszczała wzroku z Gordy'ego, zastanawiając się, co powinni z nim zrobić.

W końcu ciszę przerwał Gordy.

– Moje zadłużenie łącznie z tym semestrem wynosi dwieście siedemdziesiąt sześć tysięcy dolarów – powiedział niemal szeptem. – A twoje, Mark?

Nie było między nimi tajemnic. Cała czwórka za dobrze się znała.

– Łącznie z tym semestrem dwieście sześćdziesiąt sześć.

– Todd?

– Sto dziewięćdziesiąt pięć.

– Zola?

– Sto dziewięćdziesiąt jeden.

Gordy pokręcił głową i parsknął, bardziej z niedowierzaniem niż rozbawieniem.

– W sumie blisko milion. Kto mający dobrze w głowie pożyczyłby takim jak my milion dolarów? – Rzeczywiście brzmiało to absurdalnie.

Po kolejnej długiej chwili ciszy powiedział:

– Nie mamy wyjścia. Okłamano nas, wyprowadzono na manowce, oszukano i wrzucono w to żałosne szambo. Jesteśmy bez wyjścia.

Todd wolno wstał i podszedł do ściany.

– Co to są Wierzyciele Sorvann? – spytał, wskazując ręką środek diagramu.

Gordy znów parsknął sztucznym śmiechem.

– To dalszy ciąg historii – odparł. – Poprzez jeszcze inną firmę i za pośrednictwem tego faceta Rackley działa w kolejnej branży. Ma ich więcej niż galeria handlowa. Jest właścicielem firmy Sorvann, czwartego co do wielkości prywatnego pożyczkodawcy dla studentów. Jeśli

nie dostajesz wystarczająco dużego kredytu od państwa, szukasz pomocy u prywatnych pożyczkodawców, u których… cóż za niespodzianka!… oprocentowanie kredytu jest wyższe, a w porównaniu z ich windykatorami mafijni egzekutorzy to harcerzyki. Sorvann pożycza więc studentom i w swoim portfelu ma kredyty na mniej więcej dziewięćdziesiąt milionów. I firma się rozrasta. Najwyraźniej Rackley poczuł krew także w sektorze prywatnych kredytodawców.

– A co to jest Passant? – spytał Todd.

Gordy skwitował pytanie kolejnym wymuszonym parsknięciem, wstał z podłogi, podszedł do stołu i pociągnął duży łyk wprost z butelki. Skrzywił się, przełknął ślinę i wytarł usta przedramieniem.

– Passant to jest Piss Ant[3], trzeci największy w kraju windykator studenckich długów. Mają podpisaną umowę z Departamentem Edukacji na, jak to nazywają, „obsługę” zadłużenia studentów. Durnie tacy jak my zadłużeni są łącznie na ponad bilion dolarów. Passant to banda terrorystów, którzy już wielokrotnie stawali przed sądem za niedopuszczalne metody ściągania długów. Część Passanta należy do Rackleya. Ten człowiek to samo zło.

Podszedł do kanapy i usiadł obok Zoli, a Mark poczuł bijący od niego fetor niedomytego ciała. Tymczasem Todd przedarł się przez stertę śmieci na podłodze wnęki kuchennej, otworzył lodówkę i wyjął dwie puszki piwa. Podał jedną Markowi i obie syknęły, kiedy je otworzyli. Zola pogłaskała Gordy'ego po nodze, jakby nieświadoma bijącego od niego smrodu.

– To jak długo nad tym siedziałeś? – spytał Mark, wskazując głową ścianę.

– Nieważne. Mam jeszcze dużo więcej do powiedzenia, jeśli chcecie posłuchać.

– Wystarczy mi to, co usłyszałem. Przynajmniej na razie. Może byśmy wyskoczyli i kupili pizzę? Mario jest jeszcze otwarty.

– Świetny pomysł – rzucił Todd, ale nikt się nie ruszył.

– Moi rodzice już są obciążeni dziewięćdziesięcioma tysiącami kredytu, który ciągnie się za mną od czasu college'u. Jesteście w stanie uwierzyć? Bardzo się wtedy wahali i mieli rację, ale ja się uparłem. Co za idiota! Tata zarabia pięćdziesiąt tysięcy rocznie, handlując maszynami rolniczymi, i zanim się zadłużyłem, miał na głowie tylko dług hipoteczny. Mama pracuje na pół etatu w szkole. Okłamałem ich. Wmówiłem im, że mam nagraną świetną pracę

i bez trudu spłacę zadłużenie. Brendę też okłamałem. Wyobraża sobie, że po ślubie zamieszkamy w wielkim mieście, a ja co rano będę w eleganckim garniturze wychodził do kancelarii i robił karierę. Znalazłem się w potrzasku, koledzy, i nie widzę wyjścia.

– Jakoś się wykaraskamy, Gordy – powiedział Mark, ale bez przekonania w głosie.

– Uporamy się z tym – dodał Todd, choć nie zdefiniował, co się kryje pod „tym”. Uczelnia prawnicza? Zadłużenie? Brak pracy? A może załamanie Gordy’ego? Tak wiele było spraw, z którymi musieli się uporać.

Zapadła kolejna złowróżbna cisza, Mark i Todd w milczeniu sączyli piwo.

– Jak można dopaść Rackleya? – odezwał się Gordy. – Pomyślałem o zaaranżowaniu spotkania z reporterem, z kimś, kto zajmuje się tematyką prawniczą w redakcjach „Postu” czy „Journala”. Można by nawet pomyśleć o pozwie zbiorowym przeciwko temu oszustowi. Wyobraźcie sobie tysiące młodych kretynów jak my, którzy tkwią na tym samym tonącym statku i zechcą rzucić się sukinsynowi do gardła, gdy tylko poznają prawdę.

– Nie wyobrażam sobie pozwu – powiedział Mark. – Oczywiście, facet zbudował niezwykle

perfidny układ, ale nie zrobił nic, za co można by go postawić przed sądem. Prawo nie zabrania prowadzenia drukarni dyplomów, choć on stara się, jak może, żeby to się nie wydało. W swoich firmach może zatrudniać, kogo chce. Jego działalność można nazwać odrażającą, nieuczciwą, nieetyczną, ale na pozew sądowy to za mało.

– Zgadzam się – wtrącił Todd. – Ale i tak bardzo mi się podoba pomysł napuszczenia na niego jakiegoś dziennikarza.

– Czy nie było podobnej sprawy w Kalifornii, kiedy studentka prawa pozwała swoją uczelnię za to, że po jej skończeniu nie może znaleźć pracy? – odezwała się Zola.

– Tak, było nawet kilka takich pozwów – potwierdził Mark. – Ale wszystkie, z wyjątkiem tego jednego w Kalifornii, sądy odrzuciły. Ten wprawdzie trafił do sądu, ale ława przysięgłych stanęła po stronie uczelni.

– Mimo to nie zarzuciłem myśli o pozwie – powiedział Gordy. – To najlepszy sposób na dopadnięcie Rackleya. Wyobraźcie sobie te tomy materiału dowodowego.

– Byłaby kupa zabawy, ale facet nie jest głupi. W końcu ma cztery kancelarie prawne. Wyobraź sobie ten ogień zaporowy, jakim by cię ostrzelał.

Adwokaci strony powodowej przez następne pięć lat tonęliby w papierach.

– A co ty możesz wiedzieć o pozwach i procedurze sądowej? – prychnął Gordy.

– Wszystko. Studiowałem w Foggy Bottom.

– Poddaję się, panie mecenasie.

Próba rozluźnienia atmosfery przeszła niezauważona i wbili wzrok w podłogę. W końcu pierwszy podniósł się Todd.

– Chodź, Gordy, pójdziemy po tę pizzę – rzucił.

– Ja nigdzie się nie ruszam. Ale myślę, że wy powinniście już pójść.

– No to my też się nie ruszamy – oświadczył Mark. – Zostajemy z tobą.

– Dlaczego? Nie potrzebuję tu nianiek. Wynoście się.

Todd zawrócił od drzwi, podszedł do kanapy i wlepił spojrzenie w Gordy'ego.

– Porozmawiajmy o tobie, Gordy. O twoim stanie. Nie śpisz, nie jesz ani nawet się nie kąpiesz. Zażywasz lekarstwa?

– Jakie lekarstwa?

– Gordy, nie wygłupiaj się. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi i chcemy ci pomóc.

– Jakie lekarstwa?

– Nie żartuj, wiemy, co się z tobą dzieje – wtrącił Mark.

– Co ty im naopowiadałaś? – warknął Gordy, zwracając się do Zoli.

Ta już miała się odezwać, ale ubiegł ją Todd.

– Nic. Nic nam nie powiedziała, ale nie jesteśmy ślepi. Gordy, jesteśmy twoimi najbliższymi przyjaciółmi, a ty potrzebujesz pomocy.

– Nie potrzebuję żadnych lekarstw – burknął Gordy, a potem zerwał się na nogi, wyminął Todda i ruszył do sypialni. Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwiami i jego wrzask: – Wynoście się stąd!

Zaczerpnęli głęboko powietrza i spojrzeli po sobie. Po paru sekundach drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Gordy. Zabrał ze stołu butelkę tequili, warknął: „Idźcie sobie! Ale już!” i zawrócił do sypialni.

Minęła długa chwila w kompletnej ciszy. Potem Zola wstała, przeszła przez pokój i przytknęła ucho do drzwi.

– Zdaje się, że płacze – szepnęła, cofnąwszy się od nich o dwa kroki.

– Świetnie – odszepnął Mark.

Po kolejnej minucie ciszy Todd powiedział cicho:

– Nie możemy go tak zostawić.

– Mowy nie ma – zgodził się z nim Mark. – Ustalmy dyżury. Mogę mieć pierwszą zmianę na kanapie.

– Ja nigdzie stąd nie idę – żachnęła się Zola.

Mark rozejrzał się po pokoju i dopił piwo.

– Dobra, to ty się kładź na kanapie, ja posiedzę na krześle – powiedział niemal szeptem. – Todd, ty idź do Zoli i tam się prześpij. Za parę godzin się zamienimy.

– Dobra, brzmi rozsądnie. – Todd pokiwał głową. Podszedł do lodówki, wyjął następne piwo i wyszedł z mieszkania.

Mark zgasił światło i umościł się na starym, mocno sfatygowanym skórzanym fotelu, Zola skuliła się na kanapie.

– Możemy mieć przed sobą długą noc – szepnął.

– Nie powinniśmy rozmawiać – odparła. – Ściany tu są strasznie cienkie i może nas usłyszeć.

– Racja.

Cyfrowy zegar na mikrofalówce świecił na niebiesko, a intensywność światła zdawała się rosnąć, w miarę jak ich wzrok przyzwyczajał się do ciemności. W sinoniebieskawym blasku widać było zarysy stołu, komputera i drukarki. Chociaż oboje nie spali, w pokoju panowała martwa cisza.

Z sypialni też nie dochodziły żadne odgłosy. Gdzieś z głębi korytarza płynęły ciche dźwięki muzyki. Po dziesięciu minutach Mark wyjął telefon i sprawdził SMS-y i maile. Nic ważnego. Następne dziesięć minut ciągnęło się w nieskończoność, fotel robił się coraz bardziej niewygodny.

Siedział wpatrzony w ścianę. W ciemnościach nie widział twarzy Hindsa Rackleya, ale czuł na sobie jego zarozumiałe spojrzenie. Teraz jednak ani Rackley, ani jego wielki spisek nie były dla Marka ważne. Teraz najważniejszy był Gordy i stan jego zdrowia. Jutro będą mieli bojowe zadanie zaciągnięcia przyjaciela do lekarza.

Rozdział 5

O drugiej w nocy Todd ostrożnie zajrzał do mieszkania Gordy'ego i znalazł Marka i Zolę pogrążonych we śnie. Potrząsnął przyjaciela za ramię i powiedział: „Moja kolej". Mark wstał, rozciągnął zdrętwiałe stawy i mięśnie i bez słowa wyszedł. Przeszedł na drugą stronę korytarza i runął na kanapę Zoli.

Przed świtem Gordy wstał z łóżka, włożył dżinsy, bluzę, skarpetki oraz dżinsową kurtkę i z parą butów turystycznych w ręce stanął pod drzwiami i zaczął nasłuchiwać. Wiedział, że są w pokoju i pilnują go. Ostrożnie uchylił drzwi i wytężył słuch. Wślizgnął się do pokoju, dostrzegł dwie sylwetki – jedną na kanapie, drugą na fotelu – i słysząc ich ciężki oddech, przemknął do drzwi wejściowych. W korytarzu włożył buty i wyszedł z budynku.

O pierwszym brzasku Zola obudziła się i usiadła. Dostrzegła uchylone drzwi do sypialni,

zerwała się na równe nogi, zapaliła światło i dotarło do niej, że Gordy'emu udało się uciec.

– Nie ma go! – krzyknęła. – Zwiał!

Todd podniósł się z fotela i wyminąwszy ją, wszedł do sypialni – maleńkiej kwadratowej dziupli, w której nie było gdzie się schować. Zajrzał do szafy, zajrzał do łazienki.

– Kurwa! Gdzie on się podział?

– Wstał i wyszedł – powiedziała Zola.

Popatrzyli na siebie z niedowierzaniem i przeszli przez korytarz, by powiadomić Marka. Wszyscy troje zbiegli schodami do holu i wypadli z budynku tylnymi drzwiami. Na parkingu stało kilkanaście samochodów, lecz żaden nie należał do Gordy'ego. Tak jak się spodziewali, jego małej mazdy nie było. Zola zadzwoniła do Gordy'ego na komórkę, ale oczywiście nie odebrał. Wrócili na górę i zamknęli oba mieszkania. Przeszli kawałek do knajpki, usiedli w boksie, zamówili czarną kawę i zaczęli dochodzić do siebie.

– Nie ma mowy, żebyśmy go znaleźli w mieście – odezwał się Mark.

– Zwłaszcza że on nie chce być znaleziony – dodał Todd.

– Czy nie powinniśmy zawiadomić policji? – zasugerowała Zola.

– I co byśmy im powiedzieli? Że nasz kolega zaginął i mogło mu się coś stać? Gliny mają teraz na głowie zabójstwa i gwałty z ostatniej nocy.

– A co z jego rodzicami? – spytał Todd. – Pewnie nawet nie wiedzą o jego stanie.

Mark pokręcił głową.

– Nie, Gordy nie wybaczyłby nam do końca życia. A poza tym, co rodzice mogliby zrobić? Przyjechać tu i zacząć go szukać?

– Zgoda, ale on gdzieś ma jakiegoś lekarza, tu albo w domu. Lekarza, który zna jego chorobę, który go leczył i zapisał mu lekarstwa. Kogoś, kto wie, w jakim jest stanie. Gdybyśmy zawiadomili rodziców, przynajmniej mogliby poinformować lekarza. Nieważne, czy Gordy się na nas obrazi, jeśli w ten sposób mu pomożemy.

– Brzmi rozsądnie – uznała Zola. – A lekarza ma tu, w mieście. Chodzi do niego co miesiąc.

– Znasz jego nazwisko?

– Nie. Podpytywałam go, ale bezskutecznie.

– Dobra, może później się tym zajmiemy. Na razie trzeba go poszukać.

Popijając kawę, zaczęli się zastanawiać nad sposobem znalezienia kogoś w wielkim mieście. Podeszła kelnerka z pytaniem o śniadanie, ale wszyscy podziękowali. Żadne z nich nie miało apetytu.

– Masz jakiś pomysł? – zwrócił się Mark do Zoli.

Pokręciła głową.

– Właściwie nie. W ciągu ostatniego tygodnia znikał dwukrotnie. Za pierwszym razem pojechał pociągiem do Nowego Jorku i nie było go trzy dni. Po powrocie prawie nic nie mówił poza tym, że pojechał do Głównego Szatana. Chyba rozmawiał tam z jakimiś ludźmi. Przez dzień czy dwa siedział w domu, dużo pił i spał. A potem wróciłam z pracy i jego znów nie było. Zniknął na dwa dni. To wtedy dotarł do tego wykładowcy, którego zwolniono z Foggy Bottom.

– Wiedziałaś, czym się zajmuje? – zapytał Todd.

– Nie. Dwa dni temu zamknął się u siebie i nie chciał mnie wpuścić. Myślę, że to wtedy poprzestawiał meble i zaczął oklejać ścianę.

– Co wiesz o jego stanie? – wtrącił Mark.

Zaczerpnęła powietrza i na moment zawahała się.

– To wszystko sprawy poufne, chłopcy. Mam nadzieję, że to rozumiecie. Musiałam mu przyrzec, że dochowam tajemnicy.

– Daj spokój, Zola, przecież wszyscy w tym jesteśmy – powiedział Mark. – Oczywiście, że to poufne sprawy.

Jeszcze się rozejrzała, jakby upewniała się, że nikt ich nie podsłuchuje.

– We wrześniu natknęłam się na jego pigułki i wyciągnęłam to z niego. Jeszcze w college'u zdiagnozowano u niego chorobę dwubiegunową, ale nikomu się do tego nie przyznał, nawet Brendzie. W końcu jej powiedział, ale dużo później, tak że ona już wie. Terapia i lekarstwa dobrze na niego podziałały.

– Niczego nie zauważyłem – wtrącił Mark.

– Ani ja – dorzucił Todd.

– U ludzi z chorobą dwubiegunową nie jest niczym niezwykłym dojście do stanu, w którym uznają, że nie potrzebują już lekarstw. Świetnie się czują i są przeświadczeni, że poradzą sobie bez nich. Przestają łykać tabletki i szybko następuje nawrót choroby, ale chorzy często przechodzą na własne leczenie. Tak właśnie było z Gordym, choć męczyło go też wiele innych problemów. Ten cały szajs na uczelni, niemożność znalezienia pracy, zadłużenie, a na domiar złego czuł, że zmuszają go do ślubu. W okresie Święta Dziękczynienia był już w złym stanie, ale bardzo to ukrywał.

– Czemu nic nam nie powiedziałaś?

– Bo znienawidziłby mnie. Był przekonany, że sobie z tym poradzi i wyjdzie na prostą. I jak tak

sobie przypominam, to przez większość czasu wszystko było w porządku. Nasiliło się tylko wpadanie w skrajności i picie.

– Trzeba nam było powiedzieć – mruknął Mark.

– Nie wiedziałam, co robić. Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z czymś takim.

– Szukanie winnych w niczym nam teraz nie pomoże – obruszył się Todd.

– Przepraszam.

– Już prawie ósma. – Todd rzucił okiem na ekran komórki. – I ani słowa od Gordy'ego. W południe zaczynam zmianę w barze. Jakie macie plany na dzisiaj?

– Idę na dziesiątą na parę godzin do pracy – powiedziała Zola, pracująca dorywczo w małej firmie księgowej.

– Wróciłem wcześniej, bo chciałem się pouczyć do egzaminu adwokackiego, ale tak naprawdę mi się nie chce. Pewnie znów pójdę do Ness Skelton i spędzę dzień na włażeniu w tyłek moim przyszłym szefom. Będę ich utwierdzał w przekonaniu, jaki jestem dla nich ważny i niezbędny. Oczywiście za darmo. Na pewno przyda im się pomoc w kopiarni.

– Musisz naprawdę kochać prawo – mruknął Todd. – To ja osiągnę więcej w barze.

– Dzięki.

– Myślę, że zostaje nam tylko czekać – powiedziała Zola.

Todd zapłacił za kawy i wyszli, ale zanim dotarli do pierwszej przecznicy, zawibrowała komórka Zoli. Sięgnęła po nią do kieszeni i spojrzała na ekran.

– To od Gordy'ego – rzuciła zduszonym głosem, przystając. – Jest w Areszcie Centralnym.

* * *

O czwartej trzydzieści pięć nad ranem Gordy'ego zatrzymano po tym, jak policjant zauważył jego mazdę jadącą zygzakiem po Connecticut Avenue. Zatrzymany próbował odmówić dmuchania na miejscu, w końcu jednak uległ, wydmuchał wynik 1,1 promila, i został natychmiast zakuty w kajdanki i posadzony na tylnym siedzeniu radiowozu. Pomoc drogowa zholowała jego auto na parking policyjny. W areszcie kazano Gordy'emu ponownie dmuchać i uzyskano taki sam wynik. Pobrano mu odciski palców, sfotografowano go, oficjalnie aresztowano i wrzucono do celi z sześcioma innymi pijaczkami. O ósmej strażnik zaprowadził go do małego pokoiku, wręczył mu jego komórkę

i oświadczył, że ma prawo do jednej rozmowy. Gordy wysłał SMS-a do Zoli, po czym strażnik odebrał mu telefon i zaprowadził z powrotem do celi.

Pół godziny później trójka przyjaciół wkroczyła głównym wejściem do Aresztu Centralnego, została sprawdzona wykrywaczem metali i skierowana do dużej poczekalni, gdzie najwyraźniej zbierały się rodziny i przyjaciele odbierający swoich bliskich po nocy spędzonej w areszcie. Pod trzema ścianami stały rzędy krzeseł z rozrzuconymi stertami gazet i czasopism. Za oknem z wielką szybą widać było dwóch pracowników w mundurach, którzy ślęczeli nad papierami. Po poczekalni kręcili się policjanci, wdając się od czasu do czasu w pogawędki z lekka oszołomionymi czekającymi. Czekało kilkanaście osób – rodziców, małżonków i przyjaciół – z podobnie wystraszonymi i podenerwowanymi minami. Wśród nich dwaj mężczyźni w wytartych garniturach i z teczkami w rękach zachowywali się swobodnie, jakby byli u siebie. Jeden gawędził z gliniarzem tak, jakby się dobrze znali, drugi siedział między mężczyzną a kobietą w średnim wieku. Kobieta płakała.

Mark, Todd i Zola znaleźli wolne krzesła w kącie sali, usiedli i zaczęli się rozglądać. Po paru minutach Mark wstał, podszedł do okna i obdarzywszy mundurowego przymilnym uśmiechem wyjaśnił, że przyszedł po swojego przyjaciela, Gordona Tannera. Policjant zajrzał do papierów, pokiwał głową i wskazawszy krzesła, oświadczył, że to trochę potrwa. Mark wrócił na swoje miejsce między Toddem a Zolą.

Mężczyzna rozmawiający z gliniarzem przyjrzał im się bacznie i po chwili podszedł. Jego trzyczęściowy garnitur uszyty był z wyświechtanej brązowej tkaniny, na nogach miał czarne buty z długimi zadartymi czubkami. Koszula była intensywnie niebieska, bladozielony krawat nie pasował do niczego. Na nadgarstku mężczyzna miał duży złoty zegarek z diamencikami, na drugiej ręce podzwaniały dwie masywne złote bransoletki. Gładko zaczesane do tyłu włosy były wypomadowane. Bez uśmiechu powitalnego zaserwował standardowe w tym miejscu pytanie.

– Jazda na podwójnym gazie?

– Tak – potwierdził Mark.

Niemal nie czekając na odpowiedź, mężczyzna już wciskał mu wizytówkę. *Darrell*

Cromley, adwokat. Specjalista ds. jazdy po alkoholu.

– Kim dla was jest delikwent?

– Przyjacielem – mruknął Todd.

– Jego pierwszy raz? – spytał Cromley radosnym tonem.

– Tak, pierwszy – odparł Mark.

– Współczuję. Ale mogę pomóc. Tylko tym się zajmuję, zarzutami o prowadzenie pod wpływem. Znam wszystkich gliniarzy, sędziów, urzędników, strażników, wszystkie za i przeciw systemu. Jestem w tych sprawach najlepszy.

– Dobra, to co mu grozi? – Mark bardzo się pilnował, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby zostać uznane za zainteresowanie usługami pana mecenasa.

Cromley płynnym ruchem przysunął sobie składane krzesełko i usiadł przed trójką przyjaciół.

– Jak on się nazywa? – spytał bez chwili zastanowienia.

– Gordon Tanner.

– No cóż, Tanner wydmuchał jeden i jedną dziesiątą promila, więc tu nie ma dużo miejsca na kombinacje. Trzeba będzie zapłacić dwieście dolców, żeby go wypuścili. To się nazywa kaucja na osobiste zobowiązanie. Obrobią jego sprawę

za jakąś godzinę i będzie mógł wyjść. Drugie dwieście zapłacicie za samochód. Stoi na parkingu policyjnym. Odebranie go zajmie wam jakieś pół godziny. Przesłuchanie sądowe wyznaczą za mniej więcej tydzień. I w tym miejscu zaczyna się moja rola. Moje honorarium wynosi tysiąc dolców, płatne gotówką.

– Zachowa prawo jazdy? – spytał Todd.

– Oczywiście, ale tylko do chwili wydania wyroku za jakiś miesiąc. Wtedy straci je na rok i zapłaci grzywnę pięć tysięcy dolarów, ale ja będę mógł częściowo to złagodzić. Zapewniam was, że moja pomoc nie ma sobie równych. Do tego czeka go jeszcze pięć dni w areszcie, ale w tej sprawie też mogę podziałać. Przydzielimy mu prace społeczne i to go uchroni przed odsiadką. Wierzcie mi, wiem, za jakie sznurki trzeba pociągać. A wy studiujecie czy coś w tym rodzaju?

– Tak, jesteśmy studentami prawa – powiedział Mark. Nie zamierzał wymieniać nazwy szkoły.

– Georgetown?

– Nie, Foggy Bottom – bąknął Todd.

– To moja uczelnia – oznajmił z uśmiechem Cromley. – Skończyłem ją dwanaście lat temu.

Drzwi się otworzyły, do pomieszczenia weszła kolejna para zmartwionych rodziców i Cromley obrzucił ich wzrokiem wygłodniałego psa, po czym przeniósł spojrzenie na swoje trzy ofiary.

– Czyli musimy mieć od ręki czterysta dolców w gotówce – odezwał się Todd.

– Nie, musicie mieć tysiąc czterysta – poprawił go Cromley. – Dwieście na kaucję, dwieście na wykup samochodu i tysiąc dla mnie.

– No dobrze, ale nasz przyjaciel zapewne miał jakąś gotówkę przy sobie – wtrąciła Zola. – Jak możemy ustalić ile?

– Mogę się dowiedzieć. Zatrudnijcie mnie i zabiorę się do pracy. Wasz przyjaciel wymaga opieki i jestem mu do tego potrzebny. Jak dostanie się w tryby zarzutu o prowadzenie po alkoholu, to miejska machina odpowiednio go przemieli i wypluje.

– Proszę pana, nasz przyjaciel nie czuje się dobrze. Ma… ma pewne kłopoty ze zdrowiem i właśnie odstawił lekarstwa. Musimy go zawieźć do lekarza.

To wyraźnie Cromleya uradowało. Zmrużył oczy, gotując się do zadania końcowego ciosu.

– Jasne. Jak tylko go stąd wyciągniemy, złożę wniosek o przyśpieszenie terminu przesłuchania. Dobrze żyję z sędziami i mogę się z nimi dogadać.

Tylko że moje honorarium będzie oczywiście wyższe. Więc lepiej nie zwlekajmy.

– Dobra, dobra, daj pan nam trochę czasu na zastanowienie – poprosił Mark.

Adwokat zerwał się z krzesełka i ze słowami „Macie mój numer” ruszył w głąb sali. Zatrzymał się przy jednym z policjantów, coś do niego powiedział i zaczął się rozglądać za następnymi ofiarami.

– To możemy być my za parę lat – szepnął Mark, obserwując go.

– Co za oślizgły padalec – burknął Todd.

– Mam przy sobie osiemdziesiąt dolarów – powiedziała Zola. – Zróbmy zrzutkę.

Mark się skrzywił.

– Jestem goły. Nie mam więcej niż trzydzieści.

– To tak jak ja – dorzucił Todd. – Ale na koncie mam wystarczająco dużo. Wyskoczę i poszukam bankomatu, a wy tu poczekajcie.

– Dobry plan.

Todd ruszył do wyjścia; w drzwiach minął się z kolejnymi zasępionymi przybyszami. Mark i Zola zostali na miejscach, przyglądając się poczynaniom Cromleya i drugiego prawnika. Między rozmowami z kolejnymi ofiarami Cromley albo gawędził z którymś z policjantów, albo z zaaferowaną miną rozmawiał przez

komórkę. Kilka razy opuścił pomieszczenie, zawsze z telefonem przy uchu, jakby wzywały go pilne obowiązki adwokackie. Ale za każdym razem wracał i widać było, że wszystkie ruchy ma przemyślane.

– Tego w ogóle nas w szkole nie uczyli – zauważył Mark.

– Pewnie nawet nie ma swojego biura – dodała Zola.

– Chyba żartujesz. Właśnie jest u siebie w biurze.

* * *

Po dwóch godzinach od przyjazdu do aresztu opuścili go w towarzystwie Gordy'ego. Ponieważ Zola nie miała samochodu, a bronco Marka było za bardzo chimeryczne w ruchu miejskim, wtłoczyli się wszyscy do małej kii Todda i pojechali na parking policyjny w pobliżu bazy marynarki wojennej w Anacostii. Gordy usiadł z Zolą z tyłu. Miał zamknięte oczy i przez całą drogę milczał, zresztą pozostali też nie byli zbyt rozmowni, choć mieli dużo do powiedzenia. Mark chciałby walnąć z grubej rury i powiedzieć coś w rodzaju: „No więc, Gordy, czy masz pojęcie, co zarzut o prowadzenie pod wpływem alkoholu

znaczy dla twoich i tak już mizernych szans na znalezienie pracy?”. Albo: „No więc, Gordy, czy zdajesz sobie sprawę, że nawet jeślibyś zdał egzamin adwokacki, zarzut o prowadzenie po pijanemu praktycznie uniemożliwi ci uzyskanie licencji adwokackiej?”.

Todd chciałby go przypiec pytaniem w rodzaju: „No więc, Gordy, gdzieś ty się, do kurwy nędzy, wybierał dziś rano z dwiema pustymi butelkami po tequili w samochodzie?”.

Dużo bardziej wyrozumiała Zola chciała spytać: „U kogo się leczysz i jak możemy skontaktować się z tym lekarzem?”.

Tak wiele im się cisnęło na usta, ale nikt się nie odezwał.

Rozmowę z parkingowym Mark wziął na siebie. Wyjaśnił mu, że pan Tanner nie może zająć się sprawą osobiście, bo jest w tej chwili niedysponowany.

Pewnie jeszcze pijany, pomyślał parkingowy, dla którego nie była to pierwszyzna.

Mark wypłacił dwieście dolarów, z czego połowę z portfela Gordy’ego, i podpisał odpowiednie druczki. Wyjechali dwoma samochodami – Todd swoją kią, by odwieźć Zolę do pracy, Mark mazdą z Gordym na siedzeniu obok.

Stojąc w miejskim korku, w końcu nie wytrzymał.

– Obudź się, Gordy, i zacznij coś mówić.

– Co mam mówić? – burknął Gordy, nie otwierając oczu. Cuchnął alkoholem i niedomytym ciałem.

– Chcę wiedzieć, u kogo się leczysz i gdzie mogę znaleźć twojego lekarza. Bo do niego cię zawiozę.

– Nie zawieziesz. Nie mam żadnego lekarza.

– Musisz mieć, bo jest ci potrzebny lekarz. Przestań, Gordy, nie kłam. Wiemy o twojej chorobie dwubiegunowej i o tym, że jesteś pod opieką lekarza czy terapeuty, czy kogoś w tym rodzaju. To oczywiste, że brakuje ci lekarstw i potrzebujesz pomocy.

– Kto ci to powiedział?

– Zola.

– Pieprzona dziwka.

– Przestań, Gordy, wyluzuj. Jeśli mi nie powiesz, zadzwonię do twoich rodziców i do Brendy.

– Zabiję cię.

– Świetnie. Staniemy na poboczu i stoczymy walkę na noże.

Gordy zaczerpnął głęboko powietrza i od stóp do głów przebiegł go dreszcz. Otworzył oczy

i spojrzał w okno.

– Mark, proszę, nie wrzeszcz na mnie, miałem trudną noc.

– Dobra, przestanę wrzeszczeć, ale potrzebna ci pomoc.

– Zawieź mnie do domu.

– Do Martinsburga. To dobry pomysł.

– Nie, na litość boską, nie tam. Tam strzeliłbym sobie w łeb, co w sumie nie byłoby takie złe.

– Przestań! Pojedziemy do ciebie, weźmiesz długi gorący prysznic i może chwilę się zdrzemniesz. Potem coś zjemy i zawiozę cię do lekarza.

– Drzemka brzmi zachęcająco. Ale nic więcej.

Chwilę później Mark zauważył, jak przyjaciel wierzchem dłoni ociera łzy z policzków.

Rozdział 6

Przed położeniem się do łóżka Gordy kazał Markowi wyjść z mieszkania i zostawić go samego. Mark oświadczył, że tego nie zrobi, i przez chwilę się spierali. W końcu Gordy się poddał, naciągnął koc na głowę i niemal od razu zasnął. Mark zamknął drzwi sypialni, usiadł na kanapie i wpatrzył się w swoją komórkę. Dwukrotnie dzwoniła do niego podenerwowana Brenda. Jej drżący głos w poczcie głosowej i treść SMS-ów świadczyły o tym, że jest coraz bardziej zaniepokojona. Od dwóch dni nie miała kontaktu z narzeczonym i była gotowa wsiąść w samochód i przyjechać do Waszyngtonu. Z jednej strony ucieszyło to Marka. Czas, żeby się dowiedziała, co jest grane. Mogłaby przejąć kontrolę nad Gordym i zdjąć ciężar odpowiedzialności z ramion Marka i reszty. Zapewne wciągnęłaby też rodziców Gordy'ego, a ich interwencja bardzo by się przydała.

Z drugiej jednak strony jej przyjazd mógł jeszcze pogorszyć wystarczająco złą sytuację. Nikt nie był w stanie przewidzieć reakcji Gordy'ego, jeśli Brenda nagle się tu zjawi i zacznie na niego warczeć. Z całą pewnością miałby pretensje do Marka, że powiedział jej prawdę, a ostatnią rzeczą, jakiej Gordy teraz potrzebował, był dodatkowy stres.

Mark wyszedł na korytarz i zadzwonił do Brendy. Skłamał, że jej chłopak leży w łóżku złożony wyjątkowo wrednym atakiem grypy i wciąż może jeszcze zarażać. Pije dużo płynów i łyka furę lekarstw na grypę, Mark i Todd się nim opiekują i wszystko jest pod kontrolą. Zapewnił ją, że jeśli do jutra nie nastąpi poprawa, zawiozą go do lekarza. Może Brenda zna nazwisko jego lekarza? Trudno, znajdą innego. Po wizycie zadzwoni do niej i poinformuje o sytuacji. Rozmowa skończyła się tym, że Brenda nadal jest bardzo zaniepokojona, ale z przyjazdem do Waszyngtonu wstrzyma się dzień lub dwa.

Zaczął krążyć po korytarzu, czując się paskudnie po tych kłamstwach i zupełnie nie wiedząc, co dalej zrobić. Kilka razy był o krok od ponownego wybrania numeru Brendy i powiedzenia jej całej prawdy. Wiedział, że jeśli

to zrobi, dziewczyna za dwie godziny się tu zjawi i przejmie Gordy'ego na swoje barki. W końcu znała go lepiej niż ktokolwiek inny. Byli parą od siódmej klasy, a Mark znał go zaledwie dwa i pół roku. Więc jakie miał prawo wtrącać się w czyjeś ustabilizowane życie? Gordy'emu potrzebna była pomoc lekarska i narzeczona mogła być jedyną osobą, której uda się go na to namówić.

Jeśli jednak zjawi się tu teraz, sprawy mogą się wymknąć spod kontroli. Dowie się o jeździe po alkoholu. Będzie miała żal do Marka i Todda o krycie Gordy'ego. Może też wpaść na trop Zoli, a to było już zbyt straszne, by w ogóle o tym myśleć. Może się też zorientować, że Gordy ją okłamywał, opowiadając o perspektywie atrakcyjnej pracy po skończeniu studiów. Sprawy mogły przybrać taki obrót, że wszyscy na tym ucierpią, zwłaszcza Gordy. I co najważniejsze, on nie chciał obecności Brendy. Chciał odwołać ślub, tylko jak dotąd nie zdobył się na odwagę, żeby z nią zerwać.

Im dłużej Mark myślał, tym większy mętlik miał w głowie. Gra na zwłokę wydawała mu się w zaistniałej sytuacji najbezpieczniejszą strategią i ostatecznie postanowił trzymać się grypowego kłamstwa i czekać na dalszy rozwój wypadków.

Południe minęło, a Gordy wciąż był w stanie niemal śpiączki. Mark po cichu wysprzątał kuchnię i wyniósł trzy worki śmieci do kontenera. Zmył naczynia, wytarł i pochował w szafkach. Zamiótł podłogi i uporządkował bałagan na stole zastępującym Gordy'emu biurko. Spróbował nawet poprzestawiać meble, ale doszedł do wniosku, że nie da rady tego zrobić bez hałasu. Spędził też dużo czasu na kanapie, wpatrując się w ścianę i próbując rozgryźć powiązania między poszczególnymi fragmentami imperium Hindsa Rackleya. Spisek rzeczywiście był bardzo rozgałęziony i Gordy poświęcił mnóstwo czasu, by to wszystko z sobą powiązać. Czyżby w swym zaburzonym stanie umysłu potrafił trzeźwo myśleć?

Korzystając ze swojego smartfona, Mark przeczytał w internecie wszystko o chorobie dwubiegunowej i depresji. A było tego bardzo dużo. Około trzeciej usłyszał jakieś odgłosy z sypialni i zajrzał do środka. W łazience lała się woda; Gordy wreszcie stał pod prysznicem. Pół godziny później wszedł do pokoju ogolony, z umytą blond czupryną i przystojny jak zawsze. Miał na sobie dżinsy i sweter.

– Jestem głodny – rzucił.

– Świetnie – powiedział Mark z uśmiechem.

Przeszli kilka przecznic do ulubionego baru z przekąskami i zamówili kanapki, frytki i kawę. Odzywali się do siebie półsłówkami, prawie nie rozmawiając. Mark postanowił dać spokój przyjacielowi, który wyraźnie nie palił się do rozmowy. Gordy rozgrzebał kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem, odsunął chleb i zjadł palcami sam bekon. Pili kolejne kawy tak łapczywie, że kelnerka nie nadążała z dolewaniem. Kofeina zdawała się przywracać Gordy'emu życie.

– Czuję się dużo lepiej, Mark, dzięki – odezwał się z ustami pełnymi frytek.

– Wspaniale. Skończymy jeść i pojedziemy do lekarza.

– Nie ma potrzeby. Już dobrze się czuję.

– Do lekarza, Gordy, czy do terapeuty, czy jak się tam on czy ona nazywa. Wydaje ci się, że wszystko jest w porządku, ale to minie.

– Ten mój terapeuta to żarty. Nie mogę na niego patrzeć.

Kelnerka po raz kolejny dolała im kawy. Gordy zjadł do końca frytki, odsunął talerz i zaczął sączyć kawę, unikając kontaktu wzrokowego.

– Chcesz porozmawiać o tym, co się stało? – spytał w końcu Mark.

– Nie chcę. Chodźmy się przejść. Potrzebuję świeżego powietrza.

– Świetny pomysł.

Mark zapłacił kartą kredytową, wyszli z lokalu, doszli do Dupont Circle i ruszyli na zachód M Street. Zrobiło się cieplej, niebo było bezchmurne i pogoda wręcz zapraszała do długiego spaceru. Minęli Rock Creek, wkroczyli na teren Georgetown i wmieszali się w tłum kręcący się po Wisconsin Avenue; od czasu do czasu zatrzymywali się przed wystawami sklepowymi. Weszli do antykwariatu i poszperali w dziale sportowym. Gordy grał kiedyś w futbol i lacrosse w drużynach college'u Washington and Lee i był bardzo wysportowany.

Cokolwiek chodziło mu po głowie, zatrzymywał to dla siebie. Chwilami nawet się uśmiechał i wyglądał na zrelaksowanego, ale to już nie był dawny Gordy. Zniknęła jego zadziorność i złośliwa przemądrzałość i widać było, że jest przybity, co nie powinno dziwić. Markowi brakowało żarcików przyjaciela i cynicznych ripost, które były jego znakiem rozpoznawczym. Gdy później wzmógł się wiatr, schronili się w kawiarni. Siedząc przy małym stoliku nad filiżanką latte, Mark ponownie podjął próbę nawiązania rozmowy, ale Gordy

przebywał w innym świecie. Kiedy poszedł do toalety, Mark napisał SMS-a do Zoli i Todda, by zdać im sprawę z sytuacji. Wysłał też wiadomość Brendzie, że Gordy czuje się trochę lepiej, ale zaraził grypą jego i Todda i wszyscy trzej leżą w mieszkaniu Gordy'ego i wzajemnie się kurują. Oraz że szalejąca w Waszyngtonie grypa jest wyjątkowo zaraźliwa i lepiej trzymać się od niej z daleka.

Po wyjściu z kawiarni Gordy oświadczył, że chciałby się przejść brzegiem Potomacu. Poszli Wisconsin, przecięli M Street i doszli do nabrzeża Georgetown, nowoczesnego kompleksu modnych sklepów, restauracji i kawiarni, latem okupowanych przez tłumy studentów i turystów siedzących w ogródkach i zażywających słońca. Ale teraz, w środku zimy, ogródki były nieczynne, a spacerowiczów niewielu. Stojąc na bulwarze nad brzegiem częściowo zamarzniętego Potomacu, Gordy zdawał się chłonąć ten widok. Po prawej widzieli most Key, który łączył Georgetown z Rosslyn, po lewej rozciągała się Wyspa Theodora Roosevelta i kolejny most. Niedaleko znajdowało się Centrum Sztuki im. Kennedy'ego, w oddali wznosiło się Mauzoleum Lincolna i inne historyczne budowle. Powietrze nad rzeką, po

której płynęły ogromne kawały kry, było wyraźnie zimniejsze.

Gdy Gordy w końcu odwrócił głowę, na jego twarzy malował się uśmiech i dziwny wyraz satysfakcji.

– Zimno mi – rzucił Mark.

– No to chodźmy.

* * *

Kiedy Todd i Zola zjawili się wieczorem, Gordy znów spał, a Mark siedział na kanapie i czytał książkę. Ściszonymi głosami zrelacjonowali przebieg dnia i spróbowali zaplanować resztę wieczoru. Zastanowili się też nad telefonem do Brendy i powiedzeniem jej prawdy, ale żadne nie było skłonne wziąć tego na siebie. Zwłaszcza Zola. Poza ustaleniem, że trzeba będzie Gordy'ego zaciągnąć do lekarza, nie rozmawiali o tym, co zrobią następnego dnia. Niemal bezszelestnie poprzesuwali meble na swoje miejsca i sprzątnęli pokój. Mark był też za opróżnieniem ściany, bo miał już dość patrzenia na twarze Hindsa Rackleya i jego kolesi. Konsekwencje wielkiego spisku były dla nich aż nazbyt bolesne, ale dręczenie się zdjęciami na ścianie wydawało się wręcz okrucieństwem.

Todd i Zola sprzeciwili się jednak; uznali, że Gordy się nad tym napracował i pozbycie się tego bez jego wiedzy mogłoby go pchnąć w otchłań depresji.

Gdy posłaniec przyniósł zamówioną pizzę, Zola weszła do sypialni, by obudzić Gordy'ego, ale po chwili wróciła sama z wiadomością, że jest prawie nieprzytomny i w dodatku bardzo niegrzeczny. Zjedli pizzę, nie śpiesząc się i popijając czystą wodą. Mark miał w kieszeni kluczyki Gordy'ego i wszyscy zgodnie postanowili, że będą pilnować przyjaciela. Zola miała mieć dyżur jako pierwsza na kanapie, w tym czasie Todd miał się zdrzemnąć w jej mieszkaniu, a Mark chciał wyskoczyć do siebie, cztery przecznice dalej, i wziąć pierwszy tego dnia prysznic.

Po wyjściu chłopców i zgaszeniu świateł Zola zajęła się pisaniem SMS-ów. Jakby kłopotów z Gordym było mało, dostała dziś wiadomość od ojca. Zadzwonił, że jego ostatnie odwołanie zostało odrzucone przez sędziego imigracyjnego, w wyniku czego wydano nakaz deportacji jego, matki i nieżonatego brata Bo do Senegalu, dokąd mieli odlecieć wraz z grupą innych nielegalnych imigrantów. Po dwudziestu sześciu latach ciężkiej fizycznej pracy za marne pieniądze.

Dwudziestu sześciu latach oszczędzania każdego zarobionego centa i ścisłego przestrzegania wszystkich obowiązujących przepisów, łącznie z nieprzekraczaniem ograniczeń prędkości. Po tym, jak przez dwadzieścia sześć lat uważali się za Amerykanów i okazywali wdzięczność za możliwość życia w tym kraju. Po tym wszystkim kazano im wracać do kraju, którego nie znali i nie chcieli poznawać.

Była dzielną młodą kobietą, dumną z niepoddawania się przeciwnościom losu, ale przytłoczona ciężarem kłopotów, jakie nie powinny się zwalać na nikogo, Zola popełniła błąd i na chwilę przymknęła oczy.

* * *

Jej telefon zabrzęczał i zawibrował o pierwszej czterdzieści dwie w nocy. Miała go w kieszeni dżinsów i w końcu ją to obudziło, ale nie zdążyła odebrać. Dzwonił Gordy. Potrwało kilka sekund, nim to do niej dotarło. Zerwała się z kanapy i pobiegła do jego sypialni, potem sprawdziła łazienkę, ale już bez cienia nadziei, że go tam znajdzie. Przebiegła przez korytarz do siebie i obudziła Todda, po czym – tak jak poprzedniej nocy – pognali schodami do holu i na

parking za budynkiem. Mazdy Gordy'ego nie było. Todd zadzwonił do Marka i powiedział, że po niego jadą. Telefon Zoli brzęknął już w samochodzie Todda, sygnalizując nadejście SMS-a.

– To od niego. *Zola, już więcej nie dam rady. Nie ma wyjścia. Tak mi przykro.*

– Kurwa! Dzwoń do niego!

– Nie odbiera – rzuciła, słuchając jego powitania: „Halo, tu Gordy. Zostaw wiadomość". – Od razu zgłasza się poczta głosowa. Wysyłam mu wiadomość: *Gordy, gdzie jesteś? Jedziemy po ciebie*.

Przez chwilę wpatrywała się w ekran w nadziei na odpowiedź, potem powtórnie wysłała wiadomość.

– Nie odpowiada – jęknęła.

– I nic nie słyszałaś, jak wychodził?

– Oczywiście, że nie. Starałam się nie usnąć. Musiał mieć drugie kluczyki do samochodu.

– Widocznie tak. Może sobie coś zrobić.

– Nie mów tak.

Mark wybiegł z domu z telefonem przy uchu. Próbował bezskutecznie dodzwonić się do Gordy'ego.

– I co teraz? – rzucił, wskakując na tylne siedzenie.

– Wciąż masz jego kluczyki?

– W kieszeni. Kto, do cholery, trzyma drugie kluczyki do dziesięcioletniego samochodu?

– Wychodzi na to, że Gordy. Może zrobić coś głupiego, zdajesz sobie sprawę?

– Bardzo pomocna uwaga w tych okolicznościach – syknęła Zola. – Przykro mi, chłopaki. Nie chciałam usnąć.

Mark i Todd pomyśleli, że to już druga noc z rzędu, ale żaden nic nie powiedział. Pretensje do niej nic nie dadzą, a i bez tego dziewczyna czuje się wystarczająco podle. Jeśli Gordy znowu postanowił wyciąć numer, nic nie mogło go powstrzymać.

– Macie jakiś pomysł? – spytał Todd, ściskając kierownicę.

Siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w szum silnika i dmuchawy ogrzewania.

– Wiem, że lubi biegać nad Rock Creek – odezwała się w końcu Zola.

– Jest sześć stopni mrozu. Wątpię, żeby dziś biegał – mruknął Todd.

– Sprawdźmy U Coneya. To była zawsze nasza ulubiona przystań na trzeźwienie – dodał Mark.

– Dobra myśl – rzucił Todd, wrzucając bieg. – A ty nie przestawaj do niego dzwonić i esemesować.

Knajpka U Coneya była całonocną smażalnią gofrów przy Dziewiętnastej Ulicy, chętnie odwiedzaną przez studentów i włóczęgów. Todd zatrzymał samochód na rogu, Mark wyskoczył, zajrzał do środka i po paru sekundach wrócił.

– Ani śladu. Ale mam pomysł. Pojedźmy na nabrzeże Georgetown. Byłem tam z nim wczoraj po południu i chyba mu się podobało.

– Co to znaczy: „Chyba mu się podobało”? – parsknął Todd.

– Nie wiem. Ale pojedź tam.

Telefon Marka zadzwonił, gdy skręcili w M Street.

– O kurwa! To Brenda. Mam odebrać?

– Tak – rzucił Todd. – W tej sytuacji musisz.

Mark wcisnął funkcję głośnomówiącą.

– Hej, Brenda – powiedział.

Była rozhisteryzowana i niemal krzyczała.

– Mark, co się dzieje? Przed chwilą dostałam od Gordy’ego esemesa. Pisze, że jest mu przykro, ale nie ma wyjścia i już dłużej tak nie może. Co się tam, u diabła, dzieje? Mark, powiedz coś!

– Jeździ po mieście, Brenda. Todd i ja jeździmy za nim i próbujemy go znaleźć. Przestał brać leki i zachowuje się jak wariat.

– Myślałam, że leży w łóżku z grypą tak jak wy.

– Leżał i był chory, rozumiesz? Siedzieliśmy przy nim, a on nam się urwał. Próbowałaś do niego dzwonić?

– Oczywiście! Dlaczego mi nie powiedziałeś, że przestał brać leki?! – Teraz już wrzeszczała do słuchawki.

– Do wczoraj nie wiedziałem, że bierze jakieś lekarstwa. Nic nam nie powiedział. Ty zresztą też nie.

– Nie rozmawialiśmy o tym. Mark, proszę cię, znajdźcie go!

– Staramy się.

– Przyjadę najszybciej, jak będę mogła.

– Nie, jeszcze nie przyjeżdżaj. Siedź i czekaj na mój telefon.

Na nabrzeżu zaparkowali przy krawężniku i wysiedli z samochodu. Puścili się biegiem w stronę rzeki, ale drogę zastąpił im ochroniarz.

– Szukamy przyjaciela, proszę pana – rzucił Mark. – Jeździ małą niebieską mazdą i potrzebuje naszej pomocy. Nie widział go pan?

– O tej porze w nocy nikt się tu nie kręci – burknął ochroniarz.

– Dobra, my tylko chcemy się rozejrzeć. W porządku?

– Jasne.

Przeszli kawałek promenadą i zatrzymali się nad brzegiem Potomacu w tym samym miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej Gordy stał razem z Markiem. Po prawej widać było światła samochodów przejeżdżających mostem Key, po lewej na moście Arlington Memorial za Wyspą Roosevelta coś musiało się stać, bo błyskały tam czerwone i niebieskie światła radiowozów.

Rozdział 7

Nim tam dotarli, trzy pasy ruchu w kierunku zachodnim okazały się już zablokowane i na moście utworzył się korek. Todd zaparkował na trawiastym zboczu przed mostem i wszyscy troje pobiegli w kierunku świateł. Na moście było już sześć radiowozów ustawionych pod różnymi kątami, wszystkie z błyskającymi niebieskimi światłami. Przez otwarte drzwi słychać było skrzeczenie radiostacji. Wokół kręcili się policjanci, dwóch stało na chodniku i wpatrywało się przez balustradę w ciemną toń rzeki. Przez korek na dojeździe do mostu przepychała się karetka z wyjącą syreną. Zdołali ujść trzydzieści metrów, gdy zatrzymał ich policjant.

– Nie ma przejścia! – rzucił. – A wy dokąd?

Zatrzymali się i wpatrzyli w scenę na moście kilkadziesiąt metrów dalej. Za radiowozami widać było niebieską mazdę Gordy’ego, stojącą

z zapalonymi światłami na środkowym pasie. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte.

– Co się stało? – zapytał Mark.

– Nie wasza sprawa. Zabierajcie się stąd.

– My go znamy, proszę pana – powiedział Todd. – To nasz kolega. Co mu się stało?

Gliniarz zaczerpnął głęboko powietrza i jakby nieco odpuścił.

– Skoczył – mruknął. – Wysiadł z samochodu i skoczył, jasne?

Zola krzyknęła i zakryła twarz rękami. Gdyby Todd jej nie podtrzymał, chybaby upadła. Pod Markiem ugięły się kolana; zrobiło mu się niedobrze.

– Nie, nie wierzę – wydusił.

Policjant ujął go za ramiona i pokazał głową w lewo, gdzie dwaj policjanci pocieszali kobietę w średnim wieku.

– Tamta pani jechała za nim i widziała, jak się zatrzymał, przebiegł przez jezdnię i skoczył do rzeki. Przykro mi.

– Nie wierzę – powtórzył Mark.

Todd podprowadził Zolę parę kroków dalej na chodnik. Usiadła, oparła się plecami o żelazne pręty poręczy mostu i zaczęła szlochać.

– Przykro mi – powiedział jeszcze raz policjant. – Sprawdziliśmy jego rejestrację. Jest

z Wirginii Zachodniej, tak?

– Tak. Nazywa się Gordon Tanner. Jesteśmy studentami.

– Chodź ze mną.

Przeszli obok radiowozów i stojących przy nich mundurowych i podeszli do samochodu Gordy'ego. Mark wlepił w niego przerażony wzrok i pokręcił głową.

– Podejdź tu! – zawołał policjant, podchodząc do balustrady mostu. Dwóch mundurowych z ręcznymi szperaczami przepatrywało ciemne wody Potomacu; do mostu zbliżała się policyjna motorówka, błyskając niebieskimi lampami.

– Tu wskoczył – wyjaśnił policjant. – Na wodzie jest kra. W tej temperaturze nikt nie przeżyłby dłużej niż dwie minuty.

Mark przez chwilę wpatrywał się w wodę i wpływającą pod most motorówkę, po czym zakrył dłonią oczy i zaniósł się szlochem.

Podszedł detektyw w cywilnym płaszczu.

– Co to za jeden? – spytał.

– Kolega tamtego, znają się – odparł policjant.

Mark przeniósł wzrok na tego w cywilu i spróbował się opanować.

– Przykro mi, synu – powiedział detektyw. – Co możesz nam powiedzieć?

Mark otarł oczy, zagryzł zęby i drżącym głosem wydusił:

– To nasz przyjaciel, miał ostatnio kłopoty. Wczoraj w nocy złapali go na jeździe po alkoholu. Przez cały dzień mieliśmy go na oku, żeby nie zrobił czegoś głupiego.

– Miał zaburzenia umysłowe?

– Nie, tylko odstawił lekarstwa. – Głos mu się załamał i Mark znów przetarł oczy. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Przykro mi, synu. Jestem detektyw Swayze z Policji Dystryktu Kolumbii. Proszę, to moja wizytówka z numerem komórkowym.

– Dzięki – bąknął Mark, biorąc wizytówkę.

– Szukamy go i trochę to potrwa, ale go znajdziemy. Znasz jego rodzinę?

– Tak.

– Skąd on jest?

– Z Martinsburga w Wirginii Zachodniej.

– Możesz ich zawiadomić? Pewnie będą chcieli przyjechać.

To ostatnia rozmowa, jaką Mark chciałby przeprowadzić, ale posłusznie kiwnął głową.

– Oczywiście. Można jakoś pomóc w poszukiwaniach… albo w ogóle w czymkolwiek?

– Przykro mi, synu, możecie tylko czekać. Prześlij mi esemesem swój numer telefonu. Dam ci znać, jak go znajdziemy.

– Jak długo to potrwa?

– W takich sprawach nigdy nic nie wiadomo. – Detektyw wzruszył ramionami. – Schowajcie się w jakieś cieplejsze miejsce i czekajcie na wiadomość. Zadzwonię, jak tylko coś się wydarzy. Podaj rodzinie mój telefon i powiedz, że mogą do mnie dzwonić. I od razu ci powiem, że sprawdziliśmy jego samochód i nie ma w nim żadnego listu pożegnalnego. Wiesz, gdzie mieszka?

– Wiem.

– Dobra, mógłbyś sprawdzić u niego, czy nie zostawił jakiegoś listu? Bo zwykle samobójcy coś zostawiają. Jeśli coś znajdziesz, daj mi od razu znać.

– Jasne, zrobię to.

Swayze położył rękę na ramieniu Marka.

– Przykro mi, synu.

– Dzięki – rzucił Mark i ruszył chodnikiem. Od zachodu nadjeżdżała druga karetka i tu też tworzył się już korek. Zdawało się, że cały most tonie w migających światłach. Do pierwszej motorówki dołączyły dwa kutry policyjne

z reflektorami i wszystkie trzy zaczęły krążyć w pobliżu mostu.

Mark i Todd pomogli Zoli wstać. Wszyscy troje aż zesztywnieli z zimna, byli jednak zbyt zszokowani, by cokolwiek czuć. Prawie zanieśli Zolę do samochodu, ale wyjazd blokowały stojące w korku samochody. Todd uruchomił silnik, włączył ogrzewanie i wszyscy troje zapadli się w sobie, wpatrując się w widok za oknami. Zola siedziała z przodu, cicho łkając, Todd oparł o szybę głowę z twarzą bladą jak upiór, Mark, zanosząc się szlochem, próbował złapać oddech. Jego telefon zaczął wibrować, ale potrzebował dłuższej chwili, by go wyjąć z kieszeni.

– Brenda dzwoniła już cztery razy – jęknął. – Ktoś musi jej powiedzieć.

– I tym ktosiem jesteś ty, Mark – powiedział Todd. – Nie masz wyboru.

– Dlaczego nie ty?

– Bo ty ją lepiej znasz. I dzwoni do ciebie, nie do mnie.

Mark ścisnął komórkę i zamilkł. Przez korek przepychała się laweta pomocy drogowej, migając żółtymi światłami i manewrując między zaparkowanymi radiowozami. Ktoś z kierujących akcją widać zdecydował, że karetki nie będą już

potrzebne, bo obie odjechały, a z nimi kilka radiowozów.

– To jak, zadzwonisz do niej? – przypomniał Todd.

– Próbuję się zebrać na odwagę.

– To wszystko moja wina – załkała Zola.

– To niczyja wina i dobrze o tym wiesz – mruknął Todd, ale bez przekonania.

– Wszystko przeze mnie. Przeze mnie.

Migające żółte światła zawróciły i cała trójka wpatrzyła się w mijającą ich lawetę, holującą mazdę z uniesionym przodem. Na rzece pojawiło się jeszcze więcej łodzi; rozpłynęły się wachlarzem w poszukiwaniu ofiary. Policja odblokowała dwa pasy ruchu w kierunku zachodnim i pojazdy powoli ruszały.

– I co ja mam jej powiedzieć? – jęknął Mark. – Przecież nie mogę powiedzieć, że Gordy nie żyje, bo nie wiemy tego na pewno, prawda?

– On nie żyje, Mark. Powiedz jej, że skoczył z mostu do Potomacu i szukają jego ciała.

– Nie mogę tego zrobić.

– Nie masz innego wyjścia.

Mark zaczerpnął głęboko powietrza, ale nawet nie spojrzał na telefon.

– Byłem z nim, kiedy podjął tę decyzję – szepnął. – Staliśmy na nabrzeżu i Gordy patrzył

na ten most. A kiedy odwrócił głowę, był spokojny i uśmiechał się. Podjął decyzję i był z tym pogodzony. A ja byłem za głupi, żeby to zauważyć.

– Nie bawimy się w czyja to wina, do cholery – prychnął Todd.

– Ale mogę się założyć, że Brenda będzie miała pretensje i to ja będę głównym winnym. Okłamałem ją wczoraj. Trzeba było powiedzieć prawdę i pozwolić, żeby sama sobie z tym radziła.

– Zrobiliśmy, co się dało. To nie nasza wina, że mu odbiło.

– To moja wina! – krzyknęła Zola. – To wszystko moja wina!

– Przestań, Zola! – rzucił Todd.

Policjant dał im znak latarką, że mogą ruszać; Todd zjechał z trawnika i znalazł się na pasie w kierunku zachodnim. Wolno przejechali obok trzech radiowozów na zewnętrznym pasie, stojących ciasno zderzak przy zderzaku. Na chodniku obok miejsca, z którego skoczył Gordy, nadal stało kilku policjantów.

– Dokąd jedziemy? – spytał Mark.

– Nie wiem.

Po drugiej stronie rzeki skręcili na południe w George Washington Parkway i zjechali na

Columbia Island. Todd zaparkował na wolnym miejscu przed wejściem do parku L.B. Johnsona, tuż obok mariny z setką kołyszących się na wodzie jachtów. Przez dłuższą chwilę siedzieli wpatrzeni w ciemność, słuchając rzężenia dmuchawy. W kieszeni Marka znów zaczął wibrować telefon.

– Zadzwonisz w końcu do niej?

– Nie muszę – mruknął Mark, zerkając na ekran. – Właśnie dzwoni do mnie.

Otworzył tylne drzwi, wysiadł z samochodu i z komórką przy uchu ruszył w stronę mariny.

– Brenda, stało się coś strasznego.

Rozdział 8

Zaprowadzili Zolę do jej mieszkania i ułożyli na kanapie. Mark przykrył ją kołdrą, usiadł w nogach i ujął w ręce stopy dziewczyny. Todd wsypał kawę do pojemnika i czekając na zaparzenie, usiadł na podłodze plecami do kanapy, a Zola położyła mu rękę na ramieniu. Przez długą chwilę trwali w milczeniu i jedynym dźwiękiem było bulgotanie i syczenie zaparzarki.

Zawibrował telefon i Mark wyciągnął go z kieszeni.

– To znów ojciec Brendy – mruknął, stukając w ekran i włączając tryb głośnomówiący. – Tak, panie doktorze?

– Mark, jesteśmy już w drodze i powinniśmy być na miejscu za jakąś godzinę. Zatrzymamy się w Marriotcie w Pentagon City. Możesz się tam z nami spotkać około siódmej? – Ojciec Brendy mówił spokojnym, opanowanym tonem.

– Oczywiście, panie doktorze.

– Dzięki. Skontaktowałem się już z detektywem Swayze’em i podałem mu swój numer.

– To dobrze. Do zobaczenia o siódmej.

Mark rozłączył się i westchnął.

– Tylko tego mi potrzeba. Wysłuchiwania rozhisteryzowanej baby.

– Pojadę z tobą i nie damy im wejść sobie na głowę – zaofiarował się Todd.

– Z całą pewnością spróbują nam wejść na głowę. Już dwa razy na mnie nawrzeszczała. To wszystko nasza wina, bo ją okłamałem, bo pozwoliliśmy mu wyjść, bo nie zawiadomiłem rodziny, bo nie zaprowadziliśmy go do lekarza, bo wszystko zrobiliśmy nie tak.

– To moja wina – wymamrotała Zola, nie otwierając oczu.

– To nie twoja wina i nikt nawet o tobie nie wspomniał – uspokoił ją Mark. – I tego się trzymajmy.

– Jeśli zacznie wrzeszczeć, to ja wychodzę – oświadczył Todd. – Czuję się wystarczająco podle bez wysłuchiwania oskarżeń ze strony Brendy i jej rodziny.

– Jak wracaliśmy wczoraj z parkingu policyjnego, Gordy zagroził, że mnie zabije, jeśli do niej zadzwonię – powiedział Mark. – Nie

sądzę, żeby mówił poważnie, ale to świadczyło o stanie jego umysłu. Nie chciał, żeby wiedziała. I zaparł się, że nie pójdzie do lekarza, żebym nie wiem jak prosił. Więc co mieliśmy zrobić?

– Już to omówiliśmy, Mark – mruknął Todd. Wstał i nalał kawy do trzech kubków. Dochodziła czwarta i wszyscy czuli się sponiewierani fizycznie i psychicznie.

Zola usiadła na kanapie, wzięła do rąk kubek i spróbowała się nawet uśmiechnąć, ale oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte i wyglądało, że jest o krok od następnego kryzysu.

– Ja chyba z wami nie pojadę – odezwała się.

– Nie, ty powinnaś zostać i odpocząć – powiedział Mark.

– Słusznie – potwierdził Todd. – Nie powinnaś się pokazywać Brendzie na oczy.

– Kiedyś ją poznałam. Myśli, że jesteśmy po prostu paczką przyjaciół. Gordy zapewniał mnie, że ona nic o nas nie wie.

– Nie wątpię, że nie wiedziała, ale i tak mogła być zazdrosna – zauważył Mark. – Nie podobało jej się, że Gordy jest w Waszyngtonie bez niej.

Znów zapadła cisza, w której jedynym dźwiękiem było siorbanie gorącej kawy. Milczenie przerwał Mark.

– Powinniśmy się rozejrzeć za listem pożegnalnym samobójcy. Ten detektyw tak mi powiedział.

– Może być ciekawie – mruknął Todd. Przeszli na drugą stronę korytarza, otworzyli drzwi do mieszkania Gordy'ego i zapalili światło. Od momentu, gdy pośpiesznie stąd wypadli, nikogo tu nie było i nic się nie zmieniło. List musiałby być w sypialni. Zajrzeli do niej, ale nic nie znaleźli.

– Straszny tu bałagan – ocenił Mark, rozglądając się. Pościel była skotłowana, prześcieradło ściągnięte z połowy materaca, podłoga zarzucona częściami garderoby. Na toaletce stały dwie puste butelki po tequili.

– Posprzątam, jak pojedziecie – powiedziała Zola. – Rodzina na pewno będzie chciała zobaczyć jego mieszkanie. – Zawrócili do pokoju i stanęli przed ścianą z planszami Gordy'ego.

– Macie pomysł, co z tym zrobić? – spytał Todd.

– Zdejmijmy to wszystko i schowajmy – zaproponował Mark. – Rodzinie do niczego się to nie przyda.

Zola zapełniła kosz na brudy zmiętoszoną pościelą, ręcznikami i bielizną i zniosła wszystko do pralni w piwnicy. W tym czasie Mark i Todd

zajęli się ostrożnym zdejmowaniem ze ściany kartek i plansz. Podobizny Rackleya i jego wspólników złożyli na równą kupkę do zabrania. Obok komputera Mark dostrzegł dwa pendrive'y i nic nie mówiąc, instynktownie schował je do kieszeni.

O szóstej opuścili z Toddem budynek i wyruszyli do Pentagon City. Na ulicach prawie nie było ruchu i dotarcie do Marriotta zajęło im tylko dwadzieścia minut, weszli więc do kawiarni na kawę z ciastkiem i spróbowali przygotować się do czekającego ich spotkania.

– Trzeba się liczyć z tym, że będzie się awanturowała – powiedział Todd.

– Już zaczęła.

– Nie damy sobą pomiatać, Mark.

– Musimy być cierpliwi i okazywać współczucie. Biedna dziewczyna właśnie straciła narzeczonego, którego uwielbiała.

– No cóż, on na pewno nie uwielbiał jej, przynajmniej już nie.

– O tym nic nie wie… A może?

– Kto wie? Zola mówi, że podczas świąt on i Brenda strasznie się kłócili. Nie wiadomo, co jej wtedy wykrzyczał. Mógł nawet odwołać ślub.

– Powiedziałby nam o tym. Byliśmy jego najlepszymi przyjaciółmi, w każdym razie tu,

w Waszyngtonie. Jestem gotów się założyć, że ślub był nadal aktualny, a Brenda marzyła o wielkim dniu. Teraz chłopak, którego kochała od dzieciństwa, nie żyje.

– Co powinniśmy byli zrobić inaczej? – zastanawiał się głośno Todd.

– Nie wiem, ale wcale nie jestem pewny, czy powinniśmy zadzwonić do Brendy. Gordy wściekłby się na nas i zrobiłoby się jeszcze gorzej.

– I bez tego zrobiło się jeszcze gorzej.

– To prawda. Chodźmy już.

Pojechali windą na drugie piętro i zapukali do drzwi. Doktor Karvey najwyraźniej czekał, bo od razu otworzył. Przedstawił się cichym głosem, po męsku uścisnął im ręce i blado się uśmiechnął, czym im wręcz zaimponował. Gestem ręki zaprosił ich do saloniku w apartamencie hotelowym i zaproponował kawę, a oni podziękowali. Poza nimi w pokoju nie było nikogo.

Gordy kilkakrotnie opowiadał im o swoim przyszłym teściu i od niego wiedzieli, że Karveyowie zrobili duże pieniądze na bankowości i ziemi. Doktor Karvey był cenionym w Martinsburgu kardiologiem; miał około pięćdziesiątki, bujną siwą czuprynę

i zdecydowanie zarysowaną brodę. Był w marynarce bez krawata i widać było, że garnitur musiał niemało kosztować. Gordy, znany z niewyparzonego języka i z tego, że wszystkim potrafił przypiąć łatkę, o doktorze Karveyu nigdy nie powiedział złego słowa.

Usiedli przy małym stoliku i zaczęli cicho rozmawiać. Okazało się, że Brenda dostała od ojca środek uspokajający i odpoczywała w sąsiednim pokoju pod opieką matki. Miała za sobą wizytę policji, która dopiero co ich opuściła. Rodzice Gordy'ego byli jeszcze w drodze i spodziewano się ich dopiero za jakąś godzinę.

– Powiedzcie mi, proszę, co wiecie o tej sprawie – zaczął doktor Karvey.

Mark kiwnął głową na Todda, a ten głośno przełknął ślinę i zrelacjonował wydarzenia ostatnich kilku dni. Mieszkająca w tym samym domu co Gordy koleżanka ze studiów zaniepokoiła się jego zachowaniem i przyszła do baru, w którym pracuje Todd, by szukać u niego rady i pomocy. Oboje znaleźli Gordy'ego w jego mieszkaniu, z którego od kilku dni się nie ruszał. Był zaniedbany i brudny, pijany i jakby nieobecny, i najwyraźniej potrzebował pomocy. Do tego stopnia, że postanowili nie zostawiać go samego, ale Gordy im się wymknął. Gdy Todd

opowiedział o tym, jak policja złapała go na jeździe po alkoholu, doktor Karvey aż się wzdrygnął i pokręcił głową. W tym miejscu Mark przejął pałeczkę i zrelacjonował cały dzień spędzony z Gordym; mówił, jak ten odmawiał rozmowy o swym stanie i nie chciał podać nazwiska lekarza. Wspomniał też, że Gordy zabronił mu zawiadamiać Brendę lub jego rodziców. Ale wiele godzin przespał, przestał pić i zdawało się, że dochodzi do siebie. Ostatniej nocy znów przy nim zostali, a on znów się wymknął. Kiedy się okazało, że nie ma go w domu, wpadli w panikę i zaczęli go szukać. Nie odbierał telefonu, a oni kręcili się po mieście aż do chwili, gdy dostrzegli światła radiowozów na moście.

Mark skończył i spojrzał pytająco na przyjaciela. Todd na potwierdzenie jego słów pokiwał głową. Relacja była kompletna i na tę chwilę wystarczająco szczegółowa.

– Dziękuję wam – powiedział doktor Karvey. – Kiedy Gordy przyjechał do domu na święta, mieli z Brendą kilka poważnych rozmów o przyszłości, jak to zwykle narzeczeni. Chwilami dochodziło do poważnych różnic zdań, ale na koniec Brenda odniosła wrażenie, że wszystko sobie ustalili. Ale

potem on wyjechał bez pożegnania do Waszyngtonu.

– Trochę o tym słyszeliśmy – wyznał Mark.

– Czy Brenda wiedziała, że odstawił leki? – zapytał Todd.

– Hm… parę miesięcy temu nawet nie wiedzieliśmy, że jest chory. To zresztą było jedną z przyczyn ich kłótni. Próbował to przed nią ukrywać, co w przypadku choroby dwubiegunowej nie jest niczym niezwykłym.

Mark i Todd pokręcili głowami z niedowierzaniem.

– Słuchajcie, wiem, że Brenda powiedziała wam parę przykrych słów przez telefon i przepraszam w jej imieniu. Jest zrozpaczona i załamana. Jesteśmy tym wszystkim wstrząśnięci. Znaliśmy Gordy'ego od dziecka i był praktycznie członkiem naszej rodziny.

– W porządku, rozumiemy – powiedział Mark.

– Jest nam bardzo przykro, panie doktorze. Nie bardzo wiedzieliśmy, co robić – dodał Todd. – Nawet nie przyszło nam do głowy, że mógłby się zdobyć na coś takiego.

– Zrobiliście wszystko, co w tych okolicznościach było do zrobienia. – Doktor Karvey mówił łagodnym tonem jak przy łóżku

chorego, więc Mark i Todd po raz pierwszy od wejścia do pokoju poczuli ulgę.

I wtedy, jeszcze łagodniejszym tonem, doktor zapytał:

– Była jakaś inna dziewczyna?

Obaj drgnęli i spuścili wzrok, wpatrując się w swoje dłonie. Pierwszy zebrał się w sobie Mark.

– Jeśli odpowiedź brzmi twierdząco, to powie pan o tym Brendzie? – spytał.

– Nie. To by tylko pogorszyło sprawę.

– To po co chce pan wiedzieć? – wtrącił Todd.

Karvey chwilę pomilczał, po czym kiwnął głową.

– Dobrze, zostawmy to.

– Słusznie.

Mark i Todd zaczęli zbierać się do wyjścia. Chcieli uciec, nim ktoś wyjdzie z sypialni. Pożegnali się, wypadli z apartamentu i chwilę potem z hotelu, po czym wsiedli w samochód i ruszyli bez celu przed siebie w stronę krajowego lotniska Reagana. Martwili się o Zolę, ale nie mieli jeszcze ochoty wracać do mieszkania Gordy'ego. Minęli Alexandrię i pojechali dalej na południe; w pewnej chwili skręcili na wschód, przejechali mostem Woodrowa Wilsona na drugą stronę rzeki

i zaparkowali obok przystani National Harbor. Rozciągał się przed nimi Potomac, rozlany na szerokość ponad kilometra i płynący spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło. Nie widać było żadnych śladów akcji poszukiwawczej. Koło lotniska zauważyli wprawdzie dwa kutry straży przybrzeżnej i parę łodzi policyjnych, ale tak daleko od mostu Arlington Memorial nic się już nie działo.

– Myślisz że są w stanie określić, jak daleko i jak szybko ciało może spłynąć z prądem rzeki? – zapytał Mark.

– Mnie pytasz? – mruknął Todd.

– Myślałem, że wiesz coś na ten temat. Czy to nie ty miałeś kolegę w liceum, który się utopił?

– Tak, Joey Barnes, miał piętnaście lat. – Todd postukał palcami w kierownicę i na chwilę zadumał się o dawnym koledze. – Topielcy opadają na dno, niezależnie od tego, jak jest głęboko. Jeśli woda jest zimna, trwa to dłużej. Na dnie w ciele zachodzą jakieś reakcje chemiczne, które powodują wypłynięcie topielca na powierzchnię. Niemal wszyscy wypływają, i to najczęściej niedaleko miejsca utonięcia. Ale zawsze istnieje możliwość, że ciało w coś się zaplącze i zostanie na dnie.

Przez chwilę o tym myśleli, słuchając szumu dmuchawy.

– Ale on wypłynie, prawda? – odezwał się w końcu Mark.

– Znajdą go. I wtedy go pochowamy. A potem trzeba będzie wrócić do szkoły na ostatni semestr.

– Nawet nie chce mi się o tym myśleć.

– To Foggy Bottom jest przyczyną śmierci Gordy'ego, Mark. Gdyby się na nią nie zdecydował, byłby teraz z nami, cały i zdrowy.

– Wszyscy bylibyśmy zdrowsi.

– Nie wracam do niej.

– Pogadamy o tym później. Na razie trzeba się porządnie wyspać.

* * *

Krótko po południu doktor Karvey zadzwonił do Marka i spytał, czy on i Todd mogliby odebrać samochód Gordy'ego i przyjechać nim do hotelu i porozmawiać z państwem Tannerami. Aż zmartwieli na myśl o tym spotkaniu, ale rodzina Gordy'ego ich potrzebowała i nie było jak się wykręcić. W ten sposób po raz drugi w ciągu dwóch dni znaleźli się na parkingu policyjnym, by odebrać z niego małą niebieską mazdę

Gordy’ego. Chwilę przed skokiem musiał zgasić silnik i machinalnie włożyć kluczyki do kieszeni, bo nie było ich w stacyjce, ale Mark na szczęście miał swój komplet kluczyków. Miasto wielkodusznie zrezygnowało z dwustu dolarów i odebranie samochodu nic ich nie kosztowało.

W apartamencie Karveyów panował nastrój gorszy niż w kostnicy. Brenda siedziała na kanapie między matką a panią Tanner, dwiema kobietami, które rzekomo się nienawidziły i wojowały w sprawie ślubnych planów. Teraz jednak było już po wszystkim i ból po stracie Gordy’ego widać je połączył.

Mark i Todd raz jeszcze zrelacjonowali bolesne wydarzenia z ostatnich kilku dni, starając się zrzucić z siebie winę na tyle, na ile się dało. Wyrozumiałość, jaką doktor Karvey okazał podczas porannego spotkania, znikła bez śladu, choć nadal zachowywał spokój. Za to pan Tanner zasypał ich gradem agresywnych pytań, co zrobili, a czego nie zrobili. Dlaczego Mark kłamał o grypie Gordy’ego? Dlaczego nie zadzwonili do jego rodziców po pomoc? Jak mogli dopuścić do wymknięcia się Gordy’ego z mieszkania, i to aż dwa razy? Co zrobili, żeby zapanować nad jego piciem? I tak dalej, i tak dalej. Brenda prawie się nie odzywała. Albo siedziała ze wzrokiem

wbitym w podłogę i tarła oczy, albo wpatrywała się w nich tak, jakby to oni zepchnęli go z mostu. Było to straszne, szarpiące nerwy spotkanie i w pewnej chwili wszyscy, łącznie z Markiem i Toddem, mieli łzy w oczach. Gdy atmosfera stała się nie do zniesienia, Mark uniósł ręce w geście poddania i z okrzykiem „Dość tego!” wypadł z pokoju. Todd wybiegł tuż za nim.

Jechali w milczeniu z bolesną świadomością, że obie rodziny już zawsze będą obciążały ich odpowiedzialnością za śmierć Gordy’ego, ale także myśląc z oburzeniem, że tamci próbują zwalić winę na nich. Teraz łatwo było krytykować to, co zrobili i czego nie zrobili, i potępiać ich decyzje. A przecież prawda była taka, że Gordy był po prostu chory, a oni robili wszystko, by mu pomóc.

Nikt ani słowem nie wspomniał o Zoli.

Rozdział 9

Czekanie było męczarnią. Todd zabijał czas parogodzinną pracą w barze, Mark i Zola poszli do kina. Nerwowo reagowali na każde piknięcie telefonu, ale jak dotąd nie było żadnych wiadomości o wynikach poszukiwań. Dzwonili koledzy ze studiów z pytaniami o najświeższe wieści, media społecznościowe huczały od plotek, w internetowym wydaniu „Postu” opisano całą historię.

Todd po pracy przyjechał do Zoli z sześciopakiem piwa, zamówili pizzę i jedząc, Zola opowiedziała im o losach rodziców i brata. Po południu zabrano ich do obozu przejściowego dla imigrantów w Pensylwanii. W domu zjawili się uzbrojeni agenci z urzędu imigracyjnego i dali rodzicom i bratu Zoli godzinę na spakowanie ubrań i rzeczy osobistych w takiej ilości, jaką mogli unieść, po czym zakuto ich w kajdanki i załadowano z czterema innymi

osobami do furgonetki. Ojciec nazwał obóz przejściowy miejscem „o kreskę wyżej od więzienia”. Mieli siedzieć w nim aż do deportacji do Senegalu, ale nie było wiadomo jak długo.

Mark i Todd z oburzeniem wysłuchali jej opowieści, w dodatku spotykało to Zolę w wyjątkowo niefortunnym momencie. Przeżywała ciężkie chwile po samobójstwie chłopaka, a teraz jeszcze coś takiego. Postanowili trzymać się razem i po północy wreszcie zmorzył ich sen – Zolę w jej łóżku, Marka na kanapie, Todda na krześle obok.

* * *

Wcześnie rano, gdy wszyscy troje zasiedli nad świeżo zaparzoną kawą, by strząsnąć z siebie resztki ciężkiego snu, z drugiej strony korytarza usłyszeli jakieś odgłosy. Mark uchylił lekko drzwi i zaczęli nasłuchiwać.

Okazało się, że w mieszkaniu Gordy’ego są doktor Karvey, Brenda i państwo Tannerowie. Mieszkanie było wysprzątane na wysoki połysk, wszystkie naczynia umyte i pochowane, lodówka opróżniona ze starego jedzenia, nigdzie ani kropli alkoholu. Podłoga zamieciona, miejsce pracy przy stole uporządkowane. Łóżko idealnie

zaścielone, wszystkie części garderoby czyste i równo poskładane. Na stoliku nocnym stało duże zdjęcie Brendy, które zwykle Gordy trzymał w szufladzie. W łazience ręczniki były poskładane w stercie jeden na drugim, podłoga, szafka, kabina prysznicowa i półka z kosmetykami lśniły czystością. W szafce na lekarstwa nie było śladu jego pigułek. Wyglądało to tak, jakby przed wyjściem z mieszkania dokładnie je wysprzątał.

Brendzie raz puściły nerwy, opadła na kanapę i zaczęła szlochać; ojciec usiadł obok i zaczął gładzić ją po kolanie. Trójka przyjaciół po drugiej stronie korytarza słuchała wszystkiego ze ściśniętymi sercami.

Tannerowie uznali, że ten szybki rzut oka na razie im wystarczy. Zamierzali później wrócić i zabrać rzeczy syna. Zamknęli mieszkanie na klucz i wyszli razem z Brendą i jej ojcem.

Trójka przyjaciół przyglądała się z okna korytarza na drugim piętrze, jak wszyscy czworo odjeżdżają.

* * *

Był poniedziałek, szósty stycznia, do końca ferii został tydzień, ale żadne z nich nie myślało

o nauce. I choć obóz dla nielegalnych imigrantów zbytnio do nich nie przemawiał jako cel wycieczki, z przyjemnością myśleli o wyrwaniu się z miasta. Zola zadzwoniła do pracy i powiedziała, że jest chora, Todd wziął wolne w Starym Rudym Kocie i przed południem wyjechali z Waszyngtonu, kierując się na północ. Żeby nie jechać wzdłuż Potomacu, Todd pojechał Connecticut Avenue w kierunku Chevy Chase i Marylandu. Przez pierwsze pół godziny prawie się do siebie nie odzywali. Siedząca z przodu Zola wyglądała na zgnębioną i bezmyślnie gapiła się w okno. Sącząc kawę z wysokiego papierowego kubka, Todd szukał czegoś w radiu i ostatecznie zdecydował się na stare przeboje, ale nastawił je bardzo cicho.

Siedzący z tyłu Mark chwilę szeleścił gazetami, w końcu znalazł artykuł, którego szukał.

– „Post” pisze, że urząd imigracyjny prowadzi w kraju piętnaście obozów dla nielegalnych imigrantów i przebywa w nich łącznie trzydzieści pięć tysięcy osób. W ubiegłym roku władze zatrzymały około czterystu tysięcy imigrantów bez wymaganych dokumentów i mniej więcej tyle samo deportowały, ponosząc koszt około dwudziestu tysięcy dolarów od

osoby. Cały system obozów dla nielegalnych imigrantów kosztuje budżet około dwóch miliardów rocznie i jest to największa na świecie sieć takich obozów. W uzupełnieniu do piętnastu obozów podległych urzędowi imigracyjnemu władze federalne korzystają z setek aresztów okręgowych, zakładów poprawczych dla nieletnich i więzień stanowych, którym płacą około stu pięćdziesięciu dolarów dziennie od osoby albo trzysta pięćdziesiąt dolarów od rodziny. Dwie trzecie tych placówek jest w prywatnych rękach i im więcej mają zatrzymanych, tym więcej na tym zarabiają. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który nadzoruje działalność urzędu imigracyjnego, posługuje się systemem kwotowym zatwierdzonym przez Kongres. Żadna inna agencja porządku publicznego nie stosuje takiego systemu.

– A warunki w obozach są zatrważające – wtrąciła Zola.

– Owszem. Ponieważ nie istnieje niezależne ciało kontrolne, zatrzymanych często spotykają szykany, takie jak przetrzymywanie w karcerze, brak należytej opieki lekarskiej i niewystarczające wyżywienie. Są narażeni na fizyczną agresję, a nawet gwałty. W ubiegłym

roku zmarło stu pięćdziesięciu zatrzymanych obojga płci. Nielegalni imigranci są nierzadko umieszczani razem z niebezpiecznymi kryminalistami. Pomoc prawna często nie istnieje. Na papierze urząd imigracyjny ma ustalone standardy dla obozów, ale w praktyce nikt ich nie przestrzega. Wydawanie federalnych funduszy na ten cel praktycznie nie podlega żadnej kontroli. Prawda jest taka, że nikt się tym nie interesuje i nikomu nie zależy, z wyjątkiem zatrzymanych i ich rodzin. To ludzie zapomniani.

– Już wystarczy – jęknęła Zola.

– Ona ma rację – poparł ją Todd. – A właściwie to dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

– A o czym chcecie rozmawiać? O Gordym? O Brendzie? O Foggy Bottom? Zajęcia zaczynają się za tydzień i już nie mogę się doczekać.

To na dłuższą chwilę zniechęciło ich do rozmów i tylko Mark nie przestawał przeglądać gazet i nucić pod nosem wraz z radiem.

– No to Zola – odezwał się w końcu – możemy teraz pogadać o twojej rodzinie?

– Jasne.

– Czemu wyjechali z Senegalu?

– Rodzice nigdy nie mówili dużo o swoim kraju. Byli szczęśliwi, że się z niego wynieśli, i chcieli zbudować sobie nowe życie w Stanach.

Czasami próbowałam ich podpytywać, ale ich odpowiedzi były zwykle wymijające. Ojciec pracował w jakiejś spółdzielni rolniczej i mieli problemy z władzami. Narobił sobie wrogów, stracił pracę i uznał, że najlepiej będzie wyjechać. Zawsze z przerażeniem myślał o konieczności powrotu. Większość naszej rodziny rozpierzchła się i nic go tam nie czeka. Nic poza kłopotami. Boi się, że stanie się obiektem prześladowań.

– A twoi bracia?

– Sory, mój starszy brat, ożenił się z Amerykanką i mieszka teraz w Kalifornii. Jego żona nie jest muzułmanką i ojciec rzadko o nim wspomina. Młodszy, nazywamy go zdrobniale Bo, urodził się w Senegalu, więc też ma kłopoty. Nie ożenił się i jest bardzo religijny.

– Zdawało mi się, że urząd imigracyjny przestrzega zasady nierozdzielania rodzin – wtrącił Todd.

– Może jest tak gdzieś zapisane, ale nie zawsze się tego trzymają – powiedział Mark. – Wczoraj wieczorem czytałem artykuł o rodzinie z Kamerunu, rodzicach z pięciorgiem dzieci mieszkających w Bronxie. Którejś nocy agenci z urzędu imigracyjnego kopnęli w drzwi mieszkania, wywlekli ojca i zanim się obejrzał,

odesłali go do Afryki. Matka, która też nie ma legalnych papierów, i dzieci żyją w ciągłym strachu, że tamci wrócą po nich i ich także deportują. Wyobraźcie to sobie. Te dzieci, tak jak Zola, urodziły się już w tym kraju, więc mogą zostać rozdzielone z rodzicami. Gdy zwrócono się w tej sprawie do urzędu imigracyjnego, jakiś ich oficjel powiedział coś w rodzaju: „W stanie Nowy Jork mamy doskonałe zakłady opieki zastępczej". Dacie wiarę?

– Wolę już rozmawiać o Foggy Bottom – jęknęła Zola.

– A ja nie – rzucił Mark. – Nie jestem w stanie myśleć o powrocie do szkoły. Wy naprawdę zamierzacie pójść w poniedziałek na zajęcia?

– A co nam zostało? – odparła. – Jeśli rzucisz studia, nici z twojej roboty. Nie możesz rezygnować na semestr przed końcem.

– Robotę dostanę tylko pod warunkiem, że zdam egzamin adwokacki, a to w tej chwili wydaje się po prostu niemożliwe. Jestem zbyt roztrzęsiony umysłowo i emocjonalnie, żeby usiąść do powtórki całego materiału. A ty, Todd?

– Rzygać mi się chce na samą myśl.

– Zostało jeszcze siedem miesięcy – przypomniała im Zola.

– Czemu nie możemy sobie zrobić przerwy na jeden semestr? – spytał Todd.

– Bo rekiny od kredytów zjedzą nas żywcem na śniadanie. Jak nie studiujesz, musisz natychmiast zacząć spłacać zadłużenie. Może istnieją jakieś luki prawne, ale nie sądzę, byśmy je znaleźli.

– Nie, na takie szczęście nie możemy liczyć.

– Porozmawiajmy o czymś innym – poprosiła Zola.

– Jasne, tylko że zaczyna brakować nam tematów – zauważył Mark.

Nastąpiła kolejna długa cisza, którą znów przerwał Mark.

– Dobra, muszę się wam do czegoś przyznać. Kiedy w sobotę sprzątaliśmy mieszkanie Gordy'ego, koło komputera leżały dwa pendrive'y. Zabrałem je, bo pomyślałem, że jego rodzicom ani Brendzie do niczego się nie przydadzą. Wczoraj sprawdziłem ich zawartość. Nie ma na nich nic, co mogło mieć związek z samobójstwem, ale wygląda na to, że Gordy na coś wpadł.

– Chodzi o ten przekręt Rackleya?

– Tak, ale jest coś więcej. Śledziliście przebieg afery związanej z bankiem Swift?

– Czytałam parę nagłówków – przyznała Zola.

– Nie, mam swoje problemy – mruknął Todd.

– Swift jest w tej chwili dziewiątym co do wielkości bankiem w kraju. Parę lat temu walczył zażarcie o uznanie go za zbyt duży, by mógł upaść, ale władze federalne powiedziały: nie. Niestety nie upadł i od tamtej pory całkiem nieźle prosperuje. Tonął po uszy w zagrożonych kredytach hipotecznych i zarzucano mu oszustwa i korupcję. Tak naprawdę to podejrzana banda finansistów, którzy stosują różnego rodzaju tanie machlojki, a jednocześnie wydają majątek na marketing, bo walczą o opinię przyjaznego lokalnego banku.

– Pamiętam ich reklamy – potwierdził Todd.

– No właśnie. Więc Gordy myśli… czy raczej myślał… że Swift częściowo należy do Rackleya. Nie był pewien, w jakim procencie, bo jak zwykle Rackley kryje się za firmami wydmuszkami, w większości zarejestrowanymi na Kajmanach. Firmy te systematycznie i bez rozgłosu wykupywały akcje Swifta, ale nigdy więcej niż pięć procent, bo zakup większego pakietu akcji trzeba zgłaszać do Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Otóż Gordy wpadł na trop trzech oddzielnych i pozornie niezwiązanych z sobą firm, które łącznie posiadają dwanaście procent akcji Swifta. Ich aktualna wartość to

około czterech miliardów dolarów, a to czyni z Rackleya największego udziałowca banku, czym woli się nie chwalić.

– Fuj! – parsknął Todd. – Ale co to ma wspólnego z nami?

– Nie wiem, czy cokolwiek, ale skoro nie możemy uzgodnić żadnego innego tematu do rozmowy, to może wam jeszcze trochę poopowiadam o banku Swift i Hindsie Rackleyu, bo to ciekawostka. Słyszę sprzeciw? Dobra, no więc jakiś miesiąc temu Swift trafił na pierwsze strony gazet z powodu pewnego skandalu. Nie było to niczym nowym dla tych aferzystów, ale tym razem mogli się sami oszukać. Powiedzmy, Todd, że idziesz do miejscowego oddziału banku Swift i otwierasz zwyczajne konto osobiste. Wpłacasz tysiąc dolarów, dostajesz tymczasową książeczkę czekową, wszystko cacy, a w dodatku bardzo ci się spodobała twoja osobista konsultantka, która potraktowała cię bardzo przyjaźnie. Tylko że zaraz po twoim wyjściu przyjazna konsultantka zamienia się we wredną zołzę i bez twojej wiedzy otwiera ci jeszcze kilka innych rachunków. Rachunek oszczędnościowy… albo dwa, rachunek rynku finansowego, rachunek karty kredytowej i debetowej, może nawet rachunek maklerski. W rezultacie zamiast

jednego konta osobistego masz siedem różnych kont. Konsultantka dostaje premię i klepnięcie w plecy za dobrą pracę, ty nic nie wiesz o swoich sześciu dodatkowych kontach, a stary dobry Swift nalicza ci co miesiąc parę dolców opłat za prowadzenie tych wszystkich rachunków.

– I kto ich sypnął? – spytała Zola.

– Ta sama zołza. Okazuje się, że konsultanci w całym kraju zostali przeszkoleni w haniebnych metodach wciskania klientom kont, których ci wcale nie chcieli, i nawet gdy klient wprost odmawiał, konto i tak było zakładane. W skali całego kraju to miliony kont. Twoja sympatyczna konsultantka i parę innych w końcu się zbuntowało i podniosło raban. Poskarżyły się, że są przez swoich zwierzchników zmuszane do zakładania niechcianych kont. W banku wybuchła afera i w przyszłym tygodniu zaczynają się przesłuchania w Kongresie.

– Mam nadzieję, że to wszystko prawda – mruknął Todd. – W każdym razie co do Rackleya.

– Dojdzie do procesu? – spytała Zola.

– Oczywiście. Prawnicy poczuli zapach krwi i ruszyli na żer. Już zapowiedziano dwa pozwy zbiorowe, więcej jest w przygotowaniu. Liczba pokrzywdzonych klientów może sięgać milionów.

– Szkoda, że nie mam konta w Swift – powiedział Todd. – Mógłbym przywalić temu skurwielowi.

– Ma pazury i tak wystarczająco głęboko wczepione w naszą skórę.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zaproponowała Zola.

Rozdział 10

Federalny Obóz Przejściowy Bardtown znajdował się w odosobnionej dolinie, pięć kilometrów w bok od szosy międzystanowej I99 i trzydzieści parę kilometrów na południe od Altoony, i jeśli gdzieś w pobliżu było jakieś inne miasto, to nic na to nie wskazywało. Do obozu wjeżdżało się szeroką asfaltową drogą, która wyglądała na zupełnie nową i biegła w dół zbocza, z którego roztaczał się panoramiczny widok na leżący w dolinie obóz. Rozciągała się przed nimi masa baraków z płaskimi dachami, wyglądem przypominających przyczepy wykorzystywane jako sale lekcyjne w przeludnionych szkołach. Cały teren był ogrodzony wysokim, podwójnym płotem ze stalowej siatki, otaczającym regularny kwadrat obozu. Wzdłuż górnej krawędzi ogrodzenia ciągnęły się lśniące w słońcu zwoje drutu żyletkowego, nadające całości więzienny wygląd.

– To przypomina te stare czarno-białe fotografie z Auschwitz – powiedział Todd, zwalniając.

– Dzięki za pocieszenie – rzuciła Zola.

Widok rzeczywiście był przygnębiający. Zola nie potrafiła opanować emocji i gdy Todd zatrzymał się na wysypanym żwirem parkingu, okazało się, że dziewczyna płacze. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przyglądając się piętrowej budowli przy wjeździe, w której mieściła się administracja obozu i gdzie należało się zameldować. Budynek też miał płaski dach i wyglądał na złożony z płyt gipsowych. Zresztą wszystko tu wyglądało na sklecone naprędce przez jedną noc.

Zola w końcu powiedziała „Chodźmy" i podeszli do baraku. Na tablicy obok wejścia widniał napis: *Federalny Obóz Przejściowy Bardtown. Urząd Celny i Imigracyjny. Biuro Zatrzymań i Wydaleń. Department Bezpieczeczeństwa Publicznego. DHS, DRO, ICE*[4]*. Administracja*.

Stali, przyglądając się napisowi.

– Wygląda jak rosół z makaronem w kształcie literek – burknął Todd.

– Miejmy nadzieję, że znają też ACLU[5].

Otworzyli drzwi i weszli do holu. Nie było żadnych tablic informacyjnych, więc Mark zaczepił młodego grubego mężczyznę w mundurze.

– Przepraszam, gdzie tu jest poczekalnia dla odwiedzających?

– Jakich odwiedzających?

– Chcielibyśmy zobaczyć się z jednym z waszych więźniów.

– Tu nie ma więźniów. Są zatrzymani.

– Dobra, chcielibyśmy zobaczyć się z jednym z waszych zatrzymanych.

Mężczyzna obojętnie machnął ręką w stronę korytarza.

– Spróbujcie tam.

– Bardzo panu dziękuję.

Szli szerokim korytarzem, rozglądając się za jakąś informacją o odwiedzinach. Jak w każdej instytucji federalnej, kręciło się tu mnóstwo pracowników w służbowych uniformach. Muskularni młodzi ludzie z bronią w kaburach i wielkimi literami ICE na plecach wiatrówek. Urzędnicy w białych koszulach z krawatami i złocistymi emblematami na kieszonkach. Gliniarze wyglądający na zwykłych funkcjonariuszy z biura szeryfa.

Trójka przyjaciół podeszła do kontuaru, za którym siedziały trzy kobiety. Jedna z nich grzebała w papierach, pozostałe dwie coś jadły.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyjechałam zobaczyć się z rodzicami – powiedziała Zola.

– A ci rodzice to kto? – spytała kobieta znad papierów.

– Państwo Maalowie. Mój ojciec ma na imię Abdou, matka Fanta. Maal. M-A-A-L.

– Skąd oni są?

– Z New Jersey, ale wcześniej z Senegalu. Wczoraj ich zabrano.

– Ach, czyli zatrzymani, tak?

Mark musiał się ugryźć w język, by nie wybuchnąć: „Oczywiście, że zatrzymani. Gdyby nie, to po jaką cholerę byśmy tu przyjechali?”. Ale tylko popatrzył na Todda i nic nie powiedział.

– Tak, zatrzymani – odparła grzecznie Zola.

– Jesteście umówieni?

– Nie, ale jechaliśmy dwie godziny, żeby się z nimi zobaczyć.

Urzędniczka pokręciła głową, jej koleżanka odłożyła na talerzyk kawałek czekoladowego ciasta i postukała w klawiaturę. Trzecia urzędniczka, starsza biała kobieta, spojrzała na ekran.

– Jeszcze nie zostali wprowadzeni – oznajmiła takim tonem, jakby to kończyło sprawę.

– Dobrze, no to ich wprowadźcie – powiedziała Zola.

– Zajmujemy się tym – rzuciła ta pierwsza. – Ale póki nie będą wprowadzeni, nie można ich odwiedzać.

– Chyba pani żartuje – parsknęła Zola.

– Przykro mi – powiedziała kobieta tonem, w którym nie było śladu współczucia.

– Jak możecie ich trzymać, jeśli nie zostali wprowadzeni? – zdziwiła się Zola.

Czarnoskóra urzędniczka numer jeden skrzywiła się pogardliwie.

– Mamy swoje przepisy – prychnęła takim tonem, jakby danie lekcji Zoli sprawiało jej osobistą satysfakcję.

Mark i Todd zrobili krok do przodu. Todd miał na sobie dżinsy, trampki i starą skórzaną kurtkę; Mark był ubrany nieco lepiej: w spodnie khaki, pikowaną kamizelkę i buty turystyczne. Na dany przez Todda znak Mark pochylił się nad kontuarem i donośnym tonem oświadczył:

– Słuchajcie panie, jestem jej adwokatem, jasne? Jest amerykańską obywatelką i ma prawo widzieć się z rodziną. Jechaliśmy w tym celu dwie godziny i nie wolno wam jej odmówić.

Rodzice i brat mojej klientki zostali zatrzymani wczoraj i mają być odesłani do Afryki. Być może nigdy więcej ich nie zobaczy.

Trzecia z urzędniczek przestała jeść, druga przestała się gapić. Pierwsza odchyliła się na krześle i powiedziała:

– Chyba będziecie musieli porozmawiać z kierownikiem.

– Świetnie! – parsknął Mark. – Proszę go tu sprowadzić.

Rozmowy przy kontuarze przyciągnęły uwagę kręcących się po korytarzu i dwóch facetów z literami ICE na plecach podeszło bliżej.

– Jakiś problem? – spytał jeden z nich, z nazwiskiem Gibson na plakietce.

– Jasne, że mamy problem! – warknął Mark. – Moja klientka przyjechała aż z Waszyngtonu, żeby po raz ostatni spotkać się z rodziną przed jej deportacją do Senegalu, a teraz się dowiaduje, że nie może się z nimi zobaczyć przez jakieś biurokratyczne niedoróbki.

Dwaj agenci ICE spojrzeli na urzędniczki.

– Znacie przepisy. Żadnych odwiedzin przed wpisaniem zatrzymanych do dokumentacji – odezwała się pierwsza z nich.

Gibson przeniósł wzrok na Marka.

– No cóż, jak przepis, to przepis – powiedział.

– Mogę się widzieć z kierownikiem?

– Przede wszystkim możesz przestać krzyczeć, to na pewno. – Gibson zrobił krok do przodu, jakby się szykował do fizycznej interwencji. Do pierwszych dwóch agentów ICE dołączyła następna dwójka, wzmacniając siły.

– Chcę tylko porozmawiać z kierownikiem – oznajmił Mark.

– Nie podoba mi się twoje podejście – prychnął Gibson.

– A mnie twoje. I co podejście ma z tym wspólnego? W czym problem? Moja klientka chce się tylko spotkać z rodziną. Do diabła, przecież grozi im deportacja. Może nigdy więcej ich nie zobaczyć.

– Jeśli zostaną deportowani, to dlatego, że sędzia tak zdecydował. Jak ci to nie pasuje, idź z tym do sędziego.

– No cóż… skoro mowa o sędzi, to wchodzimy na moje podwórko. Jutro z samego rana złożę w sądzie federalnym pozew przeciwko tobie. Jak masz na imię, Gibson? – Mark zrobił krok do przodu i przyjrzał się plakietce. – M. Gibson. Mogę wiedzieć, od jakiego imienia jest to M?

– Morris.

– Dobra, Morris Gibson. Zapisz to, Todd. – Todd wyciągnął długopis i wziął z kontuaru

kartkę. Mark spojrzał na drugiego agenta ICE. – A ty jak się nazywasz?

– Po co to panu? – odrzekł ten z krzywym uśmieszkiem.

– Do pozwu, oczywiście. Nie mogę cię podać do sądu, nie znając nazwiska.

– Jerry Dunlap.

Mark odwrócił się i powiódł wzrokiem po trzech urzędniczkach, które siedziały jak skamieniałe.

– Jak się pani nazywa? – warknął do pierwszej.

Spojrzała na plakietkę z nazwiskiem nad swoją lewą piersią, jakby sama chciała się upewnić.

– Phyllis Brown – powiedziała.

Todd zapisał jej nazwisko.

– A pani? – zwrócił się do drugiej.

– Debbie Ackenburg.

– Zechce pani przeliterować? – wtrącił Todd.

Urzędniczka spełniła prośbę i Mark przeniósł wzrok na trzecią.

– A pani? – spytał.

– Carol Mott – powiedziała kobieta lekko drżącym głosem.

Mark odwrócił głowę i dostrzegł, że przypatruje im się kolejnych czterech agentów

ICE.

– Czy któryś z panów życzy sobie włączyć się do akcji? Pozew trafi jutro z samego rana do sądu federalnego. Będziecie musieli wynająć adwokatów, przynajmniej po jednym każdy z was, a ja już dopilnuję, żeby sprawa ciągnęła się przez najbliższe dwa lata. Któryś z panów? – Wszyscy czterej bez słowa się odwrócili.

Zza rogu wyłonił się mężczyzna w garniturze.

– Co się tu dzieje, do cholery?! – zawołał.

Mark zrobił krok w jego stronę.

– Ustalam nazwiska do pozwu do sądu federalnego – odparł zaczepnym tonem. – Pan tu jest kierownikiem?

– Owszem. – Mężczyzna wyprężył się z dumą.

– Świetnie. A jak pańskie nazwisko?

– Kim pan jest, u diabła?

– Mark Frazier z kancelarii prawnej Ness Skelton w Waszyngtonie. Jestem adwokatem Zoli Maal, tej pani obok. Przyjechała z Waszyngtonu spotkać się z rodziną. Jest amerykańską obywatelką i ma prawo widzieć się z rodziną przed jej deportacją. Pańskie nazwisko, proszę.

– George McIlwaine.

– Dziękuję. Jest pan tu szefem?

– Tak.

Todd nie przestawał notować nazwisk. Mark wyjął komórkę i nie spuszczając wzroku z McIlwaine'a, postukał w ekran, choć z nikim się nie łączył, i podniósł ją do ucha.

– Halo, Kelly, tu Mark. Połącz mnie zaraz z Kinseyem z procesowego. Powiedz mu, że to pilne. – Po chwili rzucił: – Nie obchodzi mnie, że ma spotkanie. Chcę z nim zaraz rozmawiać. – Dłuższa przerwa, w trakcie której Mark podszedł do trzeciego agenta ICE, który zbyt nastawiał uszu, i rzucił przez ramię w stronę Todda: – Dodaj do listy T. Watsona. – Znów popatrzył na agenta. – Od jakiego imienia to T?

Ten strzelił oczami na boki i przestąpił z nogi na nogę.

– No dalej, Watson. Zapomniałeś własnego imienia?

– Travis.

– No widzisz. Todd, dodaj Travisa Watsona do pozwu.

Todd zapisał nazwisko, a Zola zrobiła krok do tyłu, jakby chciała się nieco zdystansować od tego szaleńca.

– Kinsey, posłuchaj – rzucił Mark do słuchawki. – Jestem w Obozie Przejściowym Bardtown. Odmawiają tu naszej klientce prawa do spotkania z rodziną. Chcę, żebyś jak

najszybciej przygotował pozew do sądu. Prześlę ci esemesem nazwiska pozwanych. – Zawiesił głos, jakby czegoś słuchał. – Tak, zgadza się. Zacznij od Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego i ICE, potem wpisz nazwiska. Czekaj, zaraz. – Przejechał palcem po nazwiskach trzech urzędniczek, trzech agentów ICE i kierownika. – W sumie siedmioro, każdy osobno po nazwisku. – Mark spojrzał na pozostałych agentów. – Czy któryś z panów chciałby dołączyć? – Ci jeszcze bardziej się odsunęli. – Chyba już nikt więcej. Tylko się pośpiesz, Kinsey. – Znów zamilkł, a Gibson i Watson obrzucili McIlwaine'a spłoszonymi spojrzeniami. – Świetnie! Złóż to jeszcze dziś po południu online. Sąd federalny wschodniego okręgu Pensylwanii. Postaraj się, żeby to trafiło do sędziego Baxtera. Już on będzie wiedział, co z tym fantem zrobić. Oddzwoń za dziesięć minut.

Mark stuknął w ekran, schował telefon do kieszeni i obrzucił McIlwaine'a spojrzeniem.

– Pozywam was wszystkich indywidualnie. Kiedy sędzia zasądzi odszkodowanie dla mojej klientki, będę mógł wejść na wasze pensje i hipoteki domów. – Zwrócił się do Todda: – Daj mi te nazwiska. – Zola i Todd podążyli za nim i wszyscy troje usiedli na krzesełkach pod ścianą.

Mark znów wyjął telefon i z listą Todda przed oczami udał, że pisze SMS-a z siedmioma nazwiskami.

To wreszcie poruszyło McIlwaine'a. Zaczerpnął głęboko powietrza i podszedł bliżej.

– Czekaj pan – powiedział z wymuszonym uśmieszkiem. – Może uda nam się coś z tym zrobić.

* * *

Dwadzieścia minut później Gibson wprowadził ich do małego pokoiku na tyłach budynku administracji i kazał poczekać.

– Jesteś wariat, wiesz o tym? – odezwał się Todd, gdy zostali sami.

– Ale zadziałało – rzucił z niewinnym uśmieszkiem Mark.

– Nie chciałabym stawać przeciwko tobie w sądzie. – Zola zachichotała.

– I po co komu licencja adwokacka? – parsknął Mark.

– Tylko że praktykowanie bez licencji może wpędzić cię w kłopoty – zauważył Todd.

– Myślisz, że ci durnie zadzwonią do Stowarzyszenia Prawników w Waszyngtonie, żeby mnie sprawdzić?

Zola otworzyła torbę i wyjęła czarny hidżab. Włożyła go na głowę, zasłaniając twarz i ramiona, i poprawiła, żeby dobrze się trzymał.

– Mam obowiązek nosić to w obecności mężczyzn nienależących do rodziny – wyjaśniła.

– A to ci pobożna muzułmanka – prychnął Todd. – I włożyłaś długą kieckę zamiast tych obcisłych dżinsów, w których od lat cię podziwiamy.

– Jakich dżinsów?! Przynajmniej tyle mogę zrobić dla rodziców, skoro mam ich długo nie oglądać.

– Według mnie ślicznie wyglądasz – dorzucił Mark.

– Bo jestem śliczna, a ty już się więcej nie odzywaj, dobrze? Ojciec jest wystarczająco podejrzliwy.

– Wyglądasz bardzo cnotliwie – zauważył Todd.

– Odpieprz się.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszli jej rodzice i brat. Matka wzięła ją w ramiona i ze łzami w oczach się wyściskały, potem Zola objęła ojca i brata Bo, w końcu spojrzała na Marka i Todda i ich przedstawiła. Nazwała ich kolegami ze studiów i wyjaśniła, że przyjechali z nią z Waszyngtonu. Mark i Todd uścisnęli ręce

z Abdou i Bo, ale nie tknęli matki. Ojciec Zoli wylewnie im podziękował, po czym Mark, czując sztuczność sytuacji, powiedział, że zaczekają z Toddem w korytarzu.

Wychodząc z pokoju, zauważyli, że cała rodzina płacze.

Rozdział 11

We wtorek rano funkcjonariusz policji wodnej, patrolujący rejon rzeki w pobliżu przelewowego zbiornika wyrównawczego przy wschodnim brzegu Potomacu, rzut kamieniem od pomnika Jeffersona, zauważył coś dziwnego. Po bliższym sprawdzeniu odkrył w wodzie ciało, wybielone, rozdęte i zaplątane w podwodne wodorosty.

Gdy zadzwonił detektyw Swayze, Mark jeszcze spał. Detektyw przekazał wiadomość o odnalezieniu ciała i powiedział, że powiadomił już telefonicznie pana Tannera, który zdążył wrócić z żoną i Karveyami do Martinsburga. Mark i Todd nie mieli kontaktu z Brendą, jej ojcem i Tannerami od czasu niefortunnego spotkania w sobotnie popołudnie. W poniedziałek obie rodziny zdecydowały, że bezczynne czekanie w Waszyngtonie nic im nie da, i wróciły do domów.

Mark zadzwonił do Todda i Zoli i wszyscy troje uzgodnili, że za godzinę spotkają się u niej. Dziesięć minut później zadzwonił telefon Marka, zastając go siedzącego po ciemku nad kubkiem stygnącej kawy. Dzwonił ojciec Gordy'ego. Mark przez chwilę wpatrywał się w wyświetlacz i w końcu niechętnie odebrał. Zaczął od złożenia kondolencji, szybko jednak zabrakło mu słów.

– Mark, mógłbyś wyświadczyć nam przysługę? – przejął inicjatywę pan Tanner.

Mark instynktownie wolałby odmówić, ale nie miał odwagi.

– Tak, oczywiście.

– Moglibyście pojechać z Toddem do kostnicy i zidentyfikować zwłoki. Nie dam rady przyjechać do Waszyngtonu, nie w takiej sprawie.

Marka to zdumiało. Trzy dni wcześniej obie rodziny oskarżyły go o śmierć Gordy'ego, a teraz proszą o najgorszą rzecz z możliwych? W słuchawce zapadła cisza i wtedy pan Tanner dodał:

– Wszyscy jesteśmy zdruzgotani, a ty i Todd jesteście na miejscu. Proszę. Wiem, że to straszne prosić was o coś takiego, ale bardzo by to nam pomogło.

Mark niemal wbrew sobie usłyszał, jak mówi:

– Tak, oczywiście.

* * *

Ciało przewieziono do Biura Koronera, w którym mieściła się też kostnica. Todd zaparkował pod nowoczesnym budynkiem ze szkła i znaleźli wejście. W holu czekał na nich detektyw Swayze. Podziękował im za przybycie.

– Myślę, że pani naprawdę nie powinna tego oglądać – powiedział, przyglądając się Zoli.

– Nie zamierzam. Poczekam tutaj.

– To dobrze. Tam jest poczekalnia – dodał, pokazując głową.

Todd i Mark zeszli za nim na dolny poziom i zatrzymali się przed stalowymi drzwiami z wywieszką *Przechowalnia zwłok*.

– W środku jest zimno – uprzedził Swayze. – Ale to nie potrwa długo.

– Jak często musi pan to robić? – spytał Mark.

– Dwa razy w tygodniu. W przechowalni jest miejsce na dwieście ciał. W Dystrykcie Kolumbii nigdy nie brakuje nam zwłok.

Drzwi otworzyła kobieta w białym laboratoryjnym kitlu.

– Tanner, tak? – upewniła się.

– Zgadza się – potwierdził Swayze, po czym wszyscy trzej weszli do dużego, sterylnego pomieszczenia z równo ustawionymi stalowymi regałami, na których leżało kilkadziesiąt granatowych worków z ciałami, zamkniętych na całej długości na zamki błyskawiczne. Przeszli obok kolejnych regałów z workami i zatrzymali się przed workiem z przyczepioną wywieszką: *G. Tanner? Utonięcie.*

Mark rozejrzał się i obok zobaczył worek z wywieszką: *Nieznany. Zastrzelony.*

Kobieta chwyciła suwak zamka i wolno przesunęła w dół. Dojechała do wysokości klatki piersiowej i rozchyliła poły worka. Gordy miał martwe, szeroko otwarte oczy, jakby krzyczał z przerażenia w chwili uderzenia w wodę. Skóra była biała jak śnieg, ale najokropniejszy widok przedstawiał język: napęczniały, zwinięty i sterczący z ust. Na policzkach widać było otarcia, gęste blond włosy wydawały się jeszcze mokre.

Mark oparł się ręką o regał, Todd wymamrotał pod nosem „Kurwa” i zgiął się wpół, jakby miał zwymiotować.

– Czy to jest Gordon Tanner? – spytał obojętnym tonem Swayze.

Mark kiwnął głową, Todd odsunął się od regału.

Pracownica kostnicy ponownie zasunęła zamek i wzięła do ręki małą plastikową torebkę.

– Denat był bez butów, skarpetek, spodni i bielizny. Tylko tyle zostało z jego koszuli. Nic więcej nie ma.

– Dlatego nie byliśmy w stanie ostatecznie go zidentyfikować – wyjaśnił detektyw. – Sądziliśmy, że to on, ale nie miał przy sobie portfela, kluczyków, niczego. Przykro mi.

– Mnie też – powiedział Mark, mrużąc oczy. W niepojętym odruchu dotknął worka na wysokości kostek nóg i poklepał. – Mnie też – powtórzył.

Kobieta odprowadziła ich do wyjścia i wszyscy trzej wyszli do holu.

– I co dalej? – spytał Mark detektywa.

– Rodzina załatwiła już formalności. Przyjedzie po niego ktoś z tamtejszego zakładu pogrzebowego. Za parę godzin go zabiorą.

– Od nas już nic więcej?

– Nie. Dziękuję i raz jeszcze zapewniam, że bardzo mi przykro.

– Dziękuję panu.

Potem długo siedzieli z Zolą w poczekalni, pogrążeni w przeraźliwej ciszy.

– Chodźmy stąd – odezwał się w końcu Todd.

Po wyjściu na ulicę Mark się zatrzymał.

– Chyba muszę zadzwonić do Tannera – powiedział.

* * *

Przez resztę wtorku i całą środę Mark i Todd trzymali się blisko Zoli. Nie była w stanie chodzić do pracy i straciła swe dorywcze zajęcie w firmie księgowej, zresztą i tak była zatrudniona sezonowo. Gdy Todd musiał pójść na parę godzin do baru, dyżur przejmował Mark. Szli z Zolą na długi spacer po mieście, wstępowali do księgarni, stawali przed wystawami sklepowymi i grzali się przy kawiarnianych stolikach. Kiedy z kolei Mark jechał do Ness Skelton, Todd zabierał ją do kina. Noce spędzali u niej, choć zapewniała, że dobrze się czuje. Wiedzieli, że tak nie jest. Wszyscy troje czuli się okropnie, męczyły ich koszmary nocne i wzajemnie byli sobie potrzebni.

Do miasta zaczęli się zjeżdżać studenci i każdy chciał rozmawiać o Gordym, do czego trójka jego przyjaciół zupełnie się nie paliła. W czwartek po południu zorganizowano nawet wyjazd do domu pogrzebowego w Martinsburgu, jednak Mark, Todd i Zola postanowili w nim nie uczestniczyć.

Po powrocie w popularnym wśród studentów barze sportowym odbyło się coś w rodzaju stypy i cała trójka spędziła kilka godzin w gronie kolegów. Wyszli, gdy piwo zaczęło lać się strumieniami i zaczęto wznosić toasty za zdrowie Gordy'ego.

Mark z ulgą powitał wyniosłe milczenie ze strony Brendy. Nie chciał przemawiać na pogrzebie, zresztą było mało prawdopodobne, by go o to poproszono. Ani jego, ani Todda nie wyznaczono też do niesienia trumny, i to również ich ucieszyło. Wiedzieli, że sam udział w nabożeństwie będzie wystarczająco ciężkim przeżyciem. Zamierzali trzymać się na uboczu i w miarę możności obserwować wszystko z daleka. Przez chwilę zastanawiali się nawet, czy w ogóle nie zrezygnować z wyjazdu na pogrzeb, ostatecznie uznali jednak, że nie wypada.

W piątek Mark i Todd włożyli najlepsze garnitury, białe koszule, stonowane krawaty i skórzane półbuty – ich „mundurki do rozmów kwalifikacyjnych" – i pojechali po Zolę, która w długiej czarnej sukience wyglądała jak modelka. Dojechali do Martinsburga w półtorej godziny i znaleźli kościół, ładny budynek z czerwonej cegły z wielką ilością witraży. Przed wejściem zebrał się już spory tłum, na ulicy stał

zaparkowany karawan. O trzynastej trzydzieści weszli do kruchty i dostali od organizatora program uroczystości. Okładkę zdobiła ładna fotografia ich przyjaciela. Mark spytał organizatora o wejście na balkon, a ten wskazał prowadzące na górę schody. Na balkonie było jeszcze zupełnie pusto, więc mogli wybrać sobie miejsce na tylnej ławce w kącie, jak najdalej od pulpitu pastora.

Zola usiadła między nimi i wytarła policzki chusteczką.

– To wszystko moja wina – szepnęła i zaczęła płakać.

Nie próbowali jej uspokajać ani strofować. Niech żal znajdzie sobie ujście. Będzie jeszcze dużo czasu, by z nią o tym porozmawiać. Markowi i Toddowi też zbierało się na płacz, ale udało im się opanować.

Kościół był piękny w środku, nad pulpitem wznosił się wyłożony drewnem chór z wielkimi organami z boku. Na tylnej ścianie wisiał obraz Chrystusa na krzyżu, kolorowe witraże w bocznych oknach przepuszczały wystarczająco dużo światła. Po obu stronach głównej nawy stały ustawione łukiem ławki. Patrzyli z góry, jak ekipa odświętnie ubranych mężczyzn układa po

obu stronach pulpitu mnóstwo wieńców i wiązanki kwiatów.

Na ławkach szybko zabrakło miejsc i wkrótce zaczęły się zapełniać te na balkonie. Obie rodziny mieszkały w Martinsburgu od wielu pokoleń i oczekiwano tłumów. Do Marka powrócił jego zmyślony scenariusz, jak to mieszkańcy miasteczka dowiadują się, że jeden z ulubionych synów ich społeczności porzuca swą ukochaną z lat dziecinnych i ucieka z afrykańską muzułmanką. Porzuca wszystkich, którzy go znali. Jeszcze kilka dni temu brzmiało to zabawnie, teraz już nie. Na szczęście mieszkańcy Martinsburga nigdy się o tym nie dowiedzą. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, za jakieś cztery miesiące staliby z Toddem w tym samym kościele, byliby drużbami pana młodego i patrzyliby na kroczącą główną nawą Brendę. Zamiast tego kryli się teraz w ciemnym kącie balkonu, żegnali się z przyjacielem i unikali spotkania z jego rodziną.

Organistka zasiadła do instrumentu i zaczęła grać smętną pieśń żałobną, idealnie dobraną do okazji. Po paru minutach boczne drzwi się otworzyły i przy organach ustawili się członkowie chóru. Widać było, że pożegnanie Gordy’ego zaplanowano z całą pompą.

Uczestnicy pogrzebu wciąż dochodzili i wkrótce stali przy wszystkich ścianach. Na balkonie też zrobiło się tłoczno i trójka przyjaciół musiała się ścieśnić, by zrobić miejsce starszej parze. Punktualnie o czternastej za pulpitem stanął pastor, wielebny Gary Chester, którego nazwisko umieszczono w programie. Uniósł ręce, wszyscy wstali i główną nawą wtoczono trumnę, po której bokach kroczyło ośmiu mężczyzn wyznaczonych do niesienia. Za trumną szła sztywno wyprostowana Brenda, za nią państwo Tannerowie, za nimi reszta rodziny. Gordy miał starszego brata i nastoletnią siostrę, która ledwo trzymała się na nogach. Brat otaczał ją ramieniem i podtrzymywał. Gdy trumnę – na szczęście z zamkniętym wiekiem – ustawiono przed pulpitem i rodzina rozsiadła się na zarezerwowanych dla niej miejscach, wielebny Chester dał znak, by wszyscy usiedli.

Mark zerknął na zegarek. Dwanaście po drugiej. Jak długo to potrwa?

Wielebny skończył przydługą modlitwę, chór odśpiewał cztery zwrotki hymnu i organistka zagrała coś, co nie mogło zabrzmieć bardziej przygnębiająco. Gdy skończyła grać, kilka kobiet w kościele głośno szlochało. Brat Brendy podniósł się z miejsca, podszedł do mównicy

obok pianina i odczytał Psalm dwudziesty trzeci. Chester powrócił za pulpit i rozpoczął kazanie. Widać był tu już od dawna, bo dobrze znał Gordy'ego i wspominał chłopca grającego w futbol i baseball. Nie używając ani razu słowa „samobójstwo", rozwodził się nad tajemnicami śmierci i jej często zaskakującymi formami, zapewniając, że Bóg zawsze sprawuje kontrolę i ma wszystko zaplanowane. I choć nieraz kwestionujemy sens śmierci, zwłaszcza tragicznej, Bóg wie, co robi. Może któregoś dnia pojmiemy, dlaczego Gordy zrobił to, co zrobił, a może nigdy się tego nie dowiemy, ale Bóg jest najwyższym architektem naszego życia i śmierci i nasza wiara w Niego jest bezgraniczna.

Mowa Chestera podnosiła na duchu i brzmiała naprawdę profesjonalnie. Chwilami głos mu się załamywał, bo oczywiście też cierpiał. Mimo niewykonalności zadania dzielnie próbował wlać otuchę w zbolałe serca.

Jimmy Hasbro był najbliższym przyjacielem Gordy'ego z lat dzieciństwa. Mark i Todd zetknęli się z nim kilkakrotnie na imprezach towarzyskich i to on pierwszy wygłosił mowę pożegnalną. Gordy jako dziecko był zafascynowany wężami i lubił je hodować. Matka całkiem słusznie zakazała mu przynoszenia ich

do domu, ale to jego hobby tak naprawdę skończyło się dopiero wtedy, gdy mokasyn miedziogłowiec zatopił kły w jego prawym kolanie i lekarze rozważali nawet amputację nogi. Jimmy całkiem zgrabnie opowiedział tę historię i wywołał nawet parę chichotów wśród zebranych. W wieku chłopięcym ich ulubionym przedstawicielem prawa był stary szeryf, obecnie już nieżyjący, niejaki Durdin. Któregoś wieczoru zaginął radiowóz Durdina. Znaleziono go następnego dnia rano w stawie pod miastem. Nikt nie wiedział, jak się tam dostał, i nigdy nie udało się tego wyjaśnić. Aż do teraz. Z aktorskim zacięciem Jimmy opowiedział, jak Gordy „pożyczył" sobie radiowóz i na oczach Jimmy'ego wylądował nim w stawie. Cały kościół się roześmiał i ogólna wesołość trwała kilka minut. Cóż za idealny moment na rozwiązanie zagadki sprzed wielu lat!

Śmiech ucichł, Jimmy spoważniał i łamiącym się głosem pochwalił bezwzględną lojalność Gordy'ego, nazywając go uosobieniem „kumpla z okopów". Takiego, jakiego chce się mieć obok siebie, kiedy trzeba walczyć. Kogoś, kto zawsze osłoni ci plecy. Niestety, nie wszyscy przyjaciele Gordy'ego okazali się równie lojalni, bo gdy potrzebował ich najbardziej, kiedy cierpiał

i szukał pomocy, niektórzy z nich nie stanęli na wysokości zadania.

Mark wzdrygnął się i Zola złapała go za rękę, Todd rozejrzał się na boki. Wszyscy troje poczuli się tak, jakby dostali nagły cios zza węgła.

A więc to taka wersja obowiązuje w Martinsburgu! Gordy nie odpowiadał za własne czyny. Brenda nie odegrała żadnej roli w jego załamaniu. No skąd? To tylko koledzy ze studiów w Waszyngtonie go zawiedli.

Wszyscy troje siedzieli oniemiali, czując gniew i niedowierzanie.

Jimmy'emu w końcu zabrakło tchu i nie był w stanie dokończyć zdania. Ocierając oczy, zszedł z mównicy i wrócił na miejsce w trzecim rzędzie. Chór ponownie zaśpiewał, jakiś chłopak zagrał na flecie. Kolega Gordy'ego z college'u Washington and Lee wygłosił drugą mowę pożegnalną, w której nie było już oskarżycielskich tonów. Po pięćdziesięciu pięciu minutach uroczystości wielebny Chester zmówił końcową modlitwę i z kościoła wyruszył żałobny orszak. Przy dźwiękach organów niosący trumnę toczyli ją główną nawą, Brenda – teraz już głośno szlochając – ruszyła za nimi. Po kościele i nawet po balkonie przetoczyły się wybuchy płaczu.

Mark pomyślał, że nienawidzi pogrzebów. Bo właściwie czemu one służą? Są dużo lepsze sposoby pocieszania zrozpaczonej rodziny niż zbieranie jej w zatłoczonym kościele i zmuszanie do wysłuchiwania opowieści o zmarłym i głośnego szlochania.

– Zostańmy tu jeszcze chwilę, dobrze? – szepnął Todd.

Mark był za tym. Brenda i członkowie obu rodzin stali teraz pod kościołem i lejąc łzy i wzajemnie się pocieszając, patrzyli, jak trumnę z Gordym ładują do karawanu. Potem ruszą za nim na przykościelny cmentarz, by raz jeszcze się zgromadzić i uczestniczyć w opuszczaniu trumny do grobu, kolejnym szarpiącym nerwy ceremoniale. Trójka przyjaciół nie miała ochoty w tym uczestniczyć. Nie mówiąc o tym, że wśród żałobników będzie stał Jimmy Hasbro. Gdyby doszło między nimi do kontaktu wzrokowego, Mark mógłby nie zdzierżyć, zdzielić go pięścią i wywołać skandal.

Balkon szybko opustoszał, a oni, siedząc, przyglądali się, jak ta sama ekipa odświętnie ubranych mężczyzn zbiera wieńce i wiązanki kwiatów i wynosi je z kościoła, niewątpliwie po to, by ułożyć je na grobie. Kwiaty wyniesiono, kościół opustoszał, a oni wciąż siedzieli.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział cicho Mark. – Wszyscy winią nas.

– Sukinsyn – prychnął Todd.

– Proszę – jęknęła Zola. – Nie w kościele.

Przyglądali się, jak kościelny zbiera składane krzesełka koło pianina. W pewnej chwili uniósł głowę, dojrzał ich siedzących na balkonie i wyraźnie się zdziwił, ale bez słowa dokończył zadanie i wyszedł na zewnątrz.

– Chodźmy już stąd – rzucił w końcu Mark.

Rozdział 12

Był piątek po południu, kończył się kolejny smutny tydzień. Nie śpieszyło im się z powrotem do miasta i Todd wybrał jazdę wąskimi, bocznymi drogami przez Wirginię Zachodnią. Dojeżdżając do miasteczka Berryville, chłopcy uznali, że muszą się napić, i Todd zatrzymał samochód pod wiejskim sklepikiem przy drodze. Zola, która nie brała alkoholu do ust, zgodziła się poprowadzić, co robiła często podczas wspólnych wypadów z Gordym i jego kolegami. Mark kupił sześciopak piwa i napój owocowy dla niej.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

Siedzący obok niej Todd pokazał ręką drogowskaz.

– Tam jest napisane, że tędy do Front Royal. Byłaś kiedyś we Front Royal?

– Nie.

– No to jedźmy.

Otworzyli puszki i ruszyli. Po przejechaniu paru kilometrów Mark wetknął puszkę między nogi, sprawdził wiadomości w telefonie i znalazł mail z Ness Skelton.

– Co?! No, nie wierzę! – wrzasnął.

– Co się stało? – spytał zaskoczony Todd.

– Właśnie mnie wyrzucili! Zostałem zwolniony!

– Żartujesz? – prychnęła Zola.

– Dostałem mail od Everetta Bolinga… nie, przepraszam, od pana M. Everetta Bolinga, superpalanta i jednego z zarządzających wspólników w Ness Skelton. Posłuchajcie, co pisze: *Szanowny Panie Frazier. W dniu dzisiejszym nasza firma ogłosiła fuzję z londyńską firmą prawniczą O'Mara and Smith. Dla Ness Skelton stanowi to wielką szansę dalszego rozwoju i lepszej obsługi klientów, natomiast stawia naszą firmę przed koniecznością dokonania zmian personalnych. W tej sytuacji z żalem informuję, że zmuszeni jesteśmy wycofać propozycję zatrudnienia Pana w naszej firmie. Życzymy powodzenia w Pańskiej karierze zawodowej. Z poważaniem, M. Everett Boling.*

– Podoba mi się ich wyczucie czasu – mruknął Todd.

– Zostaję zwolniony, zanim w ogóle zacząłem pracę. Jesteście w stanie to pojąć?

– Bardzo ci współczuję – powiedziała Zola.

– No, ja też – dodał Todd. – Przykro mi, kolego.

– I nie chce im się nawet zrobić tego osobiście. Zwalniają mnie pieprzonym mailem.

– Naprawdę cię to dziwi? – spytał Todd.

– Oczywiście. A dlaczego miałoby nie dziwić?

– Bo to banda tandetnych lobbystów, którzy złożyli ci tandetną ofertę. Nie podali ci nawet wysokości wynagrodzenia i uzależnili zatrudnienie cię od zdania egzaminu adwokackiego. Nieraz słyszałem na własne uszy, jak mówiłeś, że nikomu z nich nie ufasz i nigdy nie czułeś się tam dobrze. Że to banda oszustów. To twoje słowa, nie moje.

Mark zaczerpnął głęboko powietrza, odłożył telefon, dopił piwo i zgniótłszy puszkę, rzucił ją na podłogę. Otworzył następną i pociągnął długi łyk. Todd też dopił swoją i wyciągnął rękę.

– Daj następną – zażądał. Otworzył puszkę i uniósł ją w geście toastu. – Zdrówko! – Stuknęli się puszkami.

Po przejechaniu kolejnych paru kilometrów Mark podniósł głowę.

– Właściwie to wcale nie chciałem tam pracować – oznajmił.

– I to mi się podoba – pochwalił go Todd i Zola zerknęła na niego w lusterku. – Byłbyś tam nieszczęśliwy. To banda gnojków, którzy nienawidzą swojej pracy. Sam tak mówiłeś.

– Wiem, wiem. Ale chciałbym zadzwonić do Randalla, mojego opiekuna, i posłuchać, jak jąka się i plącze.

– Jestem gotów się założyć, że nie odbierze telefonu. Zakładamy się?

– Nie opłaca mi się.

– Dajcie spokój – wtrąciła Zola. – Szkoda waszej energii.

– No właśnie, bo ostatnio jakoś mi jej brakuje – poparł przyjaciółkę Mark. – Mojemu nieudanemu braciszkowi grozi odsiadka, co może mu nawet wyjść na dobre, ale żal mi matki. Potem Gordy przegrywa swoją walkę, a my dostajemy baty za jego samobójstwo. Zwijają rodzinę Zoli i wsadzają do więzienia w oczekiwaniu na deportację. A teraz jeszcze to. I my mamy się jakoś z tego wszystkiego otrząsnąć i wrócić do szkoły na ostatni semestr, potem czekają nas dwa miesiące morderczej nauki do egzaminu adwokackiego, dzięki któremu będziemy mogli podjąć pracę za marne grosze i zacząć spłacać dług, co jest dużo bardziej niewykonalne, niż się wydaje, a i tak wydaje się

to zupełnie niemożliwe. Tak, Zola, kochanie, brakuje mi energii. A tobie nie?

– Jestem kompletnie skonana.

– No to jest nas troje – dodał Todd.

Zwolnili, przejeżdżając przez Boyce, i gdy miasteczko zostało już za nimi, Mark zapytał:

– Naprawdę wybieracie się w poniedziałek na zajęcia? Bo ja nie.

– Mówisz to już któryś raz – zauważyła Zola. – Ale jeśli nie pójdziesz na zajęcia, to co będziesz robił?

– Nie mam żadnego planu. Będę żył z dnia na dzień.

– Dobra, a co zrobisz, jak szkoła zacznie cię szukać? – spytał Todd.

– Nie będę odbierał telefonów.

– Wtedy skreślą cię z listy studentów i zawiadomią o tym tych od kredytu, a oni się na ciebie rzucą.

– A jak mnie nie znajdą? Jak zmienię numery telefonów i adres? W dwumilionowym mieście łatwo jest się zgubić.

– Słucham cię uważnie – powiedział Todd. – Czyli zaczynasz się ukrywać, tak? A co z pracą, zarobkami i innymi drobiazgami?

– Myślałem o tym. – Mark pociągnął solidny łyk piwa. – Może znajdę sobie pracę w barze,

oczywiście za gotówkę z ręki do ręki. Może jako kelner w knajpie. Albo wyspecjalizuję się w sprawach jazdy po alkoholu, jak ta gnida, którą poznaliśmy w piątek w areszcie. Jak on się nazywał?

– Darrell Cromley – przypomniała Zola.

– Założę się, że gość wyciąga sto kawałków rocznie od zatrzymanych za jazdę pod wpływem. Gotówką z ręki do ręki.

– Ale przecież nie masz licencji – wtrąciła Zola.

– A czy ktoś poprosił tego Cromleya o pokazanie licencji? Oczywiście, że nie. Powiedział, że jest adwokatem, na wizytówce stało adwokat, więc założyliśmy, że ma licencję. Równie dobrze mógł być chałturzącym sprzedawcą używanych samochodów.

– A jak będziesz musiał stanąć przed sądem?

– Byłaś kiedyś w miejskim sądzie? Bo ja tak i wiem, że to prawdziwy cyrk. Kręcą się tam setki takich cwaniaczków jak Darrell Cromley i wyciągają forsę od naiwniaków, którym przydarzyła się wpadka, po czym zaglądają na chwilę do sali sądowej, gdzie siedzi znudzony sędzia i przysypia. I tak jak wszyscy, sędzia i jego urzędnicy też zakładają, że te łajzy w poliestrowych garniturach są naprawdę

adwokatami. Przecież w tym mieście jest sto tysięcy prawników i nikt ich nigdy nie pyta: „Czy ty aby na pewno jesteś adwokatem? Pokaż no mi swoją licencję”.

– Coś mi się zdaje, że to piwo za bardzo ci poszło do głowy – mruknął Todd.

Mark tylko uśmiechnął się do Zoli.

Rozdział 13

Pierwszy dzień zajęć w wiosennym semestrze miał zapach pieniędzy. Departament Edukacji przekazywał w tym dniu na konto Foggy Bottom po dwadzieścia dwa tysiące pięćset dolarów od studenta za naukę plus dodatkowo dziesięć tysięcy na koszty utrzymania. Szkoła bezzwłocznie przekazywała większość otrzymanej kwoty na konto właścicieli w Baytrium Group, po czym wystawiała czeki poszczególnym studentom. Biura kwestury były w tym dniu oblegane przez żądnych kasy studentów, którzy ustawiali się w długie kolejki.

Mark i Todd nie poszli na zajęcia i zjawili się w kwesturze pod koniec dnia tuż przed siedemnastą, po czym z dwudziestoma tysiącami dolarów w kieszeniach zajrzeli do nowo odkrytej speluny Pod Kogutem. Bar mieścił się przy Florida Avenue w rejonie U Street, wystarczająco daleko od Foggy Bottom. Zajmował parter

trzypiętrowego budynku, który – choć pomalowany na jaskrawoczerwony kolor – nie przyciągał większej uwagi. Bar i cały budynek należał do szefa Todda, właściciela Starego Rudego Kota i dwóch innych lokali w mieście, bukmachera nazywanego przez wszystkich Maynardem. Maynard uległ prośbom Todda i zgodził się przenieść go z Kota do Koguta, a także zatrudnić w nim Marka, który przedstawił się jako specjalista od koktajli. Mieli obsługiwać bar wieczorami i w weekendy, co w uzupełnieniu do dziennej pracy powinno znacznie poprawić ich sytuację finansową. Oczywiście nadal wisiało nad nimi ogromne zadłużenie, ale nie zamierzali nic w tej sprawie robić.

Bar Pod Kogutem wyglądem i atmosferą kojarzył się z tradycyjną „knajpą z sąsiedztwa". Większość bywalców składała się z pracowników biur i instytucji państwowych, którzy albo mieszkali w pobliżu, albo wstępowali na drinka przed powrotem do domu, by przeczekać najgorsze korki. Dla niektórych przeczekiwanie rozciągało się w czasie i trwało po kilka godzin. Szeroki, półokrągły kontuar baru był wyłożony polerowanym mahoniem i ozdobiony mosiężnymi wstawkami. Codziennie około

siedemnastej oblegali go korzystający z happy hour przedstawiciele średniego szczebla urzędniczego, którzy z drinkami w rękach oglądali Fox News, racząc się barowymi przekąskami po rozsądnych cenach.

Mark i Todd spędzali dużo czasu w narożnym boksie, popijając piwo z beczki, ogryzając skrzydełka kurczaka i obmyślając najbliższe ruchy.

We wtorek też nie poszli na zajęcia; spędzili dzień na wyszukiwaniu w internecie budzącego zaufanie fałszerza, który pomoże im zmienić tożsamość. Znaleźli w Bethesdzie „konsultanta ds. bezpieczeństwa", który w garażu zamienionym na warsztat zrobił panom Markowi Upshawowi i Markowi Finleyowi, dawniej znanym jako Mark Frazier, idealnie podrobione prawa jazdy – jedno wydane w Dystrykcie Kolumbii, drugie w Delaware – a panom Toddowi Lane'owi i Toddowi McCainowi, dawniej znanym jako Todd Lucero, jedno wydane w Dystrykcie Kolumbii i drugie w Marylandzie. Zapłacili gotówką po dwieście dolarów od łebka, a fałszerz zaproponował im równie perfekcyjnie podrobione paszporty po pięćset dolarów sztuka, ale obaj podziękowali.

Mieli ważne paszporty i nie planowali, przynajmniej na razie, wyjazdów z kraju.

Na nowe nazwiska kupili telefony komórkowe z nowymi numerami. Stare zachowali, by wiedzieć, czy ktoś ich nie szuka. Ze sklepu z telefonami pojechali do zakładu poligraficznego, gdzie zamówili wizytówki i papier firmowy swojej nowej firmy o nazwie Upshaw, Parker & Lane, adwokaci. Nowe nazwiska, nowe numery telefonów, nowe życie. Jako adres firmy podali Florida Avenue 1504, gdzie mieścił się bar Pod Kogutem.

Opuścili zajęcia w środę i podczas gdy inni lokatorzy Coop przebywali na uczelniach i w budynku nie było nikogo, spakowali swój dobytek – ubrania, trochę książek, a nawet kilka garnków, patelni i talerzy – i bez słowa się wynieśli. Zalegali już z czynszem za styczeń i wiedzieli, że gospodarz będzie próbował go wyegzekwować, lecz byli pewni, że napotka zasadnicze trudności z ich znalezieniem. Wprowadzili się do zapyziałego trzypokojowego lokalu na najwyższym piętrze nad barem Pod Kogutem, prawdziwej nory, która przez ostatnie kilkadziesiąt lat musiała służyć za podręczny magazyn. Zaproponowali Maynardowi, że zamiast płacić czynsz, będą go odrabiali w barze,

oczywiście bez wpisywania do ksiąg. Maynardowi propozycja się spodobała.

Mieszkanie nie budziło w nich entuzjazmu, ale jeszcze mniej przemawiało do nich płacenie wysokiego czynszu czy opędzanie się przed atakami wierzycieli. Jeśli mieszkanie w szczurzej norze mogło zapewnić im na parę miesięcy spokój od windykatorów, Mark i Todd byli w pełni za. Kupili dwa łóżka, kanapę, parę krzeseł, tani komplet do jadalni i parę drobiazgów, wszystko w sklepie ze starzyzną obok schroniska dla bezdomnych.

Postanowili przestać się golić i zapuścić brody. Jako rzetelni studenci prawa i tak rzadko się golili, bo modny był odpowiednio niechlujny wygląd, teraz jednak zarost miał im zapewnić dodatkowy kamuflaż.

W środę po południu wybrali się po raz pierwszy w okolice Judiciary Square, gdzie znajduje się kilka sądów, nad którymi dominuje zbudowany w stylu lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku ogromny betonowy gmach Sądu Dystryktu Kolumbii, gdzie rozpatrywane są wszelkie sprawy natury kryminalnej. To istny labirynt sal rozpraw na sześciu kondygnacjach z korytarzami zawsze pełnymi prawników krążących między różnymi salami i podsądnych

kręcących się nerwowo w towarzystwie rodzin. Sąd jest otwarty dla publiczności, wstęp na rozprawy jest bezpłatny i łatwy, oczywiście po obowiązkowym przejściu przez wykrywacz metali i skaner ciała. Mark i Todd zaczęli krążyć po salach, przyglądając się rozprawom z udziałem ław przysięgłych i przesłuchaniom wstępnym z udziałem aresztantów w więziennych kombinezonach; podczas tych drugich sędziowie pobieżnie sprawdzali dokumentację i odsyłali obwinionych z powrotem do aresztu. Przyjaciele przyglądali się rozpatrywaniu wniosków dowodowych, podczas których prokuratorzy i obrońcy z urzędu handryczyli się o każdy drobiazg; studiowali wywieszone przed salami rozpraw wokandy i zbierali wszystko, co się dało, z dokumentacji. Krążyli po korytarzach, obserwując zachowanie prawników wobec wystraszonych podsądnych. I ani razu nie słyszeli, by ktokolwiek pytał ich o uprawnienia adwokackie. Nie natknęli się na nikogo znajomego.

Tego wieczoru do dziesiątej serwowali drinki i podawali jedzenie Pod Kogutem, potem wycofali się do nory na górze i przez następnych kilka godzin rozgryzali zawiłości systemu sądowniczego w Dystrykcie Kolumbii. Widzieli

swoją przyszłość w prawie karnym, przede wszystkim dlatego, że w tych sprawach klienci mogli płacić honoraria gotówką i nie mieli powodu odwiedzać ich w kancelarii. Wszelkie rozmowy z klientami dałoby się prowadzić w murach sądu lub aresztu, tak jak to robił Darrell Cromley.

W czwartek po raz kolejny opuścili zajęcia, za to otworzyli nowe rachunki bieżące w banku. W Dystrykcie Kolumbii działało sześć oddziałów banku Swift, Mark wybrał ten w pobliżu Union Station, otworzył konto na nazwisko Upshaw i wpłacił pięćset dolarów. Todd Lane zrobił to samo przy Rhode Island Avenue. Wspólnie odwiedzili jeszcze jeden oddział przy Pennsylvania Avenue i otworzyli konto na kancelarię prawną Upshaw, Parker & Lane, podając zmyślony numer identyfikacji podatkowej. Czwartkowe popołudnie ponownie spędzili w sądzie, podpatrując sztuczki prezentowane na arenie sądowego cyrku.

W piątek też opuścili zajęcia i praktycznie przestali myśleć o Foggy Bottom. Doszli do wniosku, że nie chcą więcej widzieć tego miejsca, i już samo to brzmiało podniecająco.

Wezwanie wystawione Gordy’emu po jego wpadce alkoholowej wymagało stawienia się

w sali rozpraw sto siedemnaście w gmachu Sądu Dystryktu Kolumbii w piątek o godzinie trzynastej. O dwunastej czterdzieści pięć Mark i Todd zjawili pod wyznaczoną salą, udając mocno podenerwowanych. Pod drzwiami zbierał się tłumek wezwanych w podobnych sprawach; Mark wiercił się nerwowo z wezwaniem w ręce i wyglądał na człowieka potrzebującego pomocy. Obaj z Toddem byli w dżinsach, na nogach mieli sportowe buty i wyglądali odpowiednio flejtuchowato, Mark dodatkowo zaopatrzył się w firmową czapeczkę producenta maszyn rolniczych, Johna Deere'a. Chwilę potem zjawił się facet z teczką i bez pudła ich wypatrzył.

– Jesteś tu za jazdę na gazie? – zwrócił się do Marka.

– Tak, proszę pana. Pan może jest adwokatem?

– Mhm. Masz już adwokata?

– Nie, proszę pana.

– Pokaż mi swoje wezwanie.

Mark podał wezwanie Gordy'ego, prawnik je przeczytał, zrobił zatroskaną minę i wyciągnął z kieszeni wizytówkę, z której wynikało, że nazywa się Preston Kline i jest adwokatem.

– W takiej sprawie musisz mieć adwokata – oświadczył. – Moje honorarium wynosi tysiąc

dolców w gotówce.

– Naprawdę aż tyle?! – wykrzyknął ze zdumieniem Mark.

Z boku podszedł Todd i stanął obok niego.

– Jestem jego kumplem – przedstawił się.

– To wyjątkowo tanio, synu. A w ten sposób możesz zaoszczędzić kupę kasy. Jeśli uznają cię za winnego, stracisz prawko na rok, ale nim to nastąpi, posiedzisz trochę w pierdlu. Myślę, że mnie udałoby się uzyskać wyrok w zawieszeniu.

Kline nie dorównywał śliską gładkością Darrellowi Cromleyowi, ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

– Przy sobie mam tylko czterysta gotówką – powiedział Mark. – Resztę mógłbym zorganizować później.

– Może być, ale całość muszę dostać przed rozprawą.

– Jaką rozprawą?

– Dobra, wejdziemy tam i staniemy przed sędzią. Nazywa się Cantu i jest prawdziwym skurwielem. Mówienie zostaw mnie, w ogóle bez mojej zgody się nie odzywaj. Cantu powie, co ma do powiedzenia, takie tam formalne pieprzenie, a ty się nie przyznasz do winy. Wtedy on wyznaczy termin rozprawy za jakiś miesiąc, i to da mi czas na ustawienie wszystkiego.

Rozumiem, że naprawdę wydmuchałeś jeden i jeden promila, tak?

– Tak, proszę pana.

– Masz te czterysta dolców?

Mark sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze i wręczył Kline'owi cztery banknoty po sto dolarów, a ten niemal wyszarpnął mu je z dłoni.

– Chodźmy do środka i załatwmy sprawę papierkową.

– Ja też mogę z wami? – spytał Todd.

– Jasne, cyrk jest otwarty dla wszystkich.

Na miejscach dla publiczności siedziało kilkanaście osób, koło barierki kręciło się paru prawników. Kline posadził Marka na krześle w pierwszym rzędzie i wyjął z teczki plik papierów.

– To umowa o świadczenie usług prawniczych – powiedział, wpisując kwotę tysiąca dolarów. – I jednocześnie twój weksel na brakującą sumę. Przeczytaj, wpisz nazwisko i adres i podpisz na dole.

Mark wziął do ręki długopis i wpisał nazwisko Gordon Tanner i dawny adres przyjaciela. Obaj z Toddem liczyli na to, że nikt nie skojarzy nazwiska z samobójcą z mostu, o którym pisała prasa, podobnie jak mieli nadzieję, że żaden z urzędników nie wpadł na pomysł, by usunąć

nazwisko Gordy’ego z listy obwinionych o jazdę po alkoholu. Gdyby się okazało, że jednak się mylili, i zaczęto by Marka wypytywać, zamierzali po prostu wyjść. Czy może raczej zwiać.

Przeczytał umowę, próbując jak najwięcej z niej zapamiętać, i oddał ją Kline’owi.

– Dużo ma pan takich spraw? – spytał.

– Mnóstwo – odparł z zadowoleniem adwokat, jakby sprawy sądowe były jego chlebem powszednim.

– Bo mój brat wdał się w bójkę na meczu Capsów i grozi mu sprawa o pobicie. Takimi rzeczami też się pan zajmuje?

– Pewno. Zwykłe pobicie czy napaść rozbójnicza?

– Chyba pobicie. Ile pan za to bierze?

– Tysiąc dolców, jeśli się przyzna. Jeśli sprawa trafi do sądu, to dużo więcej.

– I może pan tak to załatwić, żeby go nie wsadzili?

– Jasne, nie ma problemu. Jeśli się przyzna do zakłócenia spokoju, wyjdzie wolny. Potem, za kolejny tysiąc, mogę doprowadzić do zatarcia sprawy w jego papierach… jeśli nie ma już w nich czegoś innego.

– Dziękuję, przekażę mu.

O trzynastej sędzia Cantu zajął miejsce za stołem i wszyscy wstali. Procedura ruszyła i osoby obwinione o jazdę po alkoholu były kolejno wyczytywane przez urzędniczkę i przechodziły przez bramkę w barierce. Tylko mniej więcej połowie towarzyszyli prawnicy, każdemu po kolei zadawano pytanie, czy przyznaje się do winy. Odpowiadający twierdząco dostawali od oskarżyciela formularz z poleceniem wypełnienia pustych pól, nieprzyznającym się do winy wyznaczano termin rozprawy w lutym.

Mark i Todd obserwowali pilnie każdy ruch i starali się zapamiętać każde słowo. Wiedzieli, że niedługo wiedza ta im się przyda.

Gdy wyczytano nazwisko Gordona Tannera, Kline kazał Markowi zdjąć czapkę, podprowadził go do stołu sędziowskiego i obaj spojrzeli na siedzącego za nim człowieka.

– Witam, panie Kline – powiedział sędzia Cantu.

Mark i Todd od dwudziestu minut go obserwowali i uznali, że zachowuje się jak Święty Mikołaj. Dla każdego stającego przed nim miał uśmiech i ciepłe słowo i choć sprawy tego typu nie cieszyły się uznaniem w kręgach

sędziowskich, Cantu sprawiał wrażenie w pełni zadowolonego ze swego losu.

– Pierwsze wykroczenie? – spytał.

– Tak, panie sędzio – odparł Kline.

– Współczuję. – Cantu przypatrywał się Markowi, który czuł w żołądku gulę wielkości kuli do kręgli i tylko czekał, aż ktoś, na przykład jeden z asystentów oskarżyciela, wykrzyknie: „Zaraz, ja pamiętam to nazwisko! Ale zdawało mi się, że on skoczył z mostu”. Nic takiego jednak się nie stało.

– Chciałbym zobaczyć pańskie prawo jazdy, panie Tanner? – powiedział sędzia.

Mark skrzywił się.

– Zgubiłem portfel, Wysoki Sądzie. Dokumenty, karty kredytowe, wszystko.

– No cóż, prawo jazdy i tak się panu na nic nie zda. Rozumiem, że nie przyznaje się pan do winy.

– Nie przyznaje się, Wysoki Sądzie – wtrącił szybko Kline.

Sędzia coś zapisał w paru miejscach, po czym oświadczył:

– Dobrze, wyznaczam termin rozprawy na czternasty lutego. Akurat na walentynki. – Uśmiechnął się, jakby powiedział coś dowcipnego.

Kline przejął od niego kilka kartek.

– Dziękuję, panie sędzio. Do zobaczenia w lutym.

Wycofali się sprzed ławy sędziowskiej i już mieli wyjść z sali, gdy Mark nachylił się do ucha adwokata i szepnął:

– Mógłbym tu jeszcze zostać i poprzyglądać się innym sprawom?

– Jeśli nie masz nic lepszego do roboty.

Kline wyszedł, a Mark i Todd usiedli w tylnym rzędzie dla publiczności.

– Czyli tak się załatwia sprawy jazdy po pijaku – szepnął Todd. – Łatwizna.

Ruch na sali trwał, wchodziły kolejne osoby z zarzutami, same lub w towarzystwie adwokatów. Po dziesięciu minutach na salę wszedł Kline z następnym klientem, pewnie chwilę wcześniej złowionym na korytarzu.

Przez następną godzinę Mark i Todd obserwowali procedurę, po czym wyszli z budynku. Z wizytówki Kline'a wynikało, że jego kancelaria mieści się przy E Street, niedaleko Sądu Dystryktu Kolumbii. Przeszli trzy przecznice i odnaleźli podany adres. Był to trzypiętrowy budynek, najwyraźniej przejęty we władanie przez prawników. Na liście lokatorów przy drzwiach wejściowych znajdowało się kilkanaście nazw kancelarii prawnych i parę

indywidualnych nazwisk. Z listy wynikało, że Kline należy do tej drugiej grupy. Mark został na korytarzu, a jego przyjaciel wszedł do ciasnego pomieszczenia recepcyjnego, w którym za wielkim biurkiem siedziała wychudzona kobieta. Podniosła głowę znad papierów i bez uśmiechu spytała:

– Mogę w czymś pomóc?

– Hm… tak, oczywiście, szukam mecenasa Prestona Kline'a – odparł Todd, rozglądając się po pomieszczeniu. Brzeg biurka zajmował rząd przegródek z nazwiskami prawników, w których lądowała korespondencja i kartki z wiadomościami telefonicznymi.

– Jest pan jego klientem?

– Może. Ktoś mi go polecił jako dobrego obrońcę w sprawach karnych.

– Jest teraz w sądzie. Ale mogę zapisać pańskie nazwisko i numer telefonu. Oddzwoni do pana, jak wróci.

– I tu się mieści jego kancelaria?

– Tak, na pierwszym piętrze. A co?

– Mógłbym zobaczyć się z jego wspólnikiem lub z którymś z pracowników? Muszę z kimś porozmawiać.

– Pan Kline pracuje sam. Jestem jego sekretarką.

Todd jakby się zawahał i niepewnie rozejrzał.

– No dobrze. Mam numer, zadzwonię do niego później. Dzięki.

Wyszedł, zanim zdołała zareagować.

– Dokładnie tak, jak myśleliśmy – powiedział, gdy razem z Markiem ruszyli ulicą. – Facet biuro ma w kieszeni. Na pierwszym piętrze wynajmuje jakąś klitkę, ale nie ma żadnych pracowników. Kobieta na dole przyjmuje telefony do niego i wielu innych. Najprymitywniejszy układ, jaki można sobie wyobrazić.

– To mi się podoba – rzucił Mark. – Czyli brakuje nam już tylko sekretarki.

Rozdział 14

Zola poszła w poniedziałek na zajęcia, ale czuła się na nich tak podle, że po pierwszych zrezygnowała. Zajęcia z praw ludzi starszych należały do grupy bezużytecznych tematów opcjonalnych, chętnie wybieranych przez studentów trzeciego roku, którzy dobiegali już do mety. Wybrali je razem z Gordym i zamierzali uczęszczać na nie na zmianę, dzieląc się notatkami i licząc na piątkę lub co najmniej czwórkę na egzaminie końcowym. Grupa studentów uczestniczących w zajęciach była nieliczna, zaledwie około dwudziestu osób, i gdy miejsce obok niej po prawej pozostało puste, nie mogła się uwolnić od myśli o Gordym. Powinien tu siedzieć.

Kiedy we wrześniu ubiegłego roku zaczęli się spotykać, oboje zachowywali ostrożność. Gordy był powszechnie lubianym studentem o silnej osobowości i zwracał na siebie uwagę. Zola nie

była pierwszą dziewczyną, którą się zainteresował, ale z całą pewnością pierwszą czarną. Przyjaciele obojga wiedzieli, że w domu czeka na niego poważna kandydatka do małżeństwa, która jest o niego zazdrosna i lubi wpadać do Waszyngtonu na kontrolę. Zola i Gordy byli ostrożni, ale z czasem ich związek został zauważony i wiadomości o nim się rozeszły.

Profesor zaczął wykład od paru smutnych słów o tragedii pana Tannera i kilka osób obrzuciło Zolę spojrzeniami. Z wykładu dotarło do niej niewiele więcej i nie mogła się doczekać końca, ale nie omieszkała wpaść do kwestury po należny jej czek na dziesięć tysięcy dolarów. Wpłaciła go na konto w banku, opatuliła się ciepło i ruszyła w miasto. Kiedy zaczął zapadać zmrok, weszła do Narodowej Galerii Portretu i spędziła tam trochę czasu.

Podczas studiów w Foggy Bottom znajdowała sobie dorywcze zajęcia w różnych miejscach, a ponieważ żyła oszczędniej niż większość jej ubogich kolegów, nie piła alkoholu, rzadko imprezowała i korzystała z transportu publicznego, udało jej się sporo zaoszczędzić. Dwadzieścia tysięcy dolarów, które dostawała od państwa na roczne utrzymanie, aż nadto jej

wystarczało i na początku ostatniego semestru miała na koncie oszczędnościowym szesnaście tysięcy dolarów, o których nikt poza nią nie wiedział. Akurat na bieżące wydatki w Dystrykcie Kolumbii, ale w Senegalu to wielka fortuna. Jeśli jej rodzice i brat zostaną w końcu deportowani, te pieniądze mogą się okazać kluczowe dla ich przetrwania. Łapownictwo w tamtym kraju kwitło i choć z przerażeniem myślała o wyjeździe do Senegalu i możliwości, że zatrzymają ją tam wbrew jej woli, wiedziała, że może nadejść taki dzień, kiedy będzie musiała pośpieszyć rodzicom z pomocą w postaci możliwie jak największej sumy pieniędzy. Więc uparcie oszczędzała, nie myśląc nawet o własnym zadłużeniu.

Od rodziców nie miała żadnych wieści. Korzystanie z telefonu w obozie przejściowym było ściśle reglamentowane, ale ojciec był pewien, że pozwolą mu ją zawiadomić, gdy nadejdzie moment opuszczenia obozu i wyjazdu do Senegalu. Przepisy dotyczące deportacji wciąż się zmieniały i wszystko było możliwe, lecz Zola – nie bardzo wiadomo, na jakiej podstawie – trwała w przekonaniu, że jej rodzina wciąż jest w Stanach. Nie wiedziała też, co gorsze: być więźniem w federalnym obozie przejściowym

czy wolnym w Dakarze? Oba scenariusze nie zostawiały strzępka nadziei na przyszłość. Zdawała sobie sprawę, że jej rodzinie nigdy nie pozwolą wrócić do Newark, a ciężka praca, z której rodzice żyli przez ostatnie dwadzieścia sześć lat, trafi w ręce innych nielegalnych imigrantów. I cykl ten będzie się powtarzał, bo ktoś to musiał robić, a rodowici Amerykanie się do tego nie garnęli.

Kiedy nie tęskniła za Gordym i nie obwiniała się o jego śmierć, martwiła się o rodzinę, która znalazła się w tak przerażającej sytuacji. A jeśli jakimś cudem udawało jej się przez chwilę nie myśleć o jednym czy drugim, opadały ją wątpliwości co do własnej przyszłości. Nic więc dziwnego, że ponure i zimne styczniowe dni były tłem staczania się Zoli w coraz głębszy dołek psychiczny.

Po dziesięciu dniach mieszkania praktycznie pod jednym dachem z Toddem i Markiem potrzebowała trochę swobody. Obaj opuszczali zajęcia i zarzekali się, że już nigdy nie wrócą do Foggy Bottom. Od czasu do czasu kontaktowali się z nią SMS-ami, ale wyglądało na to, że mają teraz ważniejsze sprawy na głowie.

We wtorek przed południem usłyszała hałasy dochodzące z mieszkania po drugiej stronie

korytarza i domyśliła się, że państwo Tannerowie wynoszą pudła z rzeczami Gordy'ego. W pierwszym odruchu pomyślała, żeby wyjść i złożyć kondolencje, ale w końcu dała spokój. Pan Tanner i brat Gordy'ego przez godzinę krążyli tam i z powrotem, znosząc rzeczy do wynajętej bagażówki. Współczując im tego przykrego zadania, słuchała przez szparę w drzwiach, jak się kręcą. Po ich odjeździe otworzyła zapasowym kluczem drzwi i obeszła mieszkanie Gordy'ego. Zostały w nim należące do właściciela stare meble.

Zola usiadła na kanapie i zdrowo sobie popłakała.

Dwa razy – za każdym razem bardzo niefortunnie – usnęła na tej kanapie, co pozwoliło Gordy'emu wydostać się z mieszkania i ruszyć w noc. Dławiło ją z tego powodu ogromne poczucie winy.

W środę ubrała się na zajęcia i już miała wyjść, gdy zadzwonił ojciec. Nadal siedzieli w obozie i na razie nikt nie pisnął ani słowa o deportacji. Od jej wizyty nic się nie zmieniło. Ojciec starał się rozmawiać beztrosko, co w jego sytuacji było nie lada wyczynem. Zola próbowała odszukać rodzinę w Senegalu, żeby ją uprzedzić i poprosić o pomoc, ale jak dotąd bezskutecznie.

Po dwudziestu sześciu latach bez bliższych kontaktów trudno było liczyć na radosne powitanie w rodzinnych stronach. W dodatku rodzice nie wiedzieli, kiedy to może nastąpić, więc zaplanowanie czegokolwiek było praktycznie niemożliwe. Zdaniem ojca, większość rodziny już lata temu wyemigrowała z kraju, a ci, którzy zostali, mieli dość własnych problemów i trudno było liczyć na ich współczucie.

Rozmawiali dwadzieścia minut i kiedy w końcu odłożyła słuchawkę, była znów załamana. W tej sytuacji pójście na zajęcia wydawało się czymś niezmiernie błahym. Chodziła na nie w rezultacie zupełnie nietrafionego marzenia o zostaniu prawniczką i o podjęciu walki o ochronę rodziny i innych imigrantów. Teraz z tego marzenia nic już nie zostało i wszystko się rozwiało.

Skompletowała całą biblioteczkę o problemach i procedurach imigracyjnych, spędziła wiele godzin na czytaniu w internecie artykułów i blogów oraz publikacji urzędowych. Nawiązała kontakty z kilkoma grupami walczącymi o prawa człowieka i paroma doradcami prawnymi z tej dziedziny. Jeden aspekt sprawy spędzał jej sen z powiek: ludzie

z urzędu imigracyjnego w swych dość chaotycznych próbach wyszukiwania i deportowania imigrantów popełniali błędy. Dysponowała całą dokumentacją przypadków, kiedy pełnoprawni amerykańscy obywatele bywali aresztowani i odsyłani do innych krajów. I niemal zawsze dochodziło do tego po zatrzymaniu i osadzeniu ich rodzin w obozie przejściowym.

Samotna, bezbronna i z rodziną trzymaną w obozie, znów zaczynała ze strachem nasłuchiwać pukania do drzwi.

W czwartek ubrała się w najlepsze ciuchy i udała na rozmowę kwalifikacyjną do Departamentu Sprawiedliwości, w którym ogłoszono nabór na szereg stanowisk. Liczba kandydatów była jednak ogromna i już samo zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną okazało się sukcesem. Proponowana pensja w wysokości czterdziestu ośmiu tysięcy dolarów rocznie nie spełniała jej marzeń sprzed trzech lat, ale ówczesne marzenia już dawno trafiły do świata fantazji.

Władze federalne opracowały program oddłużenia tych młodych prawników, którzy zdecydują się na pracę w sektorze publicznym. Program przewidywał, że studenci podejmujący

pracę w jakiejkolwiek instytucji państwowej lub samorządowej, w organach władzy federalnej lub w wyznaczonych organizacjach non profit, będą przez dziesięć lat spłacali zadłużenie w wysokości zaledwie dziesięciu procent rocznych zarobków, a reszta długu zostanie umorzona. Program dla części studentów, szczególnie z uczelni takich jak Foggy Bottom, brzmiał atrakcyjnie, zwłaszcza w związku z zastojem na prywatnym rynku pracy. Większość wolała pracować w instytucjach o profilu prawniczym, ale często się zdarzało, że absolwenci podejmowali pracę nauczycielską lub wstępowali do Korpusu Pokoju.

Rozmowy kwalifikacyjne odbywały się w podziemiach biurowca przy Wisconsin Avenue, daleko od siedziby Departamentu Sprawiedliwości, mieszczącego się w pobliżu Białego Domu. Gdy Zola zjawiła się na miejscu, mała poczekalnia pękała w szwach od studentów trzeciego roku, z których część znała z zajęć w Foggy Bottom. Pobrała numerek i stała, aż zwolniło się krzesło. Czekanie tak się przeciągało, że była już niemal gotowa zrezygnować, gdy wreszcie wywołano jej numerek. Urzędas z Departamentu Sprawiedliwości przeprowadził

z nią piętnastominutową rozmowę i Zola z trudem dotrwała do końca.

Poczucie braku stabilności w życiu wykluczało jej podjęcie dziesięcioletniego zobowiązania.

Rozdział 15

Na piątkową kolację umówili się w barze Pod Kogutem, w lokalu, o którym nigdy w życiu nie słyszała, ale Todd jej wytłumaczył, że chcą ją z Markiem specjalnie ugościć. Kiedy się tam zjawiła, wystarczył jeden rzut oka, by wiedzieć, że coś jest nie tak. Czekali na nią w narożnym boksie, obaj w nowych garniturach, obaj zapuszczający brody, obaj w dziwnych nowych okularach. Mark miał okrągłe szkła w szylkretowej oprawce, Todd wąskie okularki bez oprawki w stylu europejskim.

Usiadła naprzeciwko nich i obrzuciła ich wzrokiem.

– Dobra, co jest grane? – rzuciła.

– Byłaś w tym tygodniu na zajęciach? – zagaił Todd.

– Próbowałam chodzić. Przynajmniej się starałam. Ale was jakoś nie zauważyłam.

– Rzuciliśmy studia i gorąco to polecamy – odparł Mark.

– To wspaniałe uczucie, Zola – dodał Todd. – Koniec ze szkołą. Koniec z martwieniem się o egzamin adwokacki.

– No proszę – powiedziała. – I skąd te garnitury?

Kelner przyjął zamówienie na drinki: piwo dla nich, napój owocowy dla niej.

– To część naszego nowego wizerunku – wyjaśnił Mark. – Jesteśmy teraz prawnikami całą gębą i musimy odpowiednio wyglądać, choć w naszej specjalności nie możemy być zbyt eleganccy. Jak wiesz, adwokaci od jazdy po pijaku rzadko trafiają na okładkę „Gentlemen's Quarterly".

– Rozumiem. A kto może być aż tak zdesperowany, żeby was zatrudnić?

– Działamy pod swoim szyldem. Mamy własną firmę. Klinika Prawnicza Upshaw, Parker and Lane – oświadczył Todd, wręczając jej wizytówkę z nazwą firmy, adresem i numerem telefonu.

Przyjrzała się jej i chwilę się zastanawiała.

– Nabijacie się ze mnie, tak? – odezwała się w końcu.

– Jesteśmy śmiertelnie poważni – odparł Mark. – I prowadzimy rekrutację.

Westchnęła głęboko i uniosła obie ręce w geście poddania.

– Dobra. O nic więcej nie pytam. Mówcie, co jest grane, albo wychodzę.

– Nigdzie nie wychodzisz – powiedział z naciskiem Todd. – Wyprowadziliśmy się z naszych mieszkań, zrezygnowaliśmy ze studiów, zmieniliśmy nazwiska i znaleźliśmy sposób na zarobienie paru dolców. Będziemy udawać adwokatów, łowić ofiary w sądach karnych, za pieniądze, oczywiście tylko w gotówce, i uwijać się jak w ukropie, żeby nie dać się złapać.

– Nie złapią nas – dodał Mark. – Jest zbyt wielu takich, którzy robią dokładnie to samo.

– Ale mają uprawnienia – jęknęła.

– A skąd wiesz? Nikt nigdy tego nie sprawdza. A klientów w ogóle to nie obchodzi. Są wystarczająco przerażeni i myślą tylko o jednym, więc nie przyjdzie im nawet do głowy pytać o licencję. Tak jak myśmy nie spytali o nią Darrella Cromleya.

– To niezgodne z prawem. Dużo się w Foggy Bottom nie nauczyłam, ale tyle wiem, że praktykowanie prawa bez licencji jest nielegalne.

– Tylko jeśli nas przyłapią – zastrzegł Mark.

– Oczywiście istnieje pewne ryzyko, ale bardzo niewielkie. Jeśli coś pójdzie nie tak, po prostu znów znikniemy.

– Powariowaliście.

– Otóż nie. Tak naprawdę to jesteśmy bardzo sprytni. Ukrywamy się na pełnym widoku. Przed gospodarzami mieszkań. Przed obsługującymi kredyty studenckie. Przed wszystkimi, którzy chcieliby nas znaleźć. I będziemy zarabiać przyzwoite pieniądze.

– A wasze zadłużenie?

Mark siorbnął piwa, przetarł usta i pochylił się nad stołem.

– Powiem ci, co się stanie. W Foggy Bottom w pewnej chwili zorientują się, że zrezygnowaliśmy, ale nic w tej sprawie nie zrobią. Szanujące się uczelnie prawnicze powiadamiają o takich sprawach Departament Edukacji, a potem zaczynają negocjować, ile muszą zwrócić za niewykorzystaną część semestru. Mogę się założyć, że Foggy Bottom nie zamierza nic zwracać, więc nic nie powie, że nas nie ma, i zatrzyma pieniądze. My zostaniemy w kontakcie mailowym z naszym doradcą od kredytu i będziemy udawać, że wszystko jest w porządku. Koniec roku akademickiego jest w maju i jak wiesz, powinniśmy wtedy uzgodnić

z nim harmonogram spłat kredytu, a po sześciu miesiącach zacząć go spłacać. Kiedy tak się nie stanie, wpiszą nas na listę dłużników zalegających ze spłatami kredytu.

– Wiesz, że w ubiegłym roku milion studentów uznano za takich dłużników? – dodał Todd.

Zola wzruszyła ramionami, co mogło znaczyć, że może wie, może nie.

– Czyli zostało nam trochę czasu. Dziewięć, dziesięć miesięcy, nim trafimy na taką listę – ciągnął Mark. – A wtedy będziemy już dobrze wdrożeni w działalność naszej kancelarii prawnej i forsa będzie płynąć szerokim strumieniem.

– Ale zaleganie ze spłatą kredytu to jedno, a to, co zamierzacie zrobić, oznacza sprawę karną, z której się nie wybronicie.

– Tylko jeśli nas znajdą. Mój doradca kredytowy jest w Filadelfii, Marka w New Jersey. Gdzie jest twój, bo już zapomniałem?

– W Chevy Chase.

– Dobra, ciut bliżej, ale nadal bezpiecznie daleko. Chodzi o to, że nas nie znajdą, bo zmieniliśmy nazwiska i adresy. Przekażą naszą sprawę jakiejś kancelarii prawnej, zapewne należącej do Hindsa Rackleya, a ta wniesie do

sądu pozew. Wielkie rzeczy! Bez przerwy pozywają studentów, ale nic z tego nie wynika.

– Wasza wiarygodność kredytowa legnie w gruzach.

– Jaka wiarygodność kredytowa? I tak leży w gruzach, bo nie możemy spłacić zaciągniętych długów. Nawet gdybyśmy znaleźli uczciwą pracę, nie mamy cienia szansy na spłacenie całości zadłużenia.

Zjawił się kelner i Mark zamówił talerz nachos.

– To ma być to specjalne ugoszczenie? – mruknęła, gdy kelner się oddalił.

– Za to w pełni na koszt firmy – zaznaczył Todd z uśmiechem.

Wciąż jeszcze trzymała w ręce ich wizytówkę.

– Skąd wzięliście te nazwiska? – spytała, zerkając na nią.

– Z książki telefonicznej – odparł Mark. – Zwyczajne, pospolite nazwiska. Ja jestem Mark Upshaw i mam na dowód tego odpowiedni dokument. On się nazywa Todd Lane i jest groszowym prawnikiem, który łowi ofiary na ulicy.

– A kto to jest Parker?

– Parker to ty – powiedział Todd. – Zola Parker. Uznaliśmy, że nasza kancelaria prawna

wymaga urozmaicenia, więc dokooptowaliśmy cię jako wspólniczkę. Z tym że wszyscy są sobie równi, rozumiesz? Troje równoprawnych wspólników.

– Troje równoprawnych oszustów – mruknęła. – Przykro mi, ale to szaleństwo.

– Oczywiście. Ale jeszcze bardziej szalony jest pomysł zostania w Foggy Bottom, skończenia jej w maju bez perspektywy zatrudnienia i dotrwania do egzaminu adwokackiego. Spójrz prawdzie w oczy, Zola. Nie jesteś na to gotowa emocjonalnie. My też nie i dlatego podjęliśmy tę decyzję.

– Ale do skończenia szkoły zostało już tak niedużo.

– I co z tego? – parsknął Mark. – Skończysz ją z bezwartościowym tytułem magistra prawa. To tylko jeszcze jeden papierek z drukarni dyplomów Hindsa Rackleya. Zostaliśmy oszukani, staliśmy się ofiarami gigantycznego przekrętu. Gordy miał rację. Nie można bezwolnie płynąć w potoku gówna i liczyć na cud. My przynajmniej próbujemy walczyć.

– Z niczym nie walczycie. Chcecie tylko rolować podatników.

– Podatników rolują Kongres i Departament Edukacji. No i oczywiście Rackley, który już na

nas zarobił.

– Przecież sami wzięliśmy kredyty. Nikt nas do tego nie zmuszał.

– To prawda, ale pieniądze pożyczono nam pod fałszywymi pozorami – powiedział Mark. – Czy zaczynając studia, pomyślałaś, że któregoś dnia możesz się znaleźć z górą długów i bez pracy? Oczywiście, że nie. Obrazek, jaki nam wtedy malowano, był dużo bardziej różowy. Bierz forsę, skończ studia, zdaj egzamin adwokacki i zabieraj się do pracy we wspaniałym zawodzie, dzięki któremu bez trudu spłacisz wszystkie swoje długi.

Kelner przyniósł następną kolejkę drinków i przy stole zapadła cisza, bo wszyscy troje zaczęli pociągać ze szklanek.

– Brzmi to strasznie ryzykownie – odezwała się w końcu cicho Zola, a Mark i Todd zgodnie pokiwali głowami.

– Jasne, istnieje pewne ryzyko – przyznał Mark – nie uważamy go jednak za zbyt wysokie. Pierwszy problem jest taki, że mogą nas przyłapać na praktykowaniu prawa bez licencji, ale to nic strasznego. Dadzą nam po łapach, wymierzą niewielką grzywnę i jedziemy dalej.

– Interesowaliśmy się tą sprawą i okazuje się, że praktykowanie bez uprawnień nie jest niczym

niezwykłym – dodał Todd. – Zdarza się dość często, okoliczności bywają wręcz fascynujące i nikt nie idzie za to do więzienia.

– To ma mnie pocieszyć?

– Myślę, że tak. Posłuchaj, w naszym scenariuszu zakładamy, że jeśli ktoś nabierze podejrzeń i złoży na nas skargę, na przykład do Stowarzyszenia Prawników Dystryktu Kolumbii, to po prostu znikniemy.

– A to ma być jeszcze bardziej pocieszające, tak?

Mark zignorował jej sarkastyczną uwagę.

– Drugie zagrożenie polega na tym – mówił dalej – że wpiszą nas na listę dłużników zalegających ze spłatami kredytu, co jeszcze bardziej skomplikuje nasze dość skomplikowane życie.

Kelner przyniósł talerz nachos i wszyscy troje zabrali się do jedzenia. Po chwili Zola przetarła oczy serwetką i wtedy dostrzegli, że płacze,

– Słuchajcie, chłopcy, ja nie mogę tam dłużej mieszkać. Ilekroć spoglądam na drzwi Gordy'ego, prawie dostaję histerii. We wtorek rodzina zabrała jego rzeczy, a ja tam teraz chodzę i siedzę po ciemku. Muszę się stamtąd wynieść.

Pokiwali głowami, przestali jeść i łyknęli piwa.

– I jest coś jeszcze – dodała. Westchnęła głęboko, ponownie przetarła oczy i opowiedziała historię studentki college'u w Teksasie, którą agenci urzędu imigracyjnego wyciągnęli w środku nocy z jej pokoju w akademiku. Wysłano ją do Salwadoru, gdzie dołączyła do swojej rodziny nielegalnych imigrantów, których deportowano miesiąc wcześniej. Problem polegał na tym, że ona urodziła się w Stanach i miała obywatelstwo, a jej odwołania i cała dokumentacja utknęły gdzieś w czeluściach biurokracji.

Zola powiedziała, że natknęła się na kilkanaście przypadków obywateli USA, których urząd imigracyjny zatrzymał i wywiózł, a każde takie aresztowanie następowało po uprzednim zatrzymaniu członków rodziny. W rezultacie żyje w ciągłym strachu i to ją psychicznie rozkłada.

Mark i Todd słuchali ze współczuciem, a gdy skończyła i przestała płakać, Mark powiedział:

– Znaleźliśmy sobie świetną kryjówkę i jest tam też miejsce dla ciebie.

– Gdzie?

– Tu, na górze. Mieszkamy w norze na trzecim piętrze, bez windy. Piętro niżej są dwa wolne pokoje i Maynard mówi, że są do wynajęcia za grosze.

– Kto to jest Maynard?

– Nasz szef. Właściciel tego budynku – odparł Todd.

– Nie ma tu luksusów – zastrzegł Mark – ale byłabyś u siebie… czy prawie u siebie.

– Nie będę z wami mieszkać, chłopcy.

– Nie, nie. My mieszkamy na trzecim piętrze, ty byś mieszkała na drugim.

– Jest tam kuchnia?

– Właściwie nie, ale przecież nie musisz gotować.

– A łazienka?

– Z tym może być problem. – Todd się zasępił. – Jedyna łazienka jest na trzecim, da się to jednak jakoś zrobić. To nie jest idealne rozwiązanie, Zola, ale my też tu koczujemy. Przez parę miesięcy się pomęczymy i zobaczymy, jak sprawy się potoczą.

– Jako kryjówka to wręcz idealne miejsce – wtrącił Mark. – Pomyśl o Annie Frank, która ukrywała się przed nazistami. Ona miała jeszcze gorzej.

– I to ma mnie pocieszyć?

– Pewnie mógłbym znaleźć szczęśliwszą analogię.

– A co z tym Maynardem? – spytała. – Ile on wie?

– Pracuję u niego od trzech lat i mogę poświadczyć, że gość jest w porządku. Sam też trochę kombinuje na bukmacherce i w ogóle, i nie ma pojęcia o naszej kancelarii prawnej. Myśli, że nadal studiujemy, ale jest mu to zupełnie obojętne. Wynegocjowaliśmy z nim, że czynsz odpracujemy w barze. Można się z nim dogadać.

– Nie wyobrażam sobie, że miałabym, tak jak ta gnida Cromley, zajmować się złapanymi na jeździe po alkoholu.

– Oczywiście, że nie robiłabyś tego – zapewnił ją Mark. – Zresztą z naszych obserwacji wynika, że takimi naganiaczami są zawsze mężczyźni, w większości biali. Ty byś do tego nie pasowała. Zwracałabyś na siebie zbyt dużą uwagę.

– To kim miałabym być?

– Pomocą biurową – odparł Todd.

– Niezbyt mi się podoba ten pomysł. A gdzie to biuro?

– W twoim mieszkaniu. W nowej siedzibie firmy Upshaw, Parker and Lane, w skrócie UPL, czyli Unauthorized Practice of Law[6].

– Sprytne.

– Też tak sądzimy. Widzimy w tobie specjalistkę od odszkodowań z tytułu urazów, co jak nam wiadomo z wykładów na naszej

nieocenionej uczelni, nadal jest najbardziej lukratywną dziedziną prawa ulicznego.

– Wyobrażamy sobie ciebie w poczekalniach oddziałów ratunkowych, jak współczujesz poszkodowanym we wszelkiego rodzaju wypadkach. – Mark przejął pałeczkę tak płynnie, jakby to mieli przećwiczone. – Będziesz budziła zaufanie i będą chcieli cię nająć.

– Nie mam pojęcia o prawie odszkodowawczym.

– Ależ oczywiście, że masz. Widziałaś w telewizji tysiąc reklam i tysiąc cwaniaczków zabiegających o powierzenie im sprawy. Nie są z nich najostrzejsze brzytwy, więc należy sądzić, że to zajęcie niewymagające specjalnego wysiłku intelektualnego.

– Dzięki.

– I wystarczą dwie przyzwoite kraksy, żebyś zarobiła kupę szmalu – dodał Todd. – W Starym Rudym Kocie poznałem kiedyś prawnika, który przymierał głodem, dopóki nie poślizgnął się na lodzie i nie upadł. Kurując się w szpitalu, poznał faceta poszkodowanego w wypadku motocyklowym. Rok później wywalczył mu w sądzie milionowe odszkodowanie, z czego jedna trzecia trafiła do jego kieszeni.

– Tak po prostu – parsknęła.

– Tak po prostu. I zawsze będą ludzie poszkodowani w wypadkach i zawsze będą ich zawozić do szpitala. A ty będziesz tam na nich czekać.

– Uda się, Zola, bo dopilnujemy, żeby się udało – dorzucił Mark. – Tylko my troje, jedno za wszystkich, wszyscy za każde. Równoprawni wspólnicy do końca.

– A co będzie tym końcem, chłopcy? Co jest waszym celem?

– Przeżycie – odparł Todd. – Przeżyjemy, kryjąc się i udając kogoś innego. Będziemy łowić na ulicach, bo nie będzie powrotu.

– A jak nas złapią?

Mark i Todd łyknęli piwa i zastanowili się nad odpowiedzią.

– Jeśli nas złapią – odezwał się w końcu Mark – to po prostu znów odejdziemy. Znikniemy.

– Czyli całe życie będziemy uciekać – skonstatowała.

– My już teraz uciekamy – zauważył Todd. – Może nie chcesz się przyznać sama przed sobą, ale tak właśnie jest. Żyjemy życiem niemożliwym do podtrzymania, więc nie mamy innego wyjścia. Musimy uciekać.

Mark przez chwilę wyginał palce, strzelając kłykciami, a potem powiedział:

– Propozycja jest taka, Zola. Siedzimy w tym wszyscy troje, zanurzeni po uszy i lojalni do końca. I musimy to uzgodnić od razu teraz, na samym początku. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wszyscy troje się z tego wycofujemy.

– I co robimy?

– Będziemy się o to martwić, jak do tego dojdzie.

– A co z waszymi rodzinami? – spytała. – Powiedzieliście im?

Zawahali się obaj i to starczyło za odpowiedź.

– Nie, nie powiedziałem nic matce, bo ma dość innych kłopotów – przyznał Mark. – Myśli, że chodzę na zajęcia, i czeka, żebym skończył studia i zaczął pracę w jakimś fajnym miejscu. Chyba odczekam parę miesięcy, a potem skłamię i powiem, że biorę urlop dziekański na semestr. Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę.

– A ty? – zwróciła się do Todda.

– Tak samo. W tej chwili nie mam odwagi powiedzieć rodzicom. I nie wiem, która wersja prawdy brzmi gorzej. Bo jedna jest taka, że mam dwieście tysięcy dolarów długu i jestem bez pracy. Druga, że zrezygnowałem ze studiów i pod fałszywym nazwiskiem będę wyciągał pieniądze od jeżdżących po pijaku. Tak jak Mark, na razie odczekam i później coś wymyślę.

– A jeśli sprawa nie wypali i wpadniecie w kłopoty?

– Nic takiego się nie zdarzy, Zola – powiedział Mark.

– Chciałabym wam wierzyć, ale nie jestem pewna, czy wiecie, co robicie.

– My też nie jesteśmy pewni – wyznał Todd. – Ale podjęliśmy już decyzję i nie ma odwrotu. Pytanie brzmi: Jesteś z nami czy nie jesteś?

– Strasznie dużo ode mnie wymagacie. Chcecie, żebym zmarnowała trzy lata studiów prawniczych.

– Zastanów się, Zola – wtrącił Mark. – Co ci dały te studia? Nic poza zrujnowaniem ci życia. A my proponujemy wyjście z impasu. Być może nie jest to najczystsze wyjście, ale niczym innym nie dysponujemy.

Schrupała nacho i rozejrzała się po barze. Był pełen młodych mężczyzn, którzy stali z drinkami w dłoniach i oglądali mecze koszykówki i hokeja na wielkich ekranach telewizorów. Prawie nie było kobiet, nikt też nie wyglądał na studenta.

– Obaj tu pracujecie? – spytała.

– No. – Todd pokiwał głową. – To dużo ciekawsze od siedzenia na zajęciach i wkuwania do egzaminu adwokackiego.

– A jak wyglądają zasady finansowe waszej spółki?

– Wrzuciliśmy do wspólnej puli pieniądze na utrzymanie za ten semestr – odparł Mark. – Po dziesięć tysięcy od łebka. To wystarczy na rozruch: kupno nowych komputerów, telefonów, trochę urządzeń biurowych, nowych tożsamości, lepszych ciuchów.

– To jak, wchodzisz w to? – zapytał Todd.

– Pozwólcie mi się zastanowić. Nadal myślę, że zwariowaliście.

– Może i masz rację.

Rozdział 16

Gdy niecałe trzy lata wcześniej Mark Frazier składał podpis na ostatnim formularzu kredytu studenckiego i skakał głową w przód w odmęty zadłużenia, Departament Edukacji wyznaczył mu doradczynię kredytową, niejaką Morganę Nash. Pracowała w NowAssist, prywatnej firmie w New Jersey, którą Departament wynajął do obsługi kredytów studenckich, i wyznaczenie akurat jej było całkowicie przypadkowe. Mark nigdy wcześniej nie spotkał się z nią, bo nie miał ku temu żadnego powodu. Jako pożyczkobiorca mógł decydować o metodach łączności, a starał się ograniczyć kontakty do minimum, jak zresztą większość studentów. W rezultacie porozumiewali się tylko mailami. Raz wprawdzie pani Nash spytała go w mailu o numer komórkowy, ponieważ jednak nie miał obowiązku go podawać, nie zrobił tego, a ona się nie upierała. NowAssist była jedną z wielu firm

obsługujących studenckie kredyty i wszystkie były rzekomo ściśle monitorowane przez Departament Edukacji. Firmy niespełniające wymagań Departamentu albo dostawały mniej zleceń, albo były skreślane z listy. Według informacji na stronie internetowej Departamentu, NowAssist plasowała się w środku stawki współpracujących firm. Mark nie miał na co narzekać – nie licząc oczywiście samej istoty ciążącego na nim długu – i współpraca z panią Nash układała się bezproblemowo. Po trzydziestu miesiącach wysłuchiwania narzekań kolegów wiedział, że niektóre firmy obsługujące kredyty studenckie potrafią nieźle im się dawać we znaki.

Ostatni mail od pani Nash, który otrzymał na stary adres, brzmiał następująco:

> Witaj, Marku,
> mam nadzieję, że ferie były udane i jesteś zwarty i gotowy do ostatniego semestru nauki w Foggy Bottom. Gratulacje za dobrnięcie do tego punktu i życzenia powodzenia na ostatnie kilka miesięcy. W swoim ostatnim mailu z listopada ubiegłego roku pisałeś z entuzjazmem o perspektywach pracy w Ness Skelton, ale

wciąż nie znałeś wysokości swojej wyjściowej pensji. Proszę o najświeższe wiadomości w tej sprawie, bo od wysokości Twojej pensji uzależniam harmonogram spłat zadłużenia. Jak Ci wiadomo, przepisy stanowią, że w dniu ukończenia studiów musimy podpisać taki harmonogram, a spłaty muszą się rozpocząć dokładnie sześć miesięcy po tej dacie. Wiem, że jesteś teraz bardzo zajęty, ale byłabym wdzięczna za informację w tej kwestii.

Ostatnia transza kredytu w dniu 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $.

Całkowite zadłużenie wraz z odsetkami: 266 000 $.

Serdecznie pozdrawiam
Morgana Nash
przedstawicielka sektora publicznego

Mark odczekał dwa dni i w sobotę odpisał:

Szanowna Pani,
dziękuję za wiadomość, zawsze miło mi je dostawać. Mam nadzieję, że u Pani wszystko w porządku. Sprawy w Skelton Ness są obecnie w zawieszeniu. Firma dokonała fuzji z jakimś brytyjskim

partnerem i na razie wszystko jest płynne. Prawdę mówiąc, nie znajduję tam teraz nikogo, kto byłby skłonny rozmawiać o moim zatrudnieniu. Odnoszę nawet wrażenie, że moja oferta pracy mogła się zgubić w zamieszaniu wywołanym fuzją. Bardzo mnie to niepokoi. Do tego dochodzi jeszcze śmierć mojego najlepszego przyjaciela, który w zeszłym tygodniu skoczył z mostu Arlington Memorial do Potomacu (patrz link). W rezultacie przyznaję, że ostatnio nie myślałem zbyt dużo o studiach. Proszę o trochę czasu, żebym mógł dojść do siebie. Ostatnia rzecz, o jakiej chciałbym teraz rozmawiać, to spłata zadłużenia. Dziękuję za Pani cierpliwość.

Z wyrazami szacunku
Mark

* * *

Toddowi przypadł w udziale opiekun z firmy o nazwie Scholar Support Partners, zwanej w skrócie SSP lub jeszcze krócej SS. Firma mieściła się w Filadelfii i miała fatalną opinię z powodu stosowanych metod w obsłudze

kredytów studenckich. Todd wiedział o co najmniej trzech procesach wytoczonych SSP za niedopuszczalne praktyki ściągania długów. Firmę przyłapano też na dopisywaniu nieuzasadnionych opłat do ściąganych rat zadłużenia, co skończyło się ukaraniem jej grzywnami. Mimo to Departament Edukacji nadal korzystał z jej usług.

Osobistym opiekunem Todda był przemądrzały gnojek, niejaki Rex Wagner, któremu Todd najchętniej przywaliłby przy pierwszej nadarzającej się okazji, na co oczywiście nie mógł liczyć. Wyobrażał sobie Wagnera jako grubego łysola ze słuchawkami na uszach, który siedzi w jakiejś norze i nęka studentów chamskimi telefonami i wrednymi mailami. W ostatnim mailu do Todda Wagner napisał:

> Szanowny Panie Lucero,
> będąc na ostatniej prostej i mając ukończenie studiów w zasięgu ręki, jest Pan zobowiązany przystąpić do omawiania spłat zadłużenia, na co, jak podejrzewam, nie ma Pan ochoty, bo sądzę, że nadal nie znalazł Pan, jak cytuję, „zadowalającej oferty pracy w zawodzie prawniczym”. Chciałbym

wierzyć, że to uległo już zmianie. Proszę o informacje o Pańskich najnowszych staraniach znalezienia pracy. Obawiam się, że nie będę mógł zaakceptować harmonogramu spłat wyłącznie na podstawie Pańskiego zatrudnienia w charakterze barmana. Musimy się porozumieć, im szybciej, tym lepiej.

Pańska ostatnia transza kredytu w wysokości 32 500 $ wypłacona 13 stycznia 2014 roku.

Łączne zadłużenie wraz z odsetkami: 195 000 $.

Z poważaniem
Rex Wagner
starszy doradca kredytowy

Po paru dniach Todd odpisał:

Szanowny Starszy Doradco Kredytowy SS Wagner,
mogę zarobić więcej na nalewaniu drinków niż pan na nękaniu studentów. Czytałem o pańskiej firmie, jej procesach i niedopuszczalnych metodach dręczenia dłużników, choć pana o dręczenie nie oskarżam (jak dotąd). Nie jestem

dłużnikiem zalegającym ze spłatami kredytu, nawet nie skończyłem jeszcze studiów, więc niech się pan odczepi. Nie, nie mam propozycji zadowalającej pracy, bo takich brak, przynajmniej dla absolwentów marnych prywatnych uczelni w rodzaju Foggy Bottom, która, nawiasem mówiąc, praktycznie nas oszukała w chwili podejmowania przez nas decyzji o rozpoczęciu studiów. Ależ byliśmy wtedy głupi!

Potrzebuję więcej czasu, ale na pewno coś wymyślę.

Todd Lucero

Wagner odpisał:

Szanowny Panie Lucero,
chciałbym zachować pozytywne podejście do sprawy. Pracowałem już z wieloma studentami, którzy mieli trudności ze znalezieniem pracy, ale wszystkim się w końcu udawało. Wymaga to tylko odpowiedniej dozy samozaparcia i zdzierania zelówek na chodzeniu i pukaniu do wszystkich drzwi. W Dystrykcie Kolumbii działa mnóstwo świetnych firm

prawniczych, jest też wiele dobrze płatnych posad w administracji państwowej. Jestem pewny, że znajdzie Pan zadowalającą ofertę. Pominę milczeniem Pana słowa o „dręczeniu” i „nękaniu”. Nasza korespondencja mailowa może mieć charakter publiczny i sugeruję ostrożniejszy dobór słów. Chciałbym porozmawiać o tym z Panem przez telefon, ale oczywiście nie znam numeru.

Pozdrawiam
Rex Wagner
starszy doradca kredytowy

Odpowiedź Todda wyglądała następująco:

Szanowny Starszy Doradco Kredytowy SS Wagner,
przepraszam, jeśli pana obraziłem. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z presji, pod jaką obecnie żyję. Nic nie poszło tak, jak planowałem, i moja przyszłość wygląda bardzo nieciekawie. Przeklinam dzień, w którym zdecydowałem się pójść na studia prawnicze, zwłaszcza na takiej uczelni jak Foggy Bottom. Czy zdaje pan sobie sprawę, że facet z Wall Street, do którego ta szkoła

należy, zarabia na niej na czysto dwadzieścia milionów dolarów rocznie? I że jest to tylko jedna z ośmiu podobnych uczelni w jego portfelu? Fascynujące, prawda? Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że powinienem był kupić sobie uczelnię prawniczą, a nie do niej wstępować.

Nie, nie podam panu mojego numeru telefonu. Z procesów sądowych przeciwko SS wiem, że najgorsze nękanie odbywało się przez telefon, bo z reguły rozmowy telefoniczne nie są nagrywane. Zostańmy przy mailach, w których każde słowo się liczy.

Mimo wszystko z poważaniem
Todd Lucero

* * *

Całą sobotę zajęło im sprzątanie, malowanie i wynoszenie worów śmieci. Mieszkanie Zoli składało się z trzech pomieszczeń: w jednym była sypialnia, w drugim salon i biuro, w trzecim rupieciarnia, ale z perspektywami. Przekonali Maynarda, by pozwolił im przesunąć ścianę i dodać drzwi. Jeden z jego kuzynów był

nielicencjonowanym budowlańcem, który wykonywał drobne przeróbki bez zawracania sobie głowy występowaniem o pozwolenie. Za tysiąc dolców płatne w gotówce zobowiązał się zainstalować w rupieciarni prysznic, szafkę i toaletkę i przerobić pomieszczenie na łazienkę. Mark i Todd obawiali się, że Zola nie będzie nią zachwycona, lecz tak naprawdę nie miała wyboru.

Jak dotąd nie wyraziła zgody na przystąpienie do spółki, wiedzieli jednak, że to tylko kwestia czasu.

* * *

Sobota była chłodna, ale słoneczna i Zola miała ochotę łyknąć świeżego powietrza. Wyszła z mieszkania wczesnym rankiem i poszła spacerem na Mall, gdzie usiadła na schodach pomnika Lincolna i zaczęła gapić się na turystów. Patrząc na pomnik Waszyngtona i widoczny w oddali Kapitol, pomyślała o rodzicach i bracie zamkniętych jak więźniowie w żałosnym obozie przejściowym i czekających na deportację. Widok był wspaniały, każdy budynek i pomnik w polu widzenia stanowił symbol niezłomnego dążenia do wolności. Jej rodzinie pozostawało

tylko patrzenie na ogrodzenie z drutem żyletkowym. Dzięki rodzicom dostała dar w postaci obywatelstwa, do którego sama w żaden sposób się nie przyczyniła. Harowali jak konie w kraju, z którego byli dumni, marząc, że pewnego dnia staną się jego pełnoprawnymi obywatelami. Jak ich deportacja przysłuży się temu wielkiemu narodowi imigrantów? Było to postępowanie pozbawione sensu i okrutnie niesprawiedliwe.

Starała się nie myśleć o Gordym. Jego tragedię miała już za sobą i powracanie do niej nie służyło niczemu. Zresztą nigdy nie mieli przed sobą przyszłości i była głupia, myśląc inaczej. Ale Gordy wciąż siedział w jej głowie i nie mogła się pozbyć poczucia winy.

Przeszła obok sadzawki lustrzanej i spróbowała sobie wyobrazić ćwierć miliona ludzi, którzy się tu zebrali w 1963 roku, by wysłuchać marzenia doktora Kinga. Jej ojciec zawsze powtarzał, że wielkość Ameryki polega na tym, że każdy może mieć dowolne marzenia, a dzięki pracy i poświęceniu wiele z nich udaje się zrealizować.

Teraz jego marzenia zamieniły się w koszmar, a ona nie mogła nic w tej sprawie zrobić.

Przy pomniku Waszyngtona stanęła w długiej kolejce turystów do wjazdu na szczyt, ale szybko ją to znudziło i zrezygnowała. Uwielbiała Instytut Smithsona, więc spędziła kilka godzin zanurzona w amerykańskiej historii. W ciągu całego dnia nie poświęciła ani minuty na myślenie o Foggy Bottom czy szukanie „zadowalającej pracy w zawodzie prawniczym".

Późnym popołudniem dostała maila od Todda, który proponował „następną elegancką kolację", ale odmówiła, odpisując, że ma inne plany. Poczytała trochę książkę, obejrzała stary film i krótko po jedenastej położyła się do łóżka. Cały dom aż chodził od głośnej muzyki i wrzasków rozochoconych studentów. Ot, sobotni wieczór w wielkim mieście. Kłótnia na korytarzu zbudziła ją około pierwszej, ale udało jej się ponownie zasnąć.

Była pogrążona w głębokim śnie, gdy ktoś zaczął dobijać się do jej drzwi. Reguły obowiązujące imigrantów, zwłaszcza tych bez papierów, były jasne i niezmienne: zawsze miej pod ręką ubranie, buty i telefon, nie otwieraj drzwi i módl się, żeby to nie był urząd imigracyjny. Jeśli to oni, i tak wyważą drzwi kopniakami i nie będzie dokąd uciec. I choć przebywała w Stanach równie legalnie jak

pierwszy z brzegu agent urzędu imigracyjnego, z całą pewnością nie czuła się im równa.

Wyskoczyła z łóżka i wciągnęła dżinsy. Walenie do drzwi nie ustawało, dodatkowo rozległo się głośne wołanie: „Otwierać! ICE!”. Wyszła z sypialni i z przerażeniem wpatrzyła się w drzwi, czując, że serce wali jej jak młotem. Wzięła do ręki telefon i już miała zadzwonić do Marka – jakby mógł tu o drugiej nad ranem przybiec i wyratować ją z opresji – gdy walenie ustało. Nikt też już nie krzyczał; słyszała tylko odgłos kroków. Spięła się w oczekiwaniu na huk wyważanych drzwi, ale zamiast tego zapadła cisza, po czym z końca korytarza dobiegł ją wybuch śmiechu.

Czy to naprawdę było ICE, czy czyjeś idiotyczne żarty? Czekała w napięciu, starając się nie oddychać. Minuty mijały, a ona stała w ciemnościach, bojąc się poruszyć i wydać jakiś dźwięk. Było całkiem możliwe, że urząd imigracyjny postanowił ją przesłuchać, ale chyba nie o tej godzinie. Gdy oni się pojawiali, sprawa była poważna. Agenci ICE nie mieli w zwyczaju pukać i odchodzić dlatego, że nikt nie otworzył.

Niezależnie od tego, kto to był, szkoda została wyrządzona. Zola na palcach wróciła do sypialni, włożyła sweter, buty i znów czekała. Nadal

trwała niezmącona cisza, więc uchyliła lekko drzwi i rozejrzała się po korytarzu. Nie było nikogo. Zatrzasnęła drzwi, zapasowym kluczem otworzyła mieszkanie Gordy'ego i nie zapalając światła, weszła do środka i rozciągnęła się na gołym materacu.

Nie było mowy o śnie. Nie, nie może tak żyć. Jeśli jej dwóm przyjaciołom odbiło na tyle, by rozpocząć zupełnie nowe życie, zaryzykuje i dołączy do nich.

* * *

Morgana Nash napisała:

Drogi Marku,
tak bardzo mi przykro z powodu Twojego przyjaciela. Doskonale rozumiem, że jesteś rozbity. Niemniej musimy ostatecznie wyjaśnić sytuację w Ness Skelton i zacząć rozmawiać o harmonogramie spłat. Wyrazy współczucia.
Morgana Nash
przedstawicielka sektora publicznego

W niedzielę rano Mark odpisał:

Szanowna Pani,
dziękuję za wyrazy współczucia. Wiele dla mnie znaczą. Wygląda na to, że z Ness Skelton mnie wyrzucili, zanim w ogóle zacząłem, ale nic nie szkodzi, bo to było paskudne miejsce nawet przy dobrej pogodzie i szczerze nie znosiłem pracujących tam ludzi. Tak więc jestem znów bezrobotny, podobnie jak reszta mojego roku, i tak naprawdę brak mi energii na szukanie następnej pracy bez perspektyw. Więc proszę mnie zostawić w spokoju, dobrze?
Pozdrowienia
Mark

Odpowiedź przyszła z samego rana w poniedziałek.

Drogi Marku,
bardzo mi przykro, że jesteś tak podenerwowany. Wykonuję tylko swoją pracę, a moim obowiązkiem jest ustalenie z Tobą harmonogramu spłat zadłużenia. W rejonie Waszyngtonu jest wiele atrakcyjnych możliwości pracy i wiem, że znajdziesz satysfakcjonujące Cię zajęcie.

Proszę tylko, byś mnie informował na bieżąco.

Morgana Nash
przedstawicielka sektora publicznego

Odpisał:

Szanowna Pani, nie będę Pani informował, bo nie mam o czym. Przechodzę obecnie terapię i mój terapeuta uważa, że powinienem zerwać z Panią kontakt. Przykro mi.

Mark

Rozdział 17

Odczekali do poniedziałku rano, gdy wszyscy rozjechali się na zajęcia i budynek opustoszał, i wtedy przewieźli kartony z rzeczami Zoli do jej nowego mieszkania nad barem Pod Kogutem. Jeśli była zawiedziona nowym lokum, nie dała tego po sobie poznać. Wręcz przeciwnie, rozpakowywała swoje rzeczy z uśmiechem na twarzy i wydawała się zadowolona z nowej kryjówki. Była tu tylko tymczasowo, a jako dziecko w Newark mieszkała w dużo gorszych warunkach, które prawie wcale nie zapewniały prywatności. Mark i Todd nie mieli pojęcia, jak biedna była wtedy jej rodzina.

Budowlaniec ze swoją ekipą ciężko pracujących i zapewne nielegalnie przebywających w Stanach Słowaków nadal walczył z pokoikiem służącym dotąd jako rupieciarnia, przerabiając go na łazienkę, trójka wspólników poszła więc do pobliskiej knajpki na

późny lunch. Jedząc sałatkę i popijając mrożoną herbatę, Mark przedstawił pokrótce zasady ich współpracy. Od teraz mieli funkcjonować w świecie gotówki. Żadnych kart kredytowych, po których zostaje ślad. Dogadali się z Maynardem w sprawie pracy w barze za czynsz. Mark i Todd mieli pracować po dwadzieścia pięć godzin tygodniowo, po czym nie miał zostawać żaden ślad w papierach księgowych. W zamian za to nie tylko nie płacili czynszu, ale Maynard brał też na siebie rachunki za prąd, wodę, internet i telewizję kablową. Wolno im też było korzystać z adresu do korespondencji, choć nie spodziewali się jej zbyt wiele. Wyglądało na to, że pomysł zakwaterowania w swoim budynku trojga początkujących prawników całkiem mu się spodobał i chyba nie do końca rozumiał różnicę między ich firmą a legalną kancelarią prawną. Nie był dociekliwy i nie zadawał zbyt wielu pytań.

Jak na ironię, ich niechęć do korzystania z kart kredytowych brała się stąd, że mieli zaciągnięty kredyt o łącznej wysokości ponad sześciuset tysięcy dolarów, w tej chwili jednak o tym nie myśleli.

Zamierzali wpaść do swego wypróbowanego fałszerza i zamówić dla Zoli podrobione prawo jazdy, które stanie się jej jedynym dokumentem służącym do identyfikacji. Gdy już zostanie Zolą Parker, kupią jej na to nazwisko nowy telefon komórkowy, ale planowali zachować wszystkie trzy stare telefony, by mieć wgląd w to, czy ktoś ich nie poszukuje. Wiedzieli, że właściciele dotychczasowych mieszkań podadzą ich do sądu za niewywiązanie się z umów najmu, lecz pozwy wystawione na Marka Fraziera, Todda Lucero i Zolę Maal będą całkowicie nieskuteczne, bo takich osób już nie było – musiały opuścić miasto. Na wniosek ich doradców kredytowych wszystkie trzy nazwiska trafią na listę dłużników zalegających ze spłatami rat, ale stanie się to nie wcześniej niż za kilka miesięcy. Nie da się skutecznie pozwać kogoś do sądu, jeśli nie można tej osoby znaleźć. Zamierzali unikać wszystkich dawnych znajomych, ale nadal korzystać ze stron na Facebooku, choć dużo mniej aktywnie. Chcieli też całkowicie zerwać kontakt z Foggy Bottom i podejrzewali, że ich nieobecność na zajęciach jeszcze długo nie zostanie dostrzeżona przez nikogo z administracji szkoły.

Chwilami Zola wydawała się tym wszystkim przytłoczona. Uważała ich spisek za szaleństwo

i była pewna, że to się źle skończy. Ale jednocześnie czuła się bezpieczniej, a poczucie bezpieczeństwa było teraz główną troską dziewczyny. Jej wspólnicy albo rzeczywiście wierzyli w powodzenie swojego pomysłu, albo robili dobrą minę do złej gry, lecz Zola w głębi serca była przekonana, że tak naprawdę nie wiedzą, w co się pakują. Nie dało się jednak nie widzieć ich entuzjazmu i wbrew wszelkim zastrzeżeniom ich lojalność chwytała ją za serce.

Mark zrobił poważną minę i zaczął mówić o ich życiu prywatnym. Było ważne, by wszyscy troje unikali nowych znajomości i nie wdawali się w żadne stałe związki. Nikt inny nie mógł dowiedzieć się o ich planach. Musieli otoczyć się nieprzenikalnym murem.

W pewnej chwili Zola mu przerwała.

– Żarty sobie robisz? Dopiero co pochowaliśmy mojego chłopaka, a ty sądzisz, że się wdam w jakiś stały związek?

– Oczywiście, że nie – zapewnił ją Mark. – Po prostu Todd i ja jesteśmy obecnie wolni i najlepiej, żeby tak zostało.

– Właśnie! – rzucił Todd. – A jak ci się zachce seksu, zawsze możesz liczyć na Marka lub na mnie, tak żeby… no wiesz… wszystko zostało w firmie.

– Możecie sobie pomarzyć – parsknęła. – Nasze życie i bez tego jest wystarczająco skomplikowane.

– Jasne, ale miej to na uwadze.

– To twój najlepszy tekst na podryw? „Wszystko zostanie w firmie”?

– Nie wiem. Jeszcze nigdy z tego nie korzystałem.

– I lepiej nie zaczynaj. Bo to nieskuteczne.

– Przecież żartuję.

– Wcale nie. A co się stało z tą małą Sharon, z którą spotykałeś się w zeszłym semestrze?

– To już należy do historii.

– W każdym razie umówmy się, że wszelkie sprawy łóżkowe będą działy się poza tym terenem, zgoda? – powiedział Mark.

– Wszystko mi jedno. – Zola kiwnęła głową. – Co jeszcze masz na liście?

– Nie mam żadnej listy. A ty masz jakieś pytania? – spytał Mark.

– Więcej wątpliwości niż pytań.

– Słuchamy – rzucił Todd. – To nasza wielka chwila, najważniejsza godzina. Wykładamy karty na stół.

– Dobra, no więc mam poważne wątpliwości, czy będę umiała sobie poradzić z ofiarami wypadków na szpitalnym oddziale ratunkowym.

I wątpię, żeby któryś z was wiedział, jak to się robi.

– I masz rację – potwierdził Todd. – Ale wszystkiego można się nauczyć. My musimy się nauczyć. To dla nas kwestia przetrwania.

– Myślę, że to przyjdzie ci samo – dodał Mark. – Śliczna czarnoskóra dziewczyna w zabójczej sukience, ewentualnie krótkiej spódniczce i w butach na obcasach. Gdyby to moja żona została poszkodowana w wypadku samochodowym, od razu bym cię zaangażował.

– Moja jedyna elegancka sukienka to ta, w której byłam na pogrzebie.

– Odświeżymy ci garderobę, nic się nie bój – zapewnił ją Todd. – Już nie jesteśmy biednymi studentami, tylko pełną gębą zawodowcami. Nowe ciuchy dla wszystkich. Mamy to w firmowym budżecie.

– To jedyna dobra wiadomość, jaką dotąd usłyszałam. No więc powiedzmy, że złapaliśmy klienta i musimy się z nim spotkać w biurze. Co wtedy?

Widać było, że wszystko przemyśleli, bo Mark miał gotową odpowiedź.

– Powiemy mu, że biuro jest w remoncie, i spotkamy się z nim na dole w barze.

– W barze Pod Kogutem?

– Jasne. Usiądziemy nad papierami i zaproponujemy drinka na koszt firmy – powiedział Todd. – Będzie zachwycony.

– Pamiętaj, że nasi klienci to w większości drobni przestępcy płacący gotówką z ręki do ręki – dodał Mark. – Będziemy się z nimi widywać w sądzie lub w areszcie i wcale nie będą się palić do spotkania w kancelarii.

– I nie będziemy urządzać narad z innymi prawnikami. Nic z tych rzeczy.

– Oczywiście, że nie. – Kiwnęła głową.

– A jeśli okaże się to konieczne, zawsze możemy wynająć na parę godzin pokój w centrum biznesowym. Kawałek za rogiem jest coś takiego.

– Wygląda, chłopcy, że wszystko macie w małym palcu.

– Nie, Zola. Tak naprawdę to nie mamy zielonego pojęcia – przyznał się Todd. – Ale się nauczymy. Zrobimy tak, żeby wszystko działało i żebyśmy mieli z tego frajdę.

– Co cię jeszcze gnębi? – spytał Mark.

– Dobra, wątpię, żeby udało mi się ukryć to wszystko przed Rondą. Jest moją przyjaciółką i martwi się o mnie.

– A do tego ma najdłuższy język na roku – mruknął Todd. – Nie możesz jej pisnąć ani słowa.

– To nie będzie łatwe. Nie sądzę, żeby udało mi się rzucić szkołę bez jej wiedzy.

– Wie o tobie i Gordym? – spytał Mark.

– Oczywiście. Na pierwszym roku nawet ją podrywał.

– Co jej powiedziałaś? – zapytał Todd.

– Chciała pogadać, więc spotkałyśmy się wczoraj wieczorem w knajpie. Powiedziałam jej, że jest mi bardzo ciężko i na razie odpuszczam zajęcia. Że być może wezmę urlop na ten semestr i jakoś dojdę do siebie. Za bardzo mnie nie cisnęła, bardziej pytała o Gordy'ego i jego ostatnie dni. Dużo jej nie zdradziłam. Uważa, że przydałby mi się terapeuta, ktoś od doradzania w sytuacjach kryzysowych. Obiecałam, że się zastanowię. Była naprawdę kochana, a ja bardzo tego potrzebowałam.

– Powinnaś się od niej odsunąć, Zola. Trzymać ją na dystans, ale robić to delikatnie. Musimy wymiksować się ze szkolnej bandy. Jeśli się rozniesie, że wszyscy troje rzucamy studia na ostatnim semestrze, kierownictwo Foggy Bottom może się zainteresować. Ale to nie problem, oczywiście pod warunkiem, że nie zawiadomią Departamentu Edukacji.

– Zdawało mi się, że nie przejmujemy się kredytami.

– To prawda, ale musimy maksymalnie opóźnić moment wpisania nas na listę dłużników zalegających ze spłatami kredytu. Jeśli nasi doradcy dowiedzą się, że przestaliśmy studiować, zaczną mędzić w sprawie harmonogramu spłaty zadłużenia. Jak się okaże, że nie reagujemy, przekażą nasze sprawy prawnikom, a ci wynajmą ludzi, żeby powęszyli i nas znaleźli. Chciałbym jak najbardziej to odwlec.

– Wolałbym w ogóle tego uniknąć – zauważył Todd.

– I sądzę, że nam się uda.

– Ale pewny nie jesteś, co? – spytała.

Mark i Todd wymienili się spojrzeniami i przez chwilę wszyscy troje milczeli. A potem zawibrowała komórka Todda; wyjął ją z kieszeni, spojrzał na ekran, mruknął: „To nie ta” i z drugiej kieszeni wyjął inną komórkę. Dwa telefony, stary i nowy, jeden należący do przeszłości, drugi do czasu teraźniejszego i przyszłości. Przeczytał na głos wiadomość.

– To od Wilsona. *Hej, człowieku, znów opuszczasz zajęcia. Co się dzieje?*

– To może być trudniejsze, niż myśleliśmy – powiedział Mark.

Rozdział 18

O ósmej czterdzieści pięć na przestronnym korytarzu pod salą rozpraw 142 Sądu Dystryktu Kolumbii stał już tłumek podenerwowanych osób. Wywieszka na drzwiach informowała, że rządzi w niej szacowna Fiona Dalrymple z Wydziału XIX Sądu Karnego Dystryktu Kolumbii. Wezwani na ten dzień i tę godzinę stanowili zbieraninę podejrzanych typów, w większości Latynosów lub Afroamerykanów z podejrzanych dzielnic miasta. Niemal każdy z nich trzymał w rękach wezwanie do sądu i żaden nie stał sam. Wszystkim towarzyszyli członkowie rodzin – małżonkowie, rodzice lub nastoletnie dzieci. Na ich twarzach malował się taki sam wyraz pełnej strachu bezradności. Jak dotąd nie było ani jednego łowiącego ofiary prawnika.

Jako pierwsi zjawili się ubrani w zwyczajne ciuchy Zola i Todd i podjęli obserwację kręcących

się po korytarzu. Oboje ustawili się pod ścianą w oczekiwaniu na mecenasa Upshawa, który wkrótce zjawił się w eleganckim garniturze i ze starą teczką w ręce. Dołączył do nich i zaczęli coś do siebie szeptać i szukać wzrokiem potencjalnej ofiary.

– Podoba mi się tamten koleś – szepnął Todd, wskazując głową krępego Latynosa koło czterdziestki, z kartką papieru w ręce i nerwową żoną przy boku.

– Mnie też. – Zola się uśmiechnęła. – To może być nasz pierwszy klient.

– Jest ich tu cała masa, do wyboru, do koloru – mruknął pod nosem Mark.

– No dobra, słynny mecenasie – rzuciła Zola. – Pokaż nam teraz, co potrafisz.

Mark głośno przełknął ślinę i sztucznie się uśmiechnął.

– Bułka z masłem – szepnął i ruszył w stronę wybranej pary. W miarę jak się zbliżał, żona wbijała wzrok coraz niżej w podłogę, a oczy męża coraz bardziej się zaokrąglały.

– Przepraszam – odezwał się cicho Mark. – Czy może pan Garcia? Szukam pana Freddy'ego Garcii.

Mężczyzna pokręcił głową, ale nie powiedział ani słowa. Wzrok Marka zawisł na papierku

w jego ręce.

– Ma pan wezwanie?

Głupie pytanie. Po cóż innego miałby sterczeć pod salą rozpraw, zamiast być w pracy? Mężczyzna szybko pokiwał głową, ale nadal milczał.

– O co pana obwiniają?

Latynos bez słowa wyciągnął ku niemu wezwanie. Mark wziął je do ręki, przebiegł szybko wzrokiem i zmarszczył brwi.

– Za napaść – mruknął pod nosem. – Źle to wygląda. Stawał pan już kiedyś przed sądem, panie Lopez?

Tamten gwałtownie pokręcił głową. Nie. Żona oderwała wzrok od podłogi i spojrzała na Marka tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać. Tłumek pod salą gęstniał, przybywało coraz więcej ludzi.

– Słuchaj pan, potrzebny panu adwokat. Sędzia Dalrymple potrafi być bezwzględna. Rozumie pan? – Mark wolną ręką wysupłał z kieszeni nowiutką wizytówkę i wcisnął w dłoń potencjalnemu klientowi. – Za napaść mogą panu przysolić odsiadkę za kratkami, ale mogę się tym zająć. Nie ma się czym przejmować. Mam panu pomóc? – Kiwnięcie głową. Tak, oczywiście. – Dobra, moje honorarium wynosi tysiąc dolców. Jest pan w stanie zapłacić?

Na wzmiankę o pieniądzach Lopezowi opadła szczęka. W tym samym momencie za plecami Marka rozległ się ostry męski głos, bez wątpienia adresowany do niego.

– Hej, co tu się dzieje?

Mark odwrócił głowę i spojrzał prosto w wykrzywioną grymasem złości twarz typowego prawnika ulicznego, wyższego od niego faceta około czterdziestki, z krogulczym nosem, ubranego w mocno znoszony garnitur. Widać było, że stary lis bez trudu rozgryzł sytuację.

– Co tu się dzieje, kolego? – powtórzył nieco ciszej. – Podkradasz mi klienta?

Marka tak zatkało, że bez słowa zrobił krok do tyłu. Prawnik wyrwał mu z prawej ręki wezwanie i spojrzał na Lopeza.

– Juan, czy ten gość ci się naprzykrza?

Latynos podał mówiącemu wizytówkę Marka, a ten rzucił na nią okiem.

– Słuchaj no, Upshaw, to jest mój klient. Co ci strzeliło do głowy?

Mark musiał coś powiedzieć.

– Nic – udało mu się wydusić. – Szukałem tylko pana Freddy’ego Garcii. – Rozejrzał się ukradkiem i dostrzegł, że ktoś inny w garniturze też mu się przygląda.

– Gówno prawda – burknął prawnik. – Próbowałeś podkraść mi klienta. Słyszałem, jak mówiłeś, że twoje honorarium wynosi tysiąc dolców. Tak było, Juan?

– Tak było. – Lopez jakby nagle odzyskał mowę. – On mówi tysiąc dolców, bo jak nie, to on mówi, ja pójdę siedzieć.

Prawnik zrobił krok do przodu i czubki nosów jego i Marka znalazły się kilkanaście centymetrów od siebie. Markowi przemknęło przez głowę, żeby go walnąć w ten krogulczy nos, szybko jednak uznał, że bijatyka dwóch prawników na korytarzu przed salą rozpraw nie będzie dobrze widziana.

– Spieprzaj, Upshaw – syknął prawnik.

Mark spróbował się uśmiechnąć.

– Hej, spokojnie, kolego. Tylko szukam swojego klienta, Freddy'ego Garcii. Więc się pomyliłem, nic więcej.

– Jakbyś umiał czytać, tobyś zauważył, że wezwanie jest dla Juana Lopeza, mojego klienta – parsknął prawnik. – Założę się, że na wokandzie nawet nie ma żadnego Freddy'ego Garcii, i założę się o jeszcze więcej, że jesteś tu tylko po to, by podkradać cudzych klientów.

– Pewnie znasz się na tym – odciął się Mark. – Wyluzuj.

– Jestem wystarczająco wyluzowany, a ty spieprzaj stąd.

Mark najchętniej zwiałby gdzie pieprz rośnie, ale zmusił się do zrobienia spokojnego kroku do tyłu.

– Wal się, zasrańcu – burknął.

– Idź się czepiać kogoś innego.

Mark odwrócił się i niepewnie uniósł głowę, bojąc się zobaczyć miny Todda i Zoli.

Ale oboje gdzieś się zapodziali.

* * *

Odnalazł ich za rogiem korytarza i wszyscy pośpiesznie przenieśli się do baru kawowego na parterze. Odstawiając krzesło od stolika, Mark uświadomił sobie, że Zola i Todd aż się duszą ze śmiechu. W pierwszym odruchu się obruszył, po chwili jednak też zaczął się śmiać. W końcu Todd złapał oddech na tyle, by wykrztusić:

– Świetna robota, Darrell.

Zola otarła policzki wierzchem dłoni.

– Freddy Garcia – wydusiła i Todd znów parsknął śmiechem.

Śmiali się jeszcze przez dłuższą chwilę, aż w końcu Mark się opanował i spytał:

– Kto chce kawy?

Podszedł do lady, zamówił trzy kawy i przyniósł je do stolika, przy którym pozostali wspólnicy powoli przychodzili do siebie.

– Zauważyliśmy tego palanta i widzieliśmy, jak się szykuje do ataku, kiedy tylko się zorientował, co robisz.

– Myślałam, że się na ciebie rzuci z pięściami – dodała Zola.

– Ja też – przyznał Mark.

Zaczęli sączyć kawę, każde bliskie wybuchnięcia śmiechem.

– Dobra, ale jest też pozytywny aspekt – powiedział w końcu Mark. – Sytuacja rzeczywiście była niezręczna, nikomu jednak nawet nie przyszło do głowy pytać, czy jestem adwokatem. Pójdzie łatwo.

– Łatwo! – prychnął Todd. – Niemal się pobiłeś o naszego pierwszego klienta!

– Zauważyłeś minę tego Latynosa, jak wy dwaj zaczęliście się kłócić? Musiał pomyśleć, że wszyscy prawnicy są walnięci. – Zola znów zaczęła się śmiać.

– Zapiszmy to w koszty zdobywania doświadczenia – zaproponował Mark, uśmiechając się. – Nie możemy się już wycofać.

– Ale Darrellem Cromleyem to ty nie jesteś – rzucił Todd.

– Zamknij się. I chodźmy stąd.

* * *

Przed drugim skokiem w przepaść postanowili zmienić strategię. Pod salą rozpraw szacownego Leona Handleforda z Wydziału X Sądu Karnego stał rozedrgany tłumek podsądnych i ich rodzin. Tym razem jako pierwszy atak przypuścił Todd, udając mocno zestresowanego. Przez chwilę lustrował wzrokiem czekających, po czym skupił uwagę na młodym czarnoskórym mężczyźnie w towarzystwie starszej kobiety, zapewne jego matki. Todd podszedł do nich, uśmiechnął się i zaczął rozmowę.

– Co za wstrętny sposób na spędzanie dnia, nie?

– Nie zaprzeczę – odparł młody człowiek, a jego matka wzniosła oczy ku niebu.

– Tu sądzą złapanych na podwójnym gazie, tak?

– Na wykroczeniach drogowych – poprawił młodzieniec.

– Złapali go, jak pruł sto trzydzieści pięć tam, gdzie było ograniczenie do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. To już jego druga

wpadka w tym roku. Założę się, że ubezpieczenie strzeli w górę jak z armaty.

– Sto trzydzieści pięć – powtórzył w zadumie Todd. – Oj, to niedobrze.

– Śpieszyło mi się.

– Policjant powiedział, że go zamkną – jęknęła matka. Widać było, że jest kompletnie roztrzęsiona.

– Masz adwokata? – spytał Todd.

– Jeszcze nie. Nie mogę stracić prawa jazdy. Jak stracę prawko, to zostanę bez pracy.

W tym momencie na horyzoncie pojawił się Mark z telefonem przytkniętym do ucha. Porozumiał się wzrokiem z Toddem, podszedł bliżej, odjął od ucha telefon i spojrzał na Todda, całkowicie ignorując obecność chłopaka i jego matki.

– Właśnie skończyłem rozmowę z prokuratorem, moim dobrym znajomym. Załatwiłem, że go nie posadzą, i zmniejszą mu grzywnę o połowę. Wciąż jeszcze walczę, żeby nie zabrali mu prawa jazdy, ale jestem na dobrej drodze. Masz tę drugą połowę mojego honorarium?

– Jasne – rzucił Todd, sięgnął do kieszeni i wyjął plik banknotów, po czym na oczach wszystkich spokojnie odliczył pięć setek i wręczył

je Markowi. Ten schował pieniądze, a Todd wskazał ręką swego nowego znajomego. – Słuchaj, tego gościa złapali, jak jechał sto trzydzieści pięć na ograniczeniu do sześćdziesięciu. Co może za to dostać?

Mark nie miał pojęcia, ale teraz był już w skórze nowego Darrella Cromleya, doświadczonego ulicznego prawnika, którego żadne pytanie nie może zaskoczyć.

– Sto trzydzieści pięć – jęknął, jakby przybity tą wiadomością. – Po alkoholu?

– Nie – odparł młody mężczyzna.

– Kompletnie trzeźwy – potwierdziła matka. – Może bym to zrozumiała, jakby był pijany, ale był trzeźwy i dokładnie wiedział, co robi.

– Mamo, przestań.

– Wszystko powyżej stu trzydziestu automatycznie oznacza odsiadkę za kratkami.

– Zajmuje się pan też przekroczeniami prędkości?

Mark obrzucił kobietę pełnym politowania spojrzeniem, jakby jej pytanie było nie na miejscu.

– Wykroczenia drogowe to moja specjalność, szanowna pani. Znam tu wszystkich sędziów i wszystkie sztuczki.

– Nie mogę stracić prawa jazdy – żalił się młody człowiek.

– A czym się zajmujesz? – spytał Mark, zerkając na zegarek.

– Rozwożeniem przesyłek kurierskich. To dobra robota i nie mogę jej stracić.

Dobra robota. Świetnie! Honorarium za jazdę po pijaku wynosi tysiąc dolarów, za przekroczenie prędkości pewnie trochę mniej, ale z kolei groźba utraty pracy podnosi stawkę.

– Posłuchaj, moje honorarium wynosi tysiąc dolców – oświadczył Mark bez mrugnięcia okiem. – W zamian za to zostaniesz ukarany tylko za zwykłe przekroczenie prędkości i nie pójdziesz siedzieć. – Ponownie zerknął na zegarek, jakby goniły go ważniejsze sprawy.

Młodzieniec spojrzał na matkę z nadzieją, ale ta pokręciła głową, jakby mówiła: „Sam się w to wpakowałeś, sam się z tego wykaraskaj”. Chłopak przeniósł wzrok na Marka.

– Mam przy sobie tylko trzysta dolców – powiedział. – Mogę zapłacić resztę później?

– Tak, ale przed terminem rozprawy. Pokaż mi to wezwanie.

Chłopak wyciągnął z kieszeni papier i podał Markowi, a ten szybko przebiegł go wzrokiem. Benson Taper, lat dwadzieścia trzy, kawaler,

zamieszkały przy Emerson Street w północno-wschodnim rejonie Dystryktu Kolumbii.

– Dobra, Benson – rzucił Mark. – Pójdziemy pogadać z sędzią.

* * *

Nagabywanie klientów na korytarzu było zajęciem szarpiącym nerwy, zwłaszcza dla udającego adwokata żółtodzioba, ale wejście w paszczę lwa i stanięcie twarzą w twarz z sędzią napawało przerażeniem. Idąc przejściem między rzędami dla publiczności, Mark miał kolana jak z waty, a gula w jego żołądku z każdym krokiem rosła i stawała się coraz twardsza.

Weź się w garść, ty idioto, ofuknął się w myślach. Nie okazuj strachu. To wszystko tylko gra. Jeśli Darrell Cromley to potrafi, to ty też. Wskazał wolne miejsce w środkowym rzędzie i jakby kierował ruchem w swoim sądzie, szepnął do matki młodzieńca: „Proszę tam usiąść”. Kobieta posłusznie spełniła polecenie, podczas gdy Mark z jej synem podeszli do przodu i usiedli w pierwszym rzędzie. Benson wręczył mu trzysta dolarów, a Mark jemu umowę na reprezentację prawną, będącą wierną kopią tej, którą jako Gordy zawarł z mecenasem Prestonem Kline’em.

Dopełniwszy formalności, obaj usiedli i zaczęli obserwować wydarzenia na sali.

Tuż przed nimi znajdowała się balustrada – sięgająca kolan barierka, oddzielająca publiczność od przestrzeni sędziowskiej i stojących na niej dwóch stołów. Koło stołu po prawej, zawalonego stosami papierów, kręciło się kilku młodych prokuratorów, coś do siebie szepcząc, żartując i dokładając kolejne sterty. Stół po lewej był niemal pusty i siedziało przy nim paru znudzonych obrońców i cicho gawędziło. Między stołami kręcili się urzędnicy sądowi, wręczając prawnikom przy obu stołach i sędziemu Handlefordowi pliki papierów. Choć trwała sesja sądu, za barierką odbywał się wzmożony ruch, ale wyraźnie nikomu to nie przeszkadzało na tyle, by zaprotestować. Duży napis na ścianie głosił: *Zakaz używania telefonów komórkowych. Grzywna 100 $*.

Sędzia Handleford był zwalistym białym brodaczem koło sześćdziesiątki, który sprawiał wrażenie śmiertelnie znudzonego codzienną rutyną. Rzadko podnosił głowę i wydawał się bez reszty pochłonięty podpisywaniem kolejnych papierków.

Urzędnik sądowy potoczył wzrokiem po publiczności i wywołał kolejne nazwisko.

Z miejsca podniosła się wysoka kobieta, mniej więcej pięćdziesięcioletnia, sztywnym krokiem podeszła do barierki, minęła bramkę i stanęła przed Wysokim Sądem. Była oskarżona o prowadzenie po alkoholu i jakimś cudem dotarła aż tu, nie stając się po drodze ofiarą nachalnego prawnika. Mark zanotował jej imię i nazwisko: Valerie Blann. Zamierzał je odnaleźć na wokandzie i później się z nią skontaktować. Pani Blann nie przyznała się do winy i dostała termin rozprawy pod koniec lutego. Sędzia Handleford prawie na nią nie spojrzał, a urzędnik wyczytał następne nazwisko.

Mark przełknął ślinę, skrzyżował palce na szczęście, przeszedł przez bramkę i przybrawszy minę starego wygi prawniczego, podszedł do stołu oskarżenia, wziął egzemplarz wokandy i usiadł przy stole obrony. Wraz z nim doszło jeszcze dwóch nowych prawników, a jeden wstał i wyszedł. Nikt nie zwracał uwagi na ruch przy stole. Któryś z prokuratorów rzucił jakiś żarcik i wywołał tym kilka parsknięć wśród kolegów. Sędzia wyglądał, jakby drzemał. Mark rozejrzał się po sali i dostrzegł Zolę siedzącą za matką Bensona. Miała szeroko rozwarte oczy i uważnie obserwowała każdy ruch. Todd usiadł w pierwszym rzędzie, by być bliżej akcji. Mark

podszedł do urzędniczki siedzącej przy końcu stołu sędziowskiego, wręczył jej wizytówkę i poinformował, że reprezentuje Bensona Tapera. Obrzuciła go spojrzeniem z gatunku: „A co mnie to obchodzi?”.

Gdy w końcu wyczytano nazwisko Bensona, Mark wstał, ruchem ręki przywołał swojego klienta i obaj stanęli przed obliczem sędziego Handleforda, który niemal nie dawał znaków życia. Od stołu prokuratorskiego podniosła się jedna z kobiet i Mark się przedstawił. Pani prokurator nazywała się Hadley Caviness, była bardzo zgrabna i w krótkiej spódniczce wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Wymienili się z Markiem wizytówkami, a sędzia jakby ożył.

– Panie Taper – powiedział. – Widzę, że ma pan pełnomocnika, zakładam więc, że nie przyznaje się pan do winy, tak?

– Tak jest, Wysoki Sądzie – potwierdził Mark, wypowiadając swe pierwsze słowa w sądzie i w ten sposób w imieniu własnym i dwojga wspólników łamiąc paragraf 54B Kodeksu Postępowania Karnego Dystryktu Kolumbii: *Kto bez należytych uprawnień praktykuje prawo, podlega karze grzywny do tysiąca dolarów oraz karze więzienia do dwóch lat.* I wszyscy troje czuli, że nie mają się czym przejmować, wiedzieli

bowiem, że w ciągu minionych czterdziestu lat w Dystrykcie Kolumbii zdarzył się tylko jeden wyrok więzienia dla oszusta podającego się za prawnika. Skazano go na sześć miesięcy, z czego cztery w zawieszeniu, a jego zachowanie było wyjątkowo bezczelne.

W katalogu zachowań przestępczych praktykowanie prawa bez uprawnień było miałkim wykroczeniem. Nikogo z tego tytułu tak naprawdę nie karano. A jeśli szczerze się przyłożą, interesy ich klientów będą zabezpieczone. Sprawiedliwość na tym nie ucierpi. I tak dalej. Mogli godzinami racjonalizować swoje postępowanie.

Kiedy jego wspólnik stanął przed obliczem sędziego, Todd praktycznie wstrzymał oddech. Czy to może być aż tak łatwe? Mark z całą pewnością pasował do roli młodego adwokata, a jego garnitur odbijał się korzystnie na tle garniturów prawników po obu stronach sali. A ci inni prawnicy? Ilu z nich próbowało przeżyć z górą długów na karku?

Zola siedziała na brzeżku krzesła, czekając, aż ktoś zawoła: „Ten człowiek to oszust!”, ale nikt nawet nie spojrzał krzywo na mecenasa Upshawa. Gładko dołączył do grona prawników, stając się jednym z wielu. Po półgodzinie

przyglądania się Zola zauważyła, że część prawników przy stole obrony się zna, zna też niektórych prokuratorów i wszyscy czują się tu jak w rodzinie. Inni trzymali się na uboczu i nie rozmawiali z nikim poza sędzią. Ale nie miało to znaczenia. Znajdowali się w sądzie, w którym zajmowano się przestępstwami drogowymi, i wszyscy trzymali się niepodlegającej żadnym zmianom rutyny.

Termin rozprawy Bensona został wyznaczony za miesiąc, sędzia zapisał nazwisko, Mark powiedział: „Dziękuję, Wysoki Sądzie” i wyprowadził klienta z sali.

Najnowsza firma prawnicza w mieście miała teraz kilka tygodni na obmyślenie następnego ruchu. Za gotówkę od Bensona zjedli wczesny lunch w pobliskiej knajpie. W połowie kanapki Todd przypomniał sobie Freddy’ego Garcię i znów szczerze się pośmiali.

Na popołudniową zmianę Mark przebrał się w inny garnitur – miał już trzy. Todd również się wystroił. Już o trzynastej stawili się w sądzie i zaczęli polować na klientów. Wyglądało na to, że ich podaż nie ma granic. Początkowo działali razem, ucząc się drobnych sztuczek. Nikt nie zwracał na nich uwagi, ale i tak odetchnęli, gdy bez przeszkód wmieszali się w tłumek

prawników kręcących się po przepastnych korytarzach sądu.

Przed salą Wydziału VI Todd przytknął do ucha telefon i przeprowadził ważną rozmowę przez wyłączony aparat. Mówił głośno i wyraźnie, by wszyscy mogli go słyszeć.

– Słuchaj, mam na koncie setki spraw o prowadzenie po alkoholu z tobą po drugiej stronie barykady, więc nie pieprz mi bzdur. Ten chłopak wydmuchał zero dziewięć promila, tuż powyżej limitu, i ma czystą kartę jako kierowca. Więc przestań się wygłupiać i zmień zarzut na brak zachowania ostrożności. Bo jeśli nie, to będę musiał pogadać z sędzią. Jak mnie zmusisz, doprowadzę do procesu, a pamiętasz, co było tamtym razem. Narobiłem wstydu gliniarzom i sędzia oddalił zarzuty. – Chwila przerwy, jakby słuchał swego rozmówcy. – No, to już lepiej. Wpadnę do ciebie w ciągu godziny i spiszemy ugodę.

Ledwo zdążył schować telefon do kieszeni, gdy podszedł do niego jakiś mężczyzna.

– Przepraszam, jest pan może adwokatem? – zapytał.

* * *

Zola, wciąż ubrana w codzienną sukienkę, przemieszczała się z sali do sali, przyglądając się ludziom stającym przed sądem samotnie, bez pomocy prawników. Sędziowie często pytali ich o zatrudnienie, stan cywilny i podobne rzeczy. U większości miejsca pracy brzmiały nieciekawie, ale w paru przypadkach zapisała sobie nazwisko i uzupełniła dane z wywieszonej wokandy, tworząc listę potencjalnych klientów, do których jej wspólnicy mieli później dzwonić. Po paru godzinach poczuła się znużona monotonią błahych wykroczeń, które trafiały do sądu.

Ale i tak przysłuchiwanie się im było ciekawsze od siedzenia na zajęciach i martwienia się nadchodzącym egzaminem adwokackim.

* * *

O piątej weszli do baru Pod Kogutem i usiedli przy narożnym stole. Mark wziął od barmana dwa piwa i napój owocowy i zamówił dla wszystkich kanapki. Miał zmianę w barze od osiemnastej do północy, więc drinki i jedzenie dostali na koszt firmy.

Byli zadowoleni z pierwszego dnia pracy w sądzie. Todd dopadł jednego klienta i stanął

z nim przed sędzią Cantu. Oskarżyciel napomknął, że nigdy wcześniej nie widział Todda, a ten odparł, że jest tu już od roku. Mark złapał jedną napaść w Wydziale IX i stanął przed sędzią, który wprawdzie mu się przyjrzał, ale nic nie powiedział. Mogli liczyć, że za parę dni ich twarze staną się już znajome.

W sumie zarobili tysiąc sześćset dolarów w gotówce, a dalsze tysiąc czterysta należało im się zgodnie z podpisanymi umowami. Mając przy tym świadomość, że ich zarobki nie podlegają żadnej rejestracji i są wolne od podatku, czuli się tak, jakby natrafili na żyłę złota. Najpiękniejsza w ich planie była jednak bezwstydna bezczelność postępowania. Przecież nikt mający odrobinę oleju w głowie nie ważyłby się stanąć przed sędzią i udawać prawnika.

Rozdział 19

O północy Mark wszedł na trzecie piętro i znalazł się w swoim zagraconym mieszkanku. Todd czekał na kanapie z laptopem na kolanach, na tandetnym stoliku kupionym za dziesięć dolarów stały dwie puste puszki po piwie. Mark wyjął piwo z małej lodówki i opadł na fotel przed kanapą. Był zmęczony i marzył o śnie.

– Co robisz? – spytał.

– Przeglądam pozwy zbiorowe. Są już cztery przeciwko bankowi Swift i wygląda na to, że wystarczy zadzwonić do któregoś z prawników i wpisać się na listę. Chyba najwyższy czas to zrobić. Faceci ostro się reklamują, ale tylko w internecie. Jak dotąd, nie widziałem żadnych reklam w telewizji. Pewnie dlatego, że indywidualne roszczenia są tak niskie. Tu nie chodzi o uszczerbek na zdrowiu i wielkie odszkodowanie. Tu każdorazowo idzie o parę dolarów naliczanych nieuzasadnionych opłat,

które Swift dopisywał do miesięcznych wyciągów. Rzecz w tym, że jest ich tak dużo. Liczba naciągniętych klientów może iść w miliony.

– Widziałem dziś w telewizji przesłuchanie szefa Swifta przed Kongresem.

– No, dali mu popalić. Dostał po głowie i od demokratów, i od republikanów. Strasznie się plątał. Dosłownie spływał potem i przesłuchująca go komisja miała prawdziwe używanie. Wszyscy domagają się jego rezygnacji. Jeden z blogerów pisze, że Swift tak fatalnie wpadł, że nie ma wyjścia i musi jak najszybciej wygrzebać się z tego szamba i o wszystkim zapomnieć. Uważa, że bank popłynie na mniej więcej miliard dolców odszkodowań z pozwów zbiorowych, a potem wyda kolejne duże pieniądze na nowe kampanie reklamowe, mające poprawić jego wizerunek.

– Jak zwykle. Nic nie piszą o Rackleyu?

– A skąd! Facet kryje się za swoimi firmami wydmuszkami. Od paru godzin szukam i nie znajduję żadnej wzmianki o nim i jego firmach. Ciekawe, czy Gordy miał rację, mówiąc o jego związkach ze Swiftem.

– Założę się, że tak, ale trzeba będzie jeszcze pokopać.

Na moment obaj zamilkli. Normalnie ciszę wypełniałby grający telewizor, ale nie podpisali jeszcze umowy z operatorem kablówki. Mieli w planie podłączenie się do kabla doprowadzonego do baru na dole, lecz nie byli jeszcze gotowi zmagać się z lawiną pytań instalatora. Ich dwa płaskoekranowe telewizory stały niepodłączone w rogu pokoju.

– Gordy, Gordy… – mruknął w końcu Mark. – Jak często o nim myślisz?

– Bardzo często – odparł Todd. – Właściwie cały czas.

– Zadajesz sobie pytanie, co powinniśmy byli zrobić inaczej?

– Tak. Mogliśmy zrobić to czy tamto, tylko że Gordy nie był sobą. Nie jestem pewien, czy bylibyśmy w stanie go powstrzymać.

– Też to sobie wmawiam. Ale mi go brakuje. Bardzo. Często się zastanawiam, co by powiedział, gdyby mógł nas teraz widzieć.

– Gordy, którego znaliśmy kiedyś, powiedziałby, że zwariowaliśmy. Ale jego ostatnia wersja pewnie chciałaby do nas dołączyć.

– Zapewne jako wspólnik zarządzający. – Obaj parsknęli śmiechem. – Czytałem kiedyś artykuł o kimś, kto się zabił. Jakiś psychiatra rozwodził

się na temat niemożności zrozumienia takiego czynu. Twierdził, że gdy ktoś dochodzi do takiego punktu, przebywa już w innym świecie i pozostający przy życiu nigdy go nie rozumieją. A jeśli rozumieją, to może znaczyć, że sami zaczynają mieć kłopoty.

– No więc ja nie mam kłopotów, bo nigdy tego nie zrozumiem. Jasne, miał sporo problemów, ale samobójstwo nie jest rozwiązaniem. Gordy mógł się z nich wyplątać, podjąć kurację, dogadać się z Brendą. Z drugiej strony, gdyby się wycofał z tego małżeństwa, na dłuższą metę byłby szczęśliwszy. Mamy takie same problemy ze studiami, z egzaminem adwokackim, z brakiem pracy, z zadłużeniem, ale do głowy nam nie przyjdzie się zabijać. Przeciwnie, podejmujemy walkę.

– Tylko że my nie mamy choroby dwubiegunowej, więc nigdy tego nie zrozumiemy.

– Pogadajmy o czymś innym – zaproponował Todd.

Mark pociągnął łyk piwa.

– Racja. Jak tam nasza lista klientów?

Todd zamknął laptopa i położył na podłogę.

– Nijak. Dzwoniłem do ośmiu potencjalnych ofiar, ale żadna nie chciała nawet rozmawiać.

Rozmowa przez telefon stawia nas na równi i dziś w domu ci ludzie są dużo spokojniejsi niż wczoraj w sądzie.

– Czy nie wydaje nam się to za łatwe? – spytał Mark. – No bo w ciągu jednego dnia zarobiliśmy trzy tysiące dolców, właściwie nic nie robiąc.

– Trafił nam się dobry dzień, ale nie zawsze tak będzie. Najbardziej mnie zdumiewa ruch w tym interesie, liczba osób mielonych przez tryby systemu.

– I chwała Bogu.

– To dla nas niewyczerpane źródło – zauważył Todd.

– Ale to szaleństwo, które nie może trwać wiecznie.

– To prawda, możemy to jednak ciągnąć jeszcze długo. I z całą pewnością wyjść na tym lepiej niż na czymś innym.

Mark upił kolejny łyk, westchnął głęboko i zamknął oczy.

– Nie ma już odwrotu – powiedział. – Popełniliśmy zbyt wiele wykroczeń. Praktyka prawnicza bez uprawnień. Unikanie podatków. Zapewne też złamanie jakichś punktów z prawa pracy. Jeśli dołączymy do pozwu zbiorowego przeciwko Swiftowi, wtedy i to będziemy mogli dopisać do listy.

– Czyżbyś zaczynał mieć skrupuły? – zapytał Todd.

– Nie. A ty?

– Nie, ale martwię się Zolą. Czasami mam takie uczucie, jakbyśmy wciągali ją w to siłą. Jest teraz bardzo bezbronna i wystraszona.

Mark otworzył oczy i wyciągnął nogi.

– To prawda – przyznał – ale przynajmniej czuje się bezpieczna. Ma dobrą kryjówkę, a to dla niej niesłychanie ważne. To twarda dziewczyna, Todd. Przeszła więcej, niż się nam wydaje. W tej chwili jest tam, gdzie chce być. Potrzebuje nas.

– Biedna. Spotkała się dziś z Rondą. Poszły gdzieś na drinka i Zola przyznała się jej, że myśli o wzięciu urlopu na ten semestr. Powiedziała, że nie jest w stanie skupić się na studiach i nauce do egzaminu adwokackiego. Wydaje się jej, że Ronda to kupiła. Ja z kolei rozmawiałem z Wilsonem i obiecałem mu, że ty i ja zaczniemy znów chodzić na zajęcia. Bardzo był zmartwiony, ale zapewniłem go, że u nas wszystko w porządku. Może wreszcie ci ludzie zostawią nas w spokoju.

– Jeśli ich zignorujemy, to o nas zapomną. Mają ważniejsze sprawy na głowie.

– I my też. – Todd przytaknął. – Nasze nowe kariery. Bo jak już mamy klientów, to musimy się

nimi zająć. Obiecujemy im, że nie pójdą siedzieć, a wymierzone grzywny będą zmniejszone. Masz jakiś pomysł, jak to zrobimy?

– Jutro o tym pomyślimy. Kluczowe będzie zaprzyjaźnienie się z oskarżycielami. Trzeba ich poznać i obłaskawić. Ale pamiętaj, że jeśli nie zawsze uda nam się dotrzymać obietnicy, to nie będziemy pierwszymi prawnikami w historii, którzy obiecali zbyt wiele. Zainkasujemy honorarium i pójdziemy dalej.

– Mówisz jak prawdziwy uliczny naciągacz.

– To moja działka. Idę spać.

* * *

Piętro niżej Zola też nie spała. Na wpół siedziała na wąskim łóżku, oparta plecami o poduszki i z nogami przykrytymi kołdrą. W pokoju panowały ciemności rozświetlone jedynie blaskiem ekranu laptopa.

Jej doradczynią kredytową była niejaka Tildy Carver, zatrudniona w firmie świadczącej usługi finansowe LoanAid w pobliskim Chevy Chase. Podczas studiów Zoli w Foggy Bottom zachowywała się dość przyjaźnie, jednak w miarę zbliżania się do dyplomu ton jej wypowiedzi ulegał wyraźnej zmianie. Tego

popołudnia, siedząc na sali sądowej i robiąc notatki, Zola odebrała jej najnowszego maila:

Szanowna Panno Maal,
kiedy miesiąc temu wymieniałyśmy korespondencję, szykowała się Pani do ostatniego semestru. Wyraziła Pani wtedy obawę, czy uda się Pani znaleźć odpowiednie zatrudnienie. Nie wątpię, że wraz ze zbliżającym się końcem studiów odbywa Pani liczne spotkania z potencjalnymi pracodawcami. Proszę o bliższe dane na temat Pani starań o znalezienie pracy. Będę z zainteresowaniem czekała na wiadomości od Pani.

Z poważaniem
Tildy Carver
starszy doradca kredytowy

Ostatnia transza kredytu, 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $

Łączne zadłużenie wraz z odsetkami: 191 000 $

Zola popatrzyła na kwotę „łącznego zadłużenia” i pokręciła głową. Wciąż nie mogła

uwierzyć, że dobrowolnie dała się wpuścić w system pozwalający komuś takiemu jak ona zaciągnąć tak poważny dług, bazujący na wręcz absurdalnym założeniu, że uda jej się go spłacić. Czuła się teraz w miarę bezpieczna i właściwie nie powinna się martwić spłatą, ale plan obmyślony przez chłopaków też jej nie zachwycał. Uważała, że ucieczka i zrzucenie całej winy na system jest nie w porządku.

Rodzice nie mieli pojęcia o jej długu. Wiedzieli tylko, że legalnie pożycza od państwa kwoty akceptowane przez władze, i w swej naiwności wierzyli, że przyjęty przez Kongres program pomocy studentom musi być dobrze przemyślany i korzystny dla wszystkich. Teraz nie dowiedzą się już prawdy i przynajmniej to było trochę pocieszające.

Napisała odpowiedź.

Szanowna Pani,
miło mi było przeczytać wiadomość od Pani. W zeszłym tygodniu odbyłam rozmowę w Departamencie Sprawiedliwości i czekam na odpowiedź. Poważnie rozważam możliwość zatrudnienia w sektorze publicznym lub podjęcie pracy w instytucji non profit, co pozwoli mi zmniejszyć

uciążliwość spłacania zadłużenia. Będę z Panią w kontakcie.

Z poważaniem
Zola Maal

Usłyszała nad głową kroki i domyśliła się, że jej wspólnicy jeszcze nie śpią. Wyłączyła laptopa i wyciągnęła się pod kołdrą. Była wdzięczna chłopakom za tę bezpieczną norę, za to, że nikt nagle nie zapuka w nocy do jej drzwi. Pierwsze mieszkanie, które pamiętała z dzieciństwa, było niewiele większe od tego. Maleńką sypialnię dzieliła z dwoma starszymi braćmi. Chłopcy spali na piętrowym łóżku, ona na stojącym obok łóżku polowym. Rodzice zajmowali drugi, równie ciasny pokoik. Nie zdawała sobie sprawy, jak są biedni i zgnębieni swoją sytuacją. Mimo to ich dom stanowił szczęśliwą przystań, w której często gościł śmiech i dobry nastrój. Rodzice pracowali dorywczo w różnych miejscach i o różnych porach dnia i nocy, ale zwykle jedno z nich było w domu. A jeśli nie, to któraś z sąsiadek doglądała dzieci. Drzwi wejściowe zwykle stały otworem i „swoi” mogli bez przeszkód wchodzić i wychodzić. Ktoś zawsze coś pichcił i korytarz wypełniały smakowite zapachy.

Dzielono się jedzeniem, ubraniami, a nawet pieniędzmi.

I wszyscy ciężko pracowali. Dorośli Senegalczycy bez słowa skargi spędzali długie godziny w pracy. Zola dopiero w wieku dwunastu lat zdała sobie sprawę, że nad ich światem wisi ciemna chmura. Jednego z ich znajomych aresztowano, przewieziono do obozu i po pewnym czasie deportowano do rodzinnego kraju. Wszystkich to przeraziło i w konsekwencji jej rodzice po raz kolejny się przeprowadzili.

Myślała o rodzicach i bracie o każdej porze dnia i zwykle usypiała, walcząc ze łzami. Jej przyszłość rysowała się niepewnie, ale ich bez porównania gorzej.

Rozdział 20

Królem billboardów w Waszyngtonie była barwna postać adwokata procesowego, niejakiego Rusty'ego Savage'a. Jego hasło reklamowe brzmiało RUSTY CI POMOŻE i nie dało się przejechać Beltway, by nie natknąć się na jego uśmiechniętą twarz namawiającą ofiary wszelakich nieszczęść, by mu zaufały. Jego reklamy telewizyjne przedstawiały klientów poszkodowanych w różnych wypadkach, którzy świetnie sobie radzili dzięki temu, że zdecydowali się zadzwonić pod numer 1-800-Pomoge-Ci i poprosić o pomoc.

Trójka wspólników UPL przeprowadziła w Waszyngtonie badanie rynku odszkodowań za poniesione urazy fizyczne i padło na Rusty'ego. Pracowało u niego ośmioro prawników, z których kilkoro było w stanie wejść na salę rozpraw i wystąpić w procesie jako strona. Zola zadzwoniła pod podany numer i oświadczyła

kobiecie, która odebrała telefon, że mąż został ciężko ranny w zderzeniu z osiemnastokołową ciężarówką i chce się w tej sprawie zobaczyć z panem Rustym. Kobieta wyjaśniła, że pan mecenas jest zajęty „wielkim procesem przed sądem federalnym”, ale jeden z jego prawników chętnie się z nią spotka.

Jeśli nie wiesz nic o rynku odszkodowań za fizyczne obrażenia, znajdź sobie kogoś, kto się na tym zna. Podając nazwisko wybrane z książki telefonicznej, Zola umówiła się na spotkanie.

Kancelaria mieściła się w szklanym wieżowcu w pobliżu Union Station. Razem z Toddem weszli do holu, który wyglądem i atmosferą przypominał poczekalnię u wziętego lekarza. Pod ścianami stały rzędy krzeseł i stojaki pełne czasopism. Na krzesłach bardziej lub mniej wygodnie siedziało kilkanaście osób, niektórzy o kulach lub z laskami. Najwyraźniej natrętne reklamy Rusty’ego zrobiły swoje. Zola podeszła do recepcji i otrzymała twardą podkładkę z przypiętym kwestionariuszem do wypełnienia. W wolnych polach wpisała zmyślone dane, podała jednak prawdziwy numer swojej starej komórki. Po piętnastu minutach przyszedł po nich asystent adwokata i zaprowadził na salę podzieloną przepierzeniami na niewielkie boksy,

w których liczne grono pracowników biurowych siedziało nad telefonami i klawiaturami, produkując zwały papieru. Prawnicy mieli oddzielne gabinety wzdłuż zewnętrznej ściany budynku, z widokiem na miasto. Asystent zapukał do drzwi jednego z nich i oboje wkroczyli do królestwa Brady'ego Hulla.

Z informacji w sieci wiedzieli, że mecenas Hull ma około czterdziestu lat i jest absolwentem prawa na American University. Oczywiście „jego pasją była walka o prawa klientów" i w tej dziedzinie mógł się pochwalić szeregiem „znaczących sukcesów". Asystent wyszedł, wszyscy troje się sobie przedstawili, po czym Zola i Todd usiedli w skórzanych fotelach przed biurkiem mecenasa Hulla, które tylko trochę różniło się od wysypiska śmieci.

Tom (Todd) wyjaśnił, że mąż Claudii Tolliver (Zoli) jest jego najlepszym przyjacielem i przyszedł z nią tylko po to, by jej udzielić moralnego wsparcia. Mąż Claudii, Donnie, poprosił go, by towarzyszył żonie i robił notatki, sam bowiem zmuszony jest zostać w domu z powodu odniesionych obrażeń.

Hull odniósł się do tego sceptycznie.

– Normalnie się na to nie godzimy – powiedział. – Może będziemy musieli rozmawiać

o sprawach prywatnych i poufnych.

– Nic nie szkodzi – zapewniła go Claudia. – Tom jest zaufanym przyjacielem rodziny.

– A więc dobrze – zgodził się mecenas Hull, sprawiający wrażenie człowieka mocno zagonionego, który ma za dużo spraw na głowie, za dużo telefonów do wykonania, za dużo teczek z aktami do przejrzenia i za mało godzin na dobę, by to wszystko ogarnąć. – Zatem ktoś wjechał w samochód prowadzony przez pani męża – dodał, zaglądając do kwestionariusza. – Proszę mi o tym opowiedzieć.

– To się stało trzy miesiące temu – zaczęła swą opowieść Claudia. Zawahała się i spojrzała na Toma, skutecznie udając przygnębienie i zmieszanie. – Jechał z pracy do domu Connecticut Avenue i koło Cleveland Park został staranowany przez osiemnastokołową ciężarówkę. Donnie jechał na północ, ciężarówka na południe, ale z jakiegoś powodu jej kierowca zjechał na lewo, przekroczył środkową linię i walnął w samochód Donniego. Prosto w niego.

– Czyli nie ma wątpliwości, kto ponosi winę? – upewnił się Hull.

– Według policji nie ma. Kierowca ciężarówki odmówił wyjaśnień, więc do dziś nie wiemy, dlaczego to zrobił.

– Musiałbym zobaczyć protokół policyjny.

– Mam go w domu.

– Nie przyniosła pani? – obruszył się.

– Przepraszam. Nigdy wcześniej nie miałam z czymś takim do czynienia. Nie byłam pewna, co powinnam przynieść.

– Niech pani jak najszybciej mi to dośle. A badania lekarskie pani męża? Przyniosła pani wyniki?

– Nie, proszę pana. Nie wiedziałam, że powinnam.

Hull ze złością przewrócił oczami i w tym momencie zabrzęczał jego telefon. Spojrzał na niego i przez chwilę jakby się wahał, czy odebrać.

– Jak poważne są jego obrażenia?

– Niewiele brakowało, a zginąłby. Doznał poważnego wstrząśnienia mózgu, przez tydzień był w śpiączce. Złamanie szczęki, złamanie obojczyka, sześć złamanych żeber, z których jedno przebiło płuco. Złamana noga. Jest już po dwóch operacjach i prawdopodobnie czeka go trzecia.

To zrobiło na Hullu wrażenie.

– Ał, naprawdę go poturbował. Ile wyniosły łącznie rachunki za leczenie?

Wzruszyła ramionami i spojrzała na Toma, który też wzruszył ramionami, jakby nie miał

pojęcia.

– Jakieś dwieście tysięcy dolarów, coś koło tego – odezwała się w końcu Claudia. – Mąż przechodzi obecnie rehabilitację, ale nie bardzo może się ruszać. I właśnie w tym problem, panie mecenasie. Nie wiem, co mam robić. Prawnicy wydzwaniali w dzień i w nocy bezpośrednio po wypadku, tak że w końcu przestałam odbierać telefon. Jestem w kontakcie z firmą ubezpieczeniową, ale nie wiem, czy mogę im zaufać.

– W takich sprawach nigdy nie wolno ufać firmom ubezpieczeniowym – powiedział adwokat tonem nagany, jakby już coś palnęła. – Proszę z nimi nie rozmawiać. – Wydawał się teraz bardziej skupiony. – Czym pani mąż zajmuje się zawodowo?

– Jest operatorem wózka widłowego w magazynie. To całkiem niezła praca. Zarabia około czterdziestu pięciu tysięcy rocznie. Ale od chwili wypadku jest na zwolnieniu i zaczyna nam brakować pieniędzy.

– Możemy zaproponować pożyczkę pomostową – odparł gładko Hull. – Często to robimy. Nie chcemy, żeby nasi klienci musieli wysupływać ostatni grosz w czasie, gdy my walczymy o odszkodowanie. Jeśli wina jest tak

oczywista, jak to pani opisała, będziemy mogli wynegocjować odszkodowanie bez udziału sądu.

– Ile wynosi wasze honorarium? – spytała. Jak dotąd Tom nie odezwał się jeszcze ani słowem.

– Nie pobieramy honorarium – odparł Hull z dumą w głosie. – Żadnych opłat.

O kurczę, pomyślał Tom, widziałem te ich zapewnienia na co najmniej pięćdziesięciu billboardach. Ale oczywiście nic głośno nie powiedział.

– Dostajemy pieniądze w chwili, kiedy i pani je dostaje. Wysokość naszego zarobku zależy od nieprzewidzianych kosztów, ale zwykle wynosi dwadzieścia pięć procent wynegocjowanego odszkodowania. Jeśli sprawa trafia do sądu, to oczywiście jest z tym dużo więcej pracy i wtedy nasz udział wzrasta do jednej trzeciej.

Claudia i Tom pokiwali głowami. Nareszcie coś, o czym była mowa na wykładach w Foggy Bottom.

– Sprawa przedstawia się następująco, panie mecenasie – powiedziała Claudia. – Firma ubezpieczeniowa zaoferowała refundację wszystkich kosztów leczenia i rehabilitacji oraz utraconych zarobków, a do tego odszkodowanie w wysokości stu tysięcy dolarów.

– Sto tysięcy! – wykrzyknął z niedowierzaniem Hull. – Typowe ubezpieczenie. Chcą was wykorzystać, bo nie macie adwokata. Proszę posłuchać. W moich rękach ta sprawa jest warta milion dolarów. Pani powie tej firmie ubezpieczeniowej, żeby poszli się walić… chociaż nie… Niech im pani nic nie mówi. A przy okazji, co to za firma?

– Clinch.

– No, oczywiście! Cały Clinch. Bez przerwy włóczymy się po sądach z tymi pajacami. Dobrze ich znamy.

Claudia i Tom nieco odetchnęli. Badanie rynku doprowadziło ich do Clincha, jednego z wiodących komercyjnych ubezpieczycieli w tym regionie. Na swej stronie internetowej firma chwaliła się wieloletnią tradycją w ubezpieczaniu firm transportowych i przewożonych przez nie ładunków.

– Milion dolarów? – powtórzył Tom.

Hull uśmiechnął się i nawet lekko parsknął. Splótł dłonie za głową, jak to czynią starzy mistrzowie, którzy muszą oświecić swych uczniów.

– Niczego nie gwarantuję, rozumiemy się? Nie mogę dokładnie wycenić sprawy bez wglądu we wszystkie dokumenty. Protokoły policyjne,

dokumentację medyczną, wykaz utraconych zarobków, rejestr wykroczeń tamtego kierowcy i tak dalej. No i oczywiście pozostaje kwestia trwałego kalectwa, które, jeśli mam być brutalnie szczery, radykalnie podwyższa kwotę roszczeń. Miejmy nadzieję, że pani mąż w pełni wyzdrowieje, wróci do pracy i wkrótce zacznie funkcjonować, jakby się nic nie stało. Jeśli tak będzie, to na podstawie przedstawionego przez panią zakresu obrażeń cielesnych zażądam od Clincha odszkodowania rzędu półtora miliona, po czym przez parę miesięcy się potargujemy.

Tom spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Ojej! Jak pan doszedł do tej liczby? – spytała zduszonym głosem Claudia.

– To kwestia wiedzy i doświadczenia. Ale nie jest to aż tak skomplikowane. Bierze się łączną kwotę kosztów medycznych i mnoży przez, powiedzmy, pięć lub sześć. W odpowiedzi Clinch zaproponuje mnożnik trzy, może trzy i pół. Poza tym oni znają moją reputację i nie palą się do stawania ze mną przed sądem, możecie mi wierzyć. To w bardzo istotny sposób rzutuje na negocjacje.

– Czyli już się pan z nimi potykał w przeszłości, tak? – spytał Tom.

– Och, wielokrotnie. Nasza mała kancelaria sieje postrach wśród największych ubezpieczycieli.

Przynajmniej to się zgadza z przekazem waszych reklam, pomyślał Tom.

– Nie wiedziałam – rzuciła Claudia takim tonem, jakby była zaskoczona słowami Hulla.

Telefon na biurku zaczął dzwonić, ale prawnik oparł się pokusie podniesienia słuchawki. Pochylił się i położył łokcie na blacie biurka.

– Procedura jest taka. Mój asystent zajmie się stroną papierkową. Pani i pani mąż podpiszecie umowę na reprezentację prawną. Wszystko jest w niej wyłożone czarno na białym, żadnych niespodzianek. Po podpisaniu skontaktuję się z firmą ubezpieczeniową i zepsuję im humor. Następnie zaczniemy kompletować dokumentację medyczną i ruszymy do boju. Jeśli odpowiedzialność za wypadek nie wzbudzi wątpliwości, wszystko zamkniemy przed upływem sześciu miesięcy. Jeszcze jakieś pytania? – Widać było, że pan mecenas jest już myślami przy następnej sprawie.

Claudia i Tom popatrzyli niepewnie po sobie i pokręcili głowami.

– Chyba już nic więcej – bąknęła Claudia. – Dziękujemy, panie mecenasie.

Hull wstał i wyciągnął rękę.

– Witajcie na pokładzie – powiedział. – Właśnie podjęliście bardzo mądrą decyzję.

– Dziękujemy – powtórzyła, ściskając jego dłoń.

Tom bez słowa zrobił to samo i oboje wyszli z gabinetu. Asystent Hulla wręczył Claudii kartonową teczkę z nadrukiem: *Pakiet nowego klienta. Rusty ci pomoże* i odprowadził ich do windy.

Gdy drzwi windy się zasunęły, oboje parsknęli śmiechem.

– Ależ świetna lekcja – rzuciła Zola.

– Kodeks praw poszkodowanych w pigułce. W Foggy Bottom taki przegląd trwałby kilka miesięcy.

– A wykładowcą byłby jakiś koleś, który nigdy nie reklamował się na billboardach.

– Teraz trzeba nam już tylko paru klientów.

Siedząc w samochodzie, Zola sprawdziła wiadomości w swoim telefonie i zachichotała.

– Bogacimy się. Mark właśnie dorwał następnego pijaczka za kierownicą za sześć stów gotówką. Wydział Czwarty.

* * *

Wybór odpowiedniego szpitala spośród wielu działających w mieście nie był prosty. Potomac General był obleganym przez pacjentów szpitalem publicznym, w którym panował wieczny harmider i do którego najczęściej przywożono ofiary ulicznej agresji. Na drugim końcu skali znajdował się szpital George'a Waszyngtona, do którego trafił kiedyś postrzelony prezydent Reagan. Między tymi skrajnościami mieściło się co najmniej osiem innych szpitali.

Trzeba było od czegoś zacząć i zdecydowali się na General. Todd wysadził Zolę pod głównym wejściem i pojechał szukać miejsca na zaparkowanie. Pani Parker jako prawniczka ubrana była w podróbkę markowego żakietu i spódnicę kończącą się nad kolanami, ale nie za krótką. Jej brązowe skórzane buty wyglądały całkiem elegancko, a aktówka od Gucciego nadawała jej zdecydowanie profesjonalny wygląd. Dotarła za strzałkami do kafeterii na parterze, gdzie w oczekiwaniu na Todda kupiła sobie kawę i usiadła przy metalowym stoliku. Parę stolików dalej nastolatek na wózku jadł lody w towarzystwie kobiety, zapewne matki. Jedną

nogę miał w masywnym gipsie, z którego sterczały metalowe pręty. Sądząc po wyglądzie matki, rodzina nie była zbyt zamożna.

Zgodnie z decyzją wspólników UPL, zamożnych klientów należało unikać. Dysponujący większymi pieniędzmi mogli znać prawdziwych adwokatów, w gronie biedaków było to znacznie mniej prawdopodobne, przynajmniej tak im się zdawało. Pod ścianą siedział mężczyzna z gipsem na obu nogach w kostkach i sądząc po zbolałej minie, nie czuł się dobrze. Był sam i próbował jeść kanapkę.

Todd wszedł do kafeterii i rozejrzał się. Zobaczył Zolę, poszedł do bufetu po kawę i usiadł przy jej stoliku. Zola była zajęta przeglądaniem teczki z pakietem nowego klienta, który skopiowali na wzór zestawu z kancelarii Rusty'ego.

– Masz kogoś? – spytał cicho, biorąc do ręki jedną z kartek.

– Ten chłopak ze złamaną nogą. Facet pod ścianą z gipsem na nogach – odparła, robiąc jakieś notatki na marginesie dokumentu.

Todd wolno się rozglądał, siorbiąc kawę.

– Nie wiem, czy temu sprostam – szepnęła. – Żerowanie na niepodejrzewających niczego ludziach wydaje mi się strasznie nie fair.

– Daj spokój, Zola. Nikt nas nie obserwuje. Ci ludzie mogą potrzebować naszej pomocy, a jeśli my im nie pomożemy, zrobi to Rusty. A poza tym, jak nam każą spadać, to nic nam się nie stanie.

– Idź pierwszy.

– Dobra. Zajmę się chłopakiem na wózku. Tobie przypadnie ten czarny facet z gipsem.

Todd wstał, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zatopiony w udawanej rozmowie, zaczął się przechadzać wśród stolików. Zawrócił i przechodząc obok chłopaka na wózku, rzucił do słuchawki:

– Słuchaj, posiedzenie wstępne w sądzie jest w przyszłym tygodniu. Nie weźmiemy pięćdziesięciu tysięcy, bo firma ubezpieczeniowa chce cię wykołować, kapujesz? Powiem sędziemu, że jesteśmy gotowi do procesu. – Schował telefon do kieszeni, odwrócił się i z przyjaznym uśmiechem popatrzył na chłopaka. – Kurczę, paskudnie wygląda ta twoja noga. Co się stało?

– Złamana w czterech miejscach – odparła matka. – Wczoraj miał operację.

Chłopak też się uśmiechnął, chyba dumny ze wzbudzanego zainteresowania.

Todd przyglądał się gipsowi, nie przestając się uśmiechać.

– Wygląda poważnie. Jak to zrobiłeś?

– Jeździłem na deskorolce i wjechałem na lód.

Deskorolka to ryzyko obrażeń z własnej winy. Lód to okoliczność naturalna. Szanse na pozwanie kogoś szybko się rozwiewały, mimo to Todd jeszcze spytał:

– Byłeś sam.

– No.

Brak dbałości o własne bezpieczeństwo to również brak odpowiedzialności kogoś innego.

– No cóż, wszystkiego najlepszego – rzucił Todd, wyjął z kieszeni telefon, by odebrać połączenie, którego nie było, i ruszył w dalszą drogę. Przechodząc obok stolika Zoli, mruknął w jej stronę: „Pierwszy skreślony. Teraz twoja kolej” i nie odejmując telefonu od ucha, wyszedł z kafeterii. Miał rację. Nikt nie zwracał na nich uwagi, nikogo ich zakusy nie obchodziły.

Zola tymczasem wolno wstała, poprawiła atrapę okularów i z kartką w jednej ręce i telefonem w drugiej ruszyła przez kafeterię. Wysoka, szczupła, elegancko ubrana, atrakcyjna. Mężczyzna z gipsem na kostkach nie mógł jej nie zauważyć, zwłaszcza że przeszła tuż obok, zatopiona w rozmowie telefonicznej. Uśmiechnęła się do niego, mężczyzna

odpowiedział uśmiechem, a ona nagle zawróciła i zatrzymała się przy jego stoliku.

– Przepraszam, czy może pan Cranston?

– Nie, nazywam się McFall – odparł, wciąż się uśmiechając.

Stała tuż obok niego, wpatrzona w jego kostki.

– Jestem adwokatem i umówiłam się tu o drugiej z panem Cranstonem.

– Żałuję, ale to nie ja.

Pan McFall nie był zbyt rozmowny.

– Musiał pan mieć niezłą kraksę – zauważyła.

– To nie kraksa. Poślizgnąłem się na lodzie i spadłem z tarasu. Złamałem obie nogi w kostkach.

Co za niezdara, pomyślała, porzucając myśl o pozwaniu kogoś.

– No cóż, życzę wszystkiego najlepszego.

– Dzięki.

Wróciła do niedopitej kawy na stoliku i ukryła twarz za papierami. Po paru minutach dosiadł się Todd.

– I co? Masz go?

– Nie. Poślizgnął się na lodzie.

– Lód, lód, cholerny lód. I gdzie to globalne ocieplenie, jak ci jest potrzebne?

– Słuchaj, Todd, ja się do tego nie nadaję. Czuję się jakbym żerowała na cudzym

nieszczęściu.

– Bo tak jest.

Rozdział 21

Wilson Featherstone był studentem trzeciego roku w Foggy Bottom i początkowo należał nawet do ich bandy, ale na drugim roku pokłócił się z Toddem o dziewczynę i od tej pory ich stosunki mocno się ochłodziły. Ale nadal był kumplem, w każdym razie Marka, do którego zaczął ostatnio regularnie wydzwaniać. Czując, że się tak łatwo od niego nie uwolni, Mark w końcu umówił się z nim na drinka, ale nie w jednym z ich typowych miejsc, tylko w nocnym lokalu w pobliżu Capitol Hill. Spotkali się późnym wieczorem w czwartek, kiedy Todd był zajęty w barze Pod Kogutem, a Zola wbrew sobie obstawiała szpital George'a Waszyngtona. Mark nieco się spóźnił i zastał Wilsona nad w połowie wypitym kuflem piwa.

– Spóźniłeś się – rzucił Wilson z uśmiechem, serdecznie ściskając mu dłoń.

– Fajnie cię widzieć, kolego. – Mark usiadł na sąsiednim stołku.

– Co to za pomysł z tą brodą?

– Maszynka do golenia mi się zapodziała. Co u ciebie?

– U mnie wszystko w porządku. Pytanie brzmi: Co u ciebie?

– W porządku.

– Właśnie, że nie. Opuściłeś trzy tygodnie zajęć i wszyscy się o ciebie pytają. I o Todda. Co się dzieje?

Podszedł barman i Mark zamówił kufel beczkowego.

– Zrobiłem sobie przerwę, nic więcej – powiedział, wzruszając ramionami. – Miałem istotne powody. Śmierć Gordy'ego bardzo mną wstrząsnęła.

– Wyprowadziłeś się z mieszkania. Todd też. Nikt od dawna nie widział Zoli. Odbiło wam wszystkim?

– Nie wiem, co oni robią. Byliśmy razem z Gordym w jego ostatnich chwilach i pewnie też to przeżywają.

Barman postawił kufel przed Markiem i Wilson pociągnął łyk ze swojego.

– Co to było z Gordym? – zapytał.

Mark przez chwilę wpatrywał się w swoje piwo, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Miał chorobę dwubiegunową, odstawił lekarstwa i naprawdę się rozsypał. Złapali go na jeździe po alkoholu, ale wykupiliśmy go, zawieźliśmy do domu i cały czas przy nim byliśmy. Nie wiedzieliśmy, co robić. Chcieliśmy dzwonić do rodziców albo jego narzeczonej, ale to go jeszcze bardziej rozwaliło. Odgrażał się, kiedy wspomniałem o telefonie do domu. Jakimś cudem udało mu się wymknąć tamtej nocy i pojechać na most. Jeździliśmy po mieście, szukając go, ale nie zdążyliśmy.

Wilson słuchał, w milczeniu popijając piwo.

– Rany, to naprawdę straszne – odezwał się w końcu. – Chodziły plotki, że byliście z nim pod koniec, ale nie wiedziałem, że aż tak to wyglądało.

– Mieliśmy go na oku. Siedział zamknięty w swojej sypialni, Zola spała na kanapie w pokoju, Todd po drugiej stronie korytarza, ja miałem w kieszeni kluczyki od samochodu. Próbowaliśmy go zawieźć do lekarza. Nie wiem, co jeszcze dałoby się zrobić. Tak że można śmiało powiedzieć, że nie jesteśmy ostatnio w najlepszej formie.

– Cholera, człowieku, nawet nie widziałem cię na pogrzebie.

– Byliśmy wszyscy troje, ale schowaliśmy się na balkonie. Todd i ja spotkaliśmy się z rodziną Gordy'ego po jego śmierci i zostaliśmy przez nich strasznie obsmarowani. Mieli do nas pretensje, bo do kogoś musieli, nie? Więc podczas pogrzebu woleliśmy ich unikać.

– Przecież to nie była wasza wina.

– Oni sądzą inaczej i coś ci powiem, stary. Mamy cholerne poczucie winy. Powinniśmy byli zadzwonić do Brendy albo jego rodziców.

Obaj się zadumali i Wilson zamówił następne piwo.

– Ja tego tak nie widzę – powiedział w końcu. – Nie możecie brać na siebie winy za jego samobójstwo.

– Dzięki, ale nie potrafię się od tego uwolnić.

– I dlatego chcesz rzucić studia jeden semestr przed końcem? To głupota, Mark. Przecież masz zaklepaną pracę od jesieni, nie?

– Nie mam. Wyrzucili mnie, zanim zacząłem. Firma się połączyła z jakąś inną, coś im się tam pozmieniało i pozbyli się mnie. To normalka w tej cudownej profesji.

– Współczuję ci. Nic nie wiedziałem.

– Nie musisz. Firma od początku była do dupy. A jak u ciebie? Udało ci się znaleźć jakąś robotę?

– Tak jakby. Znalazłem zatrudnienie w instytucji non profit, więc skorzystam z furtki pod tytułem „służba publiczna” i uwolnię się od większości zadłużenia.

– I przesiedzisz tam dziesięć lat?

– Oni tak myślą. Zamierzam zagryźć zęby na trzy lub cztery lata i uwolnić się od rekinów kredytowych, a jednocześnie rozglądać się na boku za prawdziwą pracą. Prędzej czy później rynek musi znów stanąć na nogi.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie wiem, w co mam wierzyć, ale coś muszę robić.

– Oczywiście musisz najpierw przebrnąć egzamin adwokacki.

– Już to przemyślałem, Mark. W zeszłym roku połowa absolwentów Foggy Bottom go zdała, druga połowa oblała. Zakładam, że należę do tej pierwszej grupy, i jeśli naprawdę się zawezmę, to go zdam. Rozglądam się po szkole i widzę w niej mnóstwo kretynów, ale ja nie jestem jednym z nich. Ani ty, Mark. Jesteś cholernie bystry i nie boisz się pracy.

– Jak wspomniałem, miałem istotne powody.

– To co teraz planujesz?

– Nie mam żadnych planów. Na razie dryfuję, ale pewnie w końcu pojawię się w szkole, choć na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Może wezmę urlop na cały semestr i dołączę później. Jeszcze nie wiem.

– Mark, nie możesz tego zrobić. Jeśli rzucisz studia, ci od kredytu wpiszą cię na listę dłużników zalegających ze spłatami rat.

– Myślę, że już się to stało. Patrzę na mój wyciąg i widzę, że jestem winny ćwierć miliona dolarów bez realnych szans na pracę. Ale mam to gdzieś. Mogą mnie postawić przed sądem, ale nie mogą mnie zabić. W zeszłym roku milion studentów trafiło na listę tych, co zalegają ze spłatami, i z tego, co mi wiadomo, wciąż chodzą, żyją i oddychają.

– Wiem, wiem, też czytam blogi. – Obaj pociągnęli ze swoich kufli i spojrzeli na siebie w lustrze nad rzędami butelek. – Gdzie teraz mieszkasz? – spytał Wilson.

– A co, śledzisz mnie?

– Nie, ale wstąpiłem do twojego dawnego mieszkania i sąsiadka powiedziała, że już tam nie mieszkasz. To samo Todd. Widujesz go? Bo w barze też już nie pracuje.

– Ostatnio nie. Chyba wrócił do Baltimore.

– Rzucił studia?

– Nie wiem, stary. Wspominał coś o zrobieniu sobie przerwy. Chyba jest w jeszcze gorszym stanie niż ja. Byli z Gordym bardzo zaprzyjaźnieni.

– Nie odbiera telefonu.

– No cóż, nie jesteście, zdaje się, w najlepszych stosunkach.

– Było, minęło. Mark, cholera, martwię się o was, kapujesz? Jesteście moimi kumplami i nagle zniknęliście.

– Dzięki, Wilson, miło mi to słyszeć. Za jakiś czas się z tego wyliżę. Co do Todda, to nie jestem już taki pewien.

– A co z Zolą?

– A co ma być?

– Ona również nie przychodzi na zajęcia. Nikt nic o niej nie wie. Też się wyprowadziła.

– Rozmawiałem z Zolą i jest zdruzgotana. Widziała żywego Gordy'ego jako ostatnia i bardzo ciężko to przeżywa. W dodatku jej rodzicom grozi deportacja do Senegalu. Tak że w sumie nie najlepiej jej się ułożyło.

– Biedna dziewczyna. Gordy był głupi, że się z nią zadawał.

– Może, nie wiem. W ogóle wszystko jest bez sensu.

Zapadła cisza i przez dłuższą chwilę popijali w milczeniu. W lustrze Mark dojrzał znajomą twarz. Ładną, zapamiętaną z sądu. Przy jednym ze stolików w głębi sali siedziała Hadley Caviness, asystentka prokuratora przy sprawie Bensona Tapera. Na moment spotkali się wzrokiem, ale Hadley szybko odwróciła głowę.

– Słuchaj, to wszystko jest zbyt przygnębiające. Muszę już lecieć – powiedział Wilson, zerkając na zegarek. – Ale proszę cię, bądźmy w kontakcie. I jeśli będę mógł ci w czymś pomóc, daj mi znać. Obiecujesz? – Dopił piwo i położył na barze banknot dziesięciodolarowy.

– Jasne. Dzięki.

Wilson wstał, klepnął Marka w ramię i wyszedł. Mark spojrzał w lustro i dostrzegł, że Hadley siedzi w towarzystwie trzech młodych kobiet i że wszystkie sączą drinki i gawędzą. Jej i jego oczy ponownie się spotkały i tym razem kontakt wzrokowy potrwał odrobinę dłużej.

* * *

Pół godziny później babskie spotkanie dobiegło końca i wszystkie sięgnęły po portfele, by zrzucić się na rachunek. Trzy koleżanki wyszły, a Hadley zakręciła się i podeszła do baru.

– Czekasz na kogoś? – spytała.

– Tak, na ciebie. Siadaj.

Podała mu rękę i przedstawiła się.

– Hadley Caviness, Wydział Dziesiąty.

– Tak, wiem. Mark Upshaw – powiedział, wyciągając dłoń. – Mogę ci postawić drinka?

– Jasne. – Usadowiła się na stołku.

Mark przywołał ręką barmana.

– Czego się napijesz?

– Chardonnay.

– A dla mnie jeszcze jedno piwo.

Barman oddalił się, a oni zwrócili się ku sobie twarzami.

– Dawno nie widziałam cię w sądzie – powiedziała Hadley.

– Przychodzę tam codziennie i cyckam system, jak się da.

– Jesteś w mieście od niedawna?

– Od paru lat. Pracowałem w firmie, ale znudziła mnie rutyna. Teraz jestem na swoim i przynajmniej coś się dzieje. A ty?

– Pierwszy rok w prokuraturze, więc posłali mnie do sądu od wykroczeń drogowych. Straszne nudy. Trudno to nazwać karierą, ale przynajmniej mam z czego płacić rachunki. Gdzie kończyłeś prawo?

– W Delaware. Przyjechałem do wielkiego miasta zmieniać świat. A ty? – Miał nadzieję, że nie usłyszy, że skończyła Foggy Bottom.

– W Kentucky, college i prawo. Przyjechałam do pracy na Capitol Hill, ale nie wyszło. Na szczęście znalazłam posadę w prokuraturze. Mam nadzieję, że tylko tymczasowo.

Gdy barman podał im drinki, stuknęli się szkłem, rzucili: „Zdrówko” i oboje umoczyli usta.

– A co potem? – spytał Mark.

– A kto to w tym mieście może wiedzieć? Rozglądam się i szukam okazji, tak jak tysiąc mnie podobnych. Sytuacja na rynku pracy nie jest teraz najlepsza.

No, coś takiego, pomyślał Mark. Powinnaś popytać w Foggy Bottom.

– Podobno.

– A ty? Nie mów mi, że chcesz robić karierę na bronieniu pijanych kierowców.

Mark roześmiał się, jakby go to rozbawiło.

– Nie. Mam wspólnika i chcemy się zająć poszkodowanymi w wypadkach.

– Fajnie byś się prezentował na billboardzie.

– To moje marzenie. To i reklamy w telewizji.

Była już po paru drinkach i usiadła tak blisko, że niemal się dotykali. Nogę miała założoną na nogę, krótka spódniczka odsłaniała spory

fragment zgrabnego uda. Dopiła wino, postawiła kieliszek na barze i spojrzała na Marka.

– Masz jakieś plany na wieczór? – spytała.

– Żadnych. A ty?

– Jestem wolna. Mieszkam z koleżanką. Pracuje w biurze spisu ludności i nigdy jej nie ma. A ja naprawdę nienawidzę samotności.

– Szybka jesteś.

– A po co tracić czas? Jesteśmy do siebie podobni i w tej chwili oboje myślimy o tym samym.

Mark zapłacił za drinki i wezwał taksówkę. Podczas jazdy ujęła jego lewą rękę i położyła ją sobie na obnażonym udzie.

Mark cicho gwizdnął.

– Kocham to miasto – szepnął. – Tyle tu ostrych kobiet.

– Nazywaj to, jak chcesz.

Zatrzymali się pod wysokim blokiem mieszkalnym przy Piętnastej Ulicy. Mark zapłacił kierowcy i chwyciwszy się za ręce, on i Hadley weszli do środka jak para starych przyjaciół. Zaczęli się całować w windzie, kontynuowali to w niewielkim salonie i bez trudu uzgodnili, że nie chcą oglądać telewizji. Kiedy poszła do łazienki, Markowi udało się wysłać krótkiego SMS-a do Todda.

Pofarciło. Nie wracam na noc. Słodkich snów.

Todd od razu odpowiedział:

Co to za jedna?

Pewnie niedługo sam ją poznasz – odpisał Mark.

* * *

O dziewiątej trzydzieści znalazł Todda na korytarzu Wydziału VI. Kręcił się tu jak zwykle tłumek oskarżonych, towarzyszących im osób i prawników wypatrujących ofiar. Todd obrabiał jakąś młodą kobietę, która wyglądała na bliską płaczu. W końcu pokręciła głową, Todd ją zostawił i dostrzegł obserwującego go wspólnika.

– Trzecie pudło – rzucił, podchodząc bliżej. – Nic się tu dziś nie dzieje. Ale ty wyglądasz jak upiór. Cała noc nieprzespana?

– Było rewelacyjnie. Opowiem ci później. A gdzie Zola?

– Dziś z nią nie rozmawiałem. Rano jeszcze spała. Przesiaduje do późna w nocy w szpitalach.

– Myślisz, że naprawdę się stara czy po prostu siedzi i czyta książkę? Bo jak dotąd nie upolowała ani jednego klienta.

– Nie wiem. Zostawmy to na później. Przenoszę się do Wydziału Ósmego. – Todd ruszył przed siebie z teczką w ręce i po paru krokach gwałtownym ruchem sięgnął po telefon, jakby nagle coś sobie przypomniał.

Mark skierował się do Wydziału X i wszedł na salę. Sędzia Handleford rozmawiał właśnie z oskarżonym, przy stole sędziowskim kręcili się jak zwykle prawnicy i urzędnicy sądowi, grzebiący się w stosach papierów. Przy stole oskarżenia siedziała Hadley, rozmawiając z kimś z prokuratury. Dostrzegła Marka, uśmiechnęła się i podeszła do niego. Usiedli oboje przy stole obrony, jakby mieli jakąś ważną sprawę do omówienia.

Kilka godzin wcześniej dosłownie padli z wyczerpania i pogrążyli się w cudownym śnie, nadzy i spleceni ramionami. Teraz wyglądała na wypoczętą i odświeżoną i patrzyła na niego jasnym wzrokiem niczym prawdziwa profesjonalistka. Mark czuł się trochę sponiewierany.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała ściszonym głosem. – I odpowiedź brzmi nie. Dziś wieczór jestem umówiona.

– Nie przyszło mi to nawet do głowy – odparł z uśmiechem. – Ale masz mój numer.

– Mam mnóstwo numerów.

– Jasne. Możemy porozmawiać o moim kliencie, Bensonie Taperze?

– Oczywiście. Tylko pójdę po jego akta, bo go nie pamiętam. – Wstała, podeszła do stołu kancelarii sądu i zaczęła przekładać ogromny stos papierów. Po chwili znalazła akta Bensona, wróciła z nimi do stołu obrony i zaczęła je przeglądać. – Koleś naprawdę dał popalić, co? Sto trzydzieści pięć kilometrów w strefie ograniczenia do sześćdziesięciu. To zagrożenie dla ruchu i może pociągnąć za sobą wyrok więzienia.

– Wiem. Oto moja propozycja. Benson jest młodym czarnoskórym chłopakiem z dobrą pracą. Rozwozi przesyłki kurierskie i jeśli dostanie wyrok za stworzenie zagrożenia, wyleją go z roboty. Możesz to trochę złagodzić?

– Dla ciebie wszystko. Co powiesz na zwykłe przekroczenie prędkości? Zapłaci mały mandat i karzesz mu trochę przyhamować.

– Tak po prostu? – spytał Mark z uśmiechem.

Pochyliła się niżej nad stołem.

– Pewno. Zadawalasz prokurator, więc możesz liczyć na fory, przynajmniej u mnie.

– Czy twój szef musi to zatwierdzić?

– Mark, jesteśmy w sądzie wykroczeń drogowych, kapujesz? Nie rozmawiamy o zabójstwie z premedytacją. Podsunę to staremu Handlefordowi, a on to łyknie bez słowa.

– Kocham cię, słoneczko.

– Wszyscy tak mówią. – Wstała od stołu z aktami w jednej ręce, a drugą wyciągnęła na znak zawarcia porozumienia. Uścisnęli sobie dłonie jak dwoje profesjonalistów.

Rozdział 22

Benson siedział nad kanapką w kafejce przy Georgia Avenue, w dzielnicy zwanej Brightwood. Miał przerwę na lunch i w swym służbowym uniformie prezentował się całkiem dobrze. Ucieszył się na widok Marka i od razu spytał o dobre wieści. Mark wyjął z aktówki postanowienie.

– Posunęliśmy się do przodu – powiedział. – Masz resztę mojego honorarium?

Benson sięgnął do kieszeni i wyjął portfel.

– Proszę, siedemset dolarów – powiedział, podając forsę Markowi.

– Zarzut zredukowany do zwykłego przekroczenia prędkości – oświadczył Mark. – Nie ma mowy o zagrożeniu w ruchu drogowym ani o odsiadce. Mandat za przekroczenie prędkości w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów.

– Żartujesz?

Mark uśmiechnął się i spojrzał na kelnerkę, która nagle pojawiła się przy ich stoliku.

– Kanapka z bekonem, pomidorem i sałatą i kawa – powiedział, a ona bez słowa kiwnęła głową i oddaliła się.

– Jak to zrobiłeś? – spytał Benson.

Przespałem się z oskarżycielem, chciałby dumnie oświadczyć, ale dał spokój.

– Potargowałem się, wytłumaczyłem sędziemu, jaki z ciebie przyzwoity gość, jaką masz dobrą pracę i w ogóle, a on okazał zrozumienie. Ale żadnych więcej wykroczeń, zrozumiano?

– Kurczę, ale z ciebie ktoś, Mark. Naprawdę super.

– Trafiłem na dobry humor sędziego. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

– Nie będzie żadnego następnego razu, przyrzekam. Aż nie mogę w to uwierzyć. Byłem pewny, że mnie wyrzucą i wszystko stracę.

Mark przesunął w jego stronę papier i wręczył długopis.

– Tu masz postanowienie. Podpisz na dole, że przyjąłeś je do wiadomości, i nie musisz się już więcej stawiać w sądzie.

Uśmiechając się od ucha do ucha, Benson podpisał.

– Już nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć o tym mamie. Od chwili jak mnie złapali, bez przerwy mi suszy głowę. Bardzo jej się spodobałeś. Powiedziała o tobie: „Ten młody człowiek zna się na rzeczy. Będzie z niego świetny prawnik”.

– No cóż, jest bardzo przenikliwa. – Mark schował postanowienie do aktówki.

Benson ugryzł kawałek kanapki, popił mrożoną herbatą i wytarł usta serwetką.

– Słuchaj, Mark, zajmujesz się też innymi sprawami? Takimi naprawdę dużymi?

– Pewnie. Moja firma prowadzi różne sprawy. A o co chodzi?

Benson rozejrzał się, jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać.

– No bo mam kuzyna. Mieszka w Wirginii w okolicach Tidewater i wpadł w tarapaty. Masz chwilę, żeby posłuchać jego historii?

– I tak czekam na jedzenie, więc nawijaj.

– Bo widzisz, temu mojemu kuzynowi i jego żonie urodziło się dziecko, już jakiś czas temu, ale w szpitalu zawalili sprawę. Żona kuzyna miała trudny poród, wszystko poszło nie tak i po dwóch dniach dziecko zmarło. Niby ciąża

przebiegała prawidłowo, nie było żadnych niepokojących oznak, a potem nagle trach, i dziecko nie żyje. To było ich pierwsze, chłopczyk. W dodatku zaszła w ciążę po bardzo długich staraniach. Strasznie to przeżyła, naprawdę to nią wstrząsnęło i postanowili walczyć. Ale byli tak załamani, że nie najlepiej się do tego zabrali. W rezultacie ich małżeństwo się rozpadło i w końcu się rozwiedli. Rozwód też był straszny. Do dziś oboje to przeżywają. Kuzyn zaczął pić, jej kompletnie odbiło. W sumie prawdziwa tragedia. Próbowali się dowiedzieć, co poszło źle podczas porodu, ale szpital za każdym razem zbywał ich ogólnikami. Wynajęli adwokata, żeby się tym zajął, ale facet okazał się okropny. Powiedział, że na martwych dzieciach nie da się dużo zarobić. I że pozywanie szpitali i lekarzy jest bardzo trudne, bo dysponują całą dokumentacją medyczną i w dodatku mają do dyspozycji najlepszych obrońców, którzy przeciągają sprawę w nieskończoność. Ona, znaczy żona mojego kuzyna, oświadczyła, że nie pójdzie do sądu. Ale on nadal chciałby się dowiedzieć, co się stało, i ewentualnie wytoczyć sprawę, tylko że jemu też nieźle odbiło. To prawda, że na martwych dzieciach nie da się dużo zarobić?

Mark nie miał pojęcia, ale opowieść Bensona go zaintrygowała. Jak rasowy prawnik zrobił unik i nie udzielił konkretnej odpowiedzi.

– To zależy od wielu aspektów sprawy – odparł. – Musiałbym zajrzeć do dokumentacji.

– On to wszystko ma. Całą kupę papierzysk, które szpital przekazał jego adwokatowi… czy raczej byłemu adwokatowi… bo kuzyn go zwolnił i powiedział, że chciałby znaleźć innego prawnika. Myślisz, że byłbyś gotów się temu przyjrzeć?

– Jasne.

Kelnerka przyniosła kanapkę z bekonem z porcją frytek i piklami, lecz nic do picia.

– Dzięki – rzucił Mark. – Ale zamówiłem też kawę.

– A tak – prychnęła poirytowana i odeszła.

Mark odgryzł kęs kanapki, Benson zabrał się za swoją.

– Jak się nazywa ten twój kuzyn?

Benson wytarł usta.

– Ramon Taper, tak samo jak ja. Mój tata i jego tata byli braćmi, ale żaden już nie żyje. Wszyscy mówią na Ramona Kopacz.

– Kopacz?

– Jako dziecko wziął łopatkę i wykopał całą kępę kwiatów z podwórka sąsiada, a potem

wyniósł je i próbował posadzić kawałek dalej przy ulicy. Ksywka do niego przylgnęła.

Kelnerka w końcu doniosła kawę i Mark podziękował.

– Ostry gość? – zapytał.

Benson parsknął śmiechem.

– Można tak powiedzieć. Z Kopaczem zawsze były kłopoty. Trafił nawet na jakiś czas do poprawczaka, ale to w porządku koleś. Tak naprawdę nie jest notowany. Zaczął wychodzić na prostą, ożenił się z fajną dziewczyną i do śmierci dziecka wszystko dobrze im się układało. Po rozwodzie jego była wyprowadziła się do Charlestonu. Kopacz kręcił się tu i tam, aż w końcu parę miesięcy temu przeniósł się tutaj. Pracuje z doskoku w sklepie z alkoholami, co dla niego jest najgorszym możliwym miejscem pracy. Ma pierdolca na punkcie wódy. Naprawdę się o niego martwię.

– Czyli mieszka teraz w Waszyngtonie?

– Tak, kawałek stąd za rogiem, z następną wariatką.

Chrupiąc korniszona, Mark bił się z myślami. Coś mu mówiło, żeby się nie mieszać do problemów Kopacza, ale górę wzięła ciekawość.

– Przyjrzę się temu – obiecał.

* * *

Dwa dni później Mark wrócił do tej samej kafejki. Przy stoliku siedział chudy, młody czarnoskóry mężczyzna, na stoliku leżała kartonowa teczka wypełniona papierami, poza tym w lokalu było zupełnie pusto. Mark podszedł do siedzącego.

– To ty jesteś ten Kopacz? – zapytał.

– Tak, ale wolę Ramon. Kopacz to nie najlepsza ksywka dla czarnego. Z oczywistych względów.

Podali sobie ręce i Mark usiadł.

– Nie ma sprawy. A ja jestem Mark Upshaw. Miło cię poznać, Ramon.

– Mnie też.

Ramon miał na głowie szoferską czapeczkę z daszkiem zsuniętym na oczy i niemal stykającym się z wielkimi okularami w okrągłych czarnych oprawkach. Widoczne przez nie oczy były zaczerwienione i podkrążone.

– Benson mówi, że jest pan świetnym młodym prawnikiem – powiedział Ramon. – Twierdzi, że uratował go pan przed utratą pracy.

Mark uśmiechnął się, szukając w myślach jakiejś odpowiedniej riposty.

Do stolika podeszła ta sama kelnerka.

– Dla mnie czarna kawa. A dla ciebie, Ramon?

– Tylko woda.

Kelnerka odeszła i Mark wpatrzył się w jego oczy. Ramon mówił całkiem składnie, ale niewątpliwie zdążył już coś wypić.

– Benson opowiadał mi trochę o twojej sprawie – zaczął Mark. – To prawdziwa tragedia.

– Można tak powiedzieć. Coś się stało podczas porodu. Nie wiem, czy kiedykolwiek poznamy prawdę. Mnie przy tym nie było.

Mark milczał, czekając na dalszy ciąg, ale gdy stało się jasne, że na tym koniec, przejął inicjatywę.

– Mogę spytać, dlaczego cię przy tym nie było?

– Powiedzmy tyle, że mnie nie było, a powinienem być. Oczywiście Asya nie mogła się z tym pogodzić i całą winę zwalała na mnie. Wciąż powtarzała, że gdybym tam wtedy był, to mógłbym wszystkiego dopilnować.

– Asya to twoja była żona?

– Tak. Widzi pan, poród zaczął się dwa tygodnie przed terminem. Było tuż po północy i dziecko bardzo szybko przyszło na świat. Ludzie w szpitalu byli zagonieni, bo doszło wtedy do jakiejś strzelaniny i dużej kraksy samochodowej i do końca się nie dowiedzieliśmy, co się stało. Ale wygląda na to, że po prostu nie

zajęli się nią odpowiednio i dziecko zaplątało się w pępowinę. Nastąpiło odcięcie dopływu tlenu. – Klepnął dłonią teczkę z dokumentacją. – Wszystko powinno tu być, ale myślimy, że szpital świadomie ukrył prawdę.

– „My”, to znaczy kto?

– Mój pierwszy adwokat, ten, którego zwolniłem. Po tym, jak się to wszystko stało, Asyi odbiło i wyrzuciła mnie z domu, a ja wystąpiłem o rozwód. Ona miała swojego adwokata, ja swojego i sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli. Dopadli mnie na jeździe po alkoholu, więc od tego miałem jeszcze innego adwokata. Mnóstwo prawników w moim życiu, a ja nie miałem siły na wielki proces. – Ramon znów poklepał teczkę z aktami.

Kelnerka przyniosła kawę i Mark upił pierwszy łyk.

– Co się dzieje z tym pierwszym adwokatem?

– Jest w Norfolk. Zażyczył sobie pięć tysięcy dolców na opłacenie rzeczoznawcy, który miał ocenić szanse na podstawie dokumentacji. Nie miałem pięciu tysięcy i nie podobał mi się ten adwokat. W ogóle nie oddzwaniał na moje telefony, był wciąż zajęty. Pan też będzie chciał pięciu tysięcy?

– Nie – odparł Mark, głównie po to, by coś powiedzieć. Nie miał pojęcia, jak się postępuje z takimi sprawami, ale jak zwykle uznał, że będzie się uczył „po drodze”. W planie miał – jeśli to w ogóle można było nazwać planem – podpisanie umowy z Ramonem, zapoznanie się z dokumentacją i próbę ustalenia, czy jest ktoś, kogo da się obciążyć winą za popełniony błąd. Jeśli tak, przekaże sprawę prawdziwemu prawnikowi, komuś od zaniedbań w procedurze medycznej. Jeśli wyjdzie z tego sprawa sądowa, udział w niej jego i wspólników zostanie ograniczony do minimum, za to na koniec będą mogli liczyć na pokaźne honorarium. Tak, to był dobry plan. – A twoja była żona już się nie liczy?

– Och, tak, dawno już zniknęła z mojego życia. Nie mam z nią kontaktu.

– Będzie stroną w procesie, jeśli do niego dojdzie? – spytał Mark.

– A skąd! Mowy nie ma. Ona nie chce mieć z tym nic wspólnego. Mieszka w Charlestonie u rodziny i mam nadzieję, że próbują jej tam pomóc. To wariatka, panie Upshaw. Słyszy głosy jak nawiedzona. To smutne, ale nie może na mnie patrzeć. Często powtarzała, że nigdy nie pójdzie do sądu.

– Dobra, ale patrząc perspektywicznie, jeśli wywalczymy odszkodowanie, będzie miała prawo do połowy pieniędzy.

– A dlaczego? Cholera, przecież to będzie moja forsa. Dlaczego miałaby cokolwiek z tego mieć, skoro nawet nie chce słyszeć o sądzie.

– Tak mówi prawo – oświadczył Mark, choć wcale nie był tego pewien. Coś mu się jednak kołatało w głowie z zajęć na pierwszym roku. – Na razie to zostawmy. Będziemy się tym martwić później. Teraz najważniejszą sprawą jest ustalenie stanu faktycznego. Do uzyskania odszkodowania jest jeszcze bardzo daleko.

– Ale to nie byłoby w porządku.

– Mam się zająć tą sprawą? – spytał Mark.

– Jasne, po to tu jestem. A pan chce się tym zająć?

– Po to się z tobą spotkałem.

– No to umowa stoi – rzucił Ramon. – To pan mi teraz powie, co się będzie działo.

– Po pierwsze, musimy spisać umowę na obsługę prawną przez moją firmę, bo to mi pozwoli wystąpić o przekazanie całej dokumentacji. Zapoznam się z nią i jeśli się okaże, że lekarze i szpital są winni jakichś zaniedbań, spotkamy się ponownie i wszystko

omówimy. I wtedy zdecydujemy, czy chcemy iść do sądu.

– Jak długo to potrwa?

Mark znów nie miał zielonego pojęcia, ale pewnym siebie tonem odparł:

– Niedługo. Parę tygodni. Nie kisimy spraw, Ramon. Działamy szybko.

– I nie chce pan ode mnie żadnej forsy z góry?

– Nie. Niektóre firmy wymagają zaliczki lub pieniędzy na pokrycie kosztów, ale nie my. My pobieramy honorarium w wysokości jednej trzeciej uzgodnionego odszkodowania lub czterdziestu procent, jeśli sprawa trafia do sądu. To są zawsze trudne sprawy i mamy w nich do czynienia z bardzo zawziętymi oponentami, którzy mają mnóstwo pieniędzy. Dlatego nasz udział jest nieco wyższy niż w typowych sprawach o odszkodowanie za poniesione szkody. Tego typu postępowanie jest zawsze bardzo kosztowne. Ale to my pokryjemy wstępne koszty i odbierzemy to sobie później z kwoty odszkodowania. Pasuje?

Ramon łyknął wody i w zadumie zapatrzył się w okno. W tym czasie Mark wyjął z aktówki egzemplarz umowy i wypełnił puste miejsca. W końcu Ramon zdjął swoje wielkie okulary i przetarł oczy serwetką.

– To takie okropne, panie Upshaw.

– Mów mi Mark.

Spojrzał na niego i drżącymi wargami wymamrotał:

– Jasne, Mark. Przez jakiś czas fajnie nam się układało z Asyą. Kochałem tę kobietę. Chyba zawsze będę ją kochał. Nie była za silna, ale była dobrą dziewczyną. I śliczną. Nie zasługiwała na taki los. Chyba nikt nie zasługuje. Tak bardzo czekaliśmy na Jackiego, staraliśmy się o niego od tak dawna.

– Jackiego?

– Nazwaliśmy go Jackson Taper… Jackie. Na cześć Jackiego Robinsona. Lubię baseball.

– Współczuję.

– Żył tylko dwa dni, nie miał szans. To oni go załatwili, Mark. To się nigdy nie powinno zdarzyć.

– Rozgryziemy tę sprawę, Ramon. Obiecuję.

Ramon uśmiechnął się, przygryzł dolną wargę, ponownie wytarł oczy i włożył okulary. A potem sięgnął po długopis i podpisał umowę.

* * *

Jak to było w zwyczaju, wspólnicy zasiedli późnym popołudniem w tym samym co zawsze

boksie w kącie baru Pod Kogutem, by podzielić się wrażeniami z dnia. Mark i Todd pili piwo, Zola napój owocowy. Po trzech tygodniach praktykowania prawa bez uprawnień nauczyli się dużo i już czuli się w swych rolach całkiem pewnie, choć Zola o wiele mniej od chłopców. Obawa przed przyłapaniem niemal zupełnie wyparowała, choć wiedzieli, że nigdy do końca ich nie opuści. Mark i Todd regularnie występowali w sądach karnych jak tysiąc innych prawników, odpowiadając na pytania znudzonych sędziów. Szybko dogadywali się z ludźmi z prokuratury, którzy zupełnie nie interesowali się ich uprawnieniami. Mark i Todd podpisywali się fałszywymi nazwiskami na postanowieniach i innych dokumentach i kręcili się po korytarzach w poszukiwaniu klientów, często natykając się na prawników zbyt zaaferowanych, by cokolwiek podejrzewać. Mimo początkowych sukcesów wkrótce przekonali się, że wynajdywanie ofiar wcale nie jest takie proste. W dobrym dniu zgarniali około tysiąca dolarów w postaci zaliczek od nowych klientów, w złym wracali do domu z pustymi rękami i nie było w tym nic niezwykłego.

Zola ograniczyła swoje starania do trzech największych szpitali – Katolickiego, General

i George’a Waszyngtona. Nie udało jej się jeszcze złowić żadnego klienta, ale parę razy była blisko i nie traciła nadziei. Czuła wstręt do tego, co robi, ale nie miała wyboru. Mark i Todd wypruwali sobie żyły, by zarabiać na życie, więc czuła się w obowiązku dołożenia swojej działki.

Tym razem wdali się w dywagacje na temat tego, jak często powinni stawać z klientami przed obliczem sędziów. Bo z jednej strony częste pojawianie się zapewniało im lepszą rozpoznawalność, z drugiej jednak im więcej obrońców, oskarżycieli, urzędników sądowych i sędziów spotykali, tym więcej było takich, którzy któregoś dnia mogą zacząć zadawać niewygodne pytania. Jakie by to mogły być pytania? Na przykład znudzony urzędnik sądowy mógłby spytać o prawidłowy numer adwokacki, bo tego system nie rozpoznaje. Stowarzyszenie Prawników Dystryktu Kolumbii liczyło sto tysięcy członków i każdy legitymował się numerem identyfikacyjnym, który należało wpisywać do postanowień i innych dokumentów. Oczywiście Mark i Todd posługiwali się fikcyjnymi numerami, ale liczba prawników była tak ogromna, że jak dotąd nikt się nimi nie zainteresował.

Albo sędzia mógł zapytać: „Kiedy zostałeś wpisany do rejestru adwokatury, synu? Bo nigdy wcześniej cię tu nie widziałem”. Ale jak dotąd żaden sędzia nie wykazał nawet cienia zainteresowania.

Albo asystentka prokuratora mogła zauważyć: „Mówisz, że kończyłeś prawo w Delaware? Mój znajomy też tam studiował. Znasz takiego a takiego?”. Tyle że asystentki prokuratorów były zbyt zajęte i zbyt przejęte swoją rolą, by zawracać sobie głowę takimi duperelami, a Mark i Todd starali się maksymalnie skracać rozmowy.

Natomiast nie obawiali się pytań ze strony najważniejszych osób, czyli swoich klientów.

Zola upiła trochę napoju i powiedziała:

– No dobra, muszę wam coś wyznać. Myślę, że udało mi się załapać na Freddy’ego Garcię.

– Nie wierzę! – parsknął Todd. – Musisz nam to opowiedzieć.

– No więc, wczoraj wieczorem byłam w szpitalu Waszyngtona i zwróciłam uwagę na młodą czarną parę jedzącą koszmarną szpitalną pizzę. Ona była potłuczona, miała kołnierz usztywniających i plastry i skaleczenia w paru miejscach. Czyli typowe pozostałości po kraksie samochodowej, prawda? Więc podchodzę, wykonuję swój normalny numer i okazuje się, że

chcą rozmawiać. Dowiaduję się, że została potrącona przez taksówkę… miód na moje serce, bo taksówki są bardzo dobrze ubezpieczone… a ich ośmioletnia córka leży na górze na oddziale intensywnej opieki. Czyli sprawa wygląda coraz bardziej obiecująco. A potem mnie pytają, co tu robię w szpitalnej kafeterii, a ja płynnie recytuję swój tekst. Moja matka jest ciężko chora, praktycznie umierająca, a ja siedzę przy jej łóżku i czekam na najgorsze. Daję im wizytówkę i obiecujemy sobie, że później porozmawiamy. Dzwoni mój telefon, a ja odchodzę parę kroków, żeby porozmawiać z ukochaną mamusią. Wychodzę ze szpitala rozanielona, bo wreszcie udało mi się namierzyć coś dużego.

Dramatycznie zawiesiła głos, po czym ciągnęła:

– No i dziś po południu dostaję telefon, ale nie od moich nowych klientów, tylko od ich adwokata. Okazuje się, że już kogoś wynajęli, jakiegoś wrednego palanta, Franka Jeppersona, który zadzwonił i miał mi dużo do powiedzenia.

Mark zaczął się śmiać.

– No to rzeczywiście trafiłaś na nowego Freddy’ego Garcię – prychnął Todd.

– No. Oskarżył mnie o próbę przejęcia jego klienta. Zapewniłam go, że nie, że tylko miło

pogadaliśmy, bo zrobiłam sobie przerwę w siedzeniu przy łóżku matki. Czyżby, zdziwił się. To po cholerę im dałam swoją wizytówkę? I kim, u diabła, są Upshaw, Parker i Lane? Stwierdził, że nigdy o nas nie słyszał. I tak dalej, i tak dalej. W końcu się rozłączyłam. Słuchajcie, chłopcy, ja się do tego nie nadaję. Musicie mi znaleźć coś innego. Niektórzy pracownicy kafeterii zaczynają mi się już wrogo przyglądać.

– Zola, ty jesteś do tego stworzona – powiedział Mark.

– Potrzebujesz tylko jednej dużej sprawy, nic więcej – dodał Todd. – My się użeramy z płotkami, ty obstawiasz grube ryby.

– Czuję się jak stalkerka. Nie mogłabym robić czegoś innego?

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy – odparł Todd. – Nie możesz się kręcić po sądach karnych, bo to męska sprawa. Zwracałabyś zbytnią uwagę.

– Tego też nie chcę robić. Możecie to sobie zatrzymać dla siebie.

– Naprawdę nie widzę w tobie specjalistki od rozwodów. Do tego jest potrzebne prawdziwe biuro, bo klienci rozwodowi zabierają mnóstwo czasu i wymagają długiego trzymania za rękę.

– Skąd to wiesz? – zainteresował się Todd.

– Bo studiowałem w Foggy Bottom.

– Z prawa rodzinnego miałam piątkę – pochwaliła się Zola.

– Ja też – dodał Todd. – A opuściłem połowę zajęć.

– Nie moglibyśmy wynająć przyzwoitego biura, żebym mogła zająć się rozwodami?

– Później o tym pogadamy – uciął Mark. – Mam coś, o czym chciałbym z wami porozmawiać. Myślę, że natrafiłem na dużą sprawę.

Opowiedział historię Ramona Tapera, na koniec wyjął umowę na obsługę prawną i pokazał palcem jego podpis.

– Wszystko podpisał jak trzeba – oświadczył z dumą.

Todd i Zola przebiegli wzrokiem umowę i od razu przyszło im do głowy wiele pytań.

– Dobra, i co dalej? – spytała Zola.

– Trzeba będzie trochę zainwestować – odparł Mark. – Dwa tysiące dolarów będzie nas kosztował rzeczoznawca, który przejrzy dokumentację medyczną. Zajrzałem do internetu i okazuje się, że jest mnóstwo takich ludzi. Na ogół lekarze na emeryturze, którzy nie robią nic innego, tylko na zlecenie kancelarii prawnych rozpatrują przypadki lekarskich zaniedbań.

W Waszyngtonie jest kilku takich. Wydamy trochę forsy, uzyskamy opinię rzeczoznawcy i jeśli się okaże, że ktoś jest winny śmierci tego dziecka, przekażemy sprawę jakiemuś dobremu prawnikowi procesowemu.

– I co będziemy z tego mieć? – spytała Zola.

– Połowę honorarium. Tak działają znani adwokaci odszkodowawczy. Przekazują sobie sprawy. Takie pętaki jak my wyszukują tematy, przekazują je ludziom, którzy się na nich znają, a sami siadają i czekają na pieniądze.

Ale Todd nie był zachwycony.

– No, nie wiem. Angażując się w taką wielką sprawę, ryzykujemy, że zaczną się nami interesować. Jeśli nasze nazwiska znajdą się w oświadczeniach stron, zobaczy je mnóstwo ludzi. Adwokat procesowy, adwokaci obrony, firmy ubezpieczeniowe, sędziowie. Sam nie wiem. To chyba zbyt ryzykowne.

– Nie wpiszemy naszych nazwisk do oświadczeń – powiedział Mark. – Po prostu powiemy adwokatowi, że chcemy zostać anonimowi. To powinno się udać, nie?

– Może Rusty nam pomoże? – rzuciła z uśmiechem Zola.

– A skąd, mowy nie ma! Zatrudnimy specjalistę od błędnych praktyk lekarskich.

W Waszyngtonie jest ich kilku. Nie zajmują się niczym innym poza ciąganiem lekarzy i szpitali po sądach. Prawdziwe wygi sądowe. Daj spokój, Todd. Naprawdę nie widzę żadnego ryzyka. Schowamy się na zapleczu, pozwolimy, żeby ktoś inny wykonał całą robotę, a my tylko zainkasujemy grubą forsę.

– Jak grubą?

– Tego nikt nie wie. Ale załóżmy, że zostanie stwierdzone poważne zaniedbanie po stronie lekarzy i szpitala. Załóżmy dla uproszczenia, że zgodzimy się na odszkodowanie w wysokości sześciuset tysięcy dolarów. Nasza działka wyniesie sto tysięcy tylko za to, że narailiśmy sprawę.

– Możesz sobie pomarzyć – mruknął Todd.

– A co jest złego w marzeniach? Zola, co ty na to?

– Cała nasza działalność jest bardzo ryzykowna – odparła. – Za każdym razem, kiedy stajemy przed sędzią i udajemy prawników, ponosimy ryzyko. Jestem za tym, żebyśmy to wzięli.

– A ty, Todd? – spytał Mark.

Todd wysączył do końca zawartość kufla i popatrzył na wspólników. W krótkiej historii UPL to on był bardziej agresywny, wspólnicy

bardziej zachowawczy. Gdyby teraz się wycofał, okazałby słabość.

– Dobra, ale krok po kroku. Najpierw sprawdźmy, co powie rzeczoznawca, i zależnie od tego zdecydujemy, co dalej.

– Umowa stoi – rzucił Mark.

Rozdział 23

Frank Jepperson siedział za swym wielkim biurkiem i przyglądał się wizytówce Zoli. Jako weteran wojen toczonych w Waszyngtonie o odszkodowania z tytułu urazów fizycznych, dobrze rozumiał jej starania. Kiedy był młody, też zaczynał na korytarzach i w kafeteriach miejskich szpitali, nagabując potencjalnych klientów. Znał i stosował wszystkie sztuczki. Opłacał kierowców lawet holowniczych i smarował dłonie gliniarzy z drogówki za podsyłanie mu poszkodowanych w wypadkach. Każdy dzień zaczynał od przejrzenia gazet i wytypowania najbardziej obiecujących wypadków. Odniósł tak duży sukces, że mógł sobie pozwolić na zatrudnienie pełnoetatowego naganiacza, byłego gliniarza nazwiskiem Keefe, i to właśnie Keefe wypatrzył rodzinę, z którą Zola rozmawiała w kafeterii szpitala Waszyngtona. Jepperson zawarł umowę z poszkodowaną,

a teraz jakaś nieopierzona gąska próbowała mu ją podebrać.

Terenem działania Jeppersona były zaułki Waszyngtonu, w których obowiązywało niewiele zasad, za to funkcjonowało wiele mętnych typów. Mimo to starał się na wszelkie sposoby chronić swoją działkę, zwłaszcza jeśli nowy gracz wyglądał podejrzanie.

Keefe siedział rozparty z nogą w kowbojskim bucie ze strusiej skóry opartą o kolano drugiej i obcinał paznokcie u rąk.

– I znalazłeś to miejsce? – upewnił się Jepperson.

– Tak. Na parterze domu jest knajpa Pod Kogutem, biuro mieści się dwa piętra wyżej, ale nie można się tam dostać. Wypiłem parę drinków przy barze i wdałem się w rozmowę z barmanem, który się zarzekał, że nic o tym nie wie. A jak wspomniałem o Zoli Parker, to w ogóle się zamknął.

– A Stowarzyszenie Prawników?

– Sprawdziłem. W ich spisie jej nie ma. Jest mnóstwo Parkerów, ale ani jednej Zoli.

– Ciekawe. A ta firma, Upshaw, Parker and Lane?

– Nic nie ma. Ale jak wiesz, kancelarie prawne zmieniają nazwy i adresy tak szybko, że nie

sposób ustalić, kto gdzie pracuje. W Stowarzyszeniu Prawników powiedzieli, że mają trudności z nadążaniem za zmianami.

– Ciekawe.

– Chcesz wystąpić ze skargą?

– Zastanowię się. Zobaczmy, czy jeszcze raz natkniemy się na tych pajaców.

* * *

Młodsza pracownica administracji na siódmym piętrze Foggy Bottom odnotowała, że trzech wykładowców doniosło, iż dwóch studentów trzeciego roku, Mark Frazier i Todd Lucero, od czterech tygodni opuszcza wszystkie zajęcia wiosennego semestru. Obaj odebrali należne im pieniądze ze studenckiego kredytu, ale najwyraźniej nie chciało im się uczęszczać na zajęcia. Chodzenie w kratkę było dość częste wśród studentów kończących studia, ale olewanie od miesiąca wszystkich zajęć było już przesadą.

W rezultacie, pracownica wysłała do Fraziera mail następującej treści:

Drogi Marku,

czy u Ciebie wszystko w porządku?

Odnotowaliśmy Twoją całkowitą absencję

w tym semestrze i jesteśmy tym zaniepokojeni. Proszę możliwie jak najszybciej o wiadomość.

Faye Doxey
asystentka sekretarza uczelni

Identycznej treści mail poszedł też do Todda Lucero. Minęły dwa dni bez słowa odpowiedzi od obu studentów.

* * *

Czternastego lutego Zola weszła ma salę rozpraw sędziego Josepha Cantu i zaczęła śledzić przebieg prowadzonych spraw. Po blisko godzinie urzędniczka sądowa wywołała nazwisko Gordona Tannera. Jego adwokat, Preston Kline, stanął przed obliczem sędziego.

– Wysoki Sądzie, od miesiąca nie mam żadnych wiadomości od mojego klienta – oświadczył. – Nie pozostaje mi nic innego jak przyjąć, że klient uciekł.

Urzędniczka podała sędziemu jakiś papierek. Ten przeczytał go dwukrotnie, po czym przeniósł wzrok na adwokata.

– No cóż, panie mecenasie, z tego tu wynika, że pański klient nie żyje.

– Kurczę, panie sędzio, jest pan pewien? Bo nie miałem pojęcia.

– Jego śmierć została oficjalnie potwierdzona.

– Nikt mnie o tym nie poinformował. To wszystko wyjaśnia.

– Zaraz, moment – powiedział sędzia Cantu, przebiegając wzrokiem kolejne papierki. – Zgodnie z tym, Tanner czwartego stycznia popełnił samobójstwo. Jest tu nawet podpięta notatka z „Postu". Ale jednocześnie mam tu zapisane, że siedemnastego stycznia pojawił się tu wraz z panem. Może pan to wyjaśnić?

Drapiąc się po brodzie, Kline wpatrywał się w swoją kopię wokandy z tego dnia.

– Cóż, panie sędzio, nie mogę. Mogę tylko potwierdzić, że siedemnastego byliśmy obaj w tym sądzie, ale prawdę mówiąc, od tamtej pory nie miałem z nim żadnego kontaktu.

– Może dlatego, że nie żyje.

– Wszystko to jest strasznie dziwne, panie sędzio. Nic z tego nie rozumiem.

Cantu z rezygnacją uniósł obie ręce.

– A zatem skoro oskarżony nie żyje, nie pozostaje mi nic innego, jak umorzyć to postępowanie – oświadczył.

– Tak jest, panie sędzio, chyba tak.

– Następna sprawa.

Parę minut później Zola wyszła, by zdać relację wspólnikom.

* * *

Mark wszedł do biurowca przy Szesnastej Ulicy i wjechał windą na drugie piętro. Znalazł drzwi z wywieszką *Konsultanci Procesowi Potomac* i wszedł do niewielkiego pomieszczenia recepcyjnego. Sekretarka wskazała głową rząd krzeseł i Mark usiadł. Po pięciu minutach czekania zjawił się doktor Willis Koonce, przedstawił się i zaprosił Marka do środka.

Koonce był lekarzem położnikiem na emeryturze, który niegdyś praktykował w Waszyngtonie, ale od dwudziestu lat był zawodowym biegłym sądowym. Chwalił się, że przeanalizował tysiące przypadków i ponad stukrotnie stawał jako biegły przed sądami w dwudziestu jeden stanach. Niemal zawsze był powoływany przez powoda.

Ledwo Mark zdążył usiąść, gdy Koonce wlepił w niego spojrzenie.

– Trzymasz ich za jaja, synu, a oni próbują rozpaczliwie się ratować. Tu masz moją opinię – oświadczył, podając Markowi gęsto napisany dwustronicowy dokument. – Masz tu wszystkie

techniczne szczegóły, ale oszczędzę ci czasu i wysiłku i wyjaśnię sprawę językiem laika. Matkę dziecka, Asyę Taper, zostawiono na pastwę losu, nie zajmując się nią w kluczowym momencie porodu. Trudno stwierdzić, jak ją monitorowano, bo brakuje części dokumentacji, ale dość powiedzieć, że bicie serca płodu spadało, macica uległa pęknięciu i czekano zbyt długo z wykonaniem cesarskiego cięcia. Gdyby nie ta zwłoka, prawdopodobnie dziecku nic by się nie stało. Opóźnienie spowodowało niedokrwienie i poważne uszkodzenie mózgu, w wyniku czego, jak wiemy, po dwóch dniach dziecko zmarło. Śmierć była dla niego wybawieniem, bo w przeciwnym razie żyłoby około dziesięciu lat jako roślina, niezdolne do chodzenia, mówienia czy samodzielnego odżywiania. A wszystkiemu można było zapobiec przez właściwe monitorowanie i szybkie wykonanie cesarki. Zaistniałe zaniedbania określiłbym jako bardzo poważne, a to, jak wiesz, bardzo ułatwia wydanie ostatecznego werdyktu.

Mark nie wiedział, ale ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Jednakże, jak ci również wiadomo, dwadzieścia lat temu w ramach programu wielkich reform procedur karnych stan Wirginia

podpisał z lekarzami porozumienie, na mocy którego zasądzane odszkodowania mają górną granicę. Maksimum, na co można liczyć, to dwa miliony dolarów. Smutne, ale prawdziwe. Gdyby dziecko przeżyło, odszkodowanie mogłoby być znacznie wyższe. Ale stosuje się tu prawo Wirginii.

– Czyli dwa miliony i ani grosza więcej? – powiedział Mark takim tonem, jakby był boleśnie zawiedziony.

– Niestety. Masz licencję adwokacką na Wirginię?

– Nie, nie mam. – Ani na żaden inny stan, skoro o tym mowa.

– Zajmowałeś się już kiedyś zaniedbaniami w procedurze medycznej? Bo bardzo młodo wyglądasz.

– Nie, przekażę sprawę jakiemuś specjaliście. Może ma pan jakieś sugestie?

– Jasne. – Doktor wziął z biurka kartkę i podał Markowi. – Tu masz listę najlepszych kancelarii od tych spraw, które działają w Waszyngtonie. Kierują nimi wybitni prawnicy i wszystkie są licencjonowane w Wirginii. I z wszystkimi już pracowałem.

Mark spojrzał na listę nazwisk.

– A ktoś konkretnie? – spytał.

– Zacząłbym od góry, od Jeffreya Corbetta. Według mnie jest najlepszy. Zajmuje się wyłącznie przypadkami z zakresu położnictwa i ginekologii. Samo nazwisko tak ich wystraszy, że szybko pójdą na ugodę.

Dwa miliony. Szybka ugoda. Liczydło w głowie Marka aż furczało.

Koonce był człowiekiem bardzo zajętym.

– Moje honorarium za przygotowanie dokumentacji procesowej i wystąpienie na procesie w charakterze biegłego wynosi czterdzieści tysięcy dolarów – oznajmił, zerkając na zegarek. – Jeśli ty i Corbett będziecie chcieli ze mnie skorzystać, dajcie jak najszybciej znać, bo mam mnóstwo spraw. – Wolno podniósł się z fotela.

– Oczywiście, panie doktorze.

Podali sobie ręce, Mark zabrał dokumentację otrzymaną od Ramona i pośpiesznie opuścił biuro.

* * *

Tego samego dnia późnym popołudniem Zola siedziała samotnie przy stoliku w kącie, czekając na codzienną wymianę wrażeń ze swoimi wspólnikami. Spędziła ten dzień z dala od szpitali

i czuła się znacznie lepiej. Po żmudnym wertowaniu stron udało jej się wreszcie znaleźć odpowiedniego prawnika w Senegalu, a dokładniej w stolicy tego kraju, Dakarze. Według wiadomości zamieszczonych w sieci Diallo Niang pracował w trzyosobowej kancelarii i znał angielski, choć przez telefon trudno się było z nim dogadać. Specjalizował się w prawie karnym i imigracyjnym, a także w sprawach rodzinnych. Za honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów mecenas Niang był gotów reprezentować interesy rodziców i brata Zoli po ich przybyciu do Senegalu, choć nikt nie umiał powiedzieć, kiedy to nastąpi. Przekaz telegraficzny takiej kwoty do banku w Senegalu trochę Zolę niepokoił, ale nie miała wyjścia. Mecenas Niang twierdził, że ma kontakty z ważnymi osobistościami we władzach i bez trudu będzie mógł pomóc rodzinie Zoli w stanięciu na nogi w ich nowej/starej ojczyźnie. Zola znała aż za wiele przerażających opowieści o tym, co może spotkać repatriantów po powrocie do kraju, w którym nikt ich nie oczekiwał.

Otworzyła laptopa, sprawdziła pocztę i nie zdziwiła się na widok maila z Foggy Bottom. Faye Doxey pisała:

Droga Panno Maal,
profesorowie Abernathy i Zaran zgłosili, że nie było Pani na żadnych zajęciach w tym semestrze. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni. Prosimy o wiadomość telefoniczną lub pisemną, co się z Panią dzieje.
Z poważaniem
Faye Doxey
asystentka sekretarza uczelni

Zola wiedziała, że Mark i Todd dostali maile podobnej treści i zignorowali je. Byli zdziwieni, że ktokolwiek w Foggy Bottom był na tyle skrupulatny, by zauważyć ich nieobecność. Przez chwilę się zastanawiała, po czym napisała odpowiedź.

Panno Doxey,
mam zapalenie płuc i lekarze każą mi leżeć w łóżku i z nikim się nie kontaktować. Monitoruję przebieg zajęć i mam nadzieję w pełni wyzdrowieć. Dziękuję za Pani troskę. Niedługo wracam.
Z poważaniem
Zola Maal

Kłamstwa ją uwierały, ale ostatnio stały się sposobem na życie. Praktycznie wszystko, co robiła, było kłamstwem: zmyślone nazwisko, zmyślona firma, zmyślone wizytówki i zmyślona postać prawniczki zatroskanej o los ofiar wypadków, które naprawdę miały być jej ofiarami. Nie mogła dalej tak żyć. Czy życie mogłoby być gorsze, gdyby chodziła na zajęcia, szukała jakiejś przyzwoitej pracy i martwiła się wiszącym jej nad głową egzaminem adwokackim i zadłużeniem kredytowym?

Otóż tak, mogłoby. Teraz przynajmniej czuła się bezpieczna i poza zasięgiem władz imigracyjnych.

W następnej wymianie korespondencji z Tildy Carver z LoanAid nie obyło się bez kolejnych kłamstw.

Droga Panno Maal,
w poprzednim mailu wspomniała Pani
o rozmowie kwalifikacyjnej
w Departamencie Sprawiedliwości. Czy
odezwali się do Pani? Myślała Pani
o rozpoczęciu pracy w sektorze publicznym
i skorzystaniu z oferowanego przez
Departament Edukacji programu
częściowego umorzenia długu. Nie jestem

pewna, czy to dla Pani najlepsze rozwiązanie, bo wiąże się z podjęciem zobowiązania na najbliższe dziesięć lat, a to bardzo długo. Ale oczywiście decyzja należy do Pani. W każdym razie chciałabym poznać aktualną sytuację co do Pani zatrudnienia i byłabym wdzięczna za pilną odpowiedź.

Z poważaniem
Tildy Carver
starszy doradca kredytowy

Ostatnia transza kredytu z 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $

Łączne zadłużenie wraz z odsetkami: 191 000 $.

Jak zawsze przyglądała się tym liczbom z niedowierzaniem i jak zawsze kusiło ją, żeby dzień czy dwa zwlekać z odpowiedzią, tym razem jednak postanowiła od razu chwycić byka za rogi.

Szanowna Pani,
pracy w Departamencie Sprawiedliwości nie dostałam, a w tej chwili nie jestem w stanie prowadzić żadnych innych rozmów. Jestem aktualnie przykuta do łóżka z zapaleniem

płuc i znajduję się pod opieką lekarską.
Mam nadzieję wrócić na zajęcia za kilka dni
i wtedy się odezwę.

Z poważaniem
Zola Maal

* * *

Mark wkroczył z szerokim uśmiechem na twarzy i zamówił piwo. Chwilę po nim dotarł Todd, poczekał przy barze na nalanie kufla piwa beczkowego i dołączył do nich. Po całym dniu w okopach wyglądał na steranego i wyplutego i był w nie najlepszym nastroju.

– Spędziłem osiem godzin w sądzie, uganiając się za frajerami, i niczego nie złapałem. Zero. Jedno wielkie, łyse, gęsie jajo. A wam jak poszło?

– Wyluzuj, kolego – rzucił Mark. – Raz bywa lepiej, raz gorzej.

Todd łyknął piwa.

– Łatwo ci mówić „wyluzuj” – burknął. – Siedzimy w tym gównie już od miesiąca i mam takie uczucie, jakby cała brudna robota spadała na mnie. Powiedzmy sobie szczerze, dwie trzecie naszych honorariów pochodzą ze spraw narajonych przeze mnie.

– No, no, nasza pierwsza kłótnia – powiedział z rozbawieniem Mark. – Ale myślę, że to się zdarza w każdej kancelarii prawnej.

Zola zamknęła laptopa i wlepiła wzrok w Todda.

– Ja się nie kłócę – burknął. – Po prostu miałem zły dzień.

– Jeśli dobrze pamiętam – odezwała się – to kazaliście mi trzymać się z dala od sądów karnych, bo to męska sprawa. Do mnie należy obstawianie szpitali i wyszukiwanie poszkodowanych w wypadkach, bo jeden mój klient może być wart tyle, co cała kupa waszych. Dobrze pamiętam?

– Dobrze, tyle że jak dotąd nie złapałaś ani jednego – wygarnął jej Todd.

– Staram się, Todd – rzuciła lodowatym tonem. – Ale jeśli masz jakiś lepszy pomysł, chętnie posłucham. Bo naprawdę nie podoba mi się to, co robię.

– Dzieci, dzieci, uspokójcie się – upomniał ich Mark z uśmiechem. – Lepiej przeliczmy naszą kasę.

Wszyscy troje w milczeniu łyknęli swoje drinki, w końcu Mark powiedział:

– Miałem dziś spotkanie z biegłym. Tym, któremu zapłaciliśmy dwa tysiące dolców.

Twierdzi, że to jaskrawy przykład zaniedbań ze strony lekarzy i szpitala. Mam dla was kopie jego opinii, żebyście mogli w spokoju ją przestudiować. Warta każdego wydanego na nią centa. Facet mówi, a jest z niego prawdziwy profesjonalista, że w rękach właściwego adwokata sprawa jest warta dopuszczalnego w Wirginii maksimum, czyli dwóch milionów dolców. Według niego takim adwokatem jest niejaki Jeffrey Corbett, specjalista od zaniedbań w procedurach medycznych, który zbił majątek na skarżeniu lekarzy położników. Ma biuro jakieś cztery przecznice stąd. Sprawdziłem go w sieci i jego działalność jest w pełni legalna. Jak wyczytałem w artykule w czasopiśmie medycznym, mecenas Corbett zarabia między pięć a dziesięć milionów dolarów rocznie. – Pociągnął łyk piwa – To ci trochę poprawia twój podły nastrój, Todd?

– Trochę.

– Tak myślałem. I jeśli się zgadzacie, zadzwonię do pana Corbetta i umówię się na spotkanie.

– To nie może być aż tak proste – jęknęła Zola.

– Zwyczajnie mamy szczęście, kapujesz? Według moich danych statystycznych do sądów trafia rocznie ponad dwa tysiące pozwów

przeciw położnikom i ginekologom za różnego rodzaju zaniedbania. Duży procent stanowią problemy przy porodzie i właśnie nam trafił się taki przypadek.

Todd skinął na kelnera i zamówił następną kolejkę.

Rozdział 24

W sobotę wyjechali wcześnie rano i samochodem Todda odbyli dwugodzinną podróż do Federalnego Obozu Przejściowego Bardtown w pobliżu Altoony w Pensylwanii. Od poprzedniej wizyty przed siedmioma tygodniami obóz nic się nie zmienił i druty żyletkowe nadal lśniły w promieniach słońca, a masywne ogrodzenie ze stalowej siatki wyglądało równie odstraszająco. Parking był gęsto zastawiony samochodami personelu strzegącego etnicznej czystości ojczyzny.

Zola miała na sobie długą, luźną czarną sukienkę i gdy Todd zgasił silnik, wyjęła z torby hidżab i ułożyła go sobie na głowie i ramionach.

– Ale pobożna muzułmanka – parsknął Todd.

– Zamknij się – rzuciła, wysiadając.

Na wizytę w obozie adwokat Zoli włożył marynarkę i koszulę z krawatem. Zadzwonił wcześniej i zapowiedział ich przyjazd, by

uniknąć kłopotów jak podczas poprzedniego widzenia, ale wyglądało na to, że dokumentacja przebywającej w obozie rodziny Zoli jest już kompletna. Zaprowadzono ich do tej samej poczekalni i przetrzymano dobre pół godziny, nim zjawili się rodzice i Bo, brat Zoli. Raz jeszcze przedstawiła im przyjaciół i uścisnęła matkę.

Wszyscy starali się trzymać emocje na wodzy, Bo powiedział, że nie dostali żadnej wiadomości w sprawie terminu deportacji. Jeden z urzędników poinformował ich tylko, że ICE czeka, aż zbierze się odpowiednio duża grupa Senegalczyków, by zapełnić czarterowany samolot. Puste fotele w tak kosztownym locie oznaczałyby niegospodarność. Przyjęto, że potrzeba minimum stu pasażerów, a wyłapanie tylu nielegalnych imigrantów trochę trwa.

Gdy Bo zapytał o ich studia, cała trójka zgodnie oświadczyła, że wszystko idzie zgodnie z planem. Abdou, ojciec Zoli, poklepał ją po ręce i zapewnił, że są ogromnie dumni z tego, że ich córka zostanie prawniczką. Uśmiechnęła się i nie dała nic po sobie poznać. Wręczyła ojcu kartkę z danymi Diallo Nianga, adwokata w Dakarze, i wymogła na nim obietnicę, że zrobi wszystko, by zawiadomić ją o terminie lotu, tak by mogła natychmiast skontaktować się z panem

Niangiem, a ten ułatwi im pierwsze kroki po wylądowaniu w Dakarze. Ale i tak zostawało wiele niewiadomych.

Matka Zoli, Fanta, prawie się nie odzywała. Trzymała córkę za rękę i siedząc w posępnym milczeniu, ze strachem w oczach przysłuchiwała się rozmowom mężczyzn. Po dwudziestu minutach Mark i Todd pożegnali się i oznajmili, że poczekają na korytarzu.

Kiedy po skończonym widzeniu wrócili do samochodu, Zola zdjęła hidżab, przetarła oczy i zapadła w długie milczenie. W Marylandzie Todd zatrzymał się przed przydrożnym sklepem i kupił sześciopak piwa. Mieli przed sobą całe wolne popołudnie i postanowili zboczyć do Martinsburga i odwiedzić grób Gordy'ego. Na publicznym cmentarzu koło kościoła odnaleźli nową, obsypaną świeżą ziemią płytę nagrobną.

* * *

W niedzielę Mark pożyczył od Todda samochód i pojechał do Dover. Chciał zobaczyć się z matką i przeprowadzić z nią poważną rozmowę, natomiast z przykrością myślał o spotkaniu z bratem. W jego sprawie nic się nie zmieniło, zarzuty nabierały mocy urzędowej

w trybach systemu wymiaru sprawiedliwości i zbliżał się termin procesu wyznaczonego na wrzesień.

Mark dotarł do domu około jedenastej i zastał brata śpiącego w łóżku.

– Zwykle wstaje około południa, w porze lunchu – wyjaśniła pani Frazier, nalewając Markowi świeżo zaparzoną kawę. Miała na sobie ładną sukienkę, buty na obcasach i dużo się uśmiechała, wyraźnie uszczęśliwiona widokiem swego bardziej udanego syna. Na kuchence bulgotał gulasz, wypełniając pomieszczenie smakowitym aromatem. – A jak tam na studiach? – zapytała.

– No właśnie, o tym chciałem z tobą porozmawiać, mamo – odparł Mark, któremu zależało, by jak najszybciej to z siebie wyrzucić.

Opowiedział matce smutną historię o samobójstwie Gordy'ego i podkreślił, jak to nim wstrząsnęło. Dodał, że przeżyta trauma skłoniła go do przerwania nauki i przemyślenia na nowo przyszłości.

– Czyli nie skończysz w maju? – spytała zawiedziona.

– Nie, potrzebuję trochę więcej czasu.

– A co z pracą?

– Z tamtej propozycji nic nie wyszło. Kancelaria połączyła się z inną, większą, i w rezultacie moje stanowisko zostało zlikwidowane. Ale nie ma czego żałować, bo to była marna firma.

– Zdawało mi się, że byłeś tą propozycją zachwycony.

– Myślę, że bardziej udawałem. Rynek pracy wygląda ostatnio niezbyt ciekawie i tak naprawdę złapałem pierwszą okazję, jaka się nadarzyła. Ale jak o tym teraz myślę, to dochodzę do wniosku, że nic by z tego nie wyszło.

– O mój Boże. A ja tak liczyłam, że jako adwokat pomożesz bratu.

– Obawiam się, mamo, że jemu nic nie pomoże. Mają go na widelcu i czeka go wyrok skazujący. Jest w kontakcie ze swoim adwokatem?

– Nie, właściwie nie. Ma adwokata z urzędu, który jest bardzo zajęty. Tak się o niego martwię.

Bo jest o co, pomyślał.

– Mamo, musisz się oswoić z myślą, że Louie pójdzie siedzieć. Mają go nagranego, jak sprzedaje crack podstawionemu agentowi. Nie da się tu nic wykombinować.

– Wiem, wiem. – Upiła łyk kawy, z trudem powstrzymując łzy. A potem, żeby zmienić temat,

spytała: – A co będzie z twoim kredytem studenckim?

Nie miała pojęcia, ile wynosi zadłużenie Marka, a on nie zamierzał jej tego mówić.

– Tymczasowo go zawiesiłem. Nie ma problemu.

– Aha. No to jak nie chodzisz na uczelnię, to co robisz całymi dniami?

– Pracuję dorywczo tu i tam, często w barze. A ty? No bo chyba nie siedzisz tu z nim przez cały czas?

– Och, nie. Pracuję trochę u Krogera i trochę w Targecie. A jak nie jestem w pracy, to pomagam jako wolontariuszka w domu opieki. A jak już naprawdę się nudzę, to jadę do więzienia i odwiedzam więźniarki. Są ich tam tłumy. Wszystkie za narkotyki. Przysięgam, że narkotyki kiedyś zrujnują ten kraj. Tak że mam co robić i nie siedzę w domu.

– A co on robi całymi dniami?

– Śpi, je, ogląda telewizję, gra na komputerze. I użala się na swój los. Zawstydziłam go na tyle, że zaczął ćwiczyć na moim starym rowerze w piwnicy, ale szybko go popsuł. Twierdzi, że nie da się go naprawić. Od czasu do czasu kupuję mu parę piw, żeby się przymknął. Zgodnie z nakazem sądowym nie wolno mu spożywać

alkoholu, ale on tak długo wierci mi dziurę w brzuchu, że w końcu mu kupuję. Mam nadzieję, że nikt się nie dowie.

– Myślałaś o tym, żeby dogadać się z prokuraturą?

– A to możliwe?

– Nie widzę powodu, żeby nie. To może być furtka do negocjacji. Louie nie ma szans w sądzie, bo nie ma dla niego obrony. Lepiej będzie przyznać się do winy i w ten sposób wynegocjować łagodniejszy wyrok.

– Ale on mówi, że chce walczyć w sądzie.

– Bo jest idiotą. Jak pamiętasz, podczas przerwy świątecznej spotkałem się z jego adwokatem, który pokazał mi jego akta i nagranie wideo. Louie wbił sobie do głowy, że wystarczy uśmiechnąć się do przysięgłych, a oni od razu mu uwierzą, że gliny wrobiły go w ustawioną transakcję narkotykową. Jest przekonany, że wyjdzie z sądu jako wolny człowiek. Ale tak nie będzie.

– Jak wyglądają takie negocjacje?

– Zwyczajnie. Większość spraw karnych kończy się wynegocjowaniem ugody z prokuraturą. Oskarżony przyznaje się do winy i unika procesu przed ławą przysięgłych, a oskarżenie łagodzi nieco wyrok. Louiemu grozi

do dziesięciu lat. Nie wiem, co może wynegocjować, ale myślę, że można mieć nadzieję na zmniejszenie wyroku do pięciu z zaliczeniem odbytej kary. Przy odpowiednim sprawowaniu, tłoku w więzieniach i wszystkich innych okolicznościach za jakieś trzy lata mógłby już być w domu.

W kącikach ust matki pojawił się ledwo dostrzegalny cień uśmiechu, ale zaraz zniknął.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała, uciekając wzrokiem w bok. – To taki dobry chłopak.

Może. Louie przez całe liceum flirtował ze światkiem narkotyków i było wiele oznak, które powinny wzbudzić czujność rodziców, ale oni świadomie je ignorowali. Gdy pakował się w kłopoty, bez wahania biegli mu na pomoc i wierzyli we wszystkie jego kłamstwa. Kryli go i teraz przyszło im płacić za to rachunek.

– Mógłbyś pogadać z jego adwokatem? – Matka wlepiła w niego załzawione spojrzenie. Spodziewał się, że mama z tym wyskoczy. – On potrzebuje pomocy.

– Nie ma mowy. Louie trafi do więzienia, a ja nawet nie spróbuję się do tego mieszać. I powód jest prosty: za dobrze go znam. Będzie winił

wszystkich poza sobą. A już zwłaszcza mnie. Przecież sama wiesz.

– Zawsze byłeś dla niego taki ostry.

– A ty zawsze odwracałaś wzrok.

Z głębi domu dobiegł odgłos spuszczanej wody i pani Frazier spojrzała na zegarek.

– Coś wcześnie dziś wstał – rzuciła. – Mówiłam mu, że przyjeżdżasz na lunch.

Louie wkroczył do kuchni z powitalnym uśmiechem dla brata. Mark wstał i pozwolił się zamknąć w niedźwiedzim uścisku, udając, że sprawia mu to przyjemność. Louie wyglądał jak niedźwiedź wyrwany z zimowego snu: zarośnięty, zmatowiałe włosy, napuchnięte oczy. Miał na sobie starą bluzę Eagles, opiętą w pasie, i workowate spodenki gimnastyczne, w sam raz dla rosłego obrońcy futbolowego. Był bez butów i skarpetek, wokół kostki miał bransoletkę dozoru elektronicznego. Zapewne w tym stroju spał i nawet nie chciało mu się ubrać.

Mark miał już na końcu języka złośliwą uwagę o jego nadwadze, ale dał spokój.

Louie nalał sobie kawy i usiadł przy kuchennym stole.

– O czym rozmawialiście? – zapytał.

– O moich studiach – rzucił szybko Mark, zanim matka zdążyła wspomnieć coś o rozmowie

z adwokatem. – Właśnie mówiłem mamie, że odpuszczam ten semestr. Potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie. Obiecaną pracę diabli wzięli, o nową jest bardzo trudno i muszę złapać oddech.

– Coś mi tu nie gra – zauważył Louie. – Rzucasz studia na jeden semestr przed końcem?

– Nie rzucam, Louie. Robię sobie przerwę.

– Jego najlepszy przyjaciel popełnił samobójstwo i Mark bardzo ciężko to przeżył – wyjaśniła matka.

– Kurde, przykro mi. Ale trochę to dziwne, pasować na ostatnim semestrze.

Tak, Louie, tylko że akurat ty nie masz prawa się odzywać na temat karier zawodowych innych ludzi, pomyślał Mark. Nie chciał jednak zadrażniać atmosfery i nie powiedział tego na głos.

– Możesz mi wierzyć, Louie, mam wszystko pod kontrolą – zapewnił.

– Nie wątpię. Mamo, co się tam pichci na kuchni? Bo bardzo fajnie pachnie.

– Gulasz wołowy. Może zjemy wcześniejszy lunch? – Zerwała się z miejsca, podeszła do kredensu, otworzyła go i wrzuciła Marka na głęboką wodę, mówiąc: – Mark uważa, że

powinieneś przyznać się do winy i zacząć negocjować z prokuraturą.

Brawo, mamo. Teraz możemy już zapomnieć.

Louie uśmiechnął się ironicznie.

– A co, jesteś już prawnikiem? – prychnął.

Żebyś ty wiedział!

– Nie, Louie, i nie mam dla ciebie żadnych rad. Po prostu tak tylko gadaliśmy z mamą.

– No jasne. Tak, mamo, rozmawiałem o tym z adwokatem podczas jednego z naszych nielicznych spotkań. Jeśli się przyznam, od razu mnie wsadzą z zaliczeniem odbytej kary w postaci aresztu domowego z bransoletką na nodze. Czyli następne sześć miesięcy mogę spędzić albo w więzieniu, kryjąc się przed więziennymi gangami, stojąc pod zimnym prysznicem plecami do ściany i jedząc jajecznicę z jajek w proszku i czerstwe tosty, albo tu, w domu. Czyli wybór jest dość prosty, nie?

Mark wzruszył ramionami, jakby nie miał w tej sprawie zdania. Wiedział, że od jednego nieostrożnego słowa może wybuchnąć wielki pożar i nie chciał przykładać do tego ręki. Matka krzątała się po kuchni, nakrywając do stołu i rozkładając papierowe serwetki i stare srebrne sztućce.

– Więc nie zamierzam się przyznawać, niezależnie od tego, co wy o tym myślicie. Chcę stanąć przed ławą przysięgłych. Gliniarze zastawili na mnie pułapkę i potrafię to udowodnić.

– Świetnie – powiedział Mark. – Jestem pewien, że twój adwokat wie, co robi.

– Lepiej zna się na prawie karnym od ciebie.

– Ależ oczywiście.

– Tylko miałem nadzieję – dodał Louie, głośno siorbiąc kawę – że po zdaniu egzaminu adwokackiego pomożesz mi trochę w mojej sprawie. Na przykład usiądziesz obok mnie na rozprawie, żeby przysięgli pomyśleli, że mam dwóch adwokatów, nie jednego, kapujesz? Ale teraz widzę, że nic z tego.

– Tak, nic z tego. Robię sobie przerwę.

– Naprawdę mnie to dziwi.

Matka postawiła na stole trzy miski parującego gulaszu wołowego i Louie rzucił się na swoją porcję tak, jakby nie jadł nic od tygodnia. Mark popatrzył na matkę, po czym przeniósł wzrok na zegar na ścianie. Był tu od czterdziestu minut i nie wyobrażał sobie, jak wytrzyma jeszcze godzinę.

Rozdział 25

W poniedziałek trzeciego marca agenci federalni przeprowadzili nalot na siedzibę centrali banku Swift w śródmieściu Filadelfii. Prasa została o tym uprzedzona i ukazało się mnóstwo zdjęć, jak gromada funkcjonariuszy z literami FBI na plecach kurtek wynosi komputery i pudła papierów do oczekujących furgonetek. Zarząd firmy wydał oświadczenie, że wszystko jest pod kontrolą i bank działa normalnie, ale i tak cena akcji na giełdzie gwałtownie poszybowała w dół.

Komentator z redakcji gospodarczej lokalnej telewizji zreasumował problemy nękające bank. Akcja FBI była dodatkiem do trwających już dwóch śledztw w Kongresie, prokuratorzy w trzech stanach puszyli się przed kamerami, obiecując, że prześwietlą tę aferę do samego dna. Szykowało się co najmniej pięć pozwów zbiorowych, adwokaci kręcili się jak w ukropie

i kolejne pozwy były niemal pewne. Dyrektor naczelny Swifta właśnie złożył rezygnację (chciał poświęcić więcej czasu rodzinie), zabierając w pożegnalnym prezencie sto milionów dolarów w akcjach giełdowych, co niewątpliwie nada nowy blask jego życiu rodzinnemu. Trwały negocjacje pakietu pożegnalnego dla dyrektora finansowego. Setki byłych pracowników banku podnosiły głowy i szykowały się do wystąpienia na drogę sądową za niezgodne z przepisami zwolnienia z pracy. Zaglądano do akt dawnych spraw sądowych przeciwko bankowi, z których wynikało, że jego niezgodne z prawem działania ciągnęły się już od co najmniej dekady. Klienci podnosili raban i masowo zamykali rachunki. Organizacje konsumenckie wydawały oświadczenia, w których postępowanie banku nazywano „najbardziej oszukańczymi praktykami w historii amerykańskiej bankowości”.

Dziewięć procent udziałów w banku Swift należało do firmy inwestycyjnej z Los Angeles, która będąc największym udziałowcem, nie miała nic do powiedzenia. Wspólnicy UPL uważnie monitorowali wszystkie wydarzenia z frontu walki ze Swiftem, rejestrując każde słowo, jakie się w tej sprawie ukazywało

w mediach. Jak dotąd nazwisko Hindsa Rackleya nie padło ani razu.

Uznali, że sprawa na tyle nabrzmiała, że pora się w nią włączyć. Mark skontaktował się z kancelarią prawną w Miami i dopisał się do składanego przez nią pozwu zbiorowego. Todd zrobił to samo, dzwoniąc na bezpłatny numer kancelarii w Nowym Jorku. Zola wybrała firmę z Waszyngtonu, znaną z uczestniczenia w różnego rodzaju akcjach zbiorowych.

W ciągu paru godzin od podpisania zgłoszeń całą trójkę zarzucono stosami papierów produkowanych taśmowo przez prawników, którzy zagięli parol na Swifta. Dokumentacja wyglądała imponująco.

Według najnowszych danych niedopuszczalne praktyki banku Swift dotknęły miliona klientów.

* * *

Ramon dzwonił codziennie, nawet w weekendy. Żądał najnowszych wieści w sprawie i Mark musiał w kółko mu powtarzać, że opinia ich „pierwszego biegłego” brzmi bardzo obiecująco i posuwają się do przodu najszybciej, jak się da. Z wielkim Jeffreyem Corbettem był

umówiony dopiero na środę, dziewiętnastego marca – w najwcześniejszym wolnym terminie w jego bardzo wypełnionym terminarzu. Widać był tak zajęty, że brakowało mu czasu na nowe sprawy.

We wtorek Ramon zadzwonił, by przekazać sensacyjną wiadomość, że Asya, jego była, nagle dała znak życia z Charlestonu i pyta o postępy w sprawie sądowej. Mark nie miał wątpliwości, że było dokładnie odwrotnie: to Ramon – zapewne nieźle podcięty – zadzwonił do niej, żeby się pochwalić wynajęciem prawnika, który zajmie się przed sądem przypadkiem śmierci ich dziecka. Z całą pewnością nie była to jej inicjatywa, pomyślał Mark.

Okazało się jednak, że się mylił. W środę zadzwonił do niego adwokat z Charlestonu, niejaki Mossberg. Ponieważ telefon nie rozpoznał numeru, Mark jak zwykle chwilę się zastanawiał, czy w ogóle odbierać. W końcu, po piątym dzwonku, przyjął połączenie.

– Reprezentuję Asyę Taper i rozumiem, że pan reprezentuje jej byłego męża – oznajmił Mossberg. – Czy tak?

– Zgadza się. Ramon Taper jest naszym klientem.

– Nie wolno wam iść do sądu bez niej. W końcu była matką tego dziecka. – Mossberg mówił agresywnym, wręcz napastliwym tonem.

Brawo, Ramon! Właśnie pozbawiłeś nas znaczącej części honorarium. Tylko tego nam trzeba: następnego prawnika, który będzie wtykał we wszystko nos i przeszkadzał.

– Tak, rozumiem – powiedział, jednocześnie gorączkowo szukając Mossberga w sieci.

– Moja klientka twierdzi, że pański klient posiada całą dokumentację medyczną. To prawda?

– Tak, mam tę dokumentację – potwierdził Mark. Jest: Edwin Mossberg, sześcioosobowa kancelaria prawna w śródmieściu Charlestonu, specjalizująca się w odszkodowaniach za obrażenia w wypadkach. Czterdzieści pięć lat. Dwadzieścia lat w okopach i dużo większe doświadczenie niż ktokolwiek w UPL. Rosły, tęgi mężczyzna, obwisłe policzki, siwa czupryna, drogi garnitur i krawat. Największy dotychczasowy sukces: jedenastomilionowe odszkodowanie od szpitala w Atlancie. Poza tym wiele pomniejszych, ale nadal robiących wrażenie werdyktów sądu.

– Może mi pan przesłać kopie? – W tonie Mossberga było więcej żądania niż prośby.

– Oczywiście, nie ma problemu.

– To pan mi powie, panie Upshaw, co w tej sprawie zostało już zrobione?

Po raz setny Mark ścisnął sobie grzbiet nosa i zadał w duchu pytanie, w co on się pakuje. Zagryzł zęby i wycedził:

– Obecnie dokumentację medyczną analizuje nasz biegły. Za parę dni powinienem mieć jego opinię.

– Kto jest tym biegłym? – spytał Mossberg takim tonem, jakby znał wszystkich biegłych w kraju.

– Później o tym pogadamy – rzucił Mark, czując wreszcie twardszy grunt pod nogami. Tak powinna wyglądać rozmowa palanta z palantem.

– Chciałbym widzieć tę opinię, jak tylko pan ją dostanie. Na rynku jest wielu biegłych, którzy tylko mają się za ekspertów, a ja przypadkiem znam najlepszego. Facet mieszka w Hilton Head i wielokrotnie korzystałem z jego ekspertyz. Nie waham się dodać, że z dużym powodzeniem.

Och, nie wahaj się, proszę. Tak chciałbym usłyszeć coś więcej o twoich spektakularnych sukcesach.

– To świetnie – powiedział Mark. – Proszę mi przesłać egzemplarz swojej umowy i będziemy w kontakcie.

– Nie ma sprawy. I, panie Upshaw, żeby było jasne. Sprawa sądowa bez udziału mojej klientki nie wchodzi w rachubę, rozumiemy się? Asya dość się przez to wycierpiała i zamierzam dopilnować, żeby dostała co do grosza wszystko, co jej się należy z tego odszkodowania.

Do dzieła, Supermanie!

– Ja też, mecenasie Mossberg. Kłaniam się panu. – Mark rozłączył się i w pierwszym odruchu omal nie wyrzucił telefonu przez okno.

* * *

Na Toddzie i Zoli wiadomość nie zrobiła większego wrażenia. Mark umówił się z nimi na lunch w restauracji w pobliżu gmachu sądów, gdzie Todd ustrzelił pierwszego w historii ich firmy dubleta w osobach dwóch obwinionych o jazdę po alkoholu podczas jednej sesji sądu. Mając w kieszeni świeżo zarobione siedemset dolarów w gotówce, uparł się, że zapłaci za lunch, po czym zrobi sobie wolne popołudnie. Choć żadne z nich się do tego nie przyznawało, perspektywa dużego i łatwego zarobku na sprawie Ramona zawróciła im nieco w głowach, powodując, że wszystko inne stało się jakby mniej ważne. Bo po co uganiać się za grosze za

ofiarami w sądzie i szpitalu, skoro poważne pieniądze są na wyciągnięcie ręki? W rezultacie wszyscy troje pracowali z trochę mniejszym zapałem i spędzali mniej czasu w swoim towarzystwie. Nie było między nimi żadnych tarć, po prostu potrzebowali oddechu.

W Sądzie Dystryktu Kolumbii najbardziej owocne były zawsze godziny porannego szczytu. Mark i Todd zjawiali się tam około dziewiątej i zaczynali łowy. W niektóre dni dopisywało im szczęście, w inne nie, i po paru tygodniach użerania się obaj wiedzieli, że długo już nie wytrzymają. Nie pojmowali, jak Darrell Cromley, Preston Kline i im podobni naganiacze mogą całe zawodowe życie spędzać na korytarzach, polując na niczego niepodejrzewające ofiary. Może po prostu nie mieli wyboru, a może nie umieli robić nic innego albo było im łatwiej dzięki temu, że nie musieli się obawiać przyłapania na pracy bez uprawnień.

Zola machnęła ręką na uganianie się za ambulansami, choć jej wspólnicy jeszcze o tym nie wiedzieli. Udoskonaliła i na różne sposoby wyszlifowała swoje triki handlowe, ale nie zmieniało to faktu, że wciąż jeszcze czekała na swojego pierwszego większego klienta. I była tym wszystkim znużona. Oszukiwała ludzi i za

każdym razem, gdy brała na cel jakąś biedną, pokiereszowaną ofiarę, czuła się jak padlinożerca. Wolna od kurateli chłopców, spędzała więcej czasu w salach rozpraw, obserwując prawdziwe procesy i przysłuchując się argumentacji stron. Fascynowało ją to i jednocześnie przygnębiało. Tak niedawno zaczynała studia, marząc o tym, by zostać prawdziwą prawniczką. Teraz mogła tylko się im przyglądać i zastanawiać, co w jej życiu poszło nie tak.

– Czy temu Mossbergowi należy się połowa honorarium? – spytała podczas lunchu.

– Nie wiem – odparł Mark. – Nie znam się na tym, jak na większości naszych spraw. Podejrzewam, że podział honorarium zostanie ustalony przez niego i Jeffreya Corbetta.

– Z Corbettem nie mamy jeszcze umowy – przypomniał Todd.

– Nie, to prawda. Spotykamy się z nim dziewiętnastego.

– My?

– Tak. Chcę, żebyś mi towarzyszył i robił notatki.

– Czyli ty będziesz panem mecenasem, a ja prawniczym gryzipiórkiem, tak?

– Młodszym asystentem.

– Kurczę, dzięki. A jak Corbett się nie zgodzi?

– Dwa dni później jesteśmy umówieni z Sullym Perlmanem, drugim na liście najlepszych speców od zaniedbań lekarskich. Jeśli Corbett nie wypali, zwrócimy się do Perlmana. A jak dogadamy się z Corbettem, to Perlmana odwołamy.

– Mówisz to wszystko tak, jakbyś wiedział, co robisz – zauważyła Zola.

– Nie mam pojęcia, co robię, ale jestem coraz lepszy w udawaniu.

– Dobra, a co będzie z twoim udawaniem, jeśli ktoś w firmie Corbetta lub Mossberga sięgnie odrobinę głębiej i dowie się, że nie mamy licencji na praktykowanie prawa w Dystrykcie Kolumbii ani gdziekolwiek indziej? – spytał Todd. – To mnie w tym wszystkim najbardziej gnębi. W sądach karnych jesteśmy w miarę bezpieczni, bo nikt nie zwraca na nas uwagi, a naszym klientom jest zupełnie obojętne, czy cokolwiek udajemy. Ale tu mamy do czynienia z czymś innym. Mówimy o poważnym procesie, który przyciągnie uwagę wielu specjalistów.

– To prawda – przyznała Zola. – I wpadłam na pewien pomysł. Nie mam pojęcia, czy wypali, bo… no bo nie mamy pojęcia o niczym, prawda? W końcu jesteśmy z Foggy Bottom. Ale

powiedzmy, że wszystko się uda i sąd przyzna odszkodowanie w wysokości dwóch milionów dolarów, dopuszczalne w Wirginii maksimum. Z tego jedna trzecia przysługuje prawnikom.

– Przepraszam, że ci przerwę – Mark podniósł rękę – ale w naszym przypadku to będzie raczej czterdzieści procent. Wiem z literatury, że kiedy w procesie uczestniczy wielu prawników, a sprawa jest długa i skomplikowana, sąd czasami wyraża na to zgodę. Mogę się założyć, że Corbett i Mossberg wystąpią o czterdzieści procent. Ramon nie będzie miał nic do gadania.

– Świetnie, a więc czterdzieści procent. – Zola kiwnęła głową. – Corbett i Mossberg dzielą się po równo, czyli ich firmy dostają po czterysta tysięcy dolarów. Nam należy się połowa działki Corbetta, czyli dwieście tysięcy. Oto mój szalony pomysł: proponujemy Corbettowi sprzedaż naszej działki od razu teraz, nim dojdzie do procesu, i wycofujemy się z całej sprawy, zanim ktoś zacznie zadawać niewygodne pytania.

– Za ile? – spytał Mark.

– Za połowę tego, co nam się należy. Udzielamy pięćdziesięcioprocentowego rabatu i uciekamy w krzaki ze stoma tysiącami. – Pstryknęła palcami. – Po prostu. Dostajemy od razu kasę, nie musimy się zajmować

postępowaniem ani martwić, że ktoś nas przyłapie.

– Genialne – rzucił Todd. – Bardzo mi się podoba. Tylko czy wolno sprzedawać swój udział w procesie?

– Przestudiowałam mnóstwo materiałów na ten temat i nie znalazłam żadnych zastrzeżeń natury etycznej.

– Niezły plan – powiedział Mark. – Warto przedyskutować to z Corbettem.

* * *

Morgana Nash z NowAssist napisała:

Drogi Marku,
to znów ja, tak tylko się odzywam. Jak Ci idzie nauka w tym semestrze? Jakieś plany na wiosenne ferie? Mam nadzieję, że wybierzesz się na Florydę lub gdzieś na plażę. Ostatnim razem byłeś dość przybity i wyrażałeś się bez entuzjazmu o swojej szkole. Mam nadzieję, że to się zmieniło. W najbliższym czasie musimy omówić harmonogram spłat Twojego zadłużenia. Napisz do mnie dwa słowa w wolnej chwili.

Ostatnia transza, 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $.

Całkowite zadłużenie wraz z odsetkami: 266 000 $.

Z poważaniem
Morgana Nash
przedstawicielka sektora publicznego

Mark odczekał trochę, po czym odpisał:

Szanowna Pani,
w poprzednim mailu uprzejmie poprosiłem Panią o danie mi spokoju, bo przechodzę teraz terapię, a mój terapeuta naprawdę Pani nie lubi. Twierdzi, że to, że moje kredyty są tak ogromne, a zadłużenie tak obezwładniające, może mnie doprowadzić do poważnego załamania emocjonalnego. Uważa, że jestem bardzo podatny. Proszę, bardzo proszę dać mi spokój.
W przeciwnym razie nie będę miał innego wyjścia, jak zwrócić się do terapeuty o kontakt z Pani adwokatem.

Z poważaniem
Mark Frazier

Todd dostał wiadomość od Rexa Wagnera ze Scholar Support Partners.

Szanowny Panie Lucero,
miałem zaszczyt pomagać setkom studentów przy obsłudze ich długów, więc wszystko już widziałem. Nie ma w tym nic niezwykłego, że bezrobotny ktoś, tak jak Pan, próbuje mnie ignorować. Przykro mi, ale w ten sposób nie pozbędzie się Pan ani mnie, ani swojego długu. Musimy porozmawiać o planie spłaty zadłużenia, choćby tylko po to, by uzgodnić prolongatę spłaty do czasu znalezienia przez Pana odpowiedniego zatrudnienia. Proszę o jak najpilniejszy kontakt.

Ostatnia transza, 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $.

Całkowite zadłużenie wraz z odsetkami: 195 000 $.

Z poważaniem
Rex Wagner
starszy doradca kredytowy

Todd odpowiedział od razu.

Szanowny Starszy Doradco Kredytowy SS Wagner,
gdy za człowiekiem zatrzaskują się drzwi pułapki, zaczyna szukać sposobów wydostania się z niej. Różnych desperackich pomysłów, jak rzucenie szkoły i zapadnięcie się pod ziemię. Albo pogodzenie się z trafieniem na listę dłużników zalegającym ze spłatami rat i zapomnienie o całej sprawie. Więc zostanę wpisany na listę? I co z tego? Jak panu zapewne wiadomo, w ubiegłym roku taki los stał się udziałem ponad miliona studentów. Wszystkich podano do sądu, ale na żadnym nie wykonano egzekucji. Czyli może się pan ze mną sądzić, ale nie może pan mnie zabić, prawda? Może pan na resztę życia zrujnować moją wiarygodność kredytową, ale oto moja propozycja: poznawszy bliżej pana, pańską firmę i moją uczelnię, ogłaszam koniec zadłużenia. Raz na zawsze. Resztę życia przeżyję jako człowiek niezadłużony.

Z wyrazami szacunku
Todd Lucero

* * *

Tildy Carver z LoanAid napisała do Zoli maila następującej treści:

Witaj, Zola,
zostały ci już tylko dwa miesiące
i wyobrażam sobie, z jakimi emocjami
czekasz na moment ukończenia studiów.
Zasługujesz na to. Twoja praca i wytrwałość
doprowadziły Cię do tego punktu i można
Cię tylko podziwiać. Moje gratulacje! Wiem,
jak dumna jest Twoja rodzina. Jakie masz
wieści z frontu walki o zatrudnienie?
Musimy porozmawiać i przystąpić do
opracowania planu spłaty zadłużenia.
Jestem do Twojej dyspozycji.
Z poważaniem
Tildy Carver
starszy doradca kredytowy

Ostatnia transza kredytu, 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $.
Całkowite zadłużenie wraz z odsetkami: 191 000 $

Zola odczekała parę dni i w końcu odpisała:

Szanowna Pani,
niestety, w sprawie zatrudnienia nie mam żadnych wieści. Nie mogę znaleźć pracy. Będę chodziła na rozmowy kwalifikacyjne aż do końca zajęć, a nawet po tym terminie, ale jeśli pech mnie nie opuści, obawiam się, że wyląduję gdzieś w księgowości. Jeśli tak się stanie, natychmiast Panią powiadomię.
Pozdrawiam
Zola Maal

Rozdział 26

Kancelaria Jeffreya Corbetta zajmowała dwa najwyższe piętra w eleganckim szklanym biurowcu w pobliżu Thomas Circle. W urządzonym z przepychem holu odźwierny w liberii zaprowadził Marka i Todda do „windy pana Corbetta”, obsługującej wyłącznie piętra szóste i siódme. Bezszelestnie dojechali na górę i drzwi windy otworzyły się na gustownie urządzony hol recepcyjny z minimalną ilością mebli i kilkoma dziełami sztuki współczesnej. Atrakcyjna młoda recepcjonistka podała im rękę na powitanie i spytała, czy życzą sobie kawy, a oni z uznaniem przypatrywali się jej oddalającej się sylwetce. Po chwili wróciła z tacą z kawą w eleganckich porcelanowych filiżankach i poprowadziła ich do sali konferencyjnej, z której roztaczał się wspaniały widok na centrum miasta. Zostawiła ich samych, a oni po raz drugi powiedli za nią wzrokiem.

Stół konferencyjny był długi, szeroki i obity wiśniową skórą, wokół stało szesnaście skórzanych krzeseł w tym samym kolorze, na ścianach wisiały kolejne obrazy. Wszystko razem tworzyło atmosferę zamożności i zawodowego sukcesu.

– I tak należy praktykować prawo – zauważył Todd, rozglądając się z podziwem.

– Cóż, nam to pewnie nigdy nie będzie dane.

U mecenasa Corbetta obowiązywały ustalone procedury spotkań z nowymi klientami. Na godzinę piętnastą Mark i Todd byli umówieni z prawnikiem imieniem Peter i jego asystentką imieniem Aurelia, by wspólnie przejrzeć dokumentację medyczną Ramona, łącznie z pisemną opinią doktora Koonce'a. Całą dokumentację Mark miał ze sobą w teczce. Proponował wysłanie jej pocztą, ale biuro Corbetta odpowiedziało, że nie leży to w ich zwyczajach.

Dopiero po wydaniu pozytywnej opinii przez podwładnych mecenas Corbett miał się oderwać od swych pilnych zajęć i osobiście uczestniczyć w zawarciu umowy.

Peter wszedł do sali jako pierwszy. Miał około trzydziestki i według informacji w sieci, był wciąż szeregowym prawnikiem. Kancelaria

zatrudniała piętnastu prawników, z czego połowę już ze statusem wspólników, ale nawet z sieci jasno wynikało, że szef jest tylko jeden. Peter był w luźnym, drogim kaszmirowym swetrze i spodniach khaki, Aurelia miała na sobie dżinsy i sweterek. Wszyscy się sobie przedstawili i usiedli przy stole.

Peter był ciekaw ich firmy i Mark i Todd zaczęli nawijać. Standardowa gadka o trójce przyjaciół, których znudziła praca w dużych firmach i postanowili się usamodzielnić. Mark najszybciej, jak się dało, uciekł jednak z pola minowego i zapytał:

– Czyli rozumiem, że wasza kancelaria ma często do czynienia z lekarskimi zaniedbaniami na porodówce, czy tak?

– Można tak powiedzieć – odparł Peter, spoglądając na leżącą przed Markiem stertę dokumentacji medycznej, wraz z opinią doktora Koonce'a. Aurelia jak dotąd nie pisnęła ani słowa i widać było, że nie jest tu od mówienia. – Mogę do niej zajrzeć?

– Oczywiście.

– Ile tu jest kompletów?

– Tylko jeden.

– Dobra. Pozwolicie, że szybciutko skopiujemy wszystko na nasz użytek? Potem w czasie

rozmowy Aurelia i ja będziemy mogli robić uwagi na naszych kopiach. Pójdzie nam dużo szybciej, jeśli każdy będzie miał swoją kopię.

Mark i Todd wzruszyli ramionami. Wszystko jedno.

Aurelia wyszła z dokumentacją pod pachą, a Peter udał się za nią, by w tym czasie zająć się czymś pilnym w swoim biurze. Mark i Todd sprawdzili pocztę w telefonach i zajęli się podziwianiem widoku za oknami. Ramon zdążył już zostawić dwie wiadomości.

Po piętnastu minutach Aurelia wróciła z dwoma dodatkowymi kompletami dokumentów. Kiedy dołączył do nich Peter, wszyscy usiedli.

– Potrzebujemy około godziny na wstępne zapoznanie się z dokumentacją – oświadczył Peter. – Od was zależy, czy chcecie przy tym być, czy pójdziecie się przejść.

Todda korciło, by spytać, czy mógłby spędzić tę godzinę w towarzystwie recepcjonistki, ale dał spokój.

– Zostaniemy – zdecydował Mark.

Peter i Aurelia przeglądali papiery, robiąc uwagi na marginesach, Todd wyszedł na korytarz zadzwonić, a Mark zajął się wysyłaniem zaległych maili. Czas wolno płynął. Widać było,

że Peter i Aurelia dobrze się znają na medycznych zawiłościach.

Pół godziny później Peter wyszedł z sali konferencyjnej i po chwili wrócił w towarzystwie Jeffreya Corbetta, szczupłego siwego mężczyzny koło pięćdziesiątki. Mark i Todd tyle o nim czytali, że mieli wrażenie, jakby go już znali. Mówił głębokim, aksamitnym barytonem, który na przysięgłych musiał działać niemal hipnotycznie. Uśmiech miał ciepły i ujmujący. Ktoś taki nieodparcie budzi zaufanie.

Usiadł przy końcu stołu, skrzywił się i spojrzał na Marka i Todda.

– Spieprzyliście sprawę koncertowo, chłopcy.

Nie pozostało nic innego, jak też się skrzywić.

– Podpisaliście umowę z Ramonem Taperem dziesiątego lutego. Dwa dni później wynajęliście doktora Koonce'a, dziewiętnastego lutego doktor przekazał wam opinię datowaną tego samego dnia. Sześć dni później, dwudziestego piątego lutego, sprawa uległa przedawnieniu. To sprawa z Wirginii, a w tym stanie przedawnienie następuje po dwóch latach. W Marylandzie po trzech, tu, w Dystrykcie Kolumbii, po pięciu, lecz w Wirginii już po dwóch.

– Przepraszam, ale poród nastąpił w zeszłym roku, dwudziestego piątego lutego dwa tysiące

trzynastego – wydusił z siebie Mark. – Tam jest to wyraźnie napisane, na pierwszej stronie wyciągu z księgi przyjęć.

– Tak, tylko że w dacie jest pomyłka – oznajmił Peter z wyraźną wyższością w głosie. – Ta data rzeczywiście od razu rzuca się w oczy i to was najwyraźniej zadowoliło. Was i zapewne doktora Koonce'a. Ktoś tu napisał „dwa tysiące trzynasty" zamiast „dwa tysiące dwunasty" i dalej już poszło. Dziecko urodziło się dwudziestego piątego lutego dwa tysiące dwunastego.

– A z Koonce'a jest konował – dodał Corbett bez widocznego związku. – Został zawodowym biegłym, bo nie zrobił kariery jako lekarz.

Ale to on nam dał twoje nazwisko, miał na końcu języka Mark, był jednak zbyt zdruzgotany, by cokolwiek z siebie wydusić.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Todd niepewnym głosikiem studenta pierwszego roku.

– Chcę przez to powiedzieć, synu, że ty i ta twoja kancelaria siedzieliście bezczynnie nad dokumentacją, podczas gdy mijał termin przedawnienia, i w tej chwili nie ma cienia szansy na proces. Dopuściliście się błędu przeoczenia i możecie być pewni jak dwa plus

dwa jest cztery, że klient weźmie was za dupę. Nie macie nic na swoją obronę, żadnego argumentu. To największy koszmar każdego prawnika i jest to niewybaczalny błąd. Koniec, kropka. Tak, to prawda, że wasz klient siedział na sprawie przez blisko dwa lata, ale nie ma w tym nic niezwykłego. Mieliście wystarczająco dużo czasu, by szybko złożyć pozew i zatrzymać zegar. Ale nie zrobiliście tego. – Corbett wstał i wyciągnął rękę. – A teraz chciałbym, żebyście zabrali stąd te medyczne szpargały i wynieśli się z mojego biura. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. W rejestrze jest wyraźnie zapisane, że skontaktowaliście się z moim biurem dwudziestego siódmego lutego, po upłynięciu terminu przedawnienia. Kiedy sprawa przeciwko wam trafi do sądu, nie będzie cienia wątpliwości, że moja kancelaria dowiedziała się o niej za późno.

Peter i Aurelia też wstali. Mark i Todd popatrzyli na nich i bez słowa dźwignęli się z krzeseł.

– Ale zapis w księdze przyjęć ma datę z ubiegłego roku, z dwa tysiące trzynastego – zdołał wymamrotać Mark.

– Gdyby się pan wczytał w dokumentację, panie Upshaw – w głosie Corbetta nie było cienia

współczucia – to nie miałby pan wątpliwości, że poród nastąpił w roku dwa tysiące dwunastym, ponad dwa lata temu.

Teatralnie dramatycznym gestem Peter odsunął od siebie oryginalną dokumentację, jakby się pozbywał dymiącego pistoletu na miejscu zbrodni. Mark patrzył bezradnie na gospodarzy.

– To co ja mam teraz zrobić? – jęknął.

– Nie mam dla pana żadnych rad, bo nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Ale myślę, że powinien pan powiadomić swojego ubezpieczyciela od błędów i przeoczeń i uprzedzić go. Na ile jesteście ubezpieczeni?

Błędów i czego? Na ile ubezpieczeni? Mark spojrzał na Todda, który nie spuszczał z niego wzroku. Obaj byli zupełnie ogłupiali.

– Będę musiał sprawdzić – bąknął Mark.

– Należałoby. A teraz proszę to stąd zabrać i wyjść.

Peter podszedł do drzwi i otworzył je, Mark zebrał ze stołu papiery i ruszył za Toddem do wyjścia, ktoś zatrzasnął za nimi drzwi. Atrakcyjnej recepcjonistki nie było za biurkiem; wyłożona dębową boazerią winda w drodze w dół wydawała się dużo mniej przyjazna

i chyba nawet odźwierny w liberii patrzył na nich wrogo.

W głuchym milczeniu doszli do samochodu Todda, Mark rzucił papiery na tylne siedzenie.

– Ostatni raz przekazujemy temu kutasowi jakąś naszą sprawę – prychnął Todd, kładąc ręce na kierownicy.

Jakimś cudem Marka ogarnęła wesołość i zaczął się głośno śmiać, Todd zrobił to samo, by nie wybuchnąć płaczem. Śmiali się przez całą drogę i przestali dopiero, gdy zaparkowali za barem Pod Kogutem.

* * *

Zola znalazła ich w ulubionym boksie z pustymi kuflami na stole. Wystarczył jej jeden rzut oka, by wiedziała, że siedzą tu już od jakiegoś czasu. Usiadła obok Marka, spojrzała na Todda i przez chwilę wszyscy troje trwali w milczeniu.

– No więc jak poszło? – spytała w końcu.

– Słyszałaś kiedyś o ubezpieczeniu od błędów i przeoczeń? Dla prawników?

– Chyba nie. A co?

– Wygląda na to, że każdy licencjonowany prawnik ubezpiecza się od konsekwencji

popełnionych błędów zawodowych, i nazywają to potocznie ubezpieczeniem od błędów i przeoczeń. Przydaje się to w sytuacji, kiedy prawnik coś zawala, popełnia jakiś rażący błąd, na przykład siedzi na papierach do czasu, aż sprawa ulegnie przedawnieniu. Klient się wścieka i podaje prawnika do sądu, a wtedy z pomocą przychodzi mu ubezpieczyciel. To naprawdę sprytnie pomyślane.

– Tylko szkoda, że nie wpadliśmy na to wcześniej – mruknął Todd.

– A bardzo by się nam przydało. Przegapiliśmy termin przedawnienia w sprawie Ramona. Przedawniła się dwudziestego piątego lutego tego roku, dwa lata po śmierci dziecka. Bo w Wirginii to dwa lata. Słyszałaś o tym w Foggy Bottom?

– Nie.

– To jest nas już troje. Sześć dni po spotkaniu z Koonce'em i dwa dni przed moim pierwszym telefonem do Corbetta sprawa się przedawniła. Nic już nie da się zrobić i nikt nie ponosi za to winy… poza mną.

– Poza nami – poprawił go Todd. – Naszą firmą. Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, nie?

– Nie tak szybko – bąknęła.

– Para jego sługusów dostrzegła pomyłkę, ślęcząc nad papierami. Poszli po niego, a on kazał nam się wynosić. W pewnej chwili nawet myślałem, że wezwie ochronę i wyprowadzą nas z budynku pod strażą.

– Uroczy koleś, co? – rzucił Mark.

– Ja go rozumiem – powiedział Todd. – Po prostu dba o interesy swojej firmy. Nie co dzień zjawia się u niego dwóch palantów z martwą sprawą, którzy są za głupi, żeby o tym wiedzieć.

Zola pokiwała głową i zamyśliła się. Mark skinął na kelnera i zamówił następną kolejkę.

– I jak Ramon to przyjął? – spytała w końcu.

– Jeszcze do niego nie dzwoniliśmy – mruknął i dodał z uśmiechem: – Myślę, że to ty powinnaś zrobić.

– Ja!? Dlaczego ja?

– Bo ja jestem tchórzem. A tobie się uda. Umówisz się z nim na drinka, włączysz swój uwodzicielski urok, zrobisz na nim wrażenie i może nie zaskarży nas o pięć milionów odszkodowania.

– Chyba żartujesz.

– Tak, Zola, żartuję. To moja sprawa. W końcu spotkam się z Ramonem i jakoś to przeżyję. Naszym prawdziwym problemem jest Mossberg. Siedzi przy telefonie i czeka na wiadomość, co

orzekli nasi eksperci. W którymś momencie, i to niedługo, będę musiał powiedzieć mu prawdę. Że nie będzie żadnego procesu o odszkodowanie. Poda nas do sądu w imieniu swojej klientki i diabli wezmą nasz kamuflaż. Po prostu.

– Po co miałby się z nami sądzić, skoro nie mamy ani ubezpieczenia, ani żadnego majątku? – spytała Zola.

– Bo jest prawnikiem i sądzi się ze wszystkimi.

– Zaraz, chwila – wtrącił Todd. – To bardzo dobre pytanie. A jeślibyśmy pojechali do Mossberga i do wszystkiego się przyznali? Siedzi w Charlestonie i wisi mu to, co tu robimy. Powiedzielibyśmy, że rzuciliśmy studia, staramy się zarobić parę groszy na ulicy i działamy bez licencji adwokackiej. Oczywiście, spieprzyliśmy sprawę i jest nam z tego powodu bardzo przykro. Ot, banda durnych żółtodziobów. Ale po cholerę ciągać nas po sądach, skoro nic nie mamy. Szkoda papieru. Cholera, przecież ma chyba wystarczająco dużo innych spraw, nie?

– Dobra, to jedź do Charlestonu. – Mark kiwnął głową. – Mój bronco nie wytrzyma takiej podróży.

– A co powiesz Ramonowi? – spytała Zola.

Kelner postawił na stole dwa kufle z piwem i szklankę z napojem. Mark pociągnął długi łyk

i otarł usta.

– Ramonowi? No cóż, jego reakcja naprawdę mogłaby być straszna, więc na razie będę kłamał. Powiem mu, że nasi biegli nie są zachwyceni. Że nie znajdują winnych jakichś zaniedbań, więc szukamy innych ekspertów. Ale zajmie nam to trochę czasu, więc musi wziąć na wstrzymanie. Niech minie parę miesięcy. Pamiętajmy, że siedzi na tej sprawie od dwóch lat i tylko od czasu do czasu mu się przypomina.

– Teraz już się nie wycofa – powiedział Todd. – Udało ci się go podrajcować.

– Masz lepszy pomysł?

– Nie, w każdym razie nie w tym momencie. Najlepiej będzie go okłamywać. Zgodnie z naszą zasadą: jeśli masz wątpliwości, kłam jak najęty.

Rozdział 27

W piątek dwudziestego pierwszego marca, dwa dni po początku końca UPL, Edwin Mossberg zadzwonił dwa razy przed południem, ale Mark zignorował oba telefony. Ukrywał się w barku kawowym na piętrze starego antykwariatu w okolicach Farragut Square, obłożony gazetami. Todd miał w tym czasie polować na korytarzach sądu, Zola obstawiać szpitalną kaplicę, w której rodziny pacjentów szukały pocieszenia u pastorów, ale Mark miał poważne wątpliwości, czy naprawdę to robią. Marzenie o wielkim łatwym łupie powodowało, że ich zapał do pracy mocno przygasł i ogarnęło ich fałszywe poczucie spełnienia.

Teraz, gdy owo marzenie prysło jak bańka mydlana, musieli znów zabrać się do pracy. Uzgodnili, że trzeba stanąć na głowie i zgarnąć, ile się da, nim wszystko się zawali, ale niepowodzenie podcięło im skrzydła.

Mail od Mossberga był jak wybuch granatu.

> Panie Upshaw,
>
> dzwoniłem dwa razy, ale bez skutku. Czy pilnujecie terminu przedawnienia? Moja klientka nie pamięta dokładnie daty, ale wydaje jej się, że urodziła mniej więcej o tej porze roku, pod koniec lutego lub na początku marca 2012. Jak Panu wiadomo, nie dysponujemy dokumentacją medyczną. W wyniku reformy procedur odszkodowawczych w Wirginii obowiązuje dwuletni termin przedawnienia, ale na pewno Pan o tym wie. Proszę o pilny telefon.

* * *

Po dodaniu stypendiów tak hojnie wypłacanych z kredytów przyznanych przez Departament Edukacji i płatności klientów z dwumiesięcznej nielegalnej działalności po stronie wpływów oraz odjęciu wydatków na nowy komputer stacjonarny i drukarkę, nowe ciuchy, nowe stare meble i jedzenie stan konta firmy Upshaw, Parker & Lane wynosił blisko pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów. Wspólnicy

uzgodnili, że w tej sytuacji firmę stać na kupno biletu lotniczego do Charlestonu w obie strony.

Mark kupił go na krajowym lotnisku Reagana i poleciał z przesiadką w Atlancie. Z lotniska w Charlestonie pojechał taksówką do starego magazynu w śródmieściu, który firma Mossberga adaptowała na elegancki biurowiec z widokiem na port. W holu urządzono coś w rodzaju wystawy eksponatów nawiązujących do stoczonych przez firmę batalii sądowych. Na ścianach wisiały oprawione w ramki wycinki z gazet, w których opisano odniesione zwycięstwa i wywalczone wielkie odszkodowania; w rogu stał kocioł grzewczy, który niegdyś eksplodował, zabijając kilka osób; pod oknem wisiała strzelba myśliwska i obok niej zdjęcie rentgenowskie ukazujące pocisk w czyjejś głowie. Tu jakaś piła łańcuchowa, tam kosiarka do trawy. Po dziesięciu minutach czekania wśród tych śmiercionośnych narzędzi Markowi zaczynało się wydawać, że żadne urządzenie nie jest w pełni bezpieczne.

Podobnie jak kancelaria Corbetta, siedziba Mossberga też pachniała wielkimi pieniędzmi i spektakularnymi sukcesami. Jak to jest, że niektórym prawnikom tak świetnie się powodzi?

W którym miejscu prawnicza kariera Marka skręciła nagle w bok i wyskoczyła z szyn?

Zszedł po niego asystent Edwina Mossberga i poprowadził schodami do wielkiego gabinetu na piętrze. Mecenas Mossberg stał przy oknie, wpatrując się w ciągnący się w dole port i słuchając czegoś przez telefon. Na widok Marka zmarszczył czoło i ruchem głowy pokazał, że ma usiąść na wielkiej skórzanej kanapie. Gabinet był większy od całego piętra budynku, w którym Mark i Todd wynajmowali swoje pomieszczenia.

Mossberg w końcu schował telefon do kieszeni, wyciągnął rękę i bez cienia uśmiechu powiedział:

– Miło pana poznać. Gdzie ta dokumentacja medyczna?

Mark przyszedł z pustymi rękami, nawet bez podręcznej aktówki.

– Nie przywiozłem. Musimy porozmawiać.

– Przedawniło się, tak?

– Tak.

Mossberg usiadł po drugiej stronie niskiego stolika i wlepił wzrok w Marka.

– Tak podejrzewałem. Co powiedział biegły?

– Że trzymamy ich za jaja. Winni poważnych zaniedbań i tak dalej. Ale też nie zwrócił uwagi na datę. Corbett nazwał go konowałem

i stwierdził, że przedawnienie nastąpiło sześć dni później, dwa dni przed moim pierwszym telefonem do kancelarii Corbetta.

– Jeffreya Corbetta?

– Tak. Zna go pan?

– O tak. To świetny prawnik procesowy. Czyli właśnie wyrzuciliście przez okno dwa miliony dolarów.

– Na to wychodzi.

– Do jakiej kwoty jesteście ubezpieczeni?

– Nie jesteśmy.

– Praktykujecie prawo i nie jesteście ubezpieczeni od błędów i przeoczeń?

– Zgadza się. Praktykujemy je też bez uprawnień.

Mossberg zaczerpnął powietrza i wypuścił je z głośnym, niemal chrapliwym sykiem, po czym założył ręce i spojrzał na Marka.

– Słucham. Chcę usłyszeć całą opowieść.

Opowiedzenie wszystkiego zajęło Markowi dziesięć minut. Trzech przyjaciół w okropnej uczelni prawniczej. Potężne zadłużenie, brak perspektyw pracy i Gordy, który skoczył z mostu; groza zbliżającego się egzaminu adwokackiego i wiszący nad głową dług; szalony pomysł polowania na klientów w sądach; bzykanko z atrakcyjną pracownicą prokuratury, zachwyty

Bensona załatwieniem sprawy i polecenie usług Marka Ramonowi. No i tyle.

– Myśleliście, że was nie przyłapią? – zapytał Mossberg.

– Nie przyłapali. Tylko pan o tym wie, a panu to obojętne. Ma pan dość innych spraw i nie narzeka pan na bezczynność. Ma pan więcej pieniędzy, niż panu potrzeba. Funkcjonuje pan z dala od Dystryktu Kolumbii, więc nasza działalność nie uszczupla pańskich zarobków.

– Z wyjątkiem drobiazgu w postaci odszkodowania za zaniedbania lekarskie.

– To prawda. Spieprzyliśmy to. Ale nie zapominajmy, że zarówno pańska klientka, jak i mój klient odwlekali tę sprawę do samego końca.

– Co pan powie swojemu klientowi?

– Że nie było i nie ma winnych. Może to mu starczy, może będzie się stawiał. Poczekamy i zobaczymy. Wygląda na to, że pan będzie miał podobny problem.

– Niezupełnie. Nie mam pisemnej umowy z Asyą. W sprawach dotyczących zaniedbań lekarskich nigdy nie podpisuj umowy, dopóki się nie zapoznasz z dokumentacją medyczną. Dopisz to sobie do listy pozostałych rzeczy, których cię nie nauczono.

– Dzięki. I co pan jej powie?

– Nie wiem. Jeszcze się nie zastanowiłem. Nie jest to najbardziej stabilna osoba w mieście.

– Mógłby pan jej powiedzieć prawdę i w jej imieniu podać mnie do sądu, ale szkoda zachodu. Nie mam grosza przy duszy i wyrok sądu będzie niewykonalny, jakikolwiek by był. Szczerze mówiąc, nawet mnie pan nie znajdzie, żeby mi wręczyć pozew. Są już tacy, którzy mnie szukają.

– Mark Upshaw to twoje prawdziwe nazwisko?

– Nie.

– A Parker i Lane?

– Fałszywe.

– Teraz rozumiem. Nie znaleźliśmy ciebie ani waszej firmy w wykazach Stowarzyszenia Prawników Dystryktu Kolumbii. Ale zostawiacie po sobie bardzo wyraźny trop, synu.

– Dzwoniliście do kogoś w stowarzyszeniu?

– Chyba nie. Jeden z moich asystentów tylko trochę powęszył.

– Byłbym wdzięczny, jeśliby więcej nie węszył. Powiedziałem panu całą prawdę.

– A więc pozwól, młody człowieku, że zreasumuję. Rzuciłeś uczelnię prawniczą, przyjąłeś fałszywe nazwisko i praktykujesz prawo bez licencji, co samo w sobie jest

przestępstwem. Do tego przyjmujesz płatności w gotówce i nie zgłaszasz tego w urzędzie podatkowym, co jest osobnym przestępstwem, a teraz jeszcze zawaliłeś smakowite odszkodowanie za błędy w sztuce lekarskiej, co dla twojego klienta i mojej klientki oznacza stratę więcej pieniędzy, niż zobaczą przez całe swoje życie. Nie wspominając już o zaleganiu ze spłatą kredytu studenckiego. Czy coś pominąłem?

– Może jeszcze parę drobiazgów.

– Oczywiście. I co według ciebie powinienem teraz zrobić?

– Nic. Zapomnieć o mnie. Machnąć ręką. Bo co panu przyjdzie z donosu na mnie do Stowarzyszenia Prawników?

– Na przykład byłby to właściwy krok na drodze do oczyszczenia mojego zawodu. Mamy w nim dość problemów bez hochsztaplerów twojego pokroju.

– Mógłbym na to odpowiedzieć, że służymy pomocą naszym klientom.

– Ramonowi Taperowi?

– Nie, jemu nie. Ale innym tak. Ramon był naszą pierwszą próbą wejścia na pole minowe odszkodowań i szczerze powiem, że chyba ostatnią. Ograniczymy się do jazdy po alkoholu,

a odszkodowania zostawimy facetom z billboardów.

– Cieszę się.

– Proszę o wyrozumiałość, panie mecenasie. Proszę zostawić nas w spokoju. I bez tego mamy dość kłopotów.

– Wynoś się z mojej kancelarii – powiedział Mossberg, wstając.

– Chyba już gdzieś to słyszałem – mruknął Mark, przewracając oczami i opuszczając ramiona.

– Wynoś się!

Unikając wzroku Mossberga, Mark ruszył do drzwi i wyszedł z gabinetu.

* * *

Podróż powrotna opóźniła się w Atlancie i gdy Mark w końcu dotarł do domu, dochodziła już północ. Okazało się, że spóźnienie najprawdopodobniej uchroniło go przed postrzeleniem lub czymś jeszcze gorszym.

Około dziewiątej wieczorem Ramon wkroczył do baru Pod Kogutem i zasiadł przy długim kontuarze, za którym kręcił się Todd, obsługując klientów. Tłumek wpadających na drinka po pracy już się przerzedził i przy barze siedziało

tylko kilku stałych bywalców, sącząc drinki i oglądając w telewizji mecz uczelnianej koszykówki.

Ramon zamówił wódkę z tonikiem i Todd postawił przed nim szklankę i miseczkę orzeszków ziemnych.

– Znasz tego kolesia? – spytał Ramon, pokazując Toddowi wizytówkę Marka Upshawa z kancelarii Upshaw, Parker & Lane, której siedziba według informacji na wizytówce znajdowała się dokładnie tu: Florida Avenue 1504.

Todd spojrzał na wizytówkę i pokręcił głową. On i Mark wymogli na pozostałych barmanach i kelnerach Pod Kogutem, żeby udawali głupiego, gdyby ktoś pytał o nich i ich firmę. Jak dotąd umowa działała.

– Ten koleś jest moim adwokatem i tu stoi napisane, że jego kancelaria mieści się tutaj – ciągnął Ramon. – Ale tu jest bar, nie? – Ramon miał trudności z wysławianiem się, bo trochę plątał mu się język.

Todd postanowił dowiedzieć się więcej.

– Może jest na górze – powiedział. – Nie wiem, co tam się dzieje, ale o tej porze żadne biura już nie pracują, nie?

– Ten koleś mnie unika, kapujesz? Od trzech dni do niego wydzwaniam, a on nie odbiera.

– Być może jest zajęty. A co ci załatwia?

– Wielką sprawę. – Ramon przymknął oczy i Todd dopiero teraz dostrzegł, że gość jest bardziej pijany, niż sądził.

– Gdybym go zobaczył, to co mam mu powiedzieć? Że kto go szuka?

– Ramon jestem – mruknął gość, ledwo unosząc głowę. Jak dotąd nie tknął nawet drinka.

Todd zaczerpnął powietrza, wycofał się na zaplecze i wysłał do Marka SMS-a: **Jest tu nasz klient Ramon, pijany. Trzymaj się z dala. Gdzie jesteś?**

Lotnisko w Atlancie, opóźniony lot.

Zadzwoń do niego i coś mu powiedz. Cokolwiek.

Zadzwonię.

Todd wrócił za bar i stanął parę kroków od Ramona, który nawet nie próbował sięgnąć po telefon. Jeśli Mark do niego dzwonił, Ramon nie odbierał. Trzymając w palcach wizytówkę Marka, zamachał nią w stronę Todda.

– To jest Florida Avenue, nie? To gdzie jest ta kancelaria?

– Nie wiem, proszę pana.

– Myślę, że kłamiesz – burknął głośniej Ramon.

– Nie, proszę pana. Tu jest Florida Avenue, ale nic mi nie wiadomo o żadnej kancelarii prawnej.

– A wiesz, że w aucie mam spluwę? – odezwał się jeszcze głośniej Ramon. – I że jak nie można liczyć na sprawiedliwość w jeden sposób, to są inne sposoby? Wiesz, co mam na myśli?

Todd dał znak drugiemu barmanowi i podszedł bliżej Ramona.

– Słuchaj pan, jak pan tu będziesz wygrażał ludziom, to będę musiał wezwać policję.

– Muszę znaleźć tego kolesia, kapujesz? Pana Upshawa, adwokata. Prowadzi moją sprawę i chyba mnie unika. Więc nie wzywaj żadnej policji, dobra?

– Proszę skończyć drinka, a ja wezwę panu taksówkę.

– Niepotrzebna mi żadna taksówka. Mam na ulicy auto ze spluwą pod siedzeniem.

– Już po raz drugi wspomina pan o broni. A my tu bardzo nerwowo reagujemy na takie słowa.

– Tylko nie wzywaj glin.

– Już dzwoniliśmy na policję.

Ramon zesztywniał i wybałuszył oczy.

– Co? I po coście to zrobili? Przecież nikomu nic się nie stało.

– W tym mieście bardzo poważnie traktujemy grożenie bronią.

– Ile za tego drinka?

– Nic, jeśli się pan zaraz stąd wyniesie.

Ramon zsunął się ze stołka i ruszył do wyjścia.

– Nie wiem, po jaką cholerę musieliście dzwonić po gliny – wymamrotał pod nosem.

Todd wyjrzał za nim na ulicę i odczekał, aż Ramon zniknie za rogiem. Jeśli rzeczywiście stał tu jego samochód, Todd go nie zauważył.

Rozdział 28

W sobotę przed południem Todd obudził się w łóżku Hadley Caviness – po drugiej z rzędu nocy u niej – i zobaczył, że jej nie ma. Przecierając oczy, próbował sobie uzmysłowić, jak dużo wypił, i doszedł do wniosku, że całkiem niewiele. Czuł się świetnie, dodatkowa godzina snu bardzo mu się przydała. Chwilę potem Hadley, ubrana tylko w luźny T-shirt, wróciła z dwiema filiżankami kawy.

Z pokoju obok dobiegł rumor, jakby trzęsło się łóżko, a potem stłumione jęki rozkoszy.

– Kto tam jest? – szepnął.

– Moja współlokatorka. Wróciła wczoraj późno w nocy.

– I kto z nią jest?

– Nie wiem. Pewnie jakiś przypadkowy koleś.

– Ona też lubi przypadkowych kolesi?

– O tak. Ścigamy się z sobą. Która zaliczy więcej.

– To mi się podoba. A ja się liczę pojedynczo czy podwójnie?

Hadley łyknęła kawy, wsłuchując się w coraz głośniejsze jęki za ścianą.

– Za ciebie mam jeden punkt, drugi za twojego wspólnika.

– Ach, czyli Mark już tu był?

– Nie musisz udawać. Widziałam, jak rozmawialiście w sądzie, gapiąc się na mnie. Prawie czytałam z waszych ust. I oczywiście, następnego dnia podszedłeś do mnie, cały w uśmiechach.

– Przyznaję. Mark powiedział, że jesteś świetna w łóżku.

– Tylko tyle?

– Że masz piękne ciało i jesteś napalona… teraz już wiem, co miał na myśli. I że konkurujecie z koleżanką.

– Mamy obie po dwadzieścia sześć lat, obie jesteśmy singielkami i żadna nie marzy o stałym związku. Jesteśmy wolne, a w Waszyngtonie mieszka około miliona młodych mężczyzn różnych zawodów. To stało się już sportem.

Ten za ścianą osiągnął szczyt, podłoga zadrżała i łóżko przestało skrzypieć.

– Za szybko – mruknęła Hadley.

Todd parsknął śmiechem.

– Dzielicie się uwagami?

– Oczywiście. Świetnie się bawimy, kiedy sobie opowiadamy, zwłaszcza kiedy ona wyjeżdża na tydzień i w tym czasie zalicza kilku.

– Nie chcę znać swojego miejsca w rankingu.

– Mam pomysł. Za rogiem jest sklep z bajglami. Wyskoczmy i zjedzmy coś. Mam dużo lepszy gust niż moja współlokatorka i tak naprawdę nie mam ochoty spotykać jej ostatniej zdobyczy.

– To chyba był komplement.

– Chodźmy.

Ubrali się i szybko wyszli z mieszkania, by uniknąć spotkania z drugą parą. W piekarni było pełno weekendowych klientów, więc z trudem znaleźli stolik przy samych drzwiach.

– Wiesz, że jesteś za ładna na to, żeby sypiać z połową miasta – powiedział Todd, chrupiąc świeżego bajgla.

Rozejrzała się spłoszona.

– Nie tak głośno.

– Przecież mówię prawie szeptem.

– A co, chcesz się ustatkować i ożenić?

– Jeszcze niezupełnie. Ale wydaje mi się dziwne, żeby taka świetna laska jak ty musiała bić rekordy w liczbie przypadkowych partnerów.

– To przejaw męskiego szowinizmu. Bo jak ty co noc wskakujesz do innego łóżka, to wszystko w porządku, ale jak to robi ładna dziewczyna, to znaczy, że jest dziwką.

– Nie nazwałem cię dziwką.

Chłopak przy sąsiednim stoliku spojrzał w ich stronę. Hadley uniosła kubek i łyknęła kawy.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zaproponowała. – Intryguje mnie wasza kancelaria. Poznałam już ciebie i Marka Upshawa. A kto to jest Zola Parker?

– Przyjaciółka.

– Dobra. Ona też obstawia sądy jak ty i Mark?

– Nie, zajmuje się poszkodowanymi w wypadkach. – Todd odpowiadał krótko i wolałby zmienić temat.

– Ma licencję adwokacką?

Przez chwilę żuł kawałek bajgla, wpatrując się w milczeniu w jej piękne oczy.

– Oczywiście.

– Bo mnie to zaciekawiło i zajrzałam do wykazu Stowarzyszenia Prawników. Wygląda na to, że w ogóle nie ma tam ciebie ani Marka, ani panny Parker. Musicie się wpisać. A te numery członkowskie, którymi się posługujecie, w ogóle nie pojawiają się w ich bazie danych.

– Ich bazy są notorycznie nieaktualne.

– Czyżby? Pierwsze słyszę.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Jestem ciekawska z natury. Mówisz, że kończyłeś prawo w Cincinnati, Mark podobno studiował w Delaware. Sprawdziłam w obu uczelniach i w żadnej o was nie słyszeli. Zola z kolei twierdzi, że ma dyplom z Rutgers, ale jakoś jej nazwisko nie znalazło się na liście ich absolwentów. – Hadley mówiła to wszystko z sarkastycznym uśmieszkiem kogoś, z kim takie numery nie przechodzą.

Toddowi udało się nie zakrztusić bajglem.

– Strasznie jesteś wścibska.

– Nie bardzo, bo to nie moja sprawa. Tylko wydało mi się to dziwne.

Uśmiechnął się i jednocześnie pomyślał, że najchętniej starłby jej z twarzy ten paskudny uśmieszek.

– No cóż, jeśli kiedyś znudzi ci się etat w prokuraturze, możesz liczyć na pracę u nas.

– Nie jestem pewna, czy starczyłoby dla mnie roboty w waszej kancelarii. Bo chyba macie kancelarię, nie? Wiem, że na wizytówce jest adres, ale każdy może sobie coś takiego napisać.

– Do czego zmierzasz?

– Do niczego. Po prostu mnie to zaciekawiło.

– Podzieliłaś się swoimi spostrzeżeniami z kimś jeszcze?

– Nie. I wątpię, żeby ktoś jeszcze to zauważył. Wybraliście sobie dobre miejsce do uprawiania prawa, z licencją czy bez. To prawdziwe zoo i nikt się takimi sprawami nie przejmuje. Ale jedna rada. Na waszym miejscu trzymałabym się z dala od starego Witherspoona z Wydziału Siódmego. Jest dociekliwszy od większości sędziów.

– Dzięki. Kogoś jeszcze powinniśmy unikać?

– Właściwie nie. W każdym razie nie mnie. Skoro już wiem, co jest grane, postaram się wam pomóc.

– Jesteś cudowna.

– Wszyscy tak mówią.

* * *

Mark stał za kontuarem w barze Pod Kogutem, gdy około południa zjawił się Todd, który podbił kartę przy wejściu, włożył służbowy czerwony fartuch i napełnił kilka kufli piwem. Przy pierwszej okazji Todd odciągnął wspólnika na bok i szepnął: „Houston, mamy problem”.

– Tylko jeden? – zdziwił się Mark.

– Wczorajszą noc spędziłem znów u panny Hadley.

– Ty świnio. A ja jej szukałem.

– Znalazłem ją pierwszy. Dziś rano przy śniadaniu trochę pogadaliśmy. Rozgryzła nas. Wie, że działamy bez licencji. Sprawdziła nas w wykazie Stowarzyszenia Prawników.

– Kurwa!

– Też tak pomyślałem. Ale może się okazać, że niczym nam to nie grozi. Twierdzi, że nikomu nic nie powiedziała i że umie trzymać język za zębami. Zaoferowała nawet pomoc, jeśli będzie mogła.

– Czego chce w zamian?

– Chyba tego samego co dotąd. Ona i jej współlokatorka konkurują w zaliczaniu facetów do łóżka. Która więcej.

Mark roześmiał się, ale widać było, że nie jest zbytnio rozbawiony.

– Ciekawe, czy dziś są zajęte.

– Założę się, że tak. Z kimś innym.

– Kurwa! – Mark poszedł przyjąć zamówienie.

Todd był zajęty myciem kufli, gdy jego wspólnik nachylił się i szepnął mu do ucha:

– Wygląda mi to na początek końca.

* * *

W niedzielę późnym wieczorem policja zatrzymała Ramona Tapera za jazdę po pijanemu. Zawieziono go do Aresztu Centralnego, gdzie spędził resztę nocy w celi z innymi pijaczkami. W poniedziałek rano zjawiła się jego partnerka i w areszcie natknęła się na niejakiego Darrella Cromleya, sympatycznego i uczynnego prawnika, który najwyraźniej czuł się w poczekalni aresztu jak w domu. Adwokat sprawnie doprowadził do zwolnienia Ramona za kaucją i gdy stali już pod budynkiem aresztu i Cromley wygłaszał rutynowe instrukcje na temat dalszego postępowania, Ramon nagle powiedział:

– Znaczy się… ja już mam adwokata, tylko że on mnie olewa.

– Adwokata od czego? – zainteresował się Darrell.

– Mam w Wirginii wielką sprawę o błędy lekarskie. Moje dziecko umarło dwa lata temu w szpitalu zaraz po urodzeniu i wynająłem do tej sprawy takiego jednego oszusta. Nazywa się Mark Upshaw… Słyszał pan o nim?

– Nie, ale kręci się tu wielu prawników, którym nie można ufać.

– Jest do kitu, mówię panu. Muszę go zwolnić, ale nie mogę go namierzyć. Zajmuje się pan też

błędami lekarskimi?

– To jedna z moich specjalności. Proszę powiedzieć, o co chodzi.

Rozdział 29

Dwa dni później Mark siedział w sali rozpraw szacownej Fiony Dalrymple i czekał na klienta, który miał się przyznać do sklepowej kradzieży. Jak zwykle udawał, że jest zajęty studiowaniem ważnych dokumentów, podczas gdy tak naprawdę kątem oka obserwował ruch panujący na sali. Rzeczywiście było tu jak w zoo, w którym rządziły małpy. Niektóre twarze były znajome, innych nigdy wcześniej nie widział i jak zwykle zdumiewała go liczba prawników potrzebnych do tego, by koła sprawiedliwości mogły się obracać. Wśród nich pojawiło się ubrane w krzykliwy garnitur wspomnienie z przeszłości, które ostentacyjnie rozejrzało się po sali, jak to czynią prawnicy chcący zaznaczyć swą obecność. Minęło barierkę i zagadało do asystentki prokuratora, a ta rozejrzała się po sali, dostrzegła Marka i wskazała go głową.

Darrell Cromley zawrócił i usiadł obok Marka.

– Jestem Darrell Cromley, a ty jesteś Mark Upshaw, tak? – powiedział, dając mu wizytówkę.

Już kiedyś się spotkaliśmy i to nie może wróżyć niczego dobrego, pomyślał Mark.

– Zgadza się – odparł.

– Zostałem wynajęty przez Ramona Tapera. Wyjdźmy na chwilę i pogadajmy.

Mark spojrzał na wizytówkę. Darrell Cromley, specjalista ds. odszkodowań. Pamiętał też jego inną wizytówkę: *Specjalista ds. jazdy po alkoholu.* Cromley widać był człowiekiem renesansu.

Na korytarzu Darrell z grobową miną przekazał hiobową wieść:

– Moja kancelaria reprezentuje pana Tapera, którego pechowo przyłapano na prowadzeniu pod wpływem alkoholu.

A więc tak na niego trafił.

Cromley nagle zesztywniał i zaczął się przyglądać Markowi.

– Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali? – spytał. – Bo wyglądasz znajomo.

– Nie miałem przyjemności. Kręci się tu wielu prawników.

– Może. – Cromley kiwnął głową, ale nie wyglądał na przekonanego. Wyjął plik papierów ze swojej steranej wiekiem aktówki i podał Markowi. – Tu jest kopia mojej umowy z panem

Taperem oraz jego wypowiedzenie twojego pełnomocnictwa. Ostatnie dwa dni poświęciłem na zapoznanie się z jego roszczeniem odszkodowawczym w Wirginii i wiem, że sprawa uległa przedawnieniu. Ty też o tym wiesz, tak?

– Oczywiście. Również się temu przyjrzeliśmy i zasięgnęliśmy opinii biegłego, który uznał, że nie ma mowy o błędach lekarskich. To ślepy zaułek. – Mark czuł, jak mu wali serce i robi się miękko w kolanach.

– No tak, to z całą pewnością ślepy zaułek teraz, gdy sprawa uległa przedawnieniu. Złożyliście pozew, żeby zatrzymać zegar?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie było mowy o odpowiedzialności karnej. Pozew byłby czystą stratą czasu.

Cromley z politowaniem pokręcił głową, jakby miał do czynienia z idiotą.

Mark miał ochotę mu przywalić, ale się opanował. Stary wyga uliczny musiał też być niezłym zabijaką.

– To się jeszcze okaże – burknął Cromley tonem prawdziwego twardziela. – Po pierwsze, oddaj mi całą dokumentację medyczną. Dam ją do oceny prawdziwemu specjaliście i jeśli się okaże, że ktoś jest choć trochę odpowiedzialny za śmierć tego dziecka, to już po tobie, kolego.

– To ślepy zaułek, Darrell.

– Na twoim miejscu od razu bym uprzedził ubezpieczyciela od błędów i przeoczeń.

– Będziesz się sądził z kolegą prawnikiem?

– Jeśli sytuacja tego wymaga, to oczywiście. Już to robiłem i zrobię jeszcze nieraz.

– Wyglądasz mi na takiego.

– Masz mi przysłać tę dokumentację, jasne?

W tym momencie podeszła do nich młoda wystraszona kobieta.

– Przepraszam, czy panowie są może prawnikami?

Mark był zbyt sparaliżowany, by się odezwać. W przeciwieństwie do Cromleya, który bez wahania nastawił uszu.

– Oczywiście, a o co chodzi? – powiedział, marszcząc brwi.

Mark tym razem poddał się bez walki.

* * *

Wspólnicy siedzieli w boksie w barze Pod Kogutem, trzymając się możliwie jak najdalej od popołudniowego tłumu gości. Mark opowiedział o spotkaniu z Cromleyem i cała trójka posępnie zwiesiła głowy.

– I co teraz będzie? – spytała po chwili Zola.

– Załóżmy najgorsze – rzucił. – Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że Cromley dobiera się do dokumentacji medycznej… co mogę opóźnić o parę dni, ale na pewno się go nie pozbędę. W każdym razie Cromley przekazuje ją jakiemuś biegłemu do przeanalizowania. Jeśli popełniono tak jaskrawe błędy, jak twierdzi Koonce, to Cromley szybko się dowie, że Ramon i jego była żona mieli wygraną sprawę. A ponieważ nie może już pozwać szpitala i lekarzy, nie będzie miał innego wyjścia, jak wystąpić przeciwko nam. Złoży pozew o dziesięciomilionowe odszkodowanie przeciwko naszej firmie… i się zacznie. W którymś momencie, choć trudno powiedzieć kiedy, bomba wybuchnie i wszystko wyjdzie na jaw. Sprawdzi nas w wykazach Stowarzyszenia Prawników i dowie się prawdy. Stowarzyszenie zawiadomi sądy i zacznie się dochodzenie. Nasze nazwiska występują na dziesiątkach postanowień sądowych, więc znalezienie nas nie potrwa długo.

– I prokurator postawi nam zarzuty – powiedziała Zola.

– Zaczynając tę zabawę, wiedzieliśmy, że praktykowanie prawa bez licencji to

przestępstwo. Może nie aż tak poważne, ale jednak przestępstwo.

– Przestępstwo, nie wykroczenie?

– Przestępstwo.

– I jest jeszcze coś, Zola – wtrącił Todd. – Zamierzaliśmy ci powiedzieć, ale nie było okazji.

– Już się nie mogę doczekać. Co takiego?

Mark i Todd wymienili spojrzenia.

– No więc – zaczął Todd – w Wydziale Dziesiątym jest taka fajna dziewczyna z prokuratury, Hadley Caviness. Mark poznał ją w barze kilka tygodni temu i zajarzyło. Ona najwyraźniej często jarzy i lubi rozmaitość. Któregoś dnia spotkałem ją w sądzie, zaczęliśmy rozmawiać i od słowa do słowa… też się zabawiliśmy… dwa razy…. Dziś rano przy śniadaniu dała mi do zrozumienia, że wie o naszym przekręcie. Twierdzi, że jej to nie przeszkadza, myśli nawet, że to całkiem zabawne, obiecuje dyskrecję i tak dalej, ale w tym biznesie nie można nikomu ufać.

– Zwłaszcza udawanym prawnikom – mruknęła Zola. – Myślałam, że uzgodniliśmy unikanie kontaktów towarzyskich.

– Starałem się – burknął Mark.

– Jest naprawdę słodka – dodał Todd.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście?

– To się wydarzyło w ostatni weekend – odparł Mark. – Myślimy, że z jej strony nic nam nie grozi.

– Nie grozi? – powtórzyła Zola, wywracając oczy. – Czyli mamy na głowie małą słodką Hadley i Darrella Cromleya, tak?

– Nie zapominaj jeszcze o Mossbergu z Charlestonu – dodał Mark. – To palant i nic nie sprawi mu większej radości niż załatwienie nas.

– Pięknie. Po trzech miesiącach działalności kancelaria Upshaw, Parker and Lane idzie na dno. – Łyknęła swego napoju i rozejrzała się po barze. Przez chwilę wszyscy milczeli, liżąc rany i kombinując, co dalej. – Zajmowanie się błędami lekarskimi było złym pomysłem, prawda? Nie mieliśmy pojęcia, jak się do tego zabrać, i naprawdę spieprzyliśmy sprawę. Dla nas to katastrofa, ale pomyślcie o Ramonie i jego byłej żonie. Przez nas nie dostaną ani grosza.

– Dwa lata nic nie zrobili – przypomniał Mark.

– Możemy to roztrząsać na wszystkie sposoby, ale niczego to nie zmieni – oświadczył Todd. – Musimy się skoncentrować na tym, co dalej.

Nastąpiło kolejne długie milczenie. Todd poszedł do baru i przyniósł następne dwa piwa.

– Zastanówmy się – powiedział, stawiając kufle na stole. – Kiedy Cromley złoży przeciwko

nam pozew za bezprawną działalność, pozwanymi będą Todd Lane, Mark Upshaw i Zola Parker. Troje ludzi, którzy nie istnieją. Jak może odkryć nasze prawdziwe tożsamości?

– I zakładamy, że słodka mała Hadley też ich nie zna, tak?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Mark.

– A Mossberg? – spytała.

– Nie ma pojęcia.

– Czyli pozostaje nam albo się ukrywać, albo wiać – powiedziała Zola.

– Już się ukrywamy – przypomniał jej Todd. – Ale znajdą nas. Cholera, jeśli takiemu Ramonowi udało się tu dotrzeć, to zawodowcy bez trudu nas namierzą. Nasz adres widnieje na milionie wizytówek, którymi zasypywaliśmy wszystkich, kogo się dało.

– Nie tak szybko – powiedział Mark. – Złożenie pozwu zajmie Cromleyowi około miesiąca. Możemy wiedzieć, kiedy to zrobi, jeśli będziemy obserwowali rejestry sądowe. Dopiero wtedy zda sobie sprawę, że pozwał kogoś, kto nie istnieje, co mu zajmie jeszcze więcej czasu. Stowarzyszenie będzie gonić własny ogon w poszukiwaniu trojga nieistniejących prawników.

– Ale chyba powinniśmy się trzymać z dala od sądów karnych.

– O tak, te sprawy mamy już z głowy. Koniec z nękaniem biednych i nieszczęśliwych.

– A co z naszymi rozpoczętymi sprawami? Nie możemy tych ludzi tak po prostu zostawić na pastwę losu.

– Właśnie tak zrobimy – oświadczył Mark. – Nie możemy ryzykować pojawienia się w sądzie. Powtarzam: te sprawy mamy już z głowy. Począwszy od teraz, nie odbierajcie żadnych telefonów od klientów ani w ogóle od kogokolwiek. Do kontaktów używajmy wyłącznie telefonów na kartę i ignorujmy wszelkie obce połączenia.

– I tak mam już dwa telefony – zauważyła Zola. – Teraz mam mieć trzeci?

– Tak. I trzeba je wszystkie monitorować, żeby wiedzieć, kto nas poszukuje.

– Czyli moje dni polowań w szpitalach dobiegły końca? – spytała z wymuszonym uśmiechem.

– Obawiam się, że tak.

– I tak nie byłaś w tym dobra – rzucił Todd.

– Dzięki. Nienawidziłam każdej minuty.

Do ich boksu podszedł kierownik sali.

– Hej, Todd, ty dziś pracujesz? – spytał. – Brakuje nam personelu, więc przydałbyś mi się od zaraz.

– Dobra, za moment przyjdę. – Todd zbył go ruchem ręki. – No to ludzie – powiedział, gdy zostali sami – co dalej?

– Zajmiemy się bankiem Swift – odparł Mark.

– I wkopiemy się jeszcze głębiej? – spytała Zola, ale nie zabrzmiało to jak pytanie.

* * *

Morgana Nash z NowAssist wysłała Markowi maila następującej treści:

Drogi Marku,
właśnie dostałam wiadomość z sekretariatu Foggy Bottom, że Twoje nazwisko trafiło na listę zawieszonych. Zadzwoniłam do nich i uzyskałam potwierdzenie, że w tym semestrze nie było Cię w ogóle na zajęciach. Jestem tym bardzo zaniepokojona. Proszę o natychmiastowy kontakt.

Ostatnia rata, 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $

Zadłużenie z odsetkami: 266 000 $.

Z poważaniem
Morgana Nash
przedstawicielka sektora publicznego

Kilka godzin i kilka piw później Mark odpisał:

Droga Pani,
w zeszłym tygodniu mój terapeuta skierował mnie do prywatnego szpitala psychiatrycznego na prowincji w Marylandzie. Nie wolno mi tu korzystać z internetu, ale ci frajerzy z obsługi nie są zbyt bystrzy. Czy może Pani przestać mnie nękać? Według opinii jednego z tutejszych psycholców jestem granicznym przypadkiem pacjenta o skłonnościach samobójczych. Jeszcze trochę takich szykan z Pani strony, i mogę nie wytrzymać. Proszę, proszę, niech mnie Pani zostawi w spokoju!!!
Serdeczności
Mark Frazier

Rex Wagner ze Scholar Support Partners napisał do Todda:

Szanowny Panie Lucero,
dostałem z Pańskiej uczelni wiadomość, że został Pan oficjalnie zawieszony w prawach studenta. Zadzwoniłem do Foggy Bottom i dowiedziałem się, że od początku tego

semestru — ostatniego semestru Pańskich studiów — nie było Pana na żadnych zajęciach. Dlaczego ktoś zdrowy na umyśle miałby rezygnować ze studiów prawniczych w trakcie ostatniego semestru? Jeśli nie ma Pana na uczelni, mogę tylko założyć, że gdzieś Pan pracuje, zapewne w jakimś barze. Podjęcie jakiejkolwiek pracy zarobkowej i nieuczęszczanie na zajęcia na uczelni automatycznie oznacza rozpoczęcie spłat zadłużenia lub trafienie na listę dłużników zalegających ze spłatami rat. Jak Panu zapewne wiadomo, trafienie na tę listę wiąże się z wytoczeniem Panu sprawy sądowej przez Departament Edukacji. Proszę o natychmiastowy kontakt.

Ostatnia transza kredytu, 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $.

Łączne zadłużenie: 195 000 $.

Z poważaniem

Rex Wagner

starszy doradca kredytowy

Podczas gdy Mark pisał swą odpowiedź do Morgany Nash, Todd skomponował swoją do doradcy kredytowego Wagnera.

Szanowny Doradco SS Wagner,

tym pytaniem o moje zdrowie umysłowe trafił pan w dziesiątkę. W moim świecie nic nie jest normalne, a już na pewno nie niespłacalny dług. No więc dobra, sprawa się rypła. Odpadłem, bo nienawidzę Foggy Bottom, nienawidzę prawa itd. Obecnie zarabiam około dwustu dolarów tygodniowo w gotówce, pracując w barze. Powiedzmy, że daje mi to wolne od podatku osiemset dolarów miesięcznie, bo nie wypełniłem jeszcze żadnych zeznań podatkowych. By podtrzymać moją nędzną egzystencję, potrzebuję około pięciuset na jedzenie, czynsz i tego typu wydatki.
I powinien pan zobaczyć, gdzie mieszkam i co jem. Na podstawie tych wyliczeń uważam, że mógłbym się zgodzić na spłatę zadłużenia w kwocie około 200 dolarów miesięcznie, zaczynając za sześć miesięcy od teraz. Wiem, że pan od razu naciśnie guzik z napisem „odsetki” i dołoży pięć procent rocznie od kwoty zadłużenia. Pięć procent od 195 000 dolarów to 9750 rocznie. Zaokrąglijmy te kwotę do 10 000 z tytułu samych odsetek. Zgodnie z moją propozycją, jestem w stanie spłacać mniej więcej jedną czwartą rocznie. Wówczas wy

jako rekiny kredytowe dodacie zaległe odsetki do wiszącego mi nad głową długu, który będzie rósł o kolejne pięć procent rocznie. Rachunki nie mieszczą mi się trochę w głowie, ale na ile znam matematykę, to za dziesięć lat będę już winien około 400 000 dolarów. I w kwocie tej nie ma różnych drobnych ukrytych opłat, jakie SSP nielegalnie dopisuje do zarządzanych przez siebie kredytów studenckich. (Czytałem niektóre pozwy i proszę mi wierzyć, że ja też z rozkoszą złożyłbym taki pozew. Pan i pańska firma powinniście się wstydzić zwalać ukryte koszty na barki studentów, którzy i bez tego toną w długach).

A zatem czy jest pan skłonny przyjąć moją propozycję spłat w wysokości 200 dolarów miesięcznie? Oczywiście zaczynając nie teraz, tylko za sześć miesięcy.

Z poważaniem

Todd Lucero

Widać pan Wagner pracował do późna lub – jak Todd był skłonny podejrzewać – siedział w krótkich gatkach w fotelu i oglądał porno,

monitorując swoją pocztę, bo odpowiedź nadeszła w ciągu zaledwie paru minut.

Drogi Toddzie,
moja odpowiedź brzmi nie. Twoja propozycja jest absurdalna. Aż trudno mi uwierzyć, że ktoś tak inteligentny jak Ty spędzi następne dziesięć lat życia na nalewaniu drinków. Jest dużo atrakcyjnych propozycji pracy o charakterze prawniczym i innych i jeśli tylko ruszysz tyłek, na pewno coś znajdziesz. Wtedy będziemy mogli poważnie porozmawiać o spłacie długu.
Z poważaniem
Rex Wagner
starszy doradca kredytowy

Na co Todd odpowiedział natychmiast:

Drogi SS,
świetnie. Wycofuję swoją propozycję.
TL

Korespondencja Zoli z Tildy Carver z LoanAid miała nieco bardziej profesjonalny charakter.

Droga Zolu Maal,
zostałam poinformowana, że przestałaś uczęszczać na zajęcia na uczelni. Tak dramatyczna decyzja pociąga za sobą określone konsekwencje i musimy je jak najszybciej omówić. Proszę o telefon lub mail najszybciej, jak to możliwe.
Tildy Carver
starszy doradca kredytowy.
Ostatnia transza kredytu, 13 stycznia 2014 roku: 32 500 $
Łączne zadłużenie z odsetkami: 191 000 $

Zola prawie już spała, ale od razu odpowiedziała:

Szanowna Pani,
po samobójstwie mojego przyjaciela w styczniu nie byłam w stanie kontynuować nauki. Dlatego postanowiłam zrobić sobie urlop, myślę jednak o wznowieniu studiów za rok lub dwa. Skontaktuję się z Panią w późniejszym terminie.
Z poważaniem
Zola Maal

Rozdział 30

W ciepłe wiosenne popołudnie pod koniec kwietnia, gdy drzewa wiśniowe za oknami stały w pełnym rozkwicie, a powietrze było odświeżone po porządnej ulewie, trójka wspólników spotkała się w siedzibie firmy na ostatniej nasiadówce w ramach ich prawniczej praktyki. Siedziba firmy znana była również jako kwatera Zoli i zamieszkującej ją lokatorce udało się w ciągu minionych trzech miesięcy trochę ją ożywić. Oba pokoje zostały pomalowane na jasny beż, na ścianach zawisły reprodukcje współczesnego malarstwa. W rogu pomieszczenia stała nieduża lodówka, jedyny sprzęt kuchenny. Na starym stole z metalowym blatem stał nowy komputer z trzydziestocalowym monitorem, obok nowoczesna drukarka laserowa. Dwie ściany wypełnione były półkami uginającymi się pod

stertami papierów, będących rezultatem ich wytężonych badań nad przekrętami banku Swift.

Wszyscy troje wpisali się jako pokrzywdzeni na trzy różne listy skarżących bank w pozwach zbiorowych. W skali całego kraju było już sześć takich pozwów, składanych przez adwokatów specjalizujących się w tego typu masowych akcjach.

Bank Swift stał nad przepaścią, chwiał się na nogach i brocząc krwią, z trudem znosił padające na niego kolejne ciosy. Pojawiały się coraz to nowe zarzuty o przestępcze machinacje. Szefostwo wzajemnie się oskarżało; mówiło się o postawieniu go w stan oskarżenia; udziałowcy byli nie tylko zdegustowani postępowaniem dyrekcji, ale także wściekli, bo wartość akcji banku spadła w ciągu niecałych czterech miesięcy z sześćdziesięciu do trzynastu dolarów za akcję. Internet i telewizja aż huczały od plotek, wśród których najczęściej powtarzało się przewidywanie, że Swift będzie musiał wydać miliardy na załagodzenie tego kryzysu.

To jeszcze bardziej zagrzewało do boju speców od pozwów zbiorowych.

Porównując odpowiedzi otrzymane od trzech firm występujących z pozwami zbiorowymi, trójka wspólników uznała, że kancelaria panów

Cohena i Cutlera z Miami wyprzedza o parę kroków pozostałe dwie, z których jedna znajdowała się w Nowym Jorku, druga w Waszyngtonie. Kancelaria Cohen-Cutler cieszyła się opinią skutecznej i nieustępliwej w bezwzględnym świecie pozwów zbiorowych. Była wielka, zatrudniała setki prawników i miała potężną siłę przebicia, a ich obsługa dokumentacyjna była na wyższym poziomie.

I dlatego upadająca kancelaria prawna Upshaw, Parker & Lane postanowiła połączyć siły z potężną Cohen-Cutler.

Zola siedziała przy stole z kubkiem herbaty w ręce, wpatrując się w ekran monitora, Todd, z laptopem na kolanach, zajmował jedyne wolne krzesło, Mark leżał rozciągnięty na podłodze. Pozbyli się już swoich kamuflażowych bród i okularów, a także eleganckich garniturów. Wizyty w sądzie skończyły się i nie musieli już udawać kogoś innego. Następne kilka tygodni zamierzali spędzić, gnieżdżąc się w pomieszczeniach nad barem Pod Kogutem; dalej ich plany na razie nie sięgały.

– Jest oddział banku Swift przy Wisconsin Avenue w Bethesdzie. Zacznijmy od tego. Przejrzyjcie książkę telefoniczną Bethesdy.

Szukamy pospolitych nazwisk, które łatwo jest przekręcić.

– Mam coś – rzucił Todd. – Joseph Hall, Manning Drive sześćset sześćdziesiąt dwa, Bethesda. Wystarczy zastąpić drugie „l” literką „e” i mamy Josepha Hale’a, naszego pierwszego zmyślonego klienta.

Zola otworzyła formularz skopiowany z materiałów kancelarii Cohen-Cutler, który w roboczym żargonie nazywali skrótowcem DOP od Danych Osobowych Powoda.

– Data urodzenia? – spytała.

– Zróbmy z niego czterdziestolatka. Urodzony trzeciego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego. Żonaty, trójka dzieci. Klient banku Swift od roku dwa tysiące pierwszego. Ma konto osobiste, konto oszczędnościowe, kartę debetową.

Wpisywała dane w puste pola formularza.

– Dobra, numery kont?

– Na razie to zostawmy. Wymyślimy je później, jeśli będzie trzeba.

– Następny?

– Ethel Berry, zamieszkała przy Rugby Avenue tysiąc dwieście dziesięć. Zmieniamy w nazwisku „e” na „a” i mamy wciąż tę samą Ethel Barry.

– Pasuje – rzucił Mark. – Ethel to dość staromodne imię, więc dodajmy jej trochę lat. Urodzona piątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego, dwa dni przed atakiem na Pearl Harbor. Samotna wdowa, ma dzieci, ale z nią nie mieszkają. Konto osobiste, konto oszczędnościowe, na kartę debetową za stara. Nie lubi się zadłużać.

Zola wypełniła puste pola i Ethel Barry została powódką w pozwie zbiorowym.

– Następny?

– Ted Radford, Drummond Avenue siedemset dziewięćdziesiąt osiem, mieszkanie cztery F. Zmieniamy „a” na „e” i jest Ted Redford. Jak Robert, ten aktor.

– A kiedy Robert Redford się urodził? Czekajcie… – Mark przez chwilę szukał odpowiedzi w sieci. – Mam. Osiemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego. No to dajmy Tedowi tę samą datę urodzenia.

– Robert Redford ma naprawdę siedemdziesiąt siedem lat? – zdziwił się Todd.

– Według mnie nadal świetnie wygląda – wtrąciła Zola, wypełniając formularz.

– *Żądło* i *Butch Cassidy* to dwa moje ulubione filmy. Ale nie ma Redforda bez Newmana.

Todd przez chwilę grzebał w spisach.

– Jest. Mike Newman, zamieszkały przy Arlington Road czterysta osiemnaście w Bethesdzie. Zmieniamy „w” na „u” i mamy Mike’a Neumana.

– Aleśmy wymyślili zabawę – mruknęła Zola, wpisując dane.

Po przeczesaniu Bethesdy i znalezieniu w niej pięćdziesięciu powodów wspólnicy zajęli się podmiejskimi rejonami północnej Wirginii. Oddział banku Swift mieścił się przy Broad Street w Falls Church. Okolice oddziału okazały się bardzo owocne i do pozwu dopisano kilkadziesiąt nowych nazwisk.

Około południa poczuli się znużeni i postanowili wyskoczyć na lunch. Pojechali taksówką do Georgetown i na nabrzeżu znaleźli wolny stolik z widokiem na Potomac. Nikt nie wspominał o Gordym, ale wszyscy mieli w pamięci ich ostatnią wizytę w tym rejonie. Stali niedaleko stąd, gdy na moście Arlington Memorial dojrzeli błyskające światła radiowozów.

Zamówili kanapki i mrożoną herbatę i wszyscy troje otworzyli laptopy, by kontynuować wymyślanie pokrzywdzonych klientów banku Swift.

* * *

Jakiś czas po tym, jak wszystko zjedli i wypili, kelner grzecznie ich poprosił, by zechcieli zwolnić stolik dla następnych gości. Zamknęli biuro i przeszli za róg do kawiarni, znaleźli kolejny stolik na powietrzu i znów przystąpili do pracy. Po wpisaniu na listę setnego nazwiska Mark zadzwonił do Miami i poprosił o połączenie z głównym prawnikiem procesowym w kancelarii Cohen-Cutler, okazało się jednak, że gdzieś służbowo wyjechał. Mark nie dał się zbyć i w końcu połączono go z kimś o nazwisku Martinez, kto według informacji podanych na stronie internetowej był na pierwszej linii walki ze Swiftem. Mark przedstawił się i powiedział, że jego mała kancelaria prawna reprezentuje interesy około stu pokrzywdzonych klientów Swifta.

– Chcielibyśmy przystąpić do pozwu zbiorowego – oświadczył.

– Stu? Rozumiem, że to żarty, tak?

– Jestem śmiertelnie poważny.

– Niech pan posłucha, panie Upshaw. W tej chwili reprezentujemy interesy blisko dwustu tysięcy powodów w pozwie zbiorowym przeciwko bankowi Swift. Nie przyjmujemy od

nikogo zleceń na mniej niż tysiąc klientów. Znajdźcie tysiąc osób i wtedy porozmawiamy.

– Tysiąc? – powtórzył Mark, obrzucając wspólników spłoszonym spojrzeniem. – Dobra, zabieramy się do pracy. A tak dla ciekawości, jakie są szanse powodzenia tego pozwu?

Martinez odchrząknął.

– Nie wolno mi za dużo mówić. Swift znajduje się pod ogromną presją, żeby się dogadać, ale nie jestem pewien, czy ich prawnicy to rozumieją. Krąży wiele sprzecznych wersji, ale sądzimy, że w końcu pójdą na ugodę.

– Jak szybko?

– Uważamy, że na początku lata. Bank chce się pozbyć tego wrzodu i ma dość gotówki, żeby to zrobić. Sędzia federalny w Nowym Jorku naprawdę ich ciśnie. Czytajcie nagłówki prasowe.

– Na pewno. Dzięki. Będziemy w kontakcie.

Mark położył telefon obok laptopa i spojrzał na swoich wspólników.

– To dopiero początek – powiedział.

Rozdział 31

Stowarzyszenie Prawników Dystryktu Kolumbii liczyło blisko sto tysięcy członków, z czego niemal połowa pracowała w stolicy, reszta była rozproszona po wszystkich pięćdziesięciu stanach. Ponieważ członkostwo w stowarzyszeniu i płacenie składek było obowiązkowe, administrowanie taką masą ludzi było nie lada wyzwaniem. W siedzibie zarządu przy Wisconsin Avenue pracowało czterdzieści osób, aktualizując nazwiska i adresy członków, organizując kursy doszkalające i seminaria, pilnując przestrzegania standardów odpowiedzialności zawodowej, wydając miesięczny biuletyn stowarzyszenia i zajmując się kwestiami dyscyplinarnymi. Wszelkie skargi na sędziów i adwokatów trafiały do biura rzecznika dyscyplinarnego, w którym pod kierunkiem niejakiej Margaret Sanchez pracowało pięcioro prawników, trzech

detektywów oraz sześć sekretarek i asystentek. Skarga musiała być złożona na piśmie, często jednak pierwszym sygnałem o nieprawidłowości bywała rozmowa telefoniczna. Zwykle dzwonił jakiś prawnik, który sam nie chciał się zbytnio angażować.

Po paru nieudanych próbach Edwinowi Mossbergowi z Charlestonu udało się w końcu dotrzeć do pani Sanchez. Opowiedział jej o swoim spotkaniu z Markiem Upshawem, młodym człowiekiem podającym się za prawnika i ukrywającym się pod fałszywym nazwiskiem. Mossberg wcześniej sprawdził i nie znalazł nikogo o tym imieniu i nazwisku na liście członków stowarzyszenia, nie było też po nim śladu w książce telefonicznej, w spisach online ani nigdzie indziej. Opisał brak profesjonalizmu Upshawa, który dopuścił do przedawnienia poważnego przestępstwa, i jego wizytę w Charlestonie, podczas której błagał, by go nie wydawać.

Opowieść poruszyła panią Sanchez. Skargi na bezprawne świadczenie usług prawniczych należały do rzadkości i niemal zawsze dotyczyły asystentów, którzy bardziej lub mniej świadomie wykraczali poza swoje uprawnienia i zajmowali się sprawami leżącymi w kompetencji ich

pryncypałów. Zwykle jednak wystarczała krótka reprymenda, i wycofywali się z tego bez większych szkód dla klientów.

Mossberg nie palił się do złożenia oficjalnej skargi, tłumacząc się brakiem czasu. Oświadczył, że chciał tylko powiadomić władze stowarzyszenia o zaistniałym problemie, i obiecał wysłać mailem kopię wizytówki Upshawa z nazwą firmy, jej adresem przy Florida Avenue i numerem telefonu. Pani Sanchez podziękowała mu za wykazaną troskę.

Sprawa okazała się o tyle ciekawa, że był to już drugi sygnał telefoniczny o firmie Upshaw, Parker & Lane. Tydzień wcześniej obstawiający karetki pogotowia uliczny prawnik Frank Jepperson dał jej cynk, że niejaka Zola Parker próbowała podkraść jedną z jego klientek w przyszpitalnej kafeterii. Pani Sanchez znała już Jeppersona jako bohatera dwóch skarg na jego nieetyczne zachowanie. Po skończonej rozmowie przysłał jej mailem wizytówkę Zoli Parker.

Siedząc przy biurku, porównała obie wizytówki. Ta sama nazwa firmy, ten sam adres, różne numery telefonu. Szybko sprawdziła spis członków stowarzyszenia i upewniła się, że nie ma w nim ani Marka Upshawa, ani Zoli Parker. Pani Sanchez wezwała członka swego zespołu

Chapa Gronskiego, pełniącego funkcję asystenta rzecznika dyscyplinarnego, i przekazała mu kopie obu wizytówek. Po godzinie Gronski wrócił do niej ze wstępnym raportem.

– Sprawdziłem rejestry sądowe i znalazłem czternaście spraw, w których Mark Upshaw występował jako obrońca – oświadczył. – Nie znalazłem nic na Zolę Parker, natknąłem się natomiast na Todda Lane'a, który wykazywał aktywność w ciągu minionych trzech miesięcy. Wystąpił jako pełnomocnik w siedemnastu sprawach, ale zapewne było ich więcej. Dziwne jest to, że nie znalazłem nic sprzed stycznia tego roku.

– Wygląda to na start-up, zupełnie nową kancelarię na rynku – powiedziała Sanchez. – Tylko tego nam potrzeba.

– Mam otworzyć postępowanie? – spytał Gronski.

– Jeszcze nie. Nie otrzymaliśmy oficjalnej skargi. Kiedy mają się znów stawić w sądzie?

Gronski przejrzał wydruki.

– Wygląda na to, że Upshaw ma jutro o dziesiątej rano w Wydziale Szesnastym wydanie wyroku na oskarżonego o jazdę po alkoholu.

– Podjedź tam i przyjrzyj mu się. Pogadaj z nim i zobacz, co ma do powiedzenia.

* * *

Następnego dnia rano Chap Gronski siedział na sali rozpraw sędziego Cantu, obserwując paradę oskarżonych. Po trzecim przyznaniu się do winy i ogłoszeniu wyroku urzędniczka wyczytała Jeremy'ego Plankmore'a. Z tylnego rzędu wstał roztrzęsiony młody człowiek, bezradnie rozejrzał się po sali i niepewnie ruszył w stronę stołu sędziowskiego.

– Pan się nazywa Plankmore? – upewnił się sędzia Cantu.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Mam tu napisane, że pańskim pełnomocnikiem jest Mark Upshaw, ale nie widzę go na sali.

– Ja też nie, Wysoki Sądzie. Od trzech dni do niego dzwonię, ale nie odbiera telefonu.

Sędzia Cantu spojrzał na urzędniczkę, a ta wzruszyła ramionami na znak, że nic jej o tym nie wiadomo. Popatrzył na asystentkę oskarżyciela, a ta powtórzyła gest urzędniczki.

– Dobrze, niech pan siada, panie Plankmore, zajmiemy się panem później. Spróbujemy się

najpierw skontaktować z panem Upshawem. Widać pomyliły mu się terminy.

Plankmore usiadł w pierwszym rzędzie, wystraszony i zmieszany. Do stołu sędziowskiego podszedł inny prawnik z kolejną ofiarą.

Gronski powiadomił przełożoną o niestawieniu się Upshawa i oboje uzgodnili, że odczekają do najbliższego terminu posiedzenia sądowego, na którym powinien się pojawić pan Lane.

* * *

Jeremy Plankmore postanowił nieco głębiej pokopać. Wziął kolegę w roli mięśniaka, odczekali do popołudnia i pojechali na adres wymieniony na wizytówce niesłownego prawnika. Upshaw wycenił swoje usługi na tysiąc dolarów, z czego osiemset Plankmore zapłacił z góry gotówką, brakujące dwieście miał w kieszeni, ale w tej sytuacji nie zamierzał ich płacić. Wręcz przeciwnie, chciał doprowadzić do konfrontacji i zażądać od Upshawa zwrotu wpłaconej sumy. Pod adresem wymienionym na wizytówce nie było żadnej kancelarii prawnej, znajdował się natomiast bar Pod Kogutem, w którym wypili z kolegą po piwie i pogadali

z barmanką, obficie wytatuowaną młodą kobietą imieniem Pammie. Pammie okazała się małomówna, zwłaszcza gdy Jeremy zaczął ją wypytywać o Marka Upshawa i jego kancelarię mieszczącą się w tym budynku. Odparła, że nic jej w tej sprawie nie wiadomo, i wyglądała na poirytowaną pytaniami. Jeremy odniósł wrażenie, że barmanka miga się od odpowiedzi, zapisał więc swoje nazwisko i numer telefonu na papierowej serwetce i wręczył Pammie.

– Jak zobaczysz Marka Upshawa, to mu powiedz, żeby do mnie zadzwonił. Bo jak nie, to złożę na niego skargę do Stowarzyszenia Prawników.

– Już mówiłam, że nie znam nikogo takiego.

– Tak, tak, ale jakbyś go przypadkiem spotkała, to mu to powiedz. – Jeremy pokiwał głową i wraz z kolegą wyszli z baru.

* * *

Czując w powietrzu zapach dużych pieniędzy, Darrell Cromley ruszył ostro do ataku. Zapłacił trzy i pół tysiąca dolarów emerytowanemu lekarzowi za „ekspresową ekspertyzę” dokumentacji medycznej Ramona, a ten dosadniej niż doktor Koonce stwierdził, że

„postępowanie personelu szpitalnego i lekarzy prowadzących było znacznie poniżej dopuszczalnych standardów opieki medycznej i świadczyło o poważnych zaniedbaniach”.

Cromley dołączył dwustronicową ekspertyzę lekarza do swego dwustronicowego pozwu i w imieniu klienta Ramona R. Tapera złożył go w Sądzie Okręgowym Dystryktu Kolumbii przeciwko mecenasowi Markowi Upshawowi i jego kancelarii UPL. Sens pozwu był jasny: mecenas Upshaw przetrzymał złożenie pozwu w oczywistej sprawie karygodnych zaniedbań medycznych i dopuścił do jej przedawnienia, tym samym pozbawiając klienta szans na dochodzenie od szpitala i jego personelu lekarskiego zadośćuczynienia za doznane krzywdy. W tej sytuacji Ramon Taper występował o odszkodowanie w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów.

Darrell Cromley wysłał kopię pozwu na adres baru Pod Kogutem, płacąc sto dolarów urzędowemu kurierowi za osobiste doręczenie przesyłki panu Upshawowi. Na miejscu okazało się jednak, że są trudności ze zlokalizowaniem firmy. Domyślając się, że kancelaria mieści się gdzieś nad barem, kurier odliczył trzy piętra w górę, ale jedyne znajdujące się tam drzwi

okazały się zamknięte. Wrócił do baru i zaczął wypytywać kierownika, lecz usłyszał od niego, że żadnej takiej firmy tu nie ma. Nikt nie słyszał też o Marku Upshaw. Kurier próbował wręczyć przesyłkę kierownikowi baru, ale ten kategorycznie odmówił przyjęcia.

Przez trzy kolejne dni kurier próbował namierzyć kancelarię lub Marka Upshawa, jednak bezskutecznie.

Cromleyowi nie przyszło do głowy sprawdzić w Stowarzyszeniu Prawników, czy Mark Upshaw jest jego członkiem.

* * *

Trójka wspólników przyjęła strategię bycia stale w ruchu. Co rano opuszczali budynek i kręcili się po mieście – od kawiarni przez biblioteki i księgarnie po ogródki kawiarniane – czyli wszędzie tam, gdzie mogli przysiąść, otworzyć laptopy i wyszukiwać nazwiska nowych klientów. Ktoś obserwujący ich mógłby się zastanawiać, nad czym tak pilnie pracują, od czasu do czasu coś do siebie mrucząc i wymieniając się uwagami, podczas gdy ich telefony komórkowe nie przestają dzwonić i wibrować, bezskutecznie domagając się

odebrania. Wyglądało na to, że wszyscy troje cieszą się wielką popularnością, ale rzadko się zdarzało, by któreś odbierało. Obserwator ów, gdyby taki był, nie miałby pojęcia, czym są tak zajęci.

* * *

Był późny wieczór, Todd kręcił się za barem, sprzątając i czekając na wyjście ostatnich klientów, gdy Maynard wystawił głowę z kuchni i spytał o Marka.

– Jest na górze – odparł Todd.

– Zawołaj go. Musimy porozmawiać.

Maynard rzadko zaglądał do ich baru i Todd czuł, że jego pojawienie się nie zapowiada nic dobrego.

Zadzwonił do Marka, który dwa piętra wyżej ślęczał z Zolą nad książką telefoniczną, wyszukując nazwiska kolejnych klientów do pozwu zbiorowego. Parę minut później Mark zszedł do baru i obaj z Toddem udali się za szefem do pustego boksu. Maynard był wyraźnie zły i oczekiwał od nich wyjaśnień.

– Słyszeliście o gościu, który nazywa się Chapman Gronski? – zapytał, rzucając na stół wizytówkę. – Mówią na niego Chap.

Mark wziął do ręki wizytówkę i zrobiło mu się słabo.

– A co to za jeden? – spytał Todd.

– Szpicel ze Stowarzyszenia Prawników – odparł Maynard. – Był tu już dwa razy i was szukał. Panów Marka Upshawa i Todda Lane'a. Nie znam nikogo takiego. Znam Marka Fraziera i Todda Lucero. Co tu jest, do cholery, grane?

Obaj nie wiedzieli, co odpowiedzieć, więc Maynard kontynuował:

– Był tu też wczoraj niejaki Jeremy Plankmore i zostawił to. – Rzucił na stół serwetkę. – Powiedział, że szuka swojego adwokata pana Marka Upshawa. – Maynard cisnął na stół kolejny skrawek papieru, tym razem wizytówkę. – A ten był tu już trzy razy, jakiś Jerry Coleman. Mówi, że jest urzędowym kurierem i pracuje dla prawnika, który chce was i waszą kancelarię podać do sądu. A ta wizytówka jest od jakiegoś faceta, który pytał o Todda. Powiedział, że jego syn zatrudnił cię w sprawie zwykłej nawalanki, a ty nie stawiłeś się w sądzie.

Maynard zamilkł i wlepił w nich wściekłe spojrzenie.

– No cóż, to długa historia. Mamy trochę kłopotów – odezwał się w końcu Mark.

– Nie możemy tu już dłużej pracować, Maynard. Musimy zniknąć.

– I tu macie rację, a ja wam w tym pomogę. Obaj jesteście zwolnieni. Nie dopuszczę, żeby wasi interesanci nękali moich barmanów. Zresztą oni mają już dość krycia was. Jeszcze trochę, i zaczną nas nachodzić gliniarze i zadawać różne pytania, a nie muszę wam mówić, że od gliniarzy wolę trzymać się z daleka. Nie wiem, co wy tam kombinujecie, ale zabawa się skończyła. Wynoście się.

– Rozumiem – powiedział Todd.

– Możemy zostać na górze jeszcze przez miesiąc? – spytał Mark. – Potrzeba nam trochę czasu, żeby wszystko podopinać.

– Co podopinać? Prowadzicie lewą kancelarię prawną i połowa miasta was już szuka. Co wyście narozrabiali?

– Gliniarzami się nie martw – odparł Todd. – Policja nie jest w to zamieszana. Powiedzmy, że mamy paru niezadowolonych klientów.

– Klientów? Przecież nie jesteście żadnymi prawnikami, nie? Ostatnie, co słyszałem, to że studiujecie i szykujecie się do egzaminów.

– Rzuciliśmy studia – oznajmił Todd. – Od pewnego czasu nagabywaliśmy klientów

w sądach karnych i pobieraliśmy od nich opłaty w gotówce.

– To głupota, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Nikt cię o nie pyta, pomyślał Mark, ale się nie odezwał. Zwłaszcza że w tej chwili wyglądało to dość głupio.

– Zapłacimy ci tysiąc dolców gotówką za trzydzieści dni czynszu, po czym więcej nas nie zobaczysz.

Maynard w milczeniu wypił łyk wody z lodem i przewiercił ich wzrokiem.

– Słuchaj, Maynard – obruszył się Todd. – Pracuję u ciebie całe trzy lata, nie? Nie możesz mnie tak wyrzucić na bruk.

– Już tu nie pracujesz, Todd, dociera to do ciebie? Obaj już tu nie pracujecie. Nie mogę pozwolić, żeby mi się tu kręcili jacyś szpicle i wściekli klienci. Mieliście szczęście, że ktoś nie przylazł tu na waszą zmianę i nie dopadł was osobiście.

– Tylko trzydzieści dni – powtórzył Mark. – Nawet nie będziesz wiedział, że tu jesteśmy.

– Wątpię. – Maynard upił następny łyk i znów wlepił w nich spojrzenie. – A właściwie to czemu chcecie tu zostać, skoro wszyscy już znają ten adres?

– Potrzebny nam dach nad głową, żebyśmy mogli dokończyć naszą pracę – odparł Mark. – Na górze nas nie dopadną, bo drzwi są na stałe zamknięte.

– Wiem. Dlatego kręcą się po lokalu i czepiają się barmanów.

– Proszę, Maynard – jęknął Todd. – Pierwszego czerwca już nas tu nie będzie.

– Dwa tysiące gotówką – burknął Maynard.

– Zgoda. I będziesz nas kryć – powiedział Mark.

– Spróbuję, ale naprawdę to wszystko mi się nie podoba.

Rozdział 32

Rodziców Zoli i jej brata wyrwano ze snu w środku nocy i zakomunikowano, że mają natychmiast się spakować. Każde z nich dostało po dwa brezentowe worki i pół godziny na bycie gotowym do drogi. Wraz z blisko pięćdziesięciorgiem Afrykanów, z których część poznali dopiero w Federalnym Obozie Przejściowym Bardtown i którzy w większości pochodzili z Senegalu, załadowano ich do białego nieoznakowanego autobusu służącego normalnie do wożenia więźniów federalnych. Przed wyprowadzeniem z baraku skuto im ręce i tak przeprowadzono do autobusu. Cały czas pilnowało ich czterech uzbrojonych po zęby agentów ICE – w tym dwóch z karabinami – którzy rozsadzili ich w autobusie i kazali siedzieć cicho i nie zadawać żadnych pytań. Dwóch agentów usiadło z przodu, dwóch z tyłu. Okna

w autobusie były szczelnie zamknięte, szyby zabezpieczone grubą stalową siatką.

Matka Zoli naliczyła jeszcze pięć kobiet, resztę stanowili mężczyźni, niemal wszyscy w wieku poniżej czterdziestu lat. Fanta podchodziła do swego losu z rezygnacją i postanowiła nie dać się sprowokować. Dla całej rodziny było to ciężkie przeżycie, ale już dawno pogodzili się z myślą o deportacji.

Właściwie po czterech miesiącach życia obozowego odczuwali wręcz ulgę, że ich stamtąd wywożą. Oczywiście woleliby zostać w USA, ale jeśli pobyt w tym kraju miał oznaczać życie w klatce, to powrót do Senegalu nie mógł być czymś dużo gorszym.

Jazda w ponurej ciszy trwała prawie dwie godziny. Agenci od czasu do czasu coś do siebie mówili i wybuchali śmiechem, ale pasażerowie milczeli jak zaklęci. Z drogowskazów przy drodze wynikało, że zbliżają się do Pittsburgha i że kierują się w stronę portu lotniczego. Otwarto dla nich bramę przy wjeździe na płytę lotniska i autobus wjechał do wielkiego hangaru, pod którym stał odrzutowiec pasażerski bez żadnych oznakowań. Po drugiej stronie płyty widać było rzęsiście oświetlony terminal pasażerski. Afrykanie wysiedli z autobusu i zostali

poprowadzeni do kąta, w którym czekali na nich inni agenci ICE. Wszyscy deportowani kolejno podchodzili do nich, a oni sprawdzali ich tożsamość i zadawali pytania. Po przeprowadzonej kontroli zdjęto im kajdanki i pozwolono zabrać worki z rzeczami, po czym raz jeszcze sprawdzono ich zawartość. Cała procedura wlokła się w nieskończoność, ale nikomu się nie śpieszyło – zwłaszcza deportowanym, których czekał lot do domu.

Podjechał następny autobus i wysiadło z niego dwudziestu paru Afrykanów, równie oszołomionych i przybitych, jak pasażerowie pierwszego autobusu. W czyichś papierach było coś nie w porządku, utworzyła się długa kolejka i cała grupa w milczeniu czekała i czekała. Gdy w końcu jakiś urzędnik poprowadził pierwszą grupę do samolotu, dochodziła już piąta rano. Do schodków ustawiła się następna kolejka, pasażerowie wolno wspinali się po nich z workami w rękach; w środku kierowano ich do wyznaczonych foteli. Wsiadanie na pokład trwało dobrą godzinę, ale pasażerowie z ulgą się dowiadywali, że w czasie lotu nie będą skuci. Jakiś inny urzędnik objaśnił obowiązujące w samolocie reguły, takie jak wstawanie z foteli, korzystanie z toalet i tak dalej. Tak, wolno im

rozmawiać, ale po cichu. Przy najmniejszym przejawie nieposłuszeństwa wszyscy zostaną skuci. Jakakolwiek niesubordynacja będzie skutkować aresztowaniem po przylocie na miejsce. W czasie lotu towarzyszyć im będzie sześciu uzbrojonych strażników; lot potrwa jedenaście godzin bez międzylądowania i dostaną posiłek.

Gdy silniki odrzutowca wreszcie ożyły, dochodziła już siódma. Drzwi zamknięto i zablokowano, urzędnik polecił wszystkim zapiąć pasy, po czym zapoznał pasażerów z przepisami bezpieczeństwa i procedurami awaryjnymi. Wszyscy dostali po brązowej papierowej torebce, a w niej kanapkę z serem, jabłko i mały pojemniczek soku. O siódmej dwadzieścia samolot zadygotał i zaczął kołować na pas startowy.

Dwadzieścia sześć lat po tym, jak jako pasażerowie na gapę na liberyjskim frachtowcu przybyli do Miami, Abdou i Fanta Maalowie opuszczali swą przybraną ojczyznę jak przestępcy i wyruszali na spotkanie niepewnej przyszłości. Siedzący obok nich syn Bo wyjeżdżał z jedynego kraju, jaki znał. Gdy samolot oderwał się od ziemi, wszyscy troje chwycili się za ręce, walcząc z cisnącymi im się do oczu łzami.

* * *

Godzinę później pracownik obozu Bardtown zadzwonił do Zoli z wiadomością, że jej rodzina jest w drodze do Dakaru. Był to rutynowy telefon, jaki zawsze wykonywano do osoby stanowiącej kontakt deportowanych. Choć wiedziała, że ten moment musi nadejść, Zola ciężko go przeżyła. Poszła piętro wyżej, by zawiadomić Marka i Todda, a oni przez następną godzinę próbowali ją pocieszać. W końcu postanowili pójść na długi spacer i przy okazji zjeść gdzieś śniadanie.

Posiłek upływał w ponurej atmosferze; Zola była zbyt przybita i przejęta, by myśleć o jedzeniu. Todd i Mark autentycznie martwili się o jej rodzinę, ale obaj mieli za sobą prawie nieprzespaną noc, bo nie pozwalały im usnąć ich własne problemy. Darrell Cromley złożył pozew o wiele szybciej, niż się tego spodziewali. Stowarzyszenie Prawników było na ich tropie, niewątpliwie za sprawą donosu Cromleya lub tego kutasa Mossberga z Charlestonu. To zresztą nie miało większego znaczenia, bo ich mistyfikacja i tak już należała do przeszłości. Wiele spraw ich martwiło, ale najbardziej nękała myśl o zostawieniu na lodzie klientów. Ci ludzie

im zaufali i zapłacili, a teraz czuli się oszukani i rzuceni na pastwę systemu.

Jedząc, chłopcy przyglądali się Zoli, która kolejny raz próbowała się dodzwonić do Diallo Nianga. Dakar dzieliły od nich cztery strefy czasowe i o tej porze w tej części Afryki dzień pracy był w pełnym rozkwicie. Mimo to ani Diallo Niang, ani nikt inny w jego biurze nie odbierał telefonu. Za honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów, które Zola przekazała na jego konto kilka tygodni temu, Niang obiecał wyjechać po rodziców na lotnisko, zorganizować im tymczasowe zakwaterowanie i – co najważniejsze – dopilnować, by miejscowe władze dały im spokój. Zapewniał, że jest specjalistą od spraw imigracyjnych i wie dokładnie, co i z kim należy załatwić. Nie mogąc się z nim porozumieć, Zola zaczynała panikować.

Tak wiele osób ich szukało, że powrót do domu nie wydawał się dobrym pomysłem. Przeszli kilka przecznic, znaleźli Starbucksa, zamówili po kawie i rozsiedli się z włączonymi laptopami, by dalej przeczesywać książki telefoniczne. Wyszukiwanie kolejnych zmyślonych klientów do pozwu zbiorowego dawało im zajęcie i pozwalało oderwać myśli od kłopotów.

* * *

W miarę upływu monotonnych godzin lotu pasażerowie próbowali zwalczyć nudę i robili się coraz bardziej gadatliwi. Niemal wszyscy twierdzili, że na miejscu czeka na nich znajomy lub krewny, ale niepewność w ich głosie była aż nadto wyczuwalna. Nikt nawet nie udawał, że z optymizmem patrzy w przyszłość. Wszyscy spędzili wiele lat na obczyźnie i nie dysponowali żadnymi aktualnymi dokumentami, a już na pewno nie senegalskimi. Ci z nich, którzy w Ameryce legitymowali się podrobionymi prawami jazdy, musieli je oddać przed wylotem. Senegalska policja była znana z niechęci do powracających nielegalnych emigrantów. Ich podejście do nich sprowadzało się do prostej filozofii: jak nie chcecie tu być, to my was też tu nie potrzebujemy. Amerykanie was wyrzucili, czyli nikt was nie chce. W rezultacie często traktowano ich jak wyrzutki społeczne, dla których nie ma ani pracy, ani mieszkań. Chociaż wielu Afrykanów marzyło o emigracji do Stanów lub Europy, ci, którym się nie powiodło, budzili u swych pobratymców zdecydowaną niechęć.

Abdou i Fanta mieli krewnych rozrzuconych po całym kraju, ale nie można było na nich

liczyć. W ciągu minionych lat wielu kuzynów i innych pociotków zwracało się do nich z prośbą o pomoc w nielegalnej emigracji do Stanów, lecz Abdou i Fanta albo nie mogli, albo nie chcieli się do tego mieszać. Było wystarczająco niebezpiecznie żyć w Stanach bez wymaganych papierów, więc po co jeszcze dodatkowo komplikować sobie życie i pomagać innym?

I gdy teraz sami potrzebowali pomocy, nie było nikogo, komu mogliby zaufać. Zola ich zapewniła, że Diallo Niang został przez nią opłacony i pomoże im. Pozostawało im tylko modlić się w duchu, by nie zawiódł ich nadziei.

Lecieli prosto w słońce, potem znów w ciemności. Po jedenastu godzinach lotu i kolejnych dwóch papierowych torebkach z posiłkami samolot zaczął schodzić do lądowania w Dakarze i towarzystwo na pokładzie znowu sposępniało. Wylądowali krótko po północy i dwudziestoczterogodzinna podróż, której nikt z nich sobie nie życzył, dobiegła końca. Samolot pokołował do głównego terminalu i zatrzymał się na ostatnim stanowisku długiej hali przylotów. Silniki wyłączono, ale drzwi pozostawały zamknięte. Na środek wyszedł jeden z urzędników ICE i wyjaśnił, że po wejściu do budynku terminalu zostaną

przekazani władzom senegalskim i w tym momencie skończy się wobec nich jurysdykcja Stanów Zjednoczonych. Życzymy powodzenia.

Drzwi samolotu w końcu otwarto, wszyscy chwycili brezentowe worki i rzucili się do wyjścia. W budynku poprowadzono ich do części odgrodzonej od reszty hali przylotów szpalerem policjantów w mundurach. Policjanci byli wszędzie, a na ich twarzach trudno było dostrzec ślady sympatii. Jakiś urzędnik w garniturze zaczął wykrzykiwać polecenia po francusku, oficjalnym języku Senegalu.

Gdy Abdou i Fantę przed czterema miesiącami aresztowano i zawisła nad nimi groźba deportacji, powrócili do rozmawiania po francusku. Po dwudziestu sześciu latach unikania tego języka i usilnych staraniach nauczenia się angielskiego początki były trudne, ale po pewnym czasie pamięć im wróciła. Był to chyba jedyny pozytywny aspekt ich zatrzymania: ponowne odkrycie języka, który od dzieciństwa kochali. Natomiast Bo nigdy nie słyszał w domu rozmów w rodzimym języku, nie uczył się go w szkole i nie znał słowa po francusku. Dopiero dzięki pobytowi w Bardtown i czterem miesiącom obcowania z francuskim jako tako mógł się dogadać w tym języku.

Urzędnik mówił jednak szybko i kwieciście i większość przyjezdnych miała trudności z rozumieniem go. Procedura przejęcia władzy nad deportowanymi zaczęła się od sprawdzenia ich amerykańskich dokumentów. Policjant w mundurze przywołał Maalów ruchem ręki i zaczął ich wypytywać. Z której części Senegalu pochodzą? Kiedy wyjechali? Dlaczego wyjechali? Gdzie Abdou pracował przed wyjazdem z Senegalu? Jak długo przebywali w USA? Czy został tam ktoś z rodziny? Czy mają krewnych w Dakarze, innym mieście Senegalu lub na prowincji? Gdzie zamierzają mieszkać? Pytania były zadawane agresywnym tonem, reakcją na odpowiedzi był często ironiczny śmiech. Funkcjonariusz kilkakrotnie upominał Abdou, by mówił prawdę, a ten za każdym razem go zapewniał, że tak robi.

Bo zauważył, że niektórych przyjezdnych prowadzą do innej części hali, gdzie stoi tłumek miejscowych. Widać byli to wybrani szczęśliwcy, na których czekały rodziny lub przyjaciele.

Policjant zapytał, czy mają kogoś w Dakarze, a gdy Abdou wymienił nazwisko Diallo Nianga, ich adwokata, tamten chciał wiedzieć, do czego potrzebny im adwokat. Abdou próbował wyjaśnić, że był to pomysł córki, która została

w USA, ponieważ w Senegalu nie mają rodziny, na której pomoc mogliby liczyć. Funkcjonariusz sprawdził coś w papierach i oświadczył, że pan Niang nie kontaktował się z policją w ich sprawie i nie czeka na nich na lotnisku. A potem wskazał rząd krzesełek, kazał im usiąść i czekać, a sam podszedł do oficjela w garniturze.

W ciągu godziny większość przybyłych odprawiono i przeprowadzono do innych części hali. Gdy liczba oczekujących zmniejszyła się do kilkunastu osób, urzędnik w garniturze podszedł do Maalów.

– Pana Nianga tu nie ma – oświadczył. – Ile macie pieniędzy?

– Około pięciuset dolarów – odparł Abdou, wstając.

– To dobrze. Stać was na hotel. Idźcie z tym funkcjonariuszem, on was zaprowadzi.

Ten sam mundurowy co poprzednio skinął głową, Maalowie zebrali swój dobytek i ruszyli za nim. Wyszedł z nimi z budynku terminalu i poprowadził do czekającej policyjnej furgonetki. Usiadł z nimi z tyłu, przez następne dwadzieścia minut jazdy po pustych ulicach nie odezwał się ani słowem i dopiero pod odrapanym czteropiętrowym budynkiem hotelu kazał im wysiąść.

– Zostaniecie tu, bo areszt jest pełny – oświadczył przy drzwiach. – Pod żadnym pozorem nie wolno wam stąd wychodzić. Za parę godzin wrócimy po was. Jakieś pytania?

Z jego tonu niedwuznacznie wynikało, że nie życzy sobie żadnych pytań. Maalowie byli zresztą uszczęśliwieni, że są tu, a nie w więzieniu.

Policjant wpatrywał się w nich takim wzrokiem, jakby coś jeszcze zostało do załatwienia. Zapalił papierosa i wydmuchnął dym.

– Należy mi się zapłata za przysługę – rzucił.

Bo odwrócił głowę i z trudem powstrzymał się przed powiedzeniem czegoś. Jego ojciec położył worki na ziemi i sięgnął do kieszeni.

– Oczywiście. Ile?

– Sto dolarów.

Abdou otworzył portfel.

* * *

Recepcjonista w hotelu drzemał za ladą i wyglądał na poirytowanego, że zawracają mu głowę o tej porze. W pierwszym odruchu oświadczył, że nie ma żadnych wolnych pokoi i hotel jest przepełniony. Abdou domyślił się, że hotel i policja są w zmowie i rzekomy brak

wolnych miejsc należy do scenariusza. Wyjaśnił, że żona jest chora i muszą gdzieś się przespać. Recepcjonista przez chwilę wpatrywał się w ekran i w końcu udało mu się znaleźć mały pokoik, oczywiście za wyższą cenę. Abdou zdawał się tym nie przejmować i jakby nigdy nic, próbował pogodnym tonem gawędzić z recepcjonistą. Powiedział, że ma przy sobie tylko amerykańskie dolary, co oczywiście było nie do przyjęcia, bo hotel przyjmował wyłącznie franki zachodnioafrykańskie. Fancie udawało się robić takie miny, jakby za chwilę miała zemdleć, za to Bo, który z trudem nadążał za rozmową po francusku, miał ochotę przeskoczyć ladę i udusić recepcjonistę. Abdou nie przyjmował do wiadomości odmowy i praktycznie wyżebrał dla nich pokój. Recepcjonista w końcu zmiękł i oświadczył, że parę domów dalej jest bank. Pozwoli im zająć pokój, ale jutro z samego rana oczekuje zapłaty w miejscowej walucie. Gdy Abdou solennie przyrzekł, że tak zrobi, i wylewnie podziękował, recepcjonista niechętnie wręczył mu klucz.

Abdou zapytał, czy mogą skorzystać z telefonu i zadzwonić do Stanów, ale usłyszał, że absolutnie nie. Będzie to możliwe, dopiero gdy opłacą pokój i uiszczą z góry opłatę za

połączenie. Dochodziła trzecia nad ranem czasu miejscowego – dwudziesta trzecia w Ameryce – kiedy wreszcie wkroczyli do małego, dusznego pokoiku na trzecim piętrze, z pojedynczym wąskim łóżkiem pod ścianą. Mężczyźni uparli się, że ma go zająć Fanta, sami rozłożyli się na podłodze.

* * *

Zola nie spała do trzeciej nad ranem. Przez całą noc próbowała dodzwonić się do Diallo Nianga, wysyłała mu też SMS-y i maile, ale bez rezultatu. Gdy jej komórka zabrzęczała, wyświetlając połączenie z nieznanym numerem, rzuciła się na nią i odebrała. Dzwonił Bo i w pierwszej chwili jego głos podziałał na nią kojąco, zaraz jednak wysłuchała krótkiej relacji brata, z której wynikało, że umówiony adwokat nie dał znaku życia, a chwilę wcześniej policja wywiozła tatę z hotelu.

– A ty i mama jesteście bezpieczni?

– No cóż, nas jeszcze nie zamknęli. Dwukrotnie oświadczyli, że możemy zostać w hotelu, bo areszt jest pełny. Widać znaleźli wolne miejsce dla taty. Ale nie wolno nam stąd wyjść.

– Dzwoniłam do tego adwokata ze sto razy – zapewniła go. – Próbowałeś dzwonić do niego stamtąd?

– Nie. Korzystam z telefonu w recepcji i recepcjonista cały czas mi się przypatruje i przysłuchuje każdemu słowu. Nie lubi, jak obcy dzwonią z jego telefonu, ale wyprosiłem, żeby się zgodził tylko na tę jedną rozmowę.

– Daj mi go do telefonu, spróbuję coś wymyślić.

Bo oddał słuchawkę recepcjoniście, po czym znalazł hotelową kafejkę w kącie holu. Kupił dwa croissanty i kawę, zaniósł wszystko do pokoju i zasiedli z matką do śniadania. Fanta z ulgą powitała wiadomość, że udało mu się porozmawiać z Zolą.

Jedli croissanty i sączyli kawę, znowu czekając ze strachem na pukanie do drzwi.

Rozdział 33

Przed dziesiątą rano Zola podjęła decyzję, że wyjeżdża do Senegalu. Siedzieli nad otwartymi laptopami i rozłożonymi na stoliku papierami w barze kawowym księgarni Kramer Books przy Dupont Circle, jakby byli u siebie w biurze, ale tym razem nie robili tego dlatego, że udawali prawników.

Cały ranek poświęcili omawianiu możliwych scenariuszy. Mark i Todd w pełni rozumieli jej chęć wyjazdu, obawiali się jednak, że mogą ją tam aresztować i zmusić do pozostania w Senegalu. Jej ojciec już siedział w areszcie, Fanta i Bo mogli w każdej chwili do niego dołączyć. Jeśli zjawi się tam Zola i zacznie rozrabiać, wszystko może się zdarzyć. Próbowała ich przekonywać, że jest amerykańską obywatelką i legitymuje się ważnym paszportem, a ponieważ na pobyt krótszy niż dziewięćdziesiąt dni niepotrzebna jest wiza, będzie miała prawo

w każdej chwili wyjechać. Powiedziała też, że powiadomi o swym wyjeździe senegalską ambasadę w Waszyngtonie, a jeśli na miejscu ktoś będzie robił trudności z jej wyjazdem, zwróci się o pomoc do amerykańskiej ambasady w Dakarze. Uważała, że ryzyko zatrzymania jej w Senegalu jest niewielkie, i była gotowa je podjąć.

Mark zaproponował, żeby jeszcze dzień czy dwa się wstrzymała i spróbowała znaleźć innego prawnika w Dakarze. W internecie było ich mnóstwo i wielu sprawiało wrażenie doświadczonych, godnych zaufania. Niektóre kancelarie prawne wyglądały aż tak obiecująco, że Todd nawet zażartował, że gdy wygonią ich ze Stanów, to powinni się tam przenieść.

– W Senegalu są jacyś biali? – zapytał.

– Jasne – odparła. – Ze dwóch albo trzech.

– To mi się podoba – rzucił Mark, siląc się na dowcip. – Zagraniczna filia Upshaw, Parker and Lane.

– To już beze mnie – powiedziała Zola z uśmiechem. Nie była zachwycona pomysłem wysyłania pieniędzy komuś zupełnie obcemu, ale koledzy ją zapewnili, że pieniądze nie stanowią problemu. Mieli na firmowym koncie pięćdziesiąt tysięcy dolarów i w każdej chwili

mogli z nich skorzystać. Zolę wzruszyła ich hojność i gotowość pomocy i w rewanżu ujawniła po raz pierwszy swą słodką tajemnicę, chowaną na taką właśnie okazję. Ze zdumieniem usłyszeli, że ze stypendiów na studia zaoszczędziła szesnaście tysięcy dolarów. Takie rzeczy się nie zdarzały.

Naprawdę nie mogli jej się dziwić, że chce jechać. Byli ścigani przez gospodarzy swych dotychczasowych kwater za styczniowe zaległości w czynszu. Darrell Cromley właśnie ich pozwał o dwadzieścia pięć milionów dolarów za poważne zaniedbania zawodowe. Władze federalne wkrótce zaczną się upominać o spłatę długu o łącznej wysokości ponad sześciuset tysięcy dolarów. Szukało ich kilkunastu rozzłoszczonych klientów. Urzędnicy sądowi nie przestawali wydzwaniać. Maynard wyrzucił ich z pracy, byli więc autentycznie bezrobotni. No i najgroźniejszym problemem było dochodzenie wdrożone przez Stowarzyszenie Prawników. To tylko kwestia czasu, kiedy ich prawdziwe tożsamości zostaną ujawnione, a wtedy nie pozostanie im nic innego, jak też uciekać z miasta.

Pojechali do baru Pod Kogutem i podczas gdy chłopcy zostali na zewnątrz, pilnując drzwi, Zola

pobiegła na górę się spakować. Potem wstąpili do oddziału jej banku, w którym podjęła dziesięć tysięcy dolarów ze swojego konta oszczędnościowego. Bank nie był w stanie wypłacić choćby części tej kwoty we frankach zachodnioafrykańskich, wstąpili więc do kantoru wymiany koło Union Station. W sklepie z telefonami kupili za trzysta dziewięćdziesiąt dolarów cztery telefony GSM z międzynarodowymi kartami SIM, kamerami, bluetoothem, pełną klawiaturą i przystosowane do pracy w sieciach społecznościowych. Trzy były dla nich, a czwarty dla Bo. O szesnastej trzydzieści pojechali na lotnisko Dullesa i zgłosili się do biura Brussels Airlines. Swoją starą kartą kredytową Zola zapłaciła tysiąc pięćset dolarów za bilet w obie strony do Dakaru, z czterogodzinnym międzylądowaniem w Brukseli. Jeśli wszystko pójdzie gładko, miała dotrzeć do Dakaru około szesnastej następnego dnia, po osiemnastogodzinnej podróży.

Przy bramce na wejściu do sali odlotów wyściskali się i uronili kilka łez, po czym chłopcy stali dłuższą chwilę, obserwując, jak ich przyjaciółka gubi się w tłumie pasażerów.

A potem wrócili do miasta i pod wpływem nagłego impulsu poszli na mecz Nationals.

* * *

Następnego dnia o dziewiątej rano, gdy Zola była gdzieś między Belgią a Senegalem, Mark i Todd weszli do klubu zrzeszenia studenckiego na kampusie American University i usiedli przy stoliku w prawie pustej kafeterii. W dżinsach i z plecakami nie różnili się wyglądem od innych studentów. Kupili sobie po kawie i rozłożyli papiery, jakby zabierali się do poważnej nauki. Mark wyjął jeden ze swoich telefonów, podszedł do rzędu okien wychodzących na kampus, zadzwonił do firmy Cohen-Cutler w Miami i poprosił o połączenie z mecenasem Rudym Stassenem. Ze strony internetowej firmy wynikało, że Stassen jest jednym ze wspólników kierujących akcją wymierzoną w bank Swift. Sekretarka oznajmiła, że pan Stassen jest na spotkaniu, na co Mark odparł, że ma ważną sprawę i poczeka. Po dziesięciu minutach w słuchawce zabrzmiał głos Stassena.

Mark przedstawił się jako prawnik z Dystryktu Kolumbii i oświadczył, że ma tysiąc sto nazwisk klientów banku Swift, którzy są gotowi przystąpić do jednego z sześciu pozwów zbiorowych przeciwko bankowi.

– No cóż, trafił pan pod właściwy adres. – Stassen się zaśmiał. – Liczba uczestników naszego pozwu rośnie jak szalona. Według najnowszych danych, osiągnęła już dwieście tysięcy osób. Skąd są wasi klienci?

– Wszyscy z Dystryktu Kolumbii i okolic – odparł Mark, kładąc telefon na stoliku i siadając naprzeciwko Todda. Wcisnął przycisk funkcji głośnomówiącej i obniżył nieco głośność. – Prawdę powiedziawszy, rozglądam się po rynku w poszukiwaniu najlepszej oferty. Ile wyniosą u was honoraria?

– Jeszcze nie wiem. Myślę, że honoraria adwokackie będą przedmiotem oddzielnych negocjacji. Na tę chwilę mamy podpisane umowy na dwudziestopięcioprocentowy udział kancelarii plus dodatkowo osiem procent całkowitej kwoty odszkodowania. Oczywiście wymaga to zgody sądu. Jeszcze raz… jak pan się nazywa? Upshaw? Bo nie znajduję pańskiej strony.

– Nie ma mnie w internecie. Kontaktowałem się z klientami listownie – odparł Mark.

– Trochę to dziwne.

– Ale działa. Co pan mi może powiedzieć o etapie negocjacji?

– W tej chwili negocjacje trochę utknęły. Swift twierdzi w prasie, że chce się dogadać i zakończyć sprawę, ale jego prawnicy się opierają. Czepiają się każdego słowa i oczywiście wystawiają bankowi milionowe faktury za swoją pracę. Myślimy jednak, że bank się ugnie i zawrze porozumienie. Chce pan dołączyć? Bo mówił pan coś o szukaniu oferty.

– Osiem procent brzmi atrakcyjnie. Wchodzę w to. Proszę przysłać mi papiery.

– Słuszna decyzja. Przekażę sprawę naszej pracownicy Jenny Valdez i ona wszystko panu powie.

– Jeszcze przedtem chciałbym zadać panu pytanie.

– Oczywiście, słucham.

– Jak wasza kancelaria radzi sobie z dwustoma tysiącami klientów?

– Z ogromnym trudem – parsknął Stassen. – W tej chwili zajmuje się tym dziesięcioro prawników, którzy nadzorują pracę trzydziestu asystentów. To rzeczywiście istny moloch, największy pozew zbiorowy, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia, ale panujemy nad tym. To pański pierwszy pozew zbiorowy?

– Tak. Wygląda to na czyste szaleństwo.

– Szaleństwo to właściwe słowo, ale proszę mi wierzyć, że sprawa jest warta zachodu. Wyjdziemy na swoje, panie Upshaw.

– Mam na imię Mark.

– Dziękuję za wybranie nas, Mark. Wciągniemy cię i możesz poinformować swoich klientów, że w ciągu dwudziestu czterech godzin zostaną dopisani do listy. Potem pozostaje już tylko czekać. Podaję numer do Jenny Valdez. Masz coś do pisania?

– Tak.

Mark zanotował numer telefonu, zakończył rozmowę i zaczął stukać w klawiaturę laptopa. W tym czasie Todd wstał od stolika i poszedł kupić coś do jedzenia. Jedząc muffinki i popijając je kawą, myśleli o Zoli, od której przyszedł krótki SMS, że podróż minęła bez przygód i jest już na miejscu.

W końcu Mark zaczerpnął powietrza i zadzwonił do Jenny Valdez. Podczas trwającej piętnaście minut rozmowy zapewnił swoją rozmówczynię, że wszystkie zgłoszenia klientów są w porządku, i oświadczył, że jest gotów przesłać do niej formularze DOP wszystkich tysiąca stu klientów Swifta. W końcu odłożył telefon i spojrzał na Todda.

– Jak nacisnę przycisk WYŚLIJ, to będzie znaczyło, że popełniliśmy tysiąc sto nowych przestępstw. Jesteśmy na to gotowi?

– Myślałem, że podjęliśmy już decyzję.

– Nie zmieniłeś zdania?

– Pewnie zmieniłbym nawet parę zdań, ale to nasza jedyna szansa. Zróbmy to.

Mark ostrożnie wcisnął przycisk WYŚLIJ.

* * *

Taksówka posuwała się wolno w takim ulicznym chaosie, jakiego Zola nigdy wcześniej nie widziała. Kierowca powiedział, że klimatyzacja się popsuła, ale Zola podejrzewała, że nie działa już od dobrych paru lat. Wszystkie szyby w samochodzie były opuszczone i wciskające się z dworu powietrze było duszne i cuchnące. Otarła pot z czoła i poczuła, że bluzka lepi jej się do ciała. Zewsząd otaczało ich morze samochodów osobowych, furgonetek i ciężarówek, które posuwały się zderzak przy zderzaku; ich klaksony wyły, kierowcy wrzeszczeli. Pomiędzy nimi przeciskały się skutery i motocykle – w większości z dwoma pasażerami, niektóre nawet z trzema – wymijając się dosłownie na milimetry. Wśród taksówek

kręcili się piesi, próbując sprzedawać butelki wody, inni po prostu żebrząc.

Dwie godziny po wyjeździe z lotniska taksówka zajechała pod hotel i Zola zapłaciła za kurs we frankach zachodnioafrykańskich równowartość sześćdziesięciu pięciu dolarów. Weszła do środka i z ulgą powitała panującą wewnątrz nieco niższą temperaturę. Recepcjonista ledwo dukał po angielsku, ale zrozumiał jej prośbę i zadzwonił na górę. Chwilę potem Bo wypadł z windy i uściskał siostrę. Nie mieli żadnej wiadomości od ojca, cały dzień nie widzieli też nikogo z policji. Nadal obowiązywało ich polecenie nieopuszczania hotelu i bali się wyściubić nos z pokoju. Bo zdołał się zorientować, że policja wykorzystuje hotel do tego, by mieć oko na świeżych repatriantów.

Oczywiście nie było śladu po Diallo Niangu. Zola kilkakrotnie zadzwoniła na jego numer z taksówki, ale bez rezultatu.

Korzystając z pomocy brata jako tłumacza, wynajęła dwa większe pokoje połączone wewnętrznymi drzwiami i pojechała na górę powitać matkę. Podczas przenosin do nowych pokoi Zola zaczęła obdzwaniać miejscowe kancelarie prawne. Siedząc w samolocie, spędziła godziny na wyszukiwaniu

najwłaściwszych i wprawdzie nie była pewna swego wyboru, ale miała w głowie plan.

Rozdział 34

Dla Margaret Sanchez ze Stowarzyszenia Prawników kancelaria Upshaw, Parker & Lane stała się obsesją. W miarę jak Chap Gronski kompletował kolejne fragmenty ich poczynań, jej oczom ukazywał się cały bezmiar ich bezczelności. Pani Sanchez była zdecydowana dopaść całą trójkę, ale przedtem musiała ich znaleźć. Za zgodą swego szefa zwróciła się do miejscowej policji i z pewnym trudem namówiła śledczego, żeby się tym zajął. Przy ogromnej przestępczości w Waszyngtonie policja nie paliła się do ścigania paru studentów prawa, którzy wprawdzie naciągali system, ale nie robili nikomu fizycznej krzywdy.

Detektyw Stu Hobart dostał zgodę od zwierzchnika i przyjechał do pani Sanchez, by zapoznać się ze sprawą. Chap namierzył już wcześniej właściciela baru Pod Kogutem i teraz wraz z Hobartem postanowili go odwiedzić.

Znaleźli go w biurze na piętrze nad barem Pod Starym Rudym Kotem w dzielnicy Foggy Bottom.

Maynard miał serdecznie dość Marka i Todda i ich krętactw i nie zamierzał robić nic, co mogłoby sprowokować policję do węszenia w jego lokalach. Ponieważ naprawdę wiedział niewiele o tym, co działo się na górnych piętrach przy Florida Avenue 1504, nie mógł dużo powiedzieć, posiadał jednak jedną istotną informację, którą chętnie się podzielił.

– Naprawdę nazywają Todd Lucero i Mark Frazier. Nie wiem, jak jest z tą czarną dziewczyną, ale Lucero pracował u mnie od jakichś trzech lat. Bardzo dobry barman, lubiany przez wszystkich klientów. W styczniu on i Frazier przenieśli się do mojego drugiego baru i na górze urządzili sobie biuro. Pracowali w barze za czynsz.

– Czyli za gotówkę – zauważył Hobart.

– Gotówka jest nadal legalnym środkiem płatniczym w tym kraju – mruknął Maynard. Miał do czynienia z policjantem, a nie inspektorem podatkowym, i wiedział, że Hobart ma gdzieś to, jak się rozlicza ze swoimi pracownikami.

– Nadal tam mieszkają? – spytał Hobart.

– O ile wiem. Zajmują trzecie piętro, dziewczyna mieszka na drugim, przynajmniej tak mi powiedzieli. W zeszłym tygodniu wyrzuciłem obu z pracy, ale mieszkanie wynajmują do pierwszego czerwca.

– Dlaczego pan ich wyrzucił?

– To już naprawdę nie pańska sprawa, ale powiem. Wyrzuciłem ich, bo było wokół nich za dużo zamieszania. Jak pan wie, mogę zatrudniać i zwalniać, jak mi się podoba.

– Oczywiście. Sprawdziliśmy drzwi na górze i wygląda na to, że są stale zamknięte na klucz. Ale myślę, że możemy zdobyć nakaz i je wyłamać.

– Pewnie możecie. – Maynard otworzył szufladę i wyjął pęk kluczy. Znalazł na kółku ten właściwy, odczepił go i rzucił na stół. – Ale starczy wam to. Tylko proszę, żebyście nie mieszali do tego baru. To jeden z moich lepszych.

– Załatwione. Dzięki – rzucił Hobart.

– Nie ma za co.

* * *

Po zmroku taksówka Zoli odjechała spod hotelu i wmieszała się w rzednący ruch uliczny w centrum Dakaru. Po dwudziestu minutach

zatrzymała się na ruchliwym skrzyżowaniu, dziewczyna wysiadła i przeszła do nowoczesnego wieżowca, w którym wejścia pilnowało dwóch strażników. Żaden nie mówił po angielsku, ale jej wygląd wyraźnie zrobił na nich wrażenie. Wręczyła im skrawek papieru z imieniem i nazwiskiem Idina Sanga i słowem *Avocat*, a oni skwapliwie otworzyli przed nią drzwi i poprowadzili do windy.

Według danych w sieci pani Sanga była wspólniczką w kancelarii, w której pracowało dziesięcioro prawników – po połowie kobiet i mężczyzn – i mówiła nie tylko po francusku i angielsku, ale także po arabsku. Specjalizowała się w kwestiach imigracyjnych i w rozmowie telefonicznej zapewniła Zolę, że potrafi zapanować nad zaistniałą sytuacją. Czekała na Zolę przy windzie na piątym piętrze, po czym obie przeszły do niedużej salki konferencyjnej bez okien. Zola zaczęła od podziękowania, że pani mecenas zechciała się z nią spotkać po godzinach.

Na zdjęciu na stronie internetowej kancelarii pani Sanga wyglądała na mniej więcej czterdzieści lat, ale w bezpośrednim kontakcie sprawiała wrażenie dużo młodszej. Studiowała w Lyonie i Manchesterze i mówiła płynnie po

angielsku z pięknym brytyjskim akcentem. Dużo się uśmiechała, budziła zaufanie i Zola otworzyła przed nią serce.

Za niewielkie honorarium pani Sanga była gotowa zająć się sprawą, w której nie widziała nic niezwykłego. Nie zostały złamane żadne przepisy, a wstępne szykany były typowym zachowaniem władz. Miała odpowiednie kontakty w policji i we władzach imigracyjnych, więc była pewna, że uda jej się szybko doprowadzić do zwolnienia Abdou Maala i nie dopuścić do aresztowania Fanty i Bo. Rodzina będzie mogła swobodnie się przemieszczać, a pani Sanga zajmie się wydaniem jej członkom odpowiednich dokumentów.

* * *

Mark i Todd chrapali na lichym podwójnym łóżku w sypialni na trzecim piętrze budynku przy Florida Avenue 1504, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Mark wstał, wszedł do zagraconego pokoju dziennego i zapalił światło.

– Kto tam? – rzucił.

– Policja. Otwierać.

– Macie nakaz?

– Nawet dwa. Na nazwiska Frazier i Lucero.

– O kurwa!

Detektyw Hobart wszedł w towarzystwie dwóch mundurowych, wręczył Markowi świstek papieru i oświadczył:

– Jesteś aresztowany.

Todd wyszedł z sypialni w samych tylko czerwonych bokserkach i Hobart wetknął mu w rękę jego nakaz.

– Za co, do cholery? – prychnął Mark.

– Za praktykowanie prawa bez licencji – odparł Hobart z dumą, ale Mark roześmiał mu się w twarz.

– Żarty sobie stroicie? Nie macie nic lepszego do roboty?

– Zamknij się – warknął Hobart. – Ubierać się i idziemy.

– Dokąd? – spytał Todd, przecierając oczy.

– Do aresztu, gnojku. Ruszać się.

– Co za menda – rzucił Todd.

Wycofali się obaj do sypialni, coś na siebie wrzucili i wrócili do pokoju.

– Odwrócić się – polecił jeden z mundurowych, odczepiając od pasa kajdanki.

– Chyba żartujecie? – obruszył się Mark. – Po co kajdanki?

– Zamknij się i stań plecami do mnie. – Policjant był wyraźnie gotowy uciec się do

przemocy fizycznej.

Mark obrócił się, gliniarz szarpnął go za ręce i zatrzasnął kajdanki. Jego kolega zrobił to samo z Toddem i obaj lokatorzy zostali wyprowadzeni z mieszkania. Na chodniku pod domem stał kolejny policjant, paląc papierosa i pilnując dwóch radiowozów z błyskającymi światłami i pracującymi silnikami. Marka wepchnięto na tylne siedzenie jednego, Todda na tył drugiego, Hobart usiadł z przodu obok kierowcy i samochody ruszyły.

– W mieście toczą się wojny gangów, dilerzy handlują prochami, bandyci gwałcą i mordują, a wy tracicie czas na dwóch studentów prawa, którzy nie wyrządzili nikomu żadnej krzywdy – powiedział Mark.

– Lepiej się przymknij, dobrze? – rzucił przez ramię Hobart.

– Nie muszę się przymykać. W żadnym kodeksie nie jest napisane, że muszę milczeć, zwłaszcza kiedy aresztują mnie za drobne wykroczenie.

– To nie jest wykroczenie. Jeśli znałbyś trochę prawo, wiedziałbyś, że to przestępstwo.

– Powinno być wykroczenie, a ciebie powinno się oskarżyć o bezprawne aresztowanie.

– Już się boję. I zamknij się.

– Lubicie to, panowie? – zapytał obojętnym tonem siedzący w drugim radiowozie Todd. – Takie walenie do drzwi w środku nocy i zatrzaskiwanie kajdanek?

– Lepiej się przymknij – warknął gliniarz siedzący za kierownicą.

– Przykro mi, kolego, ale nie mam obowiązku się przymykać. Mogę mówić, ile mi się podoba. W Waszyngtonie jest największa przestępczość w kraju, a wy tracicie czas na nękanie takich jak my.

– Wykonujemy naszą pracę.

– Tylko że ta wasza praca cuchnie, zdajecie sobie sprawę? Ale pewnie powinniśmy się cieszyć, że nie wysłaliście po nas oddziału antyterrorystów, którzy wywaliliby drzwi i zaczęli strzelać na prawo i lewo. To wasza największa radocha, tak? Ubierać się jak ci z Navy SEALs i wyżywać na ludziach.

– Bo stanę i skopię ci dupę – zagroził kierowca.

– Zrób to, to cię wezmę za twój tłusty tyłek i o dziewiątej rano w poniedziałek z hukiem postawię przed sądem. Federalnym.

– Zrobisz to sam czy wynajmiesz prawdziwego prawnika? – Kierowca i drugi policjant zanieśli się śmiechem.

– Jak nas znaleźliście, Hobart? – spytał Mark w pierwszym samochodzie. – Ktoś w Stowarzyszeniu Prawników wpadł na nasz trop i zawiadomił gliny? Pewnie tak. Musisz być strasznie nisko na drabinie, skoro wyznaczają cię do takich gównianych spraw.

– Nie nazwałbym dwóch lat w pierdlu gównianą sprawą – powiedział Hobart.

– W pierdlu? Nie pójdę do żadnego pierdla, Hobart. Wynajmę sobie takiego jak ja ulicznego prawnika, pewnie też bez licencji, który będzie dziesięć kroków przed wami. Nie ma takiej możliwości, żeby nas wsadzili. Zapłacimy małą grzywnę, dostaniemy po łapkach, obiecamy, że nigdy więcej czegoś takiego nie zrobimy, i wyjdziemy z sądu jako wolni ludzie. Ani się nie obejrzysz, jak będziemy znów w robocie, a ty będziesz się uganiał za przechodzącymi na czerwonym świetle.

– Zamknij mordę.

– Nie licz na to, Hobart.

W Areszcie Centralnym Marka i Todda wyciągnięto z radiowozów i dość obcesowo wprowadzono do podziemia. W środku zdjęto im kajdanki i ich rozdzielono. W ciągu następnej godziny obaj wypełnili formularze aresztanta, pobrano im odciski palców i zrobiono

standardowe fotki z profilu i en face. Spotkali się w celi przejściowej, w której przesiedzieli następną godzinę w przekonaniu, że trafią do cel z prawdziwymi kryminalistami. Zamiast tego o wpół do szóstej rano zwolniono ich z aresztu, uprzedzając, że nie wolno im opuszczać Dystryktu Kolumbii. W decyzji o zwolnieniu było też napisane, że za tydzień mają się stawić na posiedzeniu wstępnym w dobrze im znanym Wydziale VI Sądu Okręgowego.

Przez cały ranek śledzili internetowe wydanie „Postu”, ale nie znaleźli w nim ani słowa o ich aresztowaniu. Po prostu nie było to wystarczająco ważne wydarzenie. Postanowili na razie nie zawiadamiać Zoli, że na nią też wystawiono nakaz aresztowania. Miała wystarczająco dużo na głowie i szczęśliwie znajdowała się poza zasięgiem władz.

Siedząc w mieszkaniu, spędzili dwie godziny na wypisywaniu czeków, by zwrócić otrzymane pieniądze klientom, którzy nagle znaleźli się w trudnej sytuacji, bo ich rzekomi adwokaci wypadli z rynku. Choć rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy, nie mogli zostawić klientów, którzy im zaufali. Łącznie wypisali czeki na jedenaście tysięcy dolarów i pozbycie się tej kwoty było bardzo bolesne, ale po wysłaniu kopert poczuli

się trochę lepiej. Markowi udało się sprzedać za sześćset dolarów bronco handlarzowi używanych samochodów. Wziął pieniądze w gotówce, podpisał akt sprzedaży i zwalczył chęć obejrzenia się przez ramię na starego gruchota, którym jeździł przez ostatnie dziewięć lat. Po zmroku załadowali firmowy komputer, kolorową drukarkę i trzy kartony teczek z aktami do bagażnika samochodu Todda. Na tylne siedzenie wrzucili też trochę ciuchów, wypili ostatnie piwo przy barze Pod Kogutem i wyruszyli w drogę do Baltimore.

Podczas gdy Mark zabijał czas w hotelowym barze, Todd zdobył się na poinformowanie rodziców, że nie skończy za tydzień studiów. Przyznał się do niemówienia im prawdy, do tego, że w tym semestrze praktycznie ani razu nie był na zajęciach, że nie ma pracy, jest zadłużony na dwieście tysięcy dolarów, wpadł w życiowy poślizg i nie bardzo wie, co ma dalej z sobą zrobić. Matka się rozpłakała, ojciec rozwrzeszczał i scena okazała się jeszcze paskudniejsza, niż się tego obawiał. Wychodząc, poinformował ich, że wybiera się w długą podróż i chce zostawić w garażu swój samochód. Ojciec wrzasnął, że się nie zgadza, ale on i tak go

zostawił i przeszedł piechotą kilometr dzielący go od hotelu.

Następnego dnia rano Mark i Todd wsiedli do pociągu do Nowego Jorku. Gdy pociąg ruszał z dworca Penn, Todd podał przyjacielowi egzemplarz „Washington Post". Na dole pierwszej strony widniała notatka, której nierzucający się w oczy tytuł brzmiał: *Dwaj aresztowani za nielegalne praktykowanie prawa*. Opisano ich jako byłych studentów prawa na Foggy Bottom, którzy rzucili studia i o których nikt z administracji uczelni nie miał nic do powiedzenia. Niewiele mogła powiedzieć również Margaret Sanchez ze Stowarzyszenia Prawników. Wyglądało na to, że obaj aresztowani kręcili się po stołecznych sądach, nagabując potencjalne ofiary i występując przed sędziami pod fałszywymi nazwiskami. Niewymienione z nazwy źródło nazwało ich *całkiem sprawnymi prawnikami*, jedna z byłych klientek oświadczyła, że pan Upshaw bardzo rzetelnie zajął się jej sprawą, ktoś z czekających na wyrok powiedział, że chce tylko zwrotu wpłaconych pieniędzy. W notatce nie wspomniano o Zoli Maal, choć autor napomknął, że *był też ktoś trzeci*. Jeśli sąd uzna ich za winnych, może im wymierzyć karę dwóch lat

więzienia i grzywny w wysokości tysiąca dolarów.

Ich komórki aż się zatykały od telefonów od kolegów z Foggy Bottom.

– Mój tata będzie zachwycony – mruknął Todd. – Syn przestępca.

– Moja biedna mama – dodał Mark. – Obaj synowie w drodze za kratki.

Rozdział 35

Zola z przerażeniem dowiedziała się, że jej obaj wspólnicy zostali aresztowani. Co gorsza, policja szukała także jej, choć akurat możliwością wyśledzenia jej w Senegalu specjalnie się nie martwiła. Mark i Todd byli w Brooklynie i uspokajali ją, że wszystko jest pod kontrolą, ona jednak miała co do tego poważne wątpliwości. Od stycznia mylili się praktycznie we wszystkim i trudno jej było wzbudzić w sobie zaufanie do ich poczynań. Znalazła w sieci wiadomości o aresztowaniu przyjaciół i zaczęła je śledzić. Jej nazwisko nie zostało ani razu wymienione, nie znalazła też żadnej wzmianki o sobie w rejestrach sądowych, za to jej strona na Facebooku była zasypywana uwagami i pytaniami znajomych, na które już od paru tygodni w ogóle nie reagowała.

Idina Sanga nie uzyskała zgody na widzenie z Abdou w areszcie i po dwóch dniach

oczekiwania Zola była jeszcze bardziej zaniepokojona. Policjanci dwukrotnie odwiedzili hotel, sprawdzając obecność matki i brata, ale nie mieli nic do powiedzenia co do przyszłości rodziny, sama obecność Zoli podnosiła jednak jej bliskich na duchu i pozwalała im mieć nadzieję na szczęśliwe zakończenie. Bo i Fanta nie przestawali się dopytywać o studia, dyplom, egzamin adwokacki i wszystko inne, a ona migała się z odpowiedziami i nie dopuszczała do rozmowy na temat nękających ją problemów. Gdyby tylko znali prawdę! Ale na szczęście o niczym nie mieli pojęcia. Za to ona wiedziała, że już nigdy nie postawią stopy na amerykańskiej ziemi, i wcale nie była pewna, czy sama tego chce.

W samolocie przeczytała kilka artykułów o przepełnionych i niebezpiecznych aresztach i więzieniach w Dakarze i miała tylko nadzieję, że Bo i matka nie byli aż tak dociekliwi. Warunki panujące w senegalskich zakładach karnych były wprost przerażające.

W końcu Zola wyszła z hotelu i udała się na spacer po Dakarze. Miasto rozciągało się na półwyspie Cap-Vert i stanowiło konglomerat wiosek i dawnych francuskich miasteczek kolonialnych. Ulice były gorące, zakurzone i źle

utrzymane, ale co rano budziły się do życia pośród masy pojazdów i tłumów przechodniów. Wiele kobiet nosiło długie, powiewne i wielobarwne suknie, wielu mężczyzn miało na sobie eleganckie garnitury, trzymało w rękach aktówki, telefony komórkowe i sprawiało wrażenie równie zaaferowanych, jak przechodnie w Waszyngtonie. Ciągnięte przez konie furmanki z owocami i płodami rolnymi przeciskały się wśród nowych eleganckich SUV-ów, tamując ruch na skrzyżowaniach. Całość sprawiała wrażenie kompletnego chaosu i dopiero po bliższym przyjrzeniu się widać było pewien luz. Wszyscy wszystkich znali i nikomu zbytnio się nie śpieszyło. Wszędzie słychać było pogawędki i wybuchy śmiechu. Z głośników samochodowych i otwartych drzwi sklepów waliła głośna muzyka, uliczni muzykanci dawali zaimprowizowane koncerty.

W drugim dniu pobytu Zola znalazła amerykańską ambasadę i zarejestrowała się jako turystka. Godzinę później, zbliżając się do hotelu, została zatrzymana przez dwóch policjantów, którzy zażądali od niej dokumentów. Wiedziała, że miejscowa policja ma szerokie uprawnienia i może każdego wylegitymować, a nawet zatrzymać. Praktycznie bez powodu można było

zostać aresztowanym na czterdzieści osiem godzin.

Jeden z policjantów mówił trochę po angielsku. Zola wyjaśniła, że jest Amerykanką i nie zna francuskiego. Ze zdziwieniem oglądali jej amerykański paszport i prawdziwe prawo jazdy z New Jersey. Fałszywki czujnie zostawiła w hotelu.

Po wlokących się w nieskończoność piętnastu minutach oddali jej dokumenty i pozwolili odejść, ale ten incydent tak ją przeraził, że postanowiła dać sobie spokój z turystycznymi atrakcjami.

* * *

Jej wspólnicy siedzieli w małym apartamencie w tanim hoteliku przy Schermerhorn Street w Brooklynie. Apartament składający się z sypialni i saloniku z rozkładaną kanapą i wnęką kuchenną kosztował trzysta dolarów za dobę. W sklepie ze sprzętem biurowym za dziewięćdziesiąt dolarów za miesiąc wypożyczyli wielofunkcyjny kombajn z drukarką, kopiarką, skanerem i faksem.

Ubrani w garnitury i koszule z krawatami wkroczyli do oddziału Citibanku przy Fulton

Street i poprosili o spotkanie z konsultantem. Podając prawdziwe nazwiska i legitymując się prawdziwymi prawami jazdy i numerami ubezpieczenia społecznego, otworzyli rachunek bieżący na Kancelarię Prawną Lucero & Frazier. Powtarzając wyświechtaną śpiewkę, oświadczyli konsultantowi, że są kolegami ze studiów, zmęczył ich młyn panujący w wielkich kancelariach prawnych na Manhattanie i postanowili założyć własną firemkę, by pomagać prawdziwym ludziom w ich prawdziwych problemach. Podszyli się pod adres biurowca sześć przecznic dalej, choć podanie adresu było tylko potrzebne do wydrukowania książeczki czekowej, której i tak nie mieli widzieć na oczy. Mark wypisał prywatny czek na tysiąc dolarów, które wpłacił na nowo otwarte konto, po czym natychmiast po powrocie do hotelu przesłali faksem do banku w Waszyngtonie dyspozycję przelewu, w wyniku czego zawartość konta w kwocie blisko trzydziestu dziewięciu tysięcy dolarów została przelana na nowe konto, a stare zostało zamknięte. Do pani Jenny Valdez w kancelarii Cohen-Cutler w Miami wysłali maila z informacją, że ich firma Upshaw, Parker & Lane dokonała fuzji z kancelarią Lucero & Frazier w Brooklynie. W odpowiedzi

wysłała im mailem stos formularzy, które należało w związku z tym uzupełnić, więc poświęcili temu następną godzinę. Przy okazji Valdez ponownie poprosiła o dosłanie numerów ubezpieczenia społecznego i numerów kont bankowych tysiąca stu klientów zgłoszonych do pozwu zbiorowego, a oni ponownie zagrali na czas, odpisując, że są w trakcie kompletowania tych informacji.

Wiedząc, że kontakt telefoniczny z Hindsem Rackleyem będzie niemożliwy, postanowili zacząć od jednej z jego kancelarii prawnych. Strona internetowa kancelarii Ratliff & Cosgrove pozwoliła im się zorientować, że zatrudniająca czterysta osób firma zajmuje się głównie przejęciami zobowiązań hipotecznych i nieruchomości, zaległościami bankowymi, bankructwami, windykacją długów i egzekwowaniem zaległych długów studenckich. Gordy w swojej prezentacji nazywał to „finansami dość trefnymi". W centrali w Brooklynie pracowało około stu prawników, wspólnikiem zarządzającym był Marvin Jockety, sześćdziesięciolatek z nalaną twarzą i nie do końca krystaliczną przeszłością.

Mark wysłał mu maila:

Szanowny Panie,

nazywam się Mark Finley i jestem niezależnym dziennikarzem śledczym. Aktualnie pracuję nad artykułem o panu Hindsie Rackleyu, który — o ile mi wiadomo — jest pańskim partnerem biznesowym. Po wielu tygodniach uciążliwego kopania odkryłem, że pan Rackley za pośrednictwem Shiloh Square Financial, Varanda Capital, Baytrium Group oraz Lacker Street Trust jest właścicielem ośmiu komercyjnych uczelni prawniczych, które działają w różnych stanach. Sądząc na podstawie wyników egzaminów adwokackich, uczelnie te przyjmują ludzi, dla których tak naprawdę nie ma miejsca na studiach prawniczych i egzaminach adwokackich. Natomiast wygląda na to, że przynoszą one wielkie zyski właścicielowi.

Chciałbym możliwie jak najszybciej spotkać się z panem Rackleyem. Wspomniałem o moim odkryciu redaktorom „New York Timesa” i „Wall Street Journal” (bez wdawania się w szczegóły) i obie redakcje są zainteresowane moim materiałem. Czas jest sprawą kluczową.

Podaję swój numer telefonu: 838-774-9090. Jestem aktualnie w mieście i zależy mi na szybkim spotkaniu z panem Rackleyem lub jego upoważnionym reprezentantem.

Z góry dziękuję

Mark Finley

Był poniedziałek dwunastego maja, godzina trzynasta trzydzieści. Zanotowali ją, ciekawi, jak długo zajmie Jockety'emu odpowiedź. Tkwiąc w apartamencie hotelowym, przypuścili szturm na niczego niepodejrzewających mieszkańców przedmieść Wilmington w Delaware. Korzystając z internetowych książek telefonicznych, pociągnęli dalej swój przekręt i zaczęli dodawać kolejne nazwiska do pozwu zbiorowego. Jak się popełniło tysiąc sto przestępstw, sto czy dwieście więcej nie miało już znaczenia.

O piętnastej Mark wysłał ponownie maila do pana Jockety'ego, po czym zrobił to jeszcze raz o szesnastej. Dwie godziny później wsiedli do metra i pojechali na stadion, na którym Yankees grali mocno przereklamowany mecz z Metsami o dominację w mieście. Trybuny nie były pełne. Kupili dwa bilety na tanie miejsca pośrodku stadionu i zapłacili po dziesięć dolarów za małe puszki cienkiego piwa. Usiedli w najwyższym

rzędzie, by odseparować się od innych kibiców siedzących w tym sektorze.

W piątek mieli się stawić w sądzie i obaj uznali, że lepiej będzie nie zawalać tej daty. Wielomiesięczne doświadczenie podpowiadało im, że niestawienie się automatycznie owocuje sądowym nakazem aresztowania. Todd zadzwonił do Hadley Caviness; odebrała po drugim dzwonku.

– No proszę, proszę! Wygląda, chłopcy, że się w końcu doigraliście.

– Tak, kochanie, mamy kłopoty. Jesteś sama? Nie masz nic przeciwko temu, że pytam?

– Nie. Wychodzę dopiero później.

– Szczęśliwych łowów. Posłuchaj, potrzebna nam pomoc. Mamy stawić się w sądzie w piątek, ale wyjechaliśmy z miasta i w najbliższym czasie nie planujemy powrotu.

– Nie dziwię się. Narobiliście dużo szumu w kręgach sądowych. Wszyscy o was mówią.

– Niech sobie mówią. Ale wracając do pomocy…

– Czy kiedykolwiek wam czegoś odmówiłam?

– Nie odmówiłaś i za to cię kocham.

– Wszyscy tak mówią.

– Oto nasza prośba. Czy mogłabyś wpaść do Wydziału Szóstego i pogadać z urzędniczką, żeby

przesunęła nas o parę tygodni? Przełożenie kilku papierków nie powinno być trudne dla takiej mistrzyni jak ty.

– No nie wiem. Ktoś może tego pilnować. A dlaczego? Jeśli mnie spytają.

– Powiedz im, że chcemy wynająć adwokata, ale w tej chwili nie mamy forsy. Chodzi tylko o parę tygodni.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Jesteś cudowna.

– Tak, tak.

Pod koniec trzeciej rundy zadzwonił telefon Marka i wyświetlił się nieznany numer.

– To może być on – rzucił Mark.

Rzeczywiście dzwonił Marvin Jockety.

– Pan Rackley nie życzy sobie żadnych spotkań z panem – zaczął bez wstępów. – A jeśli cokolwiek pan przekręci, będzie bezlitośnie dochodził swoich praw w sądzie.

Mark uśmiechnął się, puścił oko do Todda i przełączył komórkę na tryb głośnomówiący.

– Ja też pana serdecznie witam. Tylko dlaczego pan Rackley tak od razu straszy mnie sądem? Czyżby miał coś do ukrycia?

– Nie ma nic do ukrycia, ale poważnie traktuje swoją prywatność i ma na podorędziu kilku bardzo nieprzyjemnych prawników.

– Nie wątpię. W końcu macza palce w co najmniej czterech kancelariach, w tym także w pańskiej. Proszę mu powiedzieć, żeby mnie pozwał. Nie mam grosza przy duszy.

– To go nie powstrzyma. Poda pana do sądu i zrujnuje pańską wiarygodność jako dziennikarza. A nawiasem mówiąc, dla kogo pan pracuje?

– Tylko dla siebie samego. Jak już wspominałem, jestem wolnym strzelcem. I tak mi właśnie przyszło do głowy, panie Jockety, że proces sądowy byłby mi bardzo na rękę, bo mógłbym wtedy wystąpić o prawdziwe pieniądze. Mógłbym go oskarżyć o postawienie nieuzasadnionych zarzutów i zarobić na tym fortunę.

– Nie grasz, chłopcze, w jego lidze.

– To się jeszcze okaże. Niech pan powie Rackleyowi, że jeśli poda mnie do sądu, to tym samym poda też „New York Timesa”, bo jestem z nimi umówiony jutro po południu. Chcą puścić ten materiał na pierwszej stronie wydania niedzielnego.

Jockety się roześmiał.

– Pan Rackley zna więcej ludzi z „Timesa” i „Wall Street Journal”, niż może pan sobie wyobrazić. Nawet nie tkną takiego tekstu.

– No cóż, będzie miał okazję się przekonać. Znam prawdę i mój artykuł będzie sensacją na pierwszej stronie.

– Pożałuje pan tego – rzucił Jockety i w słuchawce zapadła cisza.

Mark przez chwilę wpatrywał się w telefon, potem wsunął go do kieszeni dżinsów i westchnął.

– Twardy orzech – powiedział. – To nie będzie łatwe.

– Oni wszyscy są twardzi. Myślisz, że jeszcze raz zadzwoni?

– Kto go tam wie. Trzeba przyjąć, że rozmawiał z Rackleyem i są wystraszeni. Ostatnią rzeczą, jakiej Rackleyowi potrzeba, to szum w prasie. W jego uczelniach prawniczych nie ma nic nielegalnego, ale sprawa i tak śmierdzi.

– Zobaczysz, że zadzwonią. Bo czemu nie? Gdybyś był Rackleyem, to nie byłbyś ciekaw, ile naprawdę wiemy?

– Może.

– Zadzwonią.

Rozdział 36

Mark spał na kanapie, gdy we wtorek o szóstej pięćdziesiąt rano rozdzwonił się jego telefon.

– Pan Rackley może się z panem spotkać dziś o dziesiątej rano w swoim biurze. Jesteśmy w centrum Brooklynu przy Dean Street.

– Wiem, gdzie jesteście. – Naprawdę nie wiedział, ale firmę łatwo będzie znaleźć.

– Spotkam się z panem w holu o dziewiątej pięćdziesiąt. Proszę być punktualnie. Pan Rackley jest bardzo zajętym człowiekiem.

– To tak jak ja. I będę z kolegą, też dziennikarzem. Nazywa się Todd McCain.

– W porządku. Ktoś jeszcze?

– Nie, tylko my dwaj.

Sącząc kawę, doszli do wniosku, że Rackley celowo nie chce ich w swojej centrali przy Water Street w finansowej dzielnicy Manhattanu. Niewątpliwie to tam mieściła się pozłacana

klatka, godna człowieka o jego statusie, której wygląd mógł tak oszołomić dwóch reporterów, że zaczęliby się nad nią rozwodzić. Bezpieczniej było spotkać się z nimi na terenie jego prawników. W końcu już Markowi grożono procesem sądowym. Wkraczali do świata Rackleya, wrogiego miejsca, w którym jego prywatność była chroniona na wszelkie możliwe sposoby. Zastraszenie intruzów zwykle się sprawdza.

Nie ogolili się i włożyli dżinsy i stare marynarki, by wyglądać na luzaków, którym nie imponuje wygląd czyjegoś biura. Mark napchał papierami starą nylonową aktówkę kupioną w sklepie ze starzyzną w Brooklynie i trzeba przyznać, że rzeczywiście wyglądali na facetów, których nie ma sensu podawać do sądu.

Wysoki i nowoczesny biurowiec był jedną z wielu plomb, które wciśnięto w centrum Brooklynu. Czas, który pozostał im do spotkania, przesiedzieli w kawiarni za rogiem i weszli do atrium punktualnie o dziewiątej czterdzieści pięć. Marvin Jockety, wyglądający co najmniej dziesięć lat starzej niż na fotografii w internecie, stał obok kontuaru ochrony i rozmawiał z portierem. Mark i Todd podeszli i przedstawili się, a Jockety niechętnie podał im rękę.

– Musicie się czymś wylegitymować – mruknął, wskazując głową portiera.

Mark i Todd sięgnęli do portfeli i wręczyli mu swoje fałszywe prawa jazdy, a ten je zeskanował, porównał ich twarze ze zdjęciami i zwrócił dokumenty.

Poszli za Jocketym do wind i w milczeniu stanęli pod drzwiami. Gdy wsiedli do pustej windy, Jockety odwrócił się do nich plecami i bez słowa nacisnął przycisk.

Przyjazny skurwiel, pomyślał Mark, Todd zamamrotał coś pod nosem.

Winda zatrzymała się na szesnastym piętrze i weszli do ponurego holu firmy Ratliff & Cosgrove. Podczas swych krótkich karier prawniczych odwiedzili kilka eleganckich biur, z których urządzona z przepychem kancelaria Jeffreya Corbetta robiła największe wrażenie, choć Markowi najbardziej zapadł w pamięć muzealny charakter kancelarii Edwina Mossberga w Charlestonie. Siedziba Rusty'ego Savage'a – RUSTY CI POMOŻE – z jej atmosferą pogotowia ratunkowego i tłumem pokiereszowanych klientów przedstawiała się najgorzej; kancelaria Ratliff & Cosgrove była tylko odrobinę lepsza. Ale co tam. Nie przyszli tu, by podziwiać wystrój wnętrza.

Jockety zignorował recepcjonistkę, która zrewanżowała się tym samym i nie uniosła nawet głowy. Okrążyli narożnik i weszli bez pukania do obszernej sali konferencyjnej, w której stali dwaj mężczyźni w drogich garniturach, sącząc kawę z porcelanowych filiżanek. Na widok wchodzących żaden nawet nie drgnął.

– Panowie Finley i McCain – zaanonsował Jockety.

Mark i Todd znali trzy podobizny Hindsa Rackleya, wszystkie z gazet. Jedna z nich pochodziła z prezentacji Gordy'ego, której powiększenie przypiął do swej ściany, pozostałe dwie znaleźli w internecie. Rackley miał czterdzieści trzy lata, rzednące, zaczesane gładko do tyłu ciemne włosy i szparkowate oczy za okularami w półramkach. Skinął głową na Jockety'ego, a ten bez słowa wyszedł z sali.

– Jestem Hinds Rackley, to mój główny doradca prawny Barry Strayhan.

Strayhan skrzywił się, kiwnął głową i uznał, że to wystarczy. Tak jak jego klient trzymał filiżankę w jednej ręce i spodek w drugiej, co uniemożliwiało podanie ręki. Mark i Todd nawet tego nie próbowali i zatrzymali się co najmniej trzy metry od gospodarzy. Minęło kilka sekund

niezręcznego milczenia, które miało dać do zrozumienia dwóm intruzom, że nie mogą liczyć na jakiekolwiek uprzejmości.

– Siadajcie – rzucił w końcu Rackley, wskazując głową rząd krzeseł po swojej stronie stołu. Mark i Todd usiedli, Rackley i Strayhan przeszli na drugą stronę stołu i zajęli miejsca naprzeciwko nich.

Todd położył przed sobą swój smartfon.

– Nie mają panowie nic przeciwko temu, że będę nagrywał? – powiedział.

– Po co? – zapytał Strayhan jak ostatni żółtodziób. Był co najmniej dziesięć lat starszy od swojego klienta i sprawiał takie wrażenie, jakby całe jego życie było jedną wielką kłótnią.

– To taki nawyk wszystkich reporterów – wyjaśnił Todd.

– Zamierzacie potem spisać treść nagrania? – zapytał Strayhan.

– Prawdopodobnie – odparł Todd.

– To chcemy dostać kopię.

– Nie ma problemu.

– Ja też będę nagrywał – dodał Strayhan, kładąc smartfon na stole. Pojedynek na telefony.

Tymczasem Rackley nie spuszczał z Marka zimnego, pewnego siebie spojrzenia, jakby mówił: „Ja mam miliardy, a ty nie. Przewyższam

cię pod każdym względem, więc miej to na uwadze”.

Jedną z korzyści praktykowania ulicznego prawa bez licencji było to, że człowiek wyzbywał się wszelkich przejawów skrępowania. Stając bezczelnie przed obliczem sędziów, Mark i Todd przywykli udawać kogoś, kim naprawdę nie byli. I jeśli potrafili z zimną krwią patrzeć w oczy sędziom, podawać im fałszywe nazwiska i udawać prawników, z całą pewnością byli też w stanie usiąść twarzą w twarz z Hindsem Rackleyem i udawać dziennikarzy.

Mark spokojnie wytrzymał jego spojrzenie i nawet nie mrugnął.

– Chciał się pan ze mną widzieć – powiedział w końcu Rackley.

– Tak, bo pracujemy nad artykułem i pomyśleliśmy, że może będzie pan chciał coś do niego dodać.

– Co to za artykuł?

– Będzie zatytułowany: *Wielki przekręt z uczelniami prawniczymi*. Posiada pan, kontroluje lub w inny sposób jest pan związany z kilkoma firmami, do których należy osiem prywatnych uczelni prawniczych. Naprawdę bardzo zyskownych.

– Widział pan gdzieś przepis zabraniający prowadzenia prywatnych uczelni prawniczych? – zapytał Strayhan.

– Nie powiedziałem ani słowa, że to działalność zabroniona, prawda? – Mark zwrócił głowę w prawo i spojrzał na Todda. – Powiedziałem coś takiego?

– Ja nie słyszałem.

– Bo to nie jest zabronione i nie sugerujemy popełnienia czynu przestępczego – ciągnął Mark. – Chodzi tylko o to, że te uczelnie nie są niczym innym jak maszynkami do drukowania dyplomów, które przyjmują studentów niezależnie od wyniku egzaminu wstępnego, a ci zadłużają się po uszy, by mieć na pokrycie bardzo wysokiego czesnego. Pieniądze oczywiście trafiają do pana, a studenci kończą studia z potężnymi długami. Tylko połowa z nich zdaje egzamin adwokacki, większość nie znajduje pracy.

– To już ich problem – rzucił Rackley.

– Oczywiście, że ich – zgodził się z nim Mark. – I nikt ich nie zmusza do zaciągania kredytów.

– Czy przyznaje pan, że jest pan właścicielem lub w inny sposób kontroluje osiem wyższych uczelni prawniczych? – zapytał Todd.

– Niczego nie przyznaję i niczemu nie zaprzeczam, zwłaszcza wobec was – burknął Rackley. – Wam się zdaje, że kim wy, u diabła, jesteście?

To akurat niezłe pytanie, pomyślał Todd. Przybrane nazwiska mieszały mu się w głowie i czasami sam miewał wątpliwości, kim aktualnie jest.

Strayhan ironicznie się roześmiał.

– Macie może jakieś dowody? – parsknął.

Mark sięgnął do swej lichej aktówki i wyciągnął papier złożony tak, że miał wymiary mniej więcej dziesięć na sieden centymetrów, rozłożył go raz i drugi i przesunął po stole w stronę obu mężczyzn. Była to skondensowana wersja ściany Gordy'ego, obrazująca cały przekręt, z nazwiskiem Hindsa Rackleya w ramce u góry i plątaniną strzałek ukazujących przepływy i zależności.

Rackley popatrzył na rysunek bez większego zainteresowania, potem jednak wziął go do ręki i zaczął mu się przyglądać. Strayhan też pochylił nad nim głowę. Mark wiedział, że po ich pierwszej reakcji będzie coś wiadomo. Jeśli Gordy miał rację – a byli pewni, że tak było – Rackley może uznać, że są na jego tropie i mają dowody. Może wówczas spuścić z tonu i przyznać

to czy tamto na temat posiadania i kontrolowania całej masy różnych podmiotów. Ale równie dobrze może się zaprzeć i zagrozić sądem.

Rackley wolno odłożył kartkę i podniósł głowę.

– Ciekawe, ale niedokładne – powiedział.

– Jasne – rzucił Mark. – Możemy porozmawiać o tych niedokładnościach?

– Nie muszę. Jeśli opublikujecie materiał oparty na tych wypocinach, narobicie sobie poważnych kłopotów.

– Oskarżymy was o zniesławienie i przez następne dziesięć lat będziecie mieli nas na karku – zagroził Strayhan.

– Słuchajcie, panowie, wypróbowaliście już taktykę straszenia sądem i powinniście wiedzieć, że to nie działa, jasne? – powiedział Mark. – Nie boimy się waszych gróźb, bo nic nie mamy i nie możecie nam nic zabrać. Więc do dzieła.

– To prawda – dodał Todd. – Ale niewątpliwie wolelibyśmy uniknąć sprawy sądowej. Dlatego pytam: co dokładnie się nie zgadza w naszym diagramie?

– Nie odpowiem na żadne wasze pytania – rzucił Rackley. – Ale nawet średnio rozgarnięty dziennikarz powinien wiedzieć, że to wbrew

przepisom, bym ja lub ktokolwiek mógł być właścicielem kancelarii prawnej, w której nie pracuję. Prawnik nie może być wspólnikiem w więcej niż jednej kancelarii.

– Nie twierdzimy, że jest pan właścicielem tych czterech kancelarii prawnych – sprostował Mark. – Twierdzimy tylko, że je pan kontroluje. Na przykład firmę, w której jesteśmy, Ratliff and Cosgrove, prowadzi pański przyjaciel Marvin Jockety, który przypadkiem jest wspólnikiem w Varanda Capital. Pozostałe trzy kancelarie mają podobne powiązania. Na tym polega ich kontrolowanie. A pan we wszystkich czterech zatrudnia absolwentów pańskich uczelni prawniczych i płaci im atrakcyjne pensje. To pozwala pańskim uczelniom chwalić się wspaniałymi perspektywami zatrudnienia dla absolwentów i wabić kolejnych niczego niepodejrzewających młodych ludzi, by zapisywali się do pańskich uczelni i płacili horrendalne czesne. Na tym polega pański przekręt, panie Rackley, i jest on świetnie pomyślany, bo nie jest nielegalny… tylko niemoralny.

– Wszystko wam się pokręciło i mówicie bzdury – parsknął Strayhan, ale w jego śmiechu dawało się wyczuć pewną nerwowość.

Zabrzęczał telefon Rackleya, a ten wyjął go z kieszeni i przyłożył do ucha.

– Dobra, wejdź – odezwał się po chwili.

Drzwi otworzyły się niemal od razu i stanął w nich mężczyzna. Zamknął je za sobą, podszedł do stołu i stanął przy końcu z plikiem papierów w ręce.

– To jest Doug Broome, mój szef ochrony – oznajmił Rackley.

Mark i Todd popatrzyli na Broome'a, lecz ten nie zaszczycił ich spojrzeniem.

– Nie znaleźliśmy nic o Marku Finleyu i Toddzie McCainie – oświadczył, poprawiając okulary na nosie. – Szukaliśmy całą noc i całe rano, i ani słowa. Ani jednego artykułu, żadnego bloga, książki czy reportażu w sieci. Jest jeden Mark Finley, który pisze o ogrodnictwie w gazecie w Houston, ale ma pięćdziesiąt lat. Drugi pisze blog o wojnie secesyjnej, ten jednak ma już sześćdziesiąt lat. Był jeszcze taki, który pisał w gazetce uniwersyteckiej w Kalifornii, ale potem skończył studia i został dentystą. Oprócz nich nikogo więcej. Jeśli chodzi o Todda McCaina, to znaleźliśmy tylko jednego na Florydzie, który pisuje w miejscowym czasopiśmie. Więc jeśli ci dwaj twierdzą, że są dziennikarzami, to ich kariery zawodowe jeszcze się nie zaczęły. Jeżeli

chodzi o same nazwiska, to w tym kraju jest czterystu trzydziestu jeden Marków Finleyów i stu czterdziestu dwóch Toddów McCainów. Sprawdziliśmy wszystkich i nikt nie pasuje. I co najciekawsze, oba prawa jazdy, którymi dziś legitymowali się na dole, zostały wydane w Dystrykcie Kolumbii i ciekawostka polega na tym, że oba są fałszywe.

– Dziękuję, Doug – powiedział Rackley. – To wszystko.

Szef ochrony wyszedł z sali i zamknął za sobą drzwi.

Rackley i Strayhan siedzieli uśmiechnięci, Mark i Todd zachowywali spokój. Dotarli do punktu, z którego nie było już odwrotu. Mark próbował uspokoić nerwy, kontynuując atak.

– Jestem pod wrażeniem! To się nazywa świetna robota.

– Naprawdę imponująca – dorzucił hardo Todd, choć tak naprawdę obaj najchętniej rzuciliby się do drzwi.

– Dobra, chłopcy, skoro waszą wiarygodność diabli wzięli, to może nam powiecie, kim naprawdę jesteście i co tu jest grane.

– Skoro nie odpowiada pan na nasze pytania, to my nie odpowiemy na pańskie. To, kim jesteśmy naprawdę, nie ma znaczenia. Znaczenie

ma to, że nasz diagram jest na tyle bliski prawdy, że możemy ujawnić wasz przekręt i narobić wam mnóstwo kłopotu.

– Chcecie pieniędzy? – zapytał Strayhan. – Chodzi o wymuszenie?

– Nie, zupełnie nie. Nasze plany nie uległy zmianie. Chcemy usiąść z odpowiednim dziennikarzem i przekazać mu ten cały szajs. W teczce mamy dużo więcej. Na przykład zeznania byłych pracowników waszych kancelarii, którzy uważają, że wykorzystano ich do celów propagandowych. Mamy oświadczenia byłych wykładowców z uczelni prawniczych. Mamy komplet danych na temat skandalicznych wyników waszych absolwentów na egzaminach adwokackich. Mamy dane świadczące o tym, że liczba waszych studentów gwałtownie wzrosła w chwili, gdy władze federalne otworzyły kasę dla tysięcy niewydarzonych studentów. Mamy dziesiątki oświadczeń tychże studentów, którzy pokończyli studia z potwornym zadłużeniem i bez szans na znalezienie pracy. Jest tego gruba teczka i wydrukowanie fragmentów na pierwszej stronie gazety narobi dużo szumu.

– I gdzie jest ta teczka? – zapytał Strayhan.

Todd sięgnął do kieszonki koszuli, wyjął pendrive’a i niedbałym ruchem rzucił go na stół.

– Proszę, tu. Poczytajcie to sobie i popłaczcie się.

Rackley nawet na niego nie spojrzał.

– Mam bardzo dobre kontakty z redakcjami „Timesa” i „Journala”. Zapewnili mnie, że nic o tej sprawie nie wiedzą – powiedział.

Mark spojrzał na niego i uśmiechnął się promiennie.

– Gówno prawda. Bezczelne, aroganckie kłamstwo. Chce pan nam wmówić, że zna pan wszystkich w tych redakcjach? I że nie tylko pan ich zna, ale że ufają panu na tyle, by dzielić się z panem poufnymi informacjami? Kompletne bzdury! I to z ust człowieka znanego z tego, że konsekwentnie unika dziennikarzy. Niech pan nie plecie, panie Rackley.

– Znam adwokatów „Timesa” i „Journala” i mogę was zapewnić, że nie zaryzykują procesu sądowego o zniesławienie.

– Chyba pan żartuje – parsknął Todd. – Będą zachwyceni, bo będą mogli wystawić redakcji rachunki po tysiąc dolców za godzinę. Jeśliby to od nich zależało, chcieliby codziennie mieć takie procesy.

– Nie masz o tym pojęcia, synu – obruszył się Strayhan, ale tak naprawdę to nic nie znaczyło. Diagram powiązań wyraźnie nimi wstrząsnął,

w dodatku Mark i Todd nie byli tymi, za których się podawali.

Rackley odsunął krzesło, wstał od stołu i podszedł z filiżanką do stolika z kawą. Jak dotąd intruzom nie zaproponowano nic do picia. Wolno nalał sobie kawy ze srebrnego dzbanka, wrzucił dwie kostki cukru i w zamyśleniu zaczął mieszać, po czym bez słowa wrócił do stołu. Usiadł, łyknął kawy i spojrzał na Marka.

– Masz rację. Ten materiał umieszczony na pierwszej stronie będzie sensacją, ale tylko przez jedną dobę, bo wszystko jest legalne i zgodne z przepisami. Nigdzie nie przekraczam linii i tak naprawdę nie wiem, po co w ogóle tracę czas na rozmowę z wami.

– Och, to będzie dużo więcej niż jednodobowa sensacja. Kiedy policzą pańskie uczelnie i stwierdzą, że na każdej z nich zarabia pan na czysto po dwadzieścia milionów rocznie, sprawa zrobi się dużo poważniejsza. A jak połączą te zarobki z pieniędzmi z kasy federalnej, to wybuchnie skandal, który nie będzie miał końca.

Rackley wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie.

– No to porozmawiajmy o banku Swift – wtrącił Todd.

– Nie, mam już dość rozmowy, zwłaszcza z dwoma smarkaczami, którzy posługują się fałszywymi nazwiskami i fałszywymi dokumentami.

– Zgodnie z zapisami w Komisji Papierów Wartościowych – ciągnął Todd, jakby nie słyszał jego słów – do Shiloh Square Financial należy cztery procent udziałów w banku Swift, co czyni z niego drugiego co do wielkości udziałowca. Sądzimy jednak, że jest pan właścicielem dużo większego pakietu.

Rackley zamrugał i lekko się wzdrygnął, Strayhan zmarszczył czoło. Mark sięgnął do aktówki i wyjął kolejną kartkę, którą też rozłożył, ale nie przesunął po stole.

Gordy wymierzył swój ostateczny cios zza grobu.

– Mamy tu wykaz największych udziałowców banku Swift, w sumie około czterdziestu. W większości to fundusze inwestycyjne, posiadające jeden lub dwa procent udziałów. Niektóre z nich działają za granicą i ich udziały wydają się całkiem legalnymi inwestycjami. Ale niektóre to typowe wydmuszki spoza Stanów i kryją się za nimi inne wydmuszki, za którymi kryją się prawdziwi właściciele udziałów Swifta. Podejrzanie brzmiące firmy zarejestrowane

w takich miejscach jak Panama, Wielki Kajman czy Bahamy. Praktycznie niemożliwe do prześwietlenia, zwłaszcza przez dwóch niedziennikarzy jak my. Nie możemy wystawić wezwań ani nakazów, nie możemy założyć im podsłuchu, nie możemy nikogo aresztować. Ale FBI z całą pewnością może.

Mark przesunął kartkę w stronę Rackleya, a ten wziął ją do ręki i spokojnie jej się przyjrzał. Wyrysowano na niej dalszy ciąg powiązań, tym razem w odniesieniu do banku Swift. Po krótkiej chwili Rackley wzruszył ramionami i nawet lekko się uśmiechnął.

– Nie rozpoznaję żadnej z tych firm – odezwał się obojętnym tonem.

– To jakieś śmieci – wymamrotał Strayhan.

– Powtórzę, że nie twierdzimy, że to pan za nimi stoi, rozumie pan? – zastrzegł Mark. – Nie mamy możliwości zajrzenia pod poszewkę firmom spoza Stanów.

– Zrozumiałem za pierwszym razem – burknął Rackley. – Czego chcecie?

– Chodzi wam o pieniądze? – dodał Strayhan.

– Nie. Już raz pan o to pytał – odparł Todd. – Chodzi nam o prawdę. Chcemy, żeby pan i pański wielki przekręt z uczelniami prawniczymi trafił na pierwsze strony gazet. Bo jesteśmy jego

ofiarami. Zapisaliśmy się do jednej z pańskich drukarni dyplomów, wpadliśmy w kolosalne zadłużenie, którego nie jesteśmy w stanie spłacić, ponieważ nie możemy znaleźć pracy, i staliśmy się dwoma rozbitkami bez przyszłości. I nie jesteśmy jedyni. Takich jak my są tysiące, panie Rackley, i wszyscy są pańskimi ofiarami.

– Chłopak, który opracował te diagramy, był naszym najlepszym przyjacielem – dodał Mark. – Załamał się i w styczniu popełnił samobójstwo. Miał ku temu kilka powodów i wiele pretensji do świata. Część była skierowana osobiście do pana. Był winien ćwierć miliona dolarów w postaci kredytu studenckiego i pieniądze te wpłynęły do pana. Wszyscy daliśmy się złapać na przekręt ze studiami prawniczymi, tylko że on był bardziej podatny, niż sądziliśmy.

Na twarzach Rackleya i Strayhana nie pojawiło się nic, co można by uznać za wyrzuty sumienia.

– Spytam raz jeszcze – odezwał się zupełnie obojętnym tonem Rackley. – Czego chcecie?

– Szybkiego załatwienia wszystkich sześciu pozwów zbiorowych przeciwko bankowi Swift, poczynając od pozwu złożonego przez kancelarię Cohen-Cutler z Miami.

Rackley uniósł ręce w geście kompletnego zaskoczenia.

– Zdawało mi się, że te pozwy są załatwiane – zwrócił się do Strayhana.

– Są – potwierdził Strayhan, marszcząc czoło.

– No cóż, z wiadomości przeciekających do prasy wynika, że bank zajmuje się tą sprawą i negocjuje warunki, ale ciągnie się to już trzy miesiące. Bo prawda jest taka, że wasi prawnicy się okopali. Milion klientów banku Swift zostało oszukanych i należy im się natychmiastowa rekompensata.

– Wiemy o tym – warknął Rackley, po raz pierwszy tracąc zimną krew. – Możecie nam wierzyć, że wszystko to wiemy i próbujemy się dogadać. Przynajmniej tak mi się zdawało. – Popatrzył na Strayhana i prychnął: – Dowiedz się, co się z tym dzieje. – A potem przeniósł wzrok na Marka i spytał: – Co wy macie z tym wspólnego?

– To sprawa poufna – odparł z uśmiechem Mark.

– Naprawdę nie możemy o tym mówić – dodał Todd. – Jest w tej chwili godzina dziesiąta trzydzieści we wtorek. Kiedy bank może ogłosić, że uznaje wszystkie pozwy zbiorowe?

– Zaraz, nie tak szybko – rzucił Rackley. – A co z waszym artykułem o wielkim przekręcie

z uczelniami prawniczymi? Z waszą sensacją z pierwszej strony?

– Możemy się umówić, że jutro o szesnastej spotkamy się z dziennikarzem z „Timesa” – powiedział Todd.

– Z prawdziwym dziennikarzem? – prychnął Rackley.

– Jasne. Takim, który potrafi obedrzeć was ze skóry. Przekażemy mu cały materiał. Jeśli trafi to do druku, a nie mamy powodu sądzić, by nie trafiło, zostanie pan wrogiem publicznym miesiąca. Gorzej, artykuł przyciągnie uwagę FBI, które, jak pan zapewne wie, już interesuje się aferą Swifta. Ten fragment o udziałach należących do firm spoza Stanów będzie jak dolanie benzyny do ognia.

– Wszystko to rozumiem – mruknął Rackley. – Przejdźcie do rzeczy.

– Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin Swift ogłosi zawarcie porozumienia, spotkania z dziennikarzem nie będzie.

– I odczepicie się?

– Odczepimy się. Ale musi pan doprowadzić do zawarcia porozumienia. I proszę dopilnować, by pozew z Miami był załatwiony w pierwszej kolejności. Kiedy pieniądze trafią na konta powodów, znikniemy. I nie powiemy ani słowa.

Odpuścimy przekręt z uczelniami, niech ktoś inny się tym zajmie.

Rackley przez dłuższą chwilę przypatrywał im się w milczeniu; Strayhan wiedział, że nie ma po co się odzywać. Zapadła ciągnąca się w nieskończoność cisza. W końcu Rackley wstał.

– Bank nie ma wyboru i musi się porozumieć – oświadczył. – Komunikat o uznaniu pozwów zostanie ogłoszony dziś po południu. Ja też nie mam wyjścia i muszę zaufać wam na słowo.

Mark i Todd zerwali się z miejsc, jakby nie mogli się doczekać, by stąd wyjść.

– Ma pan nasze słowo, że zrobimy, co w naszej mocy – zapewnił Mark.

– Możecie już iść – mruknął Rackley.

Rozdział 37

Podczas weekendu Idina Sanga nie posunęła się ani o krok do przodu. Policja nie dopuściła jej do Abdou, zapewniając jedynie, że nic mu nie grozi i jest dobrze traktowany. W poniedziałek w południe Sanga zadzwoniła do Zoli i poinformowała ją, że nic się nie zmieniło, ale naciska różne sprężyny na różnych szczeblach państwowej biurokracji. Raz jeszcze powtórzyła, że takie sprawy wymagają czasu.

Po czterech dniach bezczynności Zola zaczynała drapać ściany. Siedziały z matką w hotelu i godzinami rozmawiały, czego od lat nie robiły; z Bo przesiadywali w małej hotelowej kawiarni, pijąc po kilka herbat dziennie. Od czasu do czasu dzwoniła też do wspólników i wypytywała o najnowsze nieszczęścia, które ich spotkały.

Za dwupokojowy apartament w hotelu płaciła równowartość stu amerykańskich dolarów

dziennie. Do tego dochodził koszt posiłków jedzonych w kawiarni. Zaczynała się martwić stanem swoich finansów. Przyjechała z około dziesięcioma tysiącami dolarów, z czego trzy tysiące poszły od razu na honorarium pani Sangi. Przy założeniu, że ojciec zostanie wkrótce zwolniony, rodzinie będzie potrzebne mieszkanie, ubranie, jedzenie i inne rzeczy, więc Zola obawiała się, że jej zapas gotówki zbyt szybko się wyczerpie. Na koncie w Waszyngtonie miała jeszcze sześć tysięcy dolarów, wiedziała też, że w razie czego może liczyć na pomoc chłopaków, niemniej kwestia pieniędzy zaczynała ją dręczyć. W chwili aresztowania przez ICE ojciec miał osiemset dolarów w gotówce, Bo dwieście. Wszystkie oszczędności rodziny poszły na opłacenie prawnika od spraw imigracyjnych, który tak naprawdę nic nie zrobił. W tej sytuacji ich przyszłość w Senegalu – jakakolwiek by była – opierała się na skromnych oszczędnościach Zoli.

I cały czas należało się liczyć z koniecznością zapłacenia łapówki.

W poniedziałek po południu ich niepewna sytuacja finansowa uległa dalszemu pogorszeniu. Pod hotel zajechały dwa radiowozy i wysiadło z nich czterech umundurowanych policjantów.

Zola i Bo, którzy akurat siedzieli w holu i pili herbatę, rozpoznali dwóch z nich. Policjanci kazali im się nie ruszać i wzięli od recepcjonisty klucze do ich pokoi na trzecim piętrze. Jeden z czwórki został na dole, pozostali trzej pojechali na górę. Chwilę później jeden z nich zjechał z Fantą i kazał jej dołączyć do dzieci.

– Przeszukują nasze pokoje – szepnęła Fanta i Zola z ulgą pomyślała, że choć to zła wiadomość, przynajmniej jej pieniądze leżą bezpiecznie w sejfie w recepcji hotelowej.

Przez godzinę siedzieli bezczynnie, wyobrażając sobie, jak ich pokoje są wywracane do góry nogami. Gdy w końcu trzej policjanci zjechali do holu, dowodzący nimi sierżant wręczył recepcjoniście świstek papieru, a ten szybko spełnił polecenie.

– Mamy nakaz przeszukania sejfu hotelowego – powiedział sierżant po angielsku.

– Zaraz, chwilę – oburzyła się Zola, wstając z fotela i ruszając do recepcji. – Nie wolno wam przeszukiwać moich rzeczy.

Jeden z policjantów zastawił jej drogę.

Fanta zaczęła terkotać po francusku, Bo próbował się włączyć, ale został odepchnięty. Recepcjonista zniknął na zapleczu i wrócił z niewielką metalową kasetką wyglądającą jak ta,

w której były pieniądze Zoli. Dziewczyna widziała, jak ją wsunął do hotelowego sejfu obok kilkunastu innych. Kasetka nie miała zamka.

Sierżant spojrzał na Zolę.

– Tutaj – rzucił.

Stanęła przy kontuarze, patrząc, jak policjant otwiera kasetkę, wyjmuje kopertę, a z niej plik banknotów dolarowych i wolno odlicza dwadzieścia studolarówek, po czym bierze do ręki gruby plik franków zachodnioafrykańskich i zaczyna liczyć. Przy kursie sześciuset franków za dolara banknotów było dużo i liczenie trochę potrwało. Zola wpatrywała się, zgrzytając zębami z wściekłości, ale czuła całkowitą bezsilność. Łącznie w kasetce znajdowała się równowartość sześciu tysięcy dolarów. Wyraźnie zadowolony ze zdobyczy sierżant opróżnił kasetkę do końca. Opasane gumką leżały w niej trzy plastikowe karty – fałszywe prawo jazdy z Dystryktu Kolumbii, legitymacja studencka z Foggy Bottom i nieważna już karta kredytowa. Telefony komórkowe Zoli były schowane w woreczku wepchniętym pod materac.

W torebce ściskanej pod pachą miała paszport, prawo jazdy wydane w Jersey, około pięciuset dolarów w gotówce i dwie karty kredytowe. Jeśli będą chcieli się do tego dobrać,

nie podda się bez walki. Nogi się pod nią ugięły, kiedy sierżant warknął: „Paszport”.

Otworzyła torebkę, pogrzebała w środku i wyjęła paszport. Sierżant dokładnie go obejrzał, przez dłuższą chwilę przypatrywał się torebce, w końcu jednak bez słowa go oddał. W tym czasie jeden z policjantów przystąpił do spisywania zawartości kasetki, co wskazywało na to, że zamierzają wszystko zabrać.

Po uratowaniu torebki Zola nabrała nieco śmiałości.

– Zabieracie moje rzeczy? – rzuciła.

– Mamy nakaz – odpowiedział sierżant.

– Ale za co? Przecież nic nie zrobiłam.

– Mamy nakaz – powtórzył. – Podpisz tu. – Wskazał palcem wykaz zawartości.

– Niczego nie podpiszę – burknęła, wiedząc, że i tak nic jej to nie da. Po namyśle zaczerpnęła głęboko powietrza i uznała, że stawianie oporu jest bezsensowne.

Sierżant włożył gotówkę i karty do dużej hotelowej koperty i podał jednemu z policjantów, po czym spojrzał na Bo i powiedział po francusku:

– Ty idziesz z nami.

Bo nie zrozumiał; dotarło to do niego dopiero wówczas, gdy stojący obok policjant wyszarpnął

kajdanki i chwycił go za nadgarstek. Brat Zoli instynktownie się sprężył, co spowodowało, że drugi policjant złapał go za ramię.

– Co wy robicie?! – krzyknęła po angielsku, a jej matka jednocześnie zaprotestowała po francusku.

Bo westchnął i rozluźnił ręce, które ściągnięto mu do tyłu i skuto.

– Daj spokój – zwrócił się do matki.

– Co wy wyprawiacie?! – krzyknęła ponownie Zola.

Sierżant odczepił kajdanki od pasa i zadyndał jej nimi przed nosem.

– Spokój! – warknął. – Bo matkę też możemy zabrać.

– Daj spokój, Zola, nic się nie dzieje. Zobaczę, co u taty.

Dwóch policjantów popchnęło Bo do drzwi; sierżant wyszedł za nimi z kopertą w ręce. Zola i Fanta patrzyły oniemiałe, jak prowadzą Bo do radiowozu i bezceremonialnie wpychają go na tylne siedzenie.

Po odjeździe radiowozów Zola od razu zadzwoniła do Idiny Sangi.

* * *

We wtorek trzynastego maja o czwartej po południu prawnicy banku Swift przedstawili propozycję ugody w sprawie sześciu pozwów zbiorowych z całego kraju. W świetle krążących wokół tej sprawy pogłosek opinia publiczna była niemal rozczarowana, bo nadzieja na zasądzenie gigantycznego odszkodowania spaliła na panewce.

Bank zgodził się wpłacić na specjalny fundusz wyrównawczy wstępną kwotę czterech miliardów dwustu milionów dolarów na pokrycie roszczeń około miliona stu tysięcy klientów. Do sześciu pozwów zbiorowych przystąpiło w sumie osiemset tysięcy osób, co zostawiało zdrowy margines bezpieczeństwa na ewentualne dalsze pozwy. Występując w imieniu dwustu dwudziestu tysięcy klientów, kancelaria Cohen-Cutler złożyła najliczniejszy ze wszystkich pozew zbiorowy. Został on przyjęty jako pierwszy, okazał się najlepiej przygotowany i miał być pierwszy obsłużony.

Porozumienie obejmowało trzy grupy klientów. Najbardziej pokrzywdzeni byli ci właściciele nieruchomości, którzy z powodu nieuczciwych praktyk Swifta stracili prawa własności. Była to najmniej liczna grupa, szacowana na mniej więcej pięć tysięcy osób.

W drugiej znajdowało się około osiemdziesięciu tysięcy klientów Swifta, których zdolność kredytowa w wyniku działań banku została zrujnowana lub poważnie osłabiona. Do grupy trzeciej należeli wszyscy pozostali – klienci Swifta oskubani przez ukryte opłaty i obniżone stopy procentowe depozytów. Każdy członek tej grupy miał dostać trzy tysiące osiemset dolarów tytułem rekompensaty.

Koszty adwokackie negocjowano oddzielnie i pieniądze na ten cel miały być przekazane do innego funduszu. Stawka za każdego klienta wynosiła osiemset dolarów, niezależnie od wielkości jego strat. Kancelaria Cohen-Cutler, tak jak inne wiodące firmy w pozwach zbiorowych, miała dostać dodatkowe osiem procent całkowitej wartości pozwu.

Komentatorzy biznesowi natychmiast podchwycili wiadomość, a ich opinie skłaniały się ku ocenie, że Swift zachowuje się dokładnie tak, jak powinien. Rzuć na stół furę pieniędzy, załatw z ich pomocą problem i zapomnij o wszystkim. Przy tak korzystnym obrocie sprawy każdy oczekiwał, że bankowa propozycja ugody zostanie w ciągu paru dni przyklepnięta przez sądy.

O godzinie siedemnastej nie było ani jednego prawnika od pozwów zbiorowych, który sprzeciwiałby się zawarciu porozumienia. Wszyscy byli zbyt zajęci uzupełnianiem dokumentacji tych klientów, którzy nie podpisali jeszcze pozwów.

* * *

Hadley zadzwoniła do Todda we wtorek późnym popołudniem ze złą wiadomością. Tym razem jej czary nie zadziałały i nie udało jej się przesunąć terminu przesłuchania wstępnego o tydzień lub dwa. Prokurator prowadzący sprawę uparł się, że muszą stawić się w sądzie w piątek. Hadley powiedziała, że wokół nich zrobiło się trochę szumu. Wszyscy byli tak znużeni przypadkami związanymi z narkotykami i prowadzeniem po alkoholu, że tak nietypowa sprawa stanowiła świeży powiew w prokuraturze. Tak że przykro mi, chłopcy.

– Musimy wynająć adwokata – powiedział Todd. Siedzieli na ławce parkowej na Coney Island, paląc długie czarne cygara i popijając wodę z butelek.

– No to pospierajmy się – odparł Mark. – Bo ja uważam, że adwokat nam niepotrzebny.

– Dobra. Nie stawiamy się w piątek w sądzie i co dalej? Sędzia najprawdopodobniej wystawi sądowe nakazy aresztowania i trafimy do systemu.

– I co z tego? Wielkie rzeczy! Nie jesteśmy dilerami ani członkami Al-Kaidy. Nie handlujemy narkotykami ani nie szykujemy aktów terrorystycznych. Myślisz, że ktoś się poważnie przejmie szukaniem nas?

– Nie, ale trafimy na listę poszukiwanych, żywych lub martwych.

– I co z tego, skoro nikt nie będzie nas szukał?

– A jeśli znajdziemy się w tarapatach i będziemy musieli wyjechać z kraju? Pokazujemy na lotnisku paszporty i gdzieś odzywa się dzwonek alarmowy. Wystawiony nakaz aresztowania. Facetowi ze straży granicznej będzie obojętne, jakie popełniliśmy przestępstwo. Spróbujemy mu wyjaśnić, że jesteśmy tylko dwójką klaunów, którym zachciało się udawać prawników, ale on będzie miał to w dupie. Zobaczy tylko czerwony znaczek przy naszych nazwiskach i za chwilę my zobaczymy znów kajdanki. Muszę ci powiedzieć, że jestem gotów zrobić wszystko, by uniknąć ponownego kontaktu z kajdankami.

– A w czym nam pomoże adwokat?

– Będzie grał na zwłokę. Kupi nam trochę czasu, powstrzyma wykonanie nakazu, dogada się z oskarżycielem. A my nie pójdziemy siedzieć.

– Ja na pewno nie pójdę siedzieć, Todd. Cokolwiek by się działo.

– Już o tym rozmawialiśmy. Potrzebujemy czasu, a adwokat może to ciągnąć miesiącami.

Mark wypuścił kłąb czarnego, gęstego dymu z cygara.

– Masz na myśli kogoś konkretnego? – spytał.

– Darrella Cromleya.

– Tego gnojka? Mam nadzieję, że wciąż nas szuka.

– Myślę o Philu Sarrano. Był na trzecim roku w Foggy Bottom, kiedy my zaczynaliśmy. W porządku koleś, pracuje w małej kancelarii prawa karnego w pobliżu Capitol Hill.

– Pamiętam go. Ile od nas weźmie?

– Nie dowiemy się, póki go nie spytamy. Między pięć a dziesięć kawałków, nie sądzisz?

– Potargujmy się. Z forsą u nas krucho.

– Zadzwonię do niego.

Phil Sarrano zażądał honorarium w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, na co Todd aż stęknął, odebrało mu głos, zaczął się jąkać i sprawiał wrażenie ogłuszonego, po czym przypomniał, że on i kolega są tylko biednymi

byłymi studentami prawa bez pracy, za to z półmilionowym długiem wobec państwa. Zapewnił też, że sprawa w ogóle nie trafi do sądu i nie zajmie dużo czasu. Cena została stopniowo oskrobana do kości i stanęło w końcu na sześciu tysiącach dolarów. Todd oświadczył panu mecenasowi, że będzie musiał pożyczyć pieniądze od babci.

Godzinę później Sarrano zadzwonił ze złą wiadomością, że sędzia Abe Abbott, któremu przydzielono tę sprawę, żąda osobistego stawiennictwa oskarżonych w Wydziale VI Sądu Okręgowego w piątek o dziesiątej rano. Najwyraźniej sprawa zaintrygowała sędziego i postanowił dokładnie jej się przyjrzeć. A to oznacza, że nie ma mowy o żadnym odwlekaniu terminu.

– I sędzia pyta też, co się dzieje z Zolą Maal – dodał Sarrano.

– Nie jesteśmy za nią odpowiedzialni – oświadczył Todd. – Niech szuka w Afryce. Jej rodzinę właśnie deportowano, więc może pojechała za nimi.

– W Afryce? Dobra, przekażę mu.

Todd powiadomił przyjaciela, że przyjdzie im wrócić do Waszyngtonu dużo wcześniej, niż planowali. Toddowi raz zdarzyło się stawać

przed sędzią Abbottem, podobnie jak Markowi. Ponowne spotkanie twarzą w twarz z sędzią nie budziło u żadnego z nich entuzjazmu.

Rozdział 38

Dom Frazierów stał przy York Street w Dover w stanie Delaware; Lucerowie nadal mieszkali przy Orange Street w południowym Baltimore. Firma York & Orange Traders powstała bezszmerowo dzięki zaskakująco sprawnemu systemowi rejestracji nowych podmiotów, jaki obowiązywał w rodzinnym stanie Marka. Wystarczyło zapłacić pięćset dolarów kartą kredytową i dokonać zgłoszenia przez internet, by nowa firma została zarejestrowana pod adresem jednego z wielu serwisów korporacyjnych, które działały w Delaware. Natychmiast po rejestracji firma York & Orange Traders zaczęła rozwijać się na skalę międzynarodową w postaci pierwszego oddziału zagranicznego na Karaibach, a dokładnie na Barbadosie. Po wniesieniu opłaty w wysokości sześciuset pięćdziesięciu dolarów firmę zarejestrowano na Antylach Małych.

Niestety, otwarcie rachunku bankowego nie było już takie proste.

Po paru tygodniach rozglądania się w internecie Mark i Todd postanowili nawet nie podchodzić do banków szwajcarskich. Wystarczył cień podejrzenia o nielegalne pochodzenie pieniędzy, i szwajcarski bank odmawiał współpracy. Generalnie rzecz biorąc, Szwajcarzy byli podejrzliwi wobec amerykańskich organów kontrolnych i wiele ich banków wprost odmawiało prowadzenia interesów ze Stanami. Na szczęście banki na Karaibach nie były aż tak dociekliwe.

* * *

Wall Street przyjęło z satysfakcją proponowane porozumienie i w rezultacie kurs akcji banku Swift na otwarciu poszedł ostro w górę i do południa piął się coraz wyżej. W środę w południe kurs uległ podwojeniu i osiągnął cenę dwudziestu siedmiu dolarów za akcję.

Prawnicy Swifta uporczywie zabiegali o uzyskanie zgody sześciu sędziów federalnych, do których trafiły pozwy zbiorowe. Dlatego nie zaskoczyło nikogo – a już na pewno nie Marka

i Todda, którzy uważnie monitorowali przebieg akcji za pomocą kilku aplikacji dających wgląd w działania sądów – że sędzia w Miami jako pierwszy dobiegł do mety i tuż przed czternastą podpisał zgodę na zawarcie porozumienia, niecałe dwadzieścia cztery godziny od przedstawienia propozycji przez bank Swift.

Wkrótce potem Marvin Jockety zadzwonił do Marka i sztucznie ugrzecznionym tonem poprosił go, by zadzwonił do Barry'ego Strayhana.

– Oczywiście – odparł Mark. – Numer?

Jockety podał mu numer i rozłączył się bez słowa. Mark od razu zadzwonił do Strayhana, a ten powiedział:

– Dotrzymaliśmy naszej części umowy. A jak z wami?

– Odwołaliśmy nasze spotkanie z „Timesem". Zaczekamy, aż pieniądze fizycznie trafią na konta i znikniemy. Tak jak obiecaliśmy.

– Co wy macie z tego porozumienia?

– Kończył pan prawo na Harvardzie, czy tak, panie Strayhan? Rocznik osiemdziesiąty czwarty, zgadza się?

– Zgadza się.

– I na Harvardzie nie uczyli pana, że nie zadaje się pytań, na które nikt nie udzieli odpowiedzi?

Połączenie zostało przerwane.

* * *

W środę rano Idina Sanga zjawiła się w areszcie i oświadczyła obsłudze, że nie wyjdzie, póki nie umożliwią jej rozmowy z jej klientami. Oznajmiła też, że ma przy sobie nazwisko i numer telefonu urzędującego ministra sprawiedliwości i jest gotowa w każdej chwili do niego zadzwonić. Przez godzinę głośno się odgrażała, aż wreszcie zaprowadzono ją do zachodniego skrzydła, gdzie mieścił się rząd maleńkich cel, z których większość już widziała. W pomieszczeniu nie było okna ani wentylacji, więc w piekielnej duchocie czekała ponad godzinę na przyprowadzenie skutego kajdankami Bo, który miał podbite lewe oko i rozcięty łuk brwiowy. Strażnicy wyszli, nie zdejmując mu kajdanek.

– Nic się nie stało – powiedział Bo. – Niech pani nic nie mówi Zoli ani mojej matce.

– Co panu zrobili?

– To tylko strażnicy. Wie pani, trochę się mną pobawili.

– Współczuję. Mam złożyć skargę?

– Nie, proszę nie. To tylko pogorszy sprawę, o ile to w ogóle możliwe. Siedzę w celi z pięcioma innymi mężczyznami, wszyscy deportowani ze Stanów. Warunki są podłe, ale jakoś żyjemy. Skarga tylko wszystko skomplikuje.

– Nie spotkał pan nigdzie ojca?

– Nie, nie widziałem go i bardzo się o niego martwię.

– Przesłuchiwali pana?

– Tak, jeden oficer dziś rano. Byliśmy tylko my dwaj, w pokoju nie było nikogo więcej. Myślą, że siostra jest zamożną amerykańską prawniczką, i oczywiście chodzi im o kasę. Próbowałem wyjaśnić, że jest tylko biedną studentką prawa, ale mi nie uwierzył. Nazwał mnie kłamcą. Twierdzi, że mają dowody. Znaleźli pieniądze w hotelowej kasetce Zoli. Nazwał to zaliczką i oświadczył, że chcą więcej.

– Ile więcej?

– Dziesięć tysięcy dolarów za ojca, osiem tysięcy za matkę i osiem za mnie.

– To niesłychane! – Idina Sanga była oburzona taką chciwością. – Łapówki są tu na porządku dziennym, ale nie w tej wysokości.

– Powtarzam, oni uważają Zolę za bogatą. Jeśli przyleciała tu z taką furą pieniędzy, to znaczy, że w domu musi mieć dużo więcej.

– A co z tymi sześcioma tysiącami, które już zabrali?

– Powiedział, że to opłata za Zolę. Próbowałem mu tłumaczyć, że jest obywatelką amerykańską i już się zarejestrowała w tutejszej ambasadzie, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Zagroził, że jeśli pieniądze nie zostaną wpłacone, aresztują ją i matkę.

– To się nie mieści w głowie. Znam ważnych ludzi w rządzie i zaraz do nich zadzwonię.

Bo skrzywił się i pokręcił głową.

– Proszę tego nie robić. Dowiedziałem się, że w zeszłym tygodniu zmarło tu dwóch mężczyzn. Sprawy w areszcie mogą przybrać dużo gorszy obrót. Czasami słyszymy krzyki. Jeśli się pani poskarży, nie wiadomo, co się może zdarzyć. – Uniósł skute ręce do twarzy i niezdarnie wytarł sobie usta wierzchem dłoni. – W Stanach mam przyjaciół, ale to wszystko ciężko pracujący ludzie i jak my mają mało pieniędzy. Mój brat Sory mieszka teraz w Kalifornii, ale on nie oszczędza i zawsze jest bez grosza. Nie przychodzi mi do głowy nikt, do kogo mógłbym zadzwonić. Mój szef… czy raczej były szef… to przyzwoity gość, on jednak nie będzie chciał się mieszać. Nikt nie chce, kiedy sprawa dotyczy nielegalnych imigrantów, których władze

wyłapują i deportują. Przez cztery miesiące siedzieliśmy w obozie przejściowym i praktycznie straciliśmy kontakt ze światem zewnętrznym. Gdy przyjaciele się dowiadują, że cię deportują, przestają być przyjaciółmi. Każdy zajmuje się sobą. – Przymknął oczy i skrzywił się, jakby go coś zabolało. – Nie mam do kogo zadzwonić. Musi pani spytać Zoli.

* * *

Metsi wygrali dwa pierwsze mecze na Yankee Stadium, a następne dwa miały się odbyć na Citi Field. Mark i Todd znów kupili najtańsze miejsca i znaleźli się wysoko na trybunie, daleko od akcji. Mimo nachalnej reklamy frekwencja na trzecim meczu była znów dość mizerna.

Sączyli piwo i przyglądali się grze, nie kibicując żadnej z drużyn. Todd był kibicem Orioles, Mark kibicował Phillies i dziś głowę miał bardziej zaprzątniętą planowaniem ruchów na następnych kilka dni. Rano mieli wsiąść do pociągu do Waszyngtonu i spotkać się z Philem Sarrano, który miał porozmawiać z prokuratorem i wysondować jego stosunek do sprawy.

Todd właśnie poszedł po torebkę orzeszków, gdy zabrzęczał telefon Marka. Dzwoniła Zola, wciąż tkwiąca w szmatławym hotelu, w którym wszystko mogło się zdarzyć. Mark lub Todd rozmawiali z nią codziennie, ale rozmowy były bardzo krótkie. Informowali się też SMS-ami o rozwoju wypadków, uważali jednak, by nic istotnego nie zostawało na piśmie. O łapówkach bezpieczniej było rozmawiać, niż pisać.

– Poważny problem – powiedział Mark po skończonej rozmowie. Szybko podsumował w głowie potrzeby Zoli i wyszło mu, że przyjaciółka potrzebuje dwudziestu sześciu tysięcy dolarów. – Sześć ma na swoim koncie w Waszyngtonie, czyli potrzebuje jeszcze dwudziestu z konta firmowego.

Todd na moment się zamyślił.

– Nasze konto firmowe dostaje ostatnio za swoje – mruknął. – Dużo wypływa i nic nie wpływa.

– Saldo wynosi trzydzieści jeden tysięcy, tak?

– Nieco ponad. Jak się czujesz na myśl o przekazaniu dwudziestu tysięcy komuś w Senegalu?

– Chce, żeby to przelać na konto powiernicze jej adwokatki. Bóg raczy wiedzieć co dalej, ale myślę, że Zola jakoś sobie poradzi.

– A jak ją oskarżą o wręczanie łapówki?

– Nie sądzę, żeby tam kogokolwiek karano za korupcję. Musimy zaryzykować.

– Czyli już zdecydowałeś? Tak po prostu? Wydajemy dwadzieścia tysięcy dolców zarobionych w pocie czoła w miejskich sądach?

– Cóż, większość tego pochodzi od podatników, o ile dobrze pamiętasz. Zrzuciliśmy razem nasze stypendia. Tkwimy w tym wszyscy, Todd, nic się nie zmieniło. Zola potrzebuje pieniędzy, a my je mamy. Koniec rozmowy.

Todd skruszył skorupki i wrzucił kilka orzeszków do ust.

– No dobra. Chyba nie mogą jej aresztować, co? Zarejestrowała się w naszej ambasadzie.

– Pytasz mnie, co może, a czego nie może zrobić senegalska policja w Dakarze?

– Nie, właściwie o nic cię nie pytam.

– To dobrze. Zola jest amerykańską obywatelką jak ty i ja, tyle że my sobie siedzimy na meczu baseballu, a ona się poci gdzieś w Afryce, gdzie nigdy wcześniej nie była. My się martwimy tym, że w piątek staniemy przed niesympatycznym sędzią, ona się martwi, czy nie wtrącą jej do więzienia, gdzie wszystko może się zdarzyć. Wyobrażasz sobie reakcję strażników na jej widok?

– Znów mnie pouczasz?

– Tak naprawdę to nie wiem, co robię poza piciem piwa. W każdym razie jesteśmy jej to winni. Pięć miesięcy temu wszystko jej się układało. Była szczęśliwa z Gordym, kończyła studia prawnicze i planowała przyszłe życie. Potem myśmy się zjawili, a ona siedzi teraz w Senegalu przerażona, bez grosza, bez pracy, ze świeżo postawionymi zarzutami i tak dalej. Biedna dziewczyna. Pewnie przeklina dzień, w którym nas poznała.

– Nieprawda, kocha nas.

– Będzie nas kochała dużo bardziej, jak jej wyślemy te dwadzieścia kawałków.

– Jest chyba słabsza, niż nam się wydaje – rzucił Todd.

– Pewnie masz rację. Całe szczęście, że my nie jesteśmy słabi. Może szaleni, ale nie słabi.

– Szaleni mi pasuje. Dwóch szaleńców.

– Zastanawiasz się czasem, dlaczego to zrobiliśmy? – spytał Mark.

– Nie. Tracisz za dużo czasu na patrzenie wstecz, a ja być może za mało. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie możemy się cofnąć i cokolwiek zmienić, więc lepiej przestać się zadręczać i szukać sensu. Stało się. Zrobiliśmy to.

Nie możemy nic zmienić. Cholera, mamy o czym myśleć na najbliższą przyszłość.

– Nie żałujesz niczego?

– Wiesz, że nie lubię niczego rozpamiętywać.

– Chciałbym umieć tak się wyłączyć. – Mark łyknął piwa i przez chwilę obserwował grę. – Bo ja żałuję tego dnia, kiedy zjawiłem się w Foggy Bottom. Żałuję, że pożyczyłem tę całą forsę. Żałuję tego, co się stało z Gordym. I naprawdę będę szczerze żałował, jak nas wsadzą na sześć miesięcy i oznakują jako skazanych przestępców.

– Świetnie, że ci się zebrało na żale. Tylko co ci teraz przyjdzie z zawodzenia?

– Nie zawodzę.

– Dla mnie to tak brzmi.

– Dobrze, więc zawodzę. I jak trafisz do pudła, to nadal nie będziesz niczego żałował?

– Mark, obaj wiemy, że nie pójdziemy do żadnego pudła. Koniec, kropka. Może kiedyś jakiś sędzia podpisze nakaz zamknięcia nas, ale nas wtedy nie będzie na sali rozpraw. Nie będzie nas w tym mieście i bardzo możliwe, że nie będzie nas w tym kraju. Zgadzamy się?

– Zgadzamy się.

Rozdział 39

W czwartek o dziewiątej rano Mark i Todd wkroczyli do oddziału ich nowego banku przy Fulton Street zaraz po jego otwarciu. Byli umówieni z kierowniczką sekcji rachunków firmowych, której sprzedali dramatyczną opowieść o pilnej potrzebie przelania telegraficznie dwudziestu tysięcy dolarów na konto kancelarii prawnej w Senegalu. Od Zoli dostali wcześniej mail z dokładnymi danymi do przelewu. Kierowniczka w swej krótkiej karierze bankowej nie miała jeszcze do czynienia z czymś takim, wykonała więc kilka telefonów i dowiedziała się – a przy okazji także oni – że przy takiej transakcji istotny jest kurs wymiany dolarów amerykańskich na franki zachodnioafrykańskie. Dolary miały być najpierw przeliczone na franki, a następnie na podstawie dyspozycji starszego wspólnika, pana Lucero, przelane na konto w Senegalu, gdzie jeśli

wszystko pójdzie dobrze, powinny się pojawić w ciągu mniej więcej dwudziestu czterech godzin. Obróbka papierkowa transakcji zajęła godzinę, wystarczająco długo, by obaj klienci zdołali oczarować kierowniczkę dowcipnymi uwagami i urzekającymi osobowościami.

Gdy pieniądze wyruszyły w drogę, Mark i Todd wsiedli do metra na Manhattan i ostatecznie dotarli do Penn Station. Zupełnie im się nie śpieszyło z powrotem do Waszyngtonu, ale wsiedli w końcu do odjeżdżającego w południe pociągu i przekimali niemal całą drogę do domu.

Do domu? Choć nie było ich raptem pięć dni, Waszyngton jawił im się jako zupełnie obcy świat. Od lat był ich miejscem z wyboru, miastem pełnym młodych prawników i równie młodych przedstawicieli innych zawodów, konsekwentnie dążących do celu, miastem, w którym oni też mieli budować swe kariery dzięki nieograniczonym możliwościom. Teraz było to już tylko miasto, w którym ponieśli klęskę, a licznik niepowodzeń wciąż odmierzał nowe. Wiedzieli, że wkrótce przyjdzie im opuścić Waszyngton w pośpiechu i niesławie. Dlatego oglądając miasto z tylnego siedzenia taksówki, nie potrafili wzbudzić w sobie ani śladu nostalgii.

Kancelaria mieściła się przy Massachusetts Avenue, koło Scott Circle. Phil Sarrano był jednym z czterech adwokatów w dziesięcioosobowej firmie specjalizującej się w obronie białych kołnierzyków w sprawach karnych, co zwykle wiązało się z sutymi honorariami płaconymi przez zamożnych polityków, lobbystów i wykonawców zleceń rządowych. Jakimś cudem kancelaria znalazła jednak czas na zajęcie się sprawą dwóch wyrzutków, którzy bezczelnie naruszyli dobre obyczaje obowiązujące w dumnej profesji prawniczej i byli za biedni na wynajęcie bardziej doświadczonego obrońcy.

Phil był tylko o rok starszy od Marka i Todda i skończył prawo na Foggy Bottom w roku 2011, kiedy oni zaczynali. Rozglądając się po jego gabinecie, nie dostrzegli jednak nigdzie dyplomu z maszynki dyplomów. Na Ścianie Próżności za jego plecami wisiał elegancki, oprawiony w ramkę dyplom Uniwersytetu Michigan, nadający mu tytuł magistra nauk humanistycznych, ale nie było ani śladu po ukończeniu Foggy Bottom. Był to sympatyczny nieduży gabinet w sympatycznej niedużej kancelarii, sprawiającej wrażenie w pełni profesjonalnej i dobrze prosperującej. Phil

wyglądał na w pełni zadowolonego ze swej pracy.

Zatem gdzie popełnili błąd? Dlaczego ich kariery zawodowe uległy wykolejeniu?

– Kto będzie oskarżał? – zapytał Todd.

– Mills Reedy. Znacie ją?

– Nie. Nigdy z nią nie spałem. A ty? – Todd zwrócił się do Marka.

– Z nią akurat nie.

– Słucham? – Phil spojrzał na nich zaskoczony.

– Przepraszam, to takie nasze prywatne żarciki – powiedział Todd.

– I niech lepiej pozostaną prywatne.

– Ostra baba? – zapytał Mark.

– Prawdziwa suka – odparł Phil, sięgając po teczkę z aktami. – Przysłała mi wasze akta i je przejrzałem. Mają kopie każdego waszego wystąpienia w sądzie i oczywiście wszystkie nazwiska, więc muszę wam zadać pytanie, którego z zasady nigdy nie zadaję: macie coś na swoją obronę?

– Nie – odparł Mark.

– Nic a nic – dodał Todd. – Jesteśmy winni jak cholera.

– To czemu to zrobiliście?

– Czy to nie jest już drugie pytanie, którego z zasady nie zadaje się klientowi? – spytał Todd.

– Chyba tak. Pytam po prostu z ciekawości.

– Pogadamy o tym później, może przy drinku – powiedział Mark. – Moje pytanie dotyczy oskarżenia. Naprawdę chcą potraktować poważnie takie gówno? To przecież tylko drobne przestępstwo. Nawiasem mówiąc, w połowie stanów praktykowanie prawa bez licencji nie jest w ogóle uważane za przestępstwo, tylko za niezbyt poważne wykroczenie.

– Ale tu nie jest połowa stanów. Tu jest Dystrykt Kolumbii i gdybyście naprawdę mieli uprawnienia, wiedzielibyście, że tutejsze Stowarzyszenie Prawników bardzo się przejmuje swoją rolą. Mam za sobą jedną rozmowę z panią Reedy i mogę potwierdzić, że traktuje to śmiertelnie poważnie. Przypomniała mi, że kodeks przewiduje maksymalną karę dwóch lat więzienia i grzywnę wysokości tysiąca dolarów.

– To śmieszne – parsknął Todd.

– Nie pójdziemy do żadnego więzienia, Phil – zastrzegł Mark. – A nasze ostatnie sześć tysięcy dolców daliśmy tobie, więc jesteśmy bez grosza.

– Musiałem się zapożyczyć u babci – dodał Todd.

– Mam wam je zwrócić? – spytał Phil, nagle ożywiony.

– Nie, nie, zatrzymaj je – rzucił pośpiesznie Mark. – Chcemy tylko, żebyś wiedział, że nie mamy forsy i nie pójdziemy do więzienia, więc zapisz to sobie gdzieś.

– I na kaucję też nas nie stać – dodał Todd.

– Wątpię, żeby była potrzebna. – Phil pokręcił głową. – Więc skoro nie macie nic na swoją obronę i nie akceptujecie żadnej kary, to co według was mam zrobić?

– Grać na zwłokę – odparł Mark.

– Opóźniać – dorzucił Todd. – Przeciągaj, ile się da, niech to trochę się uspokoi. Jeśli poprosisz o wyznaczenie terminu procesu, to na co możesz liczyć?

– Co najmniej sześć miesięcy, może rok – odparł Phil.

– Cudownie – ucieszył się Mark. – Powiedz pani Reedy, że chcemy procesu, i będziemy mieli mnóstwo czasu na dogadanie się.

– Mówicie jak stare wygi prawnicze – zauważył Phil.

– Kształcili nas na Foggy Bottom – mruknął Todd.

* * *

Po zmroku wemknęli się do swego mieszkania nad barem Pod Kogutem, by się rozejrzeć i ewentualnie przekoczować do rana, ale poczuli się w nim tak źle, że po godzinie wezwali taksówkę i pojechali do taniego motelu. Obaj mieli po pięć tysięcy dolarów w kieszeni, co znaczyło, że stan konta firmy Lucero & Frazier spadł do żałosnych 989 dolarów i 31 centów. Znaleźli w pobliżu drogi steak house i zaszaleli ze stekami z polędwicy i dwiema butelkami dobrego kalifornijskiego caberneta.

Po uprzątnięciu talerzy i wypiciu niemal całego wina Todd powiedział:

– Pamiętasz film *Żar ciała*? Z Kathleen Turner i Williamem Hurtem?

– Jasne. Świetny film o prawniku nieudaczniku.

– Mickey Rourke gra tam więźnia, który mówi coś takiego: „Kiedy popełniasz morderstwo, robisz dziesięć błędów. Jeśli potrafisz nazwać osiem z nich, to jesteś geniuszem”. Pamiętasz?

– Może. A co, zabiłeś kogoś?

– Nie, ale narobiliśmy dużo błędów. Chyba tyle, że połowy z nich nie potrafimy nazwać.

– Jaki pierwszy?

– Palnęliśmy głupstwo, mówiąc Rackleyowi, że nasz przyjaciel popełnił samobójstwo. To było

naprawdę głupie. Ten jego ochroniarz… Jak mu było?

– Chyba Doug Broome.

– O właśnie. Zgłupieliśmy, kiedy przyszedł i powiedział, że sprawdził każdego Marka Finleya i każdego Todda McCaina w całym kraju, nie?

– Tak.

– Czyli było wiadomo, że Rackley ma pierdolca na punkcie ochrony. Dla kogoś takiego sprawdzenie niedawnych samobójstw studentów prawa to żaden problem. Bez trudu mogli ustalić nazwisko Gordy'ego. Potem Broome i jego chłopcy mogli powęszyć w Foggy Bottom i ktoś mógł wymienić nasze nazwiska, które, nawiasem mówiąc, znalazły się w zeszłym tygodniu w „Post". Czyli Broome bez większych trudności mógł ustalić nasze prawdziwe nazwiska, a to oczywiście doprowadziłoby go do naszej nowej firmy w Brooklynie.

– Czekaj, bo nie nadążam. Nawet gdyby poznał nasze prawdziwe nazwiska i miejsca urodzenia, to jak mógłby wpaść na firmę Lucero and Frazier z Brooklynu? Nie ma nas w książce telefonicznej ani w sieci. Więc nie rozumiem.

– Błąd numer dwa. Przesadziliśmy z pozwem zbiorowym z Miami. Rackleya i Strayhana

musiało zastanowić, dlaczego tak nastajemy na pozew z Cohenem-Cutlerem. Nasze zainteresowanie musiało oznaczać, że coś z tego mamy. A jeśli Broome się dowie, że kancelaria Lucero and Frazier przekazała kancelarii Cohen-Cutler tysiąc trzysta nazwisk do ich pozwu zbiorowego? Sam nie jestem pewien, ale jeśli?

– Daj spokój. Nie jesteśmy ich pełnomocnikami sądowymi i nazwa naszej firmy nie występuje w pozwie, podobnie jak nazwiska wielu innych prawników, którzy tylko przekazali swoich klientów. Wie to Cohen-Cutler, ale to informacja poufna. Nie ma mowy, żeby Rackley mógł zajrzeć do akt kancelarii. Zresztą po co miałby to robić?

– Może nie musi. Może wystarczy zawiadomić FBI, że porozumienie banku Swift pachnie oszustwem – powiedział Todd.

– Ale on chce tego porozumienia, i to najszybciej, jak się da.

– Może, ale coś mi mówi, że Rackley mógłby się zdenerwować, gdyby zaczął podejrzewać, że go okradamy.

– Nie sądzę, żeby w sprawach Swiftu był gotów choćby spojrzeć w stronę FBI.

– To prawda – przyznał Todd. – Ale myślę, że znalazłby sposób na wciśnięcie alarmu.

Mark zakręcił winem w kieliszku, przyjrzał mu się z lubością i oblizał wargi. Jego przyjaciel siedział wpatrzony w przestrzeń.

– Zdawało mi się, że niczego nie żałujesz – powiedział Mark.

– Rozmawiamy o błędach, nie o żalach. Jeśli chodzi o żal, co się stało, to się stało, i rozpamiętywanie tego jest stratą czasu. Ale błędy to co innego. Złe posunięcia z przeszłości mogą rzutować na przyszłość. Jeśli jednak będziemy mieli szczęście, to błędy da się zniwelować, może nawet naprawić.

– Naprawdę cię to gryzie.

– Łagodnie mówiąc. Mamy do czynienia z bogatymi ludźmi o nieograniczonych zasobach, a na okrągło łamiemy prawo.

– Dokładnie tysiąc trzysta razy.

– Co najmniej.

Kelner podszedł do stolika i zapytał o deser, oni jednak zamówili tylko po kieliszku brandy.

– Dzwoniłem dziś cztery razy do Jenny Valdez z Cohenem-Cutlerem, ale nie udało mi się jej złapać – powiedział Todd. – Wyobrażam sobie ten pożar w burdelu, kiedy próbują przerobić zgłoszenia dwustu dwudziestu tysięcy powodów. Jutro znów spróbuję. Powinniśmy przypilnować, żeby nazwa naszej firmy nie wypłynęła, a jeśli

ktoś zacznie wokół nas węszyć, musimy o tym wiedzieć.

– Słusznie. Myślisz, że Broome może się jutro zjawić w sądzie?

– Może nie osobiście, ale nie wiadomo, czy kogoś nie podeśle.

– Wpędzasz mnie w paranoję.

– Jesteśmy zbiegami, Mark. Paranoja może być przydatna.

Rozdział 40

By uniknąć kręcenia się po korytarzach będących niegdyś terenem ich polowań, skorzystali ze służbowej windy przy tylnym wejściu, o której istnieniu wiedziało niewielu prawników. Ale Phil o niej wiedział i poprowadził swych klientów labiryntem korytarzyków, pośród drzwi do gabinetów sędziów, sekretariatów i biur. Mark i Todd byli pewni, że znajdzie się paru reporterów chętnych do zrobienia zdjęć, i włożyli na tę okazję marynarki i koszule z krawatami. Szli, nie rozmawiając z nikim i unikając kontaktu wzrokowego ze znajomymi twarzami.

O dziewiątej pięćdziesiąt wyszli z zaplecza i weszli na salę rozpraw szacownego Abrahama Abbotta, sędziego Wydziału VI Sądu Okręgowego. Ciekawi twarzy widzów, obaj oskarżeni szybko omietli wzrokiem miejsca dla publiczności. Na sali siedziało około trzydziestu osób, nieco więcej

niż zwykle podczas przesłuchania wstępnego. Usiedli przy stole obrony, plecami do publiczności; ich adwokat podszedł do stołu oskarżenia, by zamienić kilka słów z panią prokurator. Szacowny Abbott siedział już za stołem sędziowskim i przeglądał papiery. Niespodziewanie zjawiła się Hadley Caviness z prokuratury i pochyliła się nad nimi.

– Wpadłam, chłopcy, żeby dodać wam otuchy – szepnęła.

– Dzięki – powiedział Mark.

– Zastanawialiśmy się wczoraj, czy do ciebie nie zadzwonić – dodał Todd.

– Byłam zajęta.

– A jak dziś wieczór?

– Przykro mi, jestem już umówiona.

– Co się mówi o pani Reedy? – spytał Mark, wskazując głową stół oskarżenia.

– Absolutnie niekompetentna – odparła Hadley z uśmiechem. – I za głupia, żeby o tym wiedzieć. Ale prawdziwie zimna suka.

– Jest tu ktoś z prasy? – zapytał Todd.

– W czwartym rzędzie po lewej siedzi koleś z „Postu”. Ten w brązowej marynarce. Nikogo więcej nie widzę. Muszę lecieć. Nie zgubcie mojego numeru telefonu i zadzwońcie, kiedy was wypuszczą.

Zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

– Kiedy nas wypuszczą? Znaczy: z więzienia? – szepnął Mark.

– Lubię tę pieprzoną dziwkę – wymamrotał Todd.

Drzwi w prawym narożniku się otworzyły i na salę weszli trzej więźniowie w pomarańczowych kombinezonach, skuci razem jednym łańcuchem. Świeżo zgarnięci z ulic Waszyngtonu trzej młodzi czarnoskórzy mężczyźni, na których zapewne czekały wyroki wieloletniego więzienia. Jeśli nie należą do któregoś z gangów, prawdopodobnie wkrótce do któregoś przystąpią dla zapewnienia sobie ochrony. Podczas swej krótkiej kariery w roli obrońców Mark i Todd słyszeli wystarczająco dużo opowieści o przerażających zwyczajach panujących w więzieniach.

Urzędniczka wywołała nazwiska Frazier i Lucero. Obaj wstali, podeszli do stołu sędziowskiego w towarzystwie Phila i spojrzeli na posępne oblicze sędziego Abbotta.

– Nie mogę powiedzieć, żebym któregoś z was rozpoznawał, choć mówią mi, że już tu bywaliście – odezwał się sędzia na przywitanie.

Rzeczywiście bywali, ale nie przyszło im nawet do głowy, by się do tego przyznawać.

– Mark Frazier, jest pan oskarżony o złamanie paragrafu pięćdziesiąt cztery B kodeksu karnego Dystryktu Kolumbii, czyli o bezprawne praktykowanie prawa – ciągnął sędzia. – Czy przyznaje się pan do winy?

– Nie przyznaję się, Wysoki Sądzie.

– A pan Lucero oskarżony z tego samego paragrafu?

– Nie przyznaję się, Wysoki Sądzie.

– Jest tu jeszcze ktoś trzeci, niejaka pani Zola Maal, znana również jako Zola Parker, co, jak rozumiem, jest jej zawodowym pseudonimem. Gdzie jest pani Maal? – Sędzia wlepił wzrok w Marka, a ten wzruszył ramionami, jakby nie miał zielonego pojęcia.

– Wygląda na to, Wysoki Sądzie, że pani Maal wyjechała z kraju – odezwał się Sarrano. – Jej rodzice zostali deportowani do Afryki i powiedziano mi, że prawdopodobnie poleciała, by im pomóc na miejscu. W każdym razie ja jej nie reprezentuję.

– Tak, no cóż – rzucił sędzia Abbott. – Dziwna sprawa, która z każdą chwilą staje się coraz dziwniejsza. Zostanie przedstawiona wielkiej ławie przysięgłych, która zadecyduje, czy postawić was w stan oskarżenia. Jeśli tak, będziecie powiadomieni o dacie rozpoczęcia

procesu. Nie wątpię, że ta procedura jest wam znana. Jakieś pytania, panie Sarrano?

– Nie, Wysoki Sądzie.

Mills Reedy postanowiła dać o sobie znać.

– Wysoki Sądzie – powiedziała. – Chciałabym prosić o wyznaczenie kaucji za obu oskarżonych.

Phil aż się żachnął, sędzia Abbott spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Po co? – zapytał.

– Oskarżeni posługują się różnymi nazwiskami, a to może oznaczać ryzyko ich ucieczki. Nałożenie kaucji zagwarantuje, że stawią się w sądzie w wyznaczonym terminie.

– Panie mecenasie?

– To zbyteczne, Wysoki Sądzie. Moich klientów aresztowano w ostatni piątek i polecono im stawić się w sądzie dziś o dziesiątej rano. Wynajęli mnie i przybyliśmy piętnaście minut przed czasem. Proszę ich tylko powiadomić, kiedy mają się stawić, a ja już dopilnuję, żeby się zjawili.

Akurat, pomyślał Todd. Przyjrzyj mi się dobrze, panie sędzio, bo już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Ryzyko ucieczki, pomyślał Mark. A może prędzej zniknięcia jak duch z powierzchni ziemi?

Jeśli myślisz, że dobrowolnie dam się zamknąć w więzieniu, to cię chyba pogięło.

– Trzecia osoba oskarżona już uciekła z kraju, Wysoki Sądzie – dodała Mills Reedy. – Wszyscy troje posługiwali się fałszywymi nazwiskami.

– Doprawdy nie widzę potrzeby wyznaczania kaucji. Panie mecenasie, czy pańscy klienci mogą się zobowiązać do pozostania na terenie Dystryktu Kolumbii do czasu rozpatrzenia ich sprawy przez wielką ławę przysięgłych?

Phil spojrzał pytająco na Marka, a ten w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Jasne. Tylko że powinienem pojechać do Dover odwiedzić matkę. No cóż… będzie musiała na mnie poczekać.

– A moja babcia w Baltimore jest poważnie chora – dodał Todd. – Ale pewnie też może poczekać. Zgodnie z życzeniem sądu. – Jakże łatwo przychodziło mu kłamanie.

– Ci panowie nigdzie się nie wybierają, Wysoki Sądzie. Wyznaczanie kaucji to tylko zbędny koszt.

Stary sędzia wyglądał na zatroskanego.

– Zgadzam się – powiedział po krótkim namyśle. – Nie widzę takiej potrzeby.

Pani Reedy się nie poddawała.

– To może, Wysoki Sądzie, moglibyśmy przynajmniej zatrzymać ich paszporty?

– My nie mamy paszportów, Wysoki Sądzie – oznajmił Mark. – Jesteśmy tylko biednymi jak mysz kościelna byłymi studentami prawa. – Paszport na jego prawdziwe nazwisko tkwił w tylnej kieszeni spodni i tylko czekał, by właściciel go użył. Niezależnie od tego Mark zamierzał za godzinę kupić fałszywy paszport na fałszywe nazwisko.

Wysoki Sąd uciszył go gestem ręki.

– Nie wyznaczam kaucji. Do zobaczenia za parę miesięcy.

– Dziękuję, panie sędzio – powiedział Sarrano.

Już odchodzili sprzed stołu sędziowskiego, gdy za barierkę wkroczył Darrell Cromley z plikiem papierów w ręce.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie sędzio – odezwał się głośno – ale muszę tym dwóm wręczyć wezwanie procesowe. To kopia pozwu złożonego w imieniu mojego klienta Ramona Tapera.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? – burknął Sarrano.

– Pozywam twoich klientów – odparł Cromley, wyraźnie rozkoszując się wywołanym zamieszaniem.

Mark i Todd cofnęli się do stołu obrony z wręczonymi im wezwaniami, sędzia Abbott wyglądał na rozbawionego. Z miejsca w pierwszym rzędzie podniósł się jakiś mężczyzna i oświadczył:

– Za pozwoleniem, panie sędzio, ja też chciałbym wręczyć im wezwania. Reprezentuję firmę Kerrbow Properties, a ci dwaj od stycznia zalegają z czynszem. – Pomachał plikiem papierów, a Sarrano podszedł do niego i je przejął.

Cztery rzędy za przedstawicielem Kerrbow Properties podniósł się z miejsca następny mężczyzna.

– A ja, panie sędzio, wynająłem tego oszusta, Marka Upshawa, do zajęcia się sprawą mojego syna oskarżonego o jazdę po alkoholu. Zapłaciłem mu tysiąc dolarów w gotówce, a on nie zrobił nic i zmył się. Syna czeka proces, więc chcę odzyskać swoje pieniądze.

Mark popatrzył na mężczyznę, którego twarz nagle wydała mu się znajoma. Na przejście między krzesłami wytoczył się Ramon Taper i na cały głos wrzasnął:

– Ci faceci zajęli się moją sprawą i ją zawalili, panie sędzio! Myślę, że powinni pójść siedzieć.

Umundurowany strażnik sądowy zagrodził drogę Ramonowi, sędzia Abbott walnął młotkiem i krzyknął:

– Spokój! Spokój!

Phil Sarrano popatrzył na swoich klientów.

– Chodźmy stąd – rzucił.

Obeszli stół sędziowski i pośpiesznie wyszli bocznymi drzwiami.

* * *

Cztery miesiące po kupnie fałszywych praw jazdy i rozpoczęciu nieszczęsnego procederu praktykowania prawa ulicznego Mark i Todd wrócili do ich ulubionego fałszerza w Bethesdzie po lewe paszporty. Tym samym popełniali kolejne przestępstwo, ale fałszerz wręcz ogłaszał swoje usługi w internecie, pisząc otwartym tekstem o podrabianych paszportach i innych pozycjach z zakresu „handlu dokumentami". Już ustnie gwarantował, że jego paszporty są w stanie przejść kontrolę każdego celnika i każdej straży granicznej na świecie. Todd był nawet bliski spytania go, jak potrafi udowodnić prawdziwość swych słów. Czy mają liczyć na to, że w razie czego przyjedzie na lotnisko i przekona straż graniczną? Oczywiście obaj

z Markiem wiedzieli, że jeśli ich przyłapią, facet nie odbierze nawet telefonu.

Po zapozowaniu do fotografii i podpisaniu się fałszywymi nazwiskami Mark Upshaw i Todd Lane przez godzinę przyglądali się, jak fałszerz z niezwykłą precyzją przycina i zestawia dane osobowe i paszportowe, po czym stempluje strony zdumiewającym zestawem pieczątek kontroli granicznych na dowód, że dużo podróżują. Dobrał mocno podniszczone prawdziwe okładki paszportowe i nawet umieścił na nich naklejki potwierdzające autentyczność dokumentu. Zapłacili mu tysiąc dolarów gotówką, a on na odchodnym życzył im: „Szczęśliwej podróży, chłopcy”.

* * *

Celebracja ukończenia studiów sprowadziła się do zaimprowizowanej popijawy w barze sportowym w Georgetown. Wilson Featherstone wysłał Markowi SMS-a z zaproszeniem, a ponieważ on i Todd nie mieli w ten piątkowy wieczór nic lepszego do roboty, postanowili skorzystać z zaproszenia i z opóźnieniem dołączyli do sześciu dawnych kolegów z uczelni. Na następny dzień zaplanowano w Foggy Bottom

oficjalną uroczystość rozdania dyplomów, ale wyglądało na to, że jak zwykle frekwencja nie dopisze. Z obecnych na spotkaniu w barze tylko dwie osoby planowały przyjście na uczelnię i odebranie niemal bezwartościowych dyplomów ukończenia studiów, i to tylko dlatego, że ich matkom bardzo na tym zależało.

A dziś po prostu pili. Mark i Todd opowiadali o swoich przygodach w ciągu minionych czterech miesięcy i ich koledzy z rozdziawionymi gębami słuchali o wzlotach i upadkach firmy Upshaw, Parker & Lane. Stół aż się trząsł od śmiechu, gdy Mark zaczął relacjonować potyczki z Freddym Garcią i Ramonem Taperem oraz jakże smakowity proces o odszkodowanie, który zgasł śmiercią naturalną w ich rękach, wizyty w siedzibach Rusty'ego Savage'a – RUSTY CI POMOŻE – Jeffreya Corbetta i Edwina Mossberga, o biednej Zoli przesiadującej w szpitalnych kafeteriach, o kryciu się przed nieproszonymi gośćmi w barze Pod Kogutem, a także o nękaniu ich przez doradców kredytowych. Nie ukrywali niczego. W Foggy Bottom stali się legendą, a to, że wisiał nad nimi wyrok skazujący, a oni się z tego śmiali, tylko dodatkowo ubarwiało ich opowieści.

Na pytanie o dalsze plany Mark i Todd odpowiedzieli, że zastanawiają się nad

otwarciem oddziału UPL w Baltimore i obstawieniem tamtejszych sądów karnych. Bo komu potrzebna jest licencja, żeby móc pracować? Nie wspomnieli tylko słowem o swym wielkim przekręcie.

Z ośmiu obecnych w barze sześciu zamierzało przystąpić za dwa miesiące do egzaminu adwokackiego. Trzej mieli załatwioną pracę, choć w dwóch przypadkach chodziło o stanowiska w organizacjach typu non profit. Tylko jeden miał zaklepany etat w normalnej kancelarii prawnej, ale pod warunkiem zdania egzaminu adwokackiego. Każdy z obecnych uginał się pod ciężarem gigantycznego zadłużenia, co w głównej mierze wynikało z wielkiego szwindla Hindsa Rackleya.

Nad stołem unosił się duch Gordy'ego, ale nikt ani razu nie wspomniał jego imienia.

Rozdział 41

Todd wygrał rzut monetą i to on w sobotę rano pojechał taksówką na lotnisko Dullesa. Zapłacił siedemset czterdzieści dolarów za bilet tam i z powrotem liniami Delta na Barbados, a jego fałszywy paszport nie wzbudził niczyich podejrzeń na stanowisku odpraw Delty ani w punkcie kontrolnym. Odbył dwugodzinną podróż do Miami, przesypiając niemal cały lot. Przedrzemał też trzygodzinną przerwę w podróży na fotelu w poczekalni i tak się rozespał, że niewiele brakowało, a uciekłby mu samolot lecący dalej na południe. Doleciał do Bridgetown, stolicy Barbadosu, już po ciemku i pojechał taksówką do małego hoteliku przy plaży. Dosłyszał dźwięki muzyki, zrzucił buty i podwinąwszy nogawki spodni, ruszył po ciepłym piasku w stronę plażowej imprezy w sąsiednim hotelu. Po godzinie flirtował już z atrakcyjną pięćdziesięciolatką z Houston, której

mąż pochrapywał w hamaku obok. Jak dotąd pobyt na Barbadosie okazywał się całkiem przyjemny.

* * *

Mark wsiadł do pociągu na Union Station, na zawsze żegnając się z Waszyngtonem. Do Nowego Jorku dotarł o siedemnastej, pojechał metrem do Brooklynu i znalazł ich apartament w dokładnie takim stanie, w jakim zostawili go w czwartek.

* * *

U Zoli w sobotę działo się dużo więcej. Przed południem w hotelu zjawił się w towarzystwie dwóch umundurowanych policjantów jakiś ważniak w marynarce i krawacie. Mundurowi zostali na dole, a on pojechał z Zolą windą do jej pokoju na trzecim piętrze. Korzystając z matki jako tłumaczki, Zola przekazała mu kopertę z grubym plikiem franków zachodnioafrykańskich, stanowiących równowartość dwudziestu sześciu tysięcy dolarów amerykańskich. Gliniarz wolno

przeliczył pieniądze, sprawiając wrażenie zadowolonego z transakcji. Z jednej kieszeni marynarki wyjął jej karty, z drugiej wyciągnął dużo cieńszą kopertę i wręczył Zoli.

– Tu są twoje pieniądze – oświadczył.

– Jakie pieniądze? – zdziwiła się.

– Pieniądze z hotelowego sejfu. Około sześciu tysięcy dolarów. Mają je wpisane do rejestru.

Tak wygląda złodziejski honor, pomyślała Zola, ale nie potrafiła ubrać tego w słowa. Przejęła od mężczyzny kopertę, on wcisnął do kieszeni tę, którą mu wręczyła.

– Wrócę tu za godzinę – oświadczył i wyszedł z pokoju.

Dokładnie godzinę później pod hotel podjechał van policyjny, wysiedli z niego Abdou i Bo – obaj już bez kajdanek – i weszli do holu jak zwyczajni turyści. Na widok Fanty i Zoli obaj się rozpłakali i cała rodzina przez chwilę tonęła we łzach, po czym przeniosła się do kawiarni, by uczcić okazję jajkami sadzonymi i muffinkami.

Tam znalazła ich Idina Sanga i zmobilizowała do działania. Szybko się spakowali i zebrali do opuszczenia hotelu. Zola poszła do recepcji uregulować rachunki, adwokatka w tym czasie wezwała dwie taksówki. Wynieśli się z hotelu i odjechali, ani razu nie oglądając się za siebie.

Trzy kwadranse później zatrzymali się przed najwyższym z grupy nowoczesnych wieżowców. Idina Sanga dokądś zadzwoniła i chwilę później wyszedł im na spotkanie ktoś z obsługi budynku. Ich tymczasowe mieszkanie znajdowało się na szóstym piętrze i było dość skromnie urządzone, ale zupełnie się tym nie przejęli. Po czterech miesiącach w obozie przejściowym i tygodniu w dakarskim areszcie mieszkanie wydało się ojcu Zoli pałacem. Najważniejsze dla wszystkich było to, że cała rodzina jest razem, wolna i bezpieczna.

Idina Sanga szybko przekazała im ustalenia. Mieszkanie zostało wynajęte na dziewięćdziesiąt dni, w poniedziałek mieli przystąpić do załatwiania formalności. Obywatelstwo senegalskie trojga z nich miało być szybko przywrócone – w końcu się tu urodzili – Zola zaś miała zostać naturalizowana. Wiadomości dochodzące od jej dwóch wspólników biznesowych powodowały, że wcale jej się nie śpieszyło z powrotem do Stanów.

* * *

Drugi dzień z rzędu Todd obudził się z bolącą głową i spieczonymi ustami. Z filiżanką kawy

nad basenem doszedł trochę do siebie i około południa był już gotów ruszyć na zakupy. Pojechał taksówką na nowe osiedle na północnym przedmieściu Bridgetown – gęsto zabudowanego labiryntu domków z prefabrykatów, które w internecie wyglądały dużo atrakcyjniej niż w rzeczywistości. Ach, ten nieszczęsny internet. Z jakiegoś powodu, którego sam nie rozumiał, wciąż jeszcze zaglądał na stronę Foggy Bottom i zżymając się w duchu, przyglądał roześmianym twarzom studentów i studentek, uradowanych, że mogą studiować prawo na tak świetnej uczelni. Więc jak można wierzyć internetowi?

Ale i tak spotkał się z agentem nieruchomości, który pokazał mu dwa mieszkania do kupienia lub wynajęcia po zdzierskich cenach. Wybrał mniejsze z nich i po krótkim targu podpisał umowę kupna, wręczając agentowi czek firmowy Lucero & Frazier na pięć tysięcy dolarów bez pokrycia, który musiał powędrować aż do Brooklynu. Z podpisaną umową w ręce wrócił do hotelu, porozumiał się ze wspólnikami, przebrał w szorty i poszedł nad basen, gdzie w barze na wolnym powietrzu kupił mrożone daiquiri i zaczął się smażyć na słońcu.

* * *

W niedzielne popołudnie Barry Strayhan został wezwany do rezydencji Hindsa Rackleya przy Piątej Alei. Gospodarz otworzył butelkę wina i obaj usiedli na tarasie z rozciągającym się u ich stóp Central Parkiem. Doug Broome i jego ludzie rzeczywiście wyśledzili Marka i Todda, ale wciąż jeszcze dopasowywali do siebie kawałki układanki. Notki o samobójstwie Gordy'ego doprowadziły ich do uczelni Foggy Bottom, w której wywiadowca Broome'a był świadkiem żałosnej uroczystości rozdania dyplomów ukończenia studiów. Na podstawie listy absolwentów i paru telefonów udało mu się ustalić nazwiska dwóch studentów trzeciego roku zaprzyjaźnionych z samobójcą, którzy w styczniu rzucili studia. Frazier i Lucero. Od jednego z kolegów dowiedział się nawet, że obaj zostali aresztowani za bezprawne oferowanie usług prawniczych. Z krótkiej notatki we wczorajszym wydaniu „Postu" o piątkowych wydarzeniach w sądzie wynikało, że Rackley nie jest jedynym, który ich poszukuje. Wyglądało na to, że ciągnie się za nimi cały tłum niezadowolonych i rozwścieczonych klientów gotowych się z nimi sądzić. Ich konta na

Facebooku zostały zamknięte dwa miesiące wcześniej, ale wynajętemu przez Broome'a hakerowi udało się odzyskać kilka zdjęć. Nie było cienia wątpliwości, że Frazier i Lucero są tymi dwoma, którzy podając się za dziennikarzy, kilka dni wcześniej spotkali się w Brooklynie z Rackleyem i Strayhanem.

Rackley przyjrzał się zdjęciom odzyskanym z internetu, porównał je z fotografiami z fałszywych praw jazdy i rzucił wszystko na stół.

– To w co oni grają? – warknął.

– Dwa i pół miesiąca temu Mark Frazier przystąpił do pozwu zbiorowego w Miami jako pokrzywdzony klient banku Swift. W styczniu otworzył konto w oddziale banku w Waszyngtonie.

– Wielkie rzeczy! No to dostanie parę dolców odszkodowania w ramach ugody. Musi być coś więcej.

– Todd Lucero dołączył do pozwu zbiorowego w Nowym Jorku, a ich wspólniczka Zola Maal zrobiła to samo w Waszyngtonie. Nie jestem pewny, po co to zrobili, ale może chodziło im o sprawdzenie, jak to wymuszanie działa.

– Musi być coś więcej – powtórzył Rackley. – Nie robiliby takiego zamieszania za tak małe

pieniądze. Co wiemy o pozwie zbiorowym Cohena-Cutlera?

– Jest najliczniejszy z wszystkich sześciu. Mają dwieście dwadzieścia tysięcy klientów, którzy do nich trafili za pośrednictwem kilkudziesięciu mniejszych kancelarii. Większość klientów da się namierzyć online za pomocą którejś z wyszukiwarek internetowych, ale nie wszystkich. Jak się domyślasz, przy tej liczbie powodów i przy tak nagłym zawarciu ugody zapanował niezły chaos. Cohen-Cutler nie musi ujawniać firm przekazujących im klientów, Broome jednak wciąż jeszcze kopie.

– Jak możemy zajrzeć do rejestrów Cohena-Cutlera?

– Nie możemy. To sprawy poufne. Ale FBI z całą pewnością mogłoby popytać.

– Nie chcę, żeby FBI przy tym węszyło.

– To zrozumiałe. Można ich jednak napuścić.

– Ustal jak i zrób to jak najszybciej. Kiedy zaczną się wypłaty pieniędzy?

– Wkrótce. Zgodnie z warunkami porozumienia i decyzją sądu jeszcze w tym tygodniu.

– Znalazłem się w potrzasku, Barry, i to mi się nie podoba. Bo z jednej strony chcę, żeby jak najszybciej zrealizowano to porozumienie, tak

żeby się wreszcie skończył ten koszmar dla banku, ale jednocześnie nie mogę się pogodzić z wyrwaniem mi tak ogromnych pieniędzy. Obaj wiemy, że tym macherom od pozwów zbiorowych nie można ufać, a przy potencjalnej liczbie miliona powodów musi panować gigantyczny bałagan. Dojdzie do oszustw, i to wielu.

* * *

W poniedziałek rano Todd ubrał się w najlepsze ciuchy i pojechał taksówką do Drugiego Królewskiego Banku Małych Antyli przy Center Street w dzielnicy biznesowej Bridgetown. Był na dziesiątą umówiony z Rudolphem Richardem, wytwornym starszym panem, którego specjalnością było obsługiwanie zagranicznych klientów. Według opowieści Todda on i jego wspólnicy trafili na żyłę złota w postaci odszkodowań sądowych i dzięki temu w wieku dwudziestu siedmiu lat mógł sobie pozwolić na wycofanie się z czynnego życia zawodowego i przeniesienie się na Karaiby. Zamykał swoją kancelarię prawną i kilka następnych lat zamierzał poświęcić na leżenie nad basenem z widokiem na ocean

i prowadzenie z leżaka nowego funduszu hedgingowego, York & Orange Traders. Okazał panu Richardowi fałszywy paszport, umowę kupna domu przy plaży, którego nigdy więcej miał nie oglądać, i dość wylewny list polecający od kierowniczki z Citibanku w Brooklynie. Pan Richard zażyczył sobie wstępnej wpłaty na nowe konto w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, ale Todd nie chciał nawet o tym słyszeć. Wyjaśnił żargonem naszpikowanym prawniczymi terminami, za którymi pan Richard z trudem nadążał, że prawdziwie duże pieniądze dopiero się pojawią, a teraz może najwyżej wpłacić dwa tysiące dolarów gotówką. Jeśli to nie wystarcza, to po prostu przejdzie się kawałek ulicą, przy której działa co najmniej sto innych banków czekających na nowych klientów. Godzinę później konto było otwarte, a Todd siedział rozpromieniony, znowu kłamiąc w żywe oczy.

Wyszedł z banku i wstąpił do pustego ogródka kawiarnianego, skąd wysłał do wspólników SMS-y z radosną wiadomością, że ich firma zaczęła już działać na Barbadosie.

* * *

W tym czasie w Nowym Jorku Mark pracował nad Jenny Valdez i kancelarią Cohen-Cutler. Przecież porozumienie z bankiem Swift zostało na wszystkich szczeblach zaaprobowane, więc gdzie są te cholerne pieniądze? Jenny nie umiała powiedzieć nic więcej ponad to, że takie sprawy wymagają czasu i że kancelaria czeka na przekaz telegraficzny. W poniedziałek rano pieniędzy nadal nie było. Niebo było zasnute chmurami i wyglądało posępnie. Kręcąc się po ulicach śródmieścia Brooklynu, Mark próbował nie myśleć o wspólniku, który byczy się teraz na słońcu i nadweręża sobie wątrobę. Na domiar złego Todd coraz przysyłał zdjęcie kolejnej wystrzałowej laski w sznurkowym bikini.

* * *

Późnym popołudniem we wtorek dwaj agenci FBI wkroczyli do biura kancelarii Cohen-Cutler w centrum Miami i zostali szybko wprowadzeni do gabinetu Iana Mayweathera, wspólnika zarządzającego. Agent specjalny Wynne wyłuszczył sprawę i atmosfera w gabinecie od razu zrobiła się napięta. Federalni pytali o poufne sprawy, a tych firmie nie wolno było ujawniać.

– Ile kancelarii prawnych przekazało wam powodów do pozwu zbiorowego? – spytał Wynne.

– Kilkadziesiąt i nie powiem ani słowa więcej w tej sprawie – odparł Mayweather sucho.

– Potrzebujemy wykazu tych kancelarii.

– Oczywiście. Tylko pokażcie mi najpierw nakaz sądowy i zaraz udostępnimy wam tę listę. Pytacie mnie o ściśle poufne sprawy, których bez nakazu sądowego nie wolno mi ujawnić.

– Podejrzewamy, że wśród tych kancelarii mogą kryć się oszuści.

– Wcale bym się nie zdziwił. Jak panowie wiedzą, w transakcjach na tę skalę zdarzają się oszustwa. Spotkaliśmy się już z czymś takim i robimy wszystko, by temu zapobiec. Ale mamy do czynienia z ponad dwustoma tysiącami powodów i dziesiątkami kancelarii prawnych. Nie jesteśmy w stanie wszystkiego sprawdzić.

– Kiedy rozpoczniecie wypłaty?

– Personel naszego działu rozliczeń pracuje dzień i noc. Pierwsza transza z banku Swift wpłynęła do nas dziś po południu. Wypłaty zaczną się jutro od samego rana. Jak się panowie domyślają, przy takiej masie pieniędzy nasze telefony się urywają. Sąd polecił nam uruchomienie wypłat najszybciej, jak to możliwe.

– Możecie to opóźnić o dzień lub dwa? – spytał Wynne.

– Nie – prychnął ze złością Mayweather. – Mamy wyraźne polecenie sądu, żeby nie zwlekać ani chwili. Domyślam się z waszych pytań, panowie, że FBI jest na wczesnym etapie jakiegoś śledztwa, więc tak naprawdę działacie trochę po omacku. Pokażcie mi nakaz sądowy i wtedy oczywiście się dostosujemy.

Nigdy nie wpychaj się między prawnika i jego pieniądze z pozwu zbiorowego. Ludzie z FBI wiedzieli, że przewidywany udział firmy Cohen-Cutler w awanturze ze Swiftem wyniesie około osiemdziesięciu milionów dolarów.

– Dobrze, a więc wrócimy do pana z nakazem sądowym – zapowiedział Wynne, wstając, po czym obaj z partnerem wyszli z gabinetu bez słowa pożegnania.

Rozdział 42

W środę rano o dziewiątej czterdzieści Mark dostał maila z firmy Cohen-Cutler z informacją, że ich dział rozliczeń właśnie uruchamia przelew ponad czterech milionów dolarów na konto kancelarii prawnej Lucero & Frazier w Citibanku. W kwocie przelewu mieściło się odszkodowanie w wysokości trzech tysięcy ośmiuset dolarów dla każdego z tysiąca trzystu jedenastu jej klientów, minus osiem procent prowizji firmy Cohen-Cutler za zorganizowanie pozwu zbiorowego. Dokładna kwota przelewu wynosiła w związku z tym cztery miliony pięćset osiemdziesiąt trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt sześć dolarów.

Mark pognał do Citibanku i w gabinecie zaprzyjaźnionej kierowniczki czekał, aż wpłyną pieniądze. Przez wlokącą się przeraźliwie godzinę (ściśle mówiąc, pięćdziesiąt sześć minut) krążył po gabinecie jak po klatce, nie mogąc

usiedzieć w miejscu i nawet nie próbując udawać, że sprawa dotyczy zwykłego rutynowego przelewu odszkodowania w ramach porozumienia. Swym zachowaniem irytował kierowniczkę, spędziła jednak tak dużo czasu w towarzystwie Marka i tak go polubiła, że sama poddała się nastrojowi oczekiwania. Minuty wlekły się i dla zabicia czasu poprosił ją o przygotowanie sześciu czeków potwierdzonych, z czego trzy na firmy obsługujące zadłużenia kredytowe Todda Lucero, Zoli Maal i Marka Fraziera na łączną kwotę sześciuset pięćdziesięciu dwóch tysięcy dolarów. Czwarty czek był przeznaczony dla pana Josepha Tannera, ojca Gordy'ego, i opiewał na kwotę dwustu siedemdziesięciu sześciu tysięcy dolarów. Piąty czek na kwotę stu tysięcy dolarów miał być wystawiony na matkę Marka, szósty na tę samą kwotę na rodziców Todda. Czeki zostały przygotowane, ale formalnie niewystawione.

Pieniądze wpłynęły minutę po jedenastej i Mark natychmiast podpisał dyspozycję przelania trzech milionów czterystu tysięcy dolarów na konto York & Orange Traders w Drugim Królewskim Banku Małych Antyli na Barbadosie. Zostawił parę dolarów na firmowym koncie w Citibanku, zabrał sześć potwierdzonych

czeków, wylewnie podziękował kierowniczce i wyszedł na zalaną słońcem ulicę Brooklynu bogatszy, niż kiedykolwiek mu się śniło. Idąc raźnym krokiem, zadzwonił do Todda i Zoli, by podzielić się z nimi fantastyczną wiadomością.

Po drodze wstąpił do biura FedExu przy Atlantic Avenue i poprosił o sześć kopert na ekspresowe przesyłki i cztery krajowe lotnicze listy przewozowe. Na arkuszu żółtego papieru napisał do ojca Gordy'ego krótki list o następującej treści:

Szanowny Panie,
w załączeniu przesyłam potwierdzony czek Citibanku na kwotę 276 000 dolarów. To powinno starczyć na spłacenie wszystkich kredytów studenckich Gordy'ego.

Z poważaniem
Mark Frazier

To nie załatwiało jeszcze ostatecznie sprawy. Pozostawało rozliczenie podatku od darowizny i być może od dochodu, ale to już zostawił panu Tannerowi. Nie zamierzał więcej się tym zajmować. Złożył liścik, włożył czek do środka i wszystko wsunął do koperty. Zaadresował listy przewozowe do pana Tannera w Martinsburgu

oraz do trojga opiekunów kredytów studenckich: Morgany Nash z NowAssist w New Jersey, Rexa Wagnera ze Scholar Support Partners w Filadelfii i Tildy Carver z LoanAid w Chevy Chase. Wypełnienie wszystkich druczków zajęło Markowi pół godziny, co pomogło mu uspokoić trochę nerwy i przestać oglądać się przez ramię. Upomniał się, że przecież już od kilku miesięcy żyje jak mysz pod miotłą i najgorsze, co może teraz zrobić, to okazać zdenerwowanie. Nie zmieniało to faktu, że od chwili, gdy pieniądze wpłynęły, był cały rozdygotany.

Wręczył urzędniczce sześć ekspresowych przesyłek, zapłacił gotówką za wysyłkę i wyszedł z biura FedExu. Stojąc na chodniku, wysłał do Todda i Zoli SMS-y z wiadomością, że ich studenckie zadłużenie zostało właśnie w pełni spłacone. Po powrocie do hotelu zadzwonił do Jenny Valdez i spytał o przelew należnej prowizji za usługi prawnicze kancelarii Lucero & Frazier. Należało im się po osiemset dolarów od każdego przekazanego klienta, czyli łącznie kolejny milion czterdzieści osiem tysięcy osiemset dolarów. Pani Valdez zapewniła go, że pieniądze powinny „wyjść jutro”.

Do swojej opiekunki kredytu studenckiego wysłał mail następującej treści:

Droga Morgano,
jestem pewien, że słyszała Pani o moich kłopotach z prawem w Dystrykcie Kolumbii, ale proszę się nie martwić. Niedawno zmarł mój bogaty wujek i zostawił mi w spadku niezłą sumkę. Właśnie przed chwilą wysłałem ekspresową przesyłkę z potwierdzonym czekiem na kwotę 266 000 dolarów, wystawionym na firmę NowAssist, co w pełni pokrywa moje zadłużenie. Miło się z Panią korespondowało.
Mark Frazier

Todd wysłał mail z Barbadosu:

Szanowny Starszy Doradco Kredytowy SS Rex Wagner,
a więc w końcu posłuchałem pana rady i znalazłem sobie pracę. W dodatku muszę panu powiedzieć, że praca jest zajebista. Zarabiam teraz tyle kasy, że nie dam rady wszystkiego wydać. Mogę sobie kupić wszystko, czego zapragnę, ale tak naprawdę chcę tylko jednego: żeby się pan raz na zawsze ode mnie odczepił. Jutro FedEx dostarczy panu potwierdzony czek na

kwotę 195 000 dolarów, stanowiący spłatę całego zadłużenia. Możesz pan teraz iść i nękać kogoś innego.

pański kumpel
Todd Lucero

Z Dakaru Zola napisała:

Droga Pani Carver,
właśnie wygrałam na loterii i wysyłam Pani czek na 191 000 dolarów. Powinna go Pani dostać jutro.

Pozdrawiam
Zola Maal

* * *

Todd spędził popołudnie, kręcąc się w okolicach biura pana Rudolpha Richarda w Drugim Królewskim Banku Małych Antyli. Gdy o szesnastej piętnaście pieniądze wreszcie wpłynęły, podziękował panu Richardowi i opuścił bank, by zawiadomić wspólników.

Dziesięć minut później grupa agentów FBI weszła do biur kancelarii Cohen-Cutler w Miami i w towarzystwie Iana Mayweathera i jego ekipy

zasiadła w największej sali konferencyjnej. Agent specjalny Wynne wręczył Mayweatherowi nakaz przeszukania, a ten najpierw uważnie go przestudiował, po czym przekazał szefowi działu spraw karnych, który przeczytał go od deski do deski. Upewniwszy się, że nie mają wyjścia, Mayweather skinął głową na kolejnego członka swojej ekipy, a ten podał agentowi listę pięćdziesięciu dwóch kancelarii prawnych, które pośredniczyły w zebraniu dwustu dwudziestu tysięcy uczestników pozwu zbiorowego. Wynne przebiegł listę wzrokiem, znalazł to, czego szukał, i zapytał:

– Ta kancelaria z Nowego Jorku, Lucero and Frazier… Co o nich wiecie?

Mayweather zajrzał do swojego egzemplarza listy.

– Przekazali nam tysiąc trzystu uczestników pozwu – odpowiedział.

– Mieliście z nimi wcześniej do czynienia?

– Nie, ale to samo można powiedzieć o praktycznie wszystkich kancelariach na tej liście. Skierowano do sądów sześć oddzielnych pozwów zbiorowych przeciwko bankowi Swift i kancelarie rozglądały się po rynku, szukając najlepszych warunków. I ta wybrała nas.

– Nie macie zwyczaju sprawdzać, czy firma jest legalna?

– Nie mamy takiego obowiązku. Zakładamy, że firmy i ich klienci odpowiadają wymaganiom. A co, panowie coś wiecie o tej kancelarii?

Wynne pominął pytanie milczeniem.

– Chcielibyśmy zobaczyć listę nazwisk tysiąca trzystu klientów kancelarii Lucero and Frazier.

– Można je znaleźć w sieci, w aktach pozwu – odparł Mayweather.

– Tak, razem z milionem innych nazwisk, które nie są pogrupowane według zgłaszających je kancelarii. Trochę trudno analizować wszystkie po kolei. Chcemy zobaczyć listę klientów kancelarii Lucero and Frazier.

– Rozumiem, tylko że w waszym nakazie tego nie ma.

Siedzący po jednej stronie stołu agenci FBI przewiercali morderczym wzrokiem prawników, którzy nie pozostawali im dłużni. W końcu ci drudzy byli u siebie, na prywatnym, a nie rządowym terenie, i jako bardzo bogaci prawnicy mogli sobie pozwolić na wyrażenie niezadowolenia, że federalni wtrącają się w nie swoje sprawy. Ale federalnym było to obojętne. Otrzymali zadanie zbadania sprawy i z ich punktu widzenia mieli prawo wtrącać się do

wszystkiego. Więc obie strony stołu mierzyły się wzrokiem, czekając, która pierwsza mrugnie.

Jeden z agentów podał Wynne'owi teczkę z dokumentami, a ten pogrzebał w niej i wyjął następny papier.

– Tu ma pan jeszcze jeden nakaz – powiedział. – Sędzia uznał, że możemy badać wszelkie podejrzane ruchy związane z Markiem Frazierem i Toddem Lucero, dwoma oszustami, którzy tylko udają prawników, ale nimi nie są.

– Żartuje pan – żachnął się Mayweather i zamrugał.

– Czy my wyglądamy na żartownisiów? Mamy powody sądzić, że ci dwaj udawani prawnicy wcisnęli wam do pozwu grupę udawanych klientów. Musimy to sprawdzić.

Mayweather przeczytał drugi nakaz, rzucił go na stół i wzruszył ramionami na znak poddania.

– Dobrze, proszę – powiedział.

* * *

Mark zmagał się z kanapką w barze przekąskowym w Brooklynie, ale zupełnie nie czuł apetytu. Był niemal na skraju zapaści nerwowej. Z jednej strony miał ochotę napawać się tak ogromnymi pieniędzmi, z drugiej czuł, że

najwyższa pora wiać. Z jednej strony rozpierała go satysfakcja, że wycięli wspaniały numer Głównemu Szatanowi – jak Gordy nazywał Rackleya – i okradli oszusta, z drugiej jednak nogi się pod nim uginały na myśl o tym, co się stanie, jeżeli ich złapią.

Todd w tym czasie siedział na plaży i z zimnym drinkiem w ręce oglądał kolejny cudowny zachód słońca na Karaibach. Czuł się bezpieczny, przynajmniej na razie, i z uśmiechem myślał o tym, co zrobi ze swoją częścią fortuny. Radość mąciły mu tylko myśli o rodzicach i ich rozczarowaniu, gdy się dowiedzą, że już nie wróci do Waszyngtonu. Powrót do Waszyngtonu? Czy to kiedykolwiek będzie możliwe? I czy w ogóle jest po co? Próbował się otrząsnąć z tych myśli, przekonując się w duchu, że popełnili idealne przestępstwo.

Zola tymczasem cieszyła się życiem rodzinnym w Dakarze. Właśnie jedli kolację na wolnym powietrzu, w knajpce z widokiem na ocean. Był cudowny wiosenny wieczór i największe kłopoty mieli już za sobą.

Żadnemu z tych trojga nawet się nie śniło, że w tym czasie kilkunastu agentów FBI wisi na telefonach i ustala, że żaden z ich klientów Swifta nie istnieje.

* * *

Długo po zachodzie słońca Todd zadzwonił do Marka po raz czwarty tego dnia. Pierwsze dwie rozmowy przeprowadzili w nastroju euforycznym, świętując sukces swojej akcji. Podczas trzeciej euforia nieco wyparowała, górę wzięło poczucie rzeczywistości i zaczęli się martwić.

Teraz, już bez żadnych wstępów, Todd oświadczył:

– Uważam, że powinieneś wiać. Natychmiast.

– Dlaczego?

– Mamy dość pieniędzy, Mark. I popełniliśmy błędy, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy. Spieprzaj z kraju. Prowizję adwokacką przekażą nam jutro i to będzie nasza wisienka na torcie. Bank będzie wiedział, dokąd przesłać pieniądze. Czułbym się lepiej, gdybyś już siedział w samolocie.

– Może masz rację. Z twoim nowym paszportem nie było problemów?

– Jak już mówiłem, żadnych. Prawdę mówiąc, wygląda autentyczniej niż mój prawdziwy, z którego tak dużo nie korzystałem. Pamiętaj, że kosztowały nas tysiąc dolców.

– Oczywiście, jakże mógłbym zapomnieć.

– Wsiadaj do samolotu, Mark, i wynoś się z kraju.

– Myślę o tym. Dam ci znać.

Mark przełożył laptop i trochę papierów do większej walizeczki, która została mu po uprawianiu ulicznego prawa, i zapakował trochę ciuchów i przybory toaletowe do niedużej torby podróżnej. Pokój wyglądał jak pobojowisko i nie mógł już na niego patrzeć. Przemieszkał w nim dziewięć dni i nie widział potrzeby wymeldowania się w recepcji, bo pokój był opłacony jeszcze za dwie doby. Po prostu wyszedł, zostawiwszy w pokoju brudy swoje i Todda, sterty papierów, wśród których nie było nic kompromitującego, trochę czasopism, niepotrzebne przybory toaletowe i wydzierżawioną drukarkę, z której zabrał chip pamięci. Przeszedł kilka przecznic, machnął ręką na taksówkę i kazał się zawieźć na lotnisko Kennedy'ego, gdzie za sześćset pięćdziesiąt dolarów kupił bilet w obie strony do Bridgetown na Barbadosie. Urzędnik straży granicznej sprawdzający dokumenty na wpół spał i prawie nie spojrzał na jego paszport. Mark przesiedział godzinę w poczekalni, odleciał o dwudziestej drugiej dziesięć i zgodnie z rozkładem wylądował w Miami pięć po pierwszej. Znalazł

kanapę w pustej poczekalni i spróbował usnąć, ale noc wlokła się nieznośnie.

* * *

Pięć kilometrów dalej agent specjalny Wynne wkroczył znów wraz z dwoma kolegami do siedziby Cohena-Cutlera. Ian Mayweather i wspólnik już na nich czekali. Od czasu, gdy ich kancelaria zaczęła współpracować – choć zmuszona do tego nakazem sądowym – atmosfera spotkań uległa znacznej poprawie i stała się niemal serdeczna. Sekretarka przyniosła kawę i wszyscy usiedli przy małym stoliku.

– No cóż, mamy za sobą długą noc – zaczął Wynne. – Przejrzeliśmy listę, którą od was dostaliśmy, trochę podzwoniliśmy i porównaliśmy nazwiska z dokumentacją banku Swift. Wygląda na to, że z tych tysiąca trzystu powodów wszyscy byli fikcyjni. Mamy nakaz sądowy zamrożenia wszelkich wypłat na czterdzieści osiem godzin.

Mayweathera to nie zaskoczyło. Jego ludzie przepracowali całą noc i doszli do takich samych wniosków. Natknęli się też na dokumentację

sprawy Fraziera i Lucero i wiedzieli o zarzutach, które postawiono im w Waszyngtonie.

– Idziemy w pełni na współpracę i dostosujemy się do waszych poleceń – zapewnił Wynne'a. – Ale chyba nie zamierzacie sprawdzać wszystkich dwustu dwudziestu tysięcy naszych klientów, co?

– Nie. Wygląda, że z innymi firmami jest wszystko w porządku. Ale dajcie nam trochę czasu, aż się upewnimy, że oszustwo dotyczy tylko tej jednej niedużej grupki.

– Doskonale. A co się dzieje z Frazierem i Lucerem?

– Nie wiemy, gdzie są, ale ich znajdziemy. Pieniądze, które przekazaliście im wczoraj, zostały natychmiast przelane do zagranicznego banku, więc udało im się wyprowadzić je z kraju. Podejrzewamy, że dokądś uciekli, ale jak dotąd okazywali się niezbyt wyrafinowani w swych działaniach.

– Skoro pieniądze wyszły za granicę, to nie możecie ich już tknąć, czy tak?

– Tak, ale z całą pewnością możemy tknąć ich. A jak już ich dopadniemy i wsadzimy za kratki, sami będą chcieli się dogadać. Spokojnie, odzyskamy tę forsę.

– Świetnie. Bo mnie leży na sercu dopełnienie warunków porozumienia. Mamy do przekazania jeszcze mnóstwo pieniędzy i paru prawników już się na mnie wydziera. Tak że, proszę, pośpieszcie się.

– Cały czas nad tym siedzimy.

* * *

O dziewiątej Mark dopił kolejne podwójne espresso i ruszył do wyjścia, wrzucając po drodze do skrzynki pocztowej niedużą puchatą kopertę. Była zaadresowana do reportera „Washington Post”, nieustępliwego dziennikarza śledczego, którego pracę od paru tygodni obserwował. W kopercie znajdował się jeden z pendrive’ów Gordy’ego.

Stojąc w kolejce do samolotu, zadzwonił do matki i sprzedał jej bajeczkę o długiej podróży, w którą wybierają się razem z Toddem. Uprzedził, że nie będzie ich kilka miesięcy i nie będą przez ten czas pod telefonem, ale jak tylko się uda, będzie do niej dzwonił. Jego sprawy w Waszyngtonie zostały wyprostowane i nie ma się czym martwić. Ma też dziś uważać na kuriera FedExu, który coś jej przywiezie. Trochę pieniędzy, które spożytkuje według własnego

uznania, byle nie traciła ich na adwokata dla Louiego. Kocham cię, mamo.

Wszedł na pokład bez żadnych przygód, zajął miejsce przy oknie, wyciągnął laptopa i zalogował się. W skrzynce odbiorczej znalazł maila od Jenny Valdez z firmy Cohen-Cutler, w którym pisała, że w związku z „pewnymi problemami" przekazanie prowizji adwokackiej zostaje chwilowo wstrzymane. Przeczytał wiadomość po raz drugi i zamknął komputer. To oczywiste, że przy tak ogromnej skali całego przedsięwzięcia musiały wystąpić jakieś kłopoty i nie może to mieć nic wspólnego z nim osobiście, prawda? Zamknął oczy, zaczął głęboko oddychać i w tym momencie w głośnikach rozległ się głos stewardesy, która informowała o niewielkim opóźnieniu z powodu „niekompletnej dokumentacji lotu". Samolot był pełen udających się na wyspy urlopowiczów, z których część zaczęła już urlop w lotniskowych barach. Komunikat powitano głośnymi jękami, ale także wybuchami śmiechu i pokrzykiwaniem.

Zegar tykał i Mark czuł, jak rośnie mu ciśnienie i coraz mocniej wali serce. Stewardesa przeszła po kabinie z wózkiem, oferując pasażerom drinki na koszt linii lotniczej. Mark poprosił o poncz rumowy i wypił całą szklankę

dwoma haustami. Już miał poprosić o drugą, gdy samolot nagle szarpnął i zaczął się toczyć do tyłu. W trakcie kołowania na pas startowy wysłał do Todda SMS-a, że za chwilę startuje. Po paru minutach patrzył już przez okno na znikające w dole Miami.

Rozdział 43

Zgodnie z poleceniem Todda, w czwartek rano Zola udała się w towarzystwie swojej adwokatki do oddziału Senegalskiego Banku Pocztowego. Idina Sanga zgodziła się – oczywiście za oddzielną opłatą – pomóc jej otworzyć konto. Były umówione z wiceprezes banku, sympatyczną kobietą niemówiącą słowa po angielsku. Adwokatka wyjaśniła po francusku, że jej klientka jest Amerykanką, która przeniosła się do Dakaru, by być z rodziną. Zola okazała paszport, prawo jazdy wydane w New Jersey i umowę najmu mieszkania. Wytłumaczyła też, że jej amerykański chłopak jest bogaty i postanowił przesłać jej trochę pieniędzy na utrzymanie i kupno domu. Ponieważ dużo podróżuje po świecie w sprawach zawodowych, zamierza też spędzić trochę czasu w Senegalu. Niewykluczone nawet, że otworzy tu swoje biuro. Opowieść była dobrze przećwiczona, płynęła

wartko i w pełni przekonała panią wiceprezes. Istotne znaczenie miało też to, że Zolę reprezentowała ciesząca się dobrą renomą pani adwokat. Idina Sanga podkreśliła konieczność zachowania dyskrecji i poinformowała, że na konto wpłynie wkrótce duża kwota pieniędzy. Ustalono wstępną wpłatę w wysokości równowartości tysiąca dolarów amerykańskich i adwokatka uważnie przeczytała sporządzoną przez bank umowę. Karty bankowe miały być wkrótce dostarczone pocztą. Wszystkie formalności potrwały mniej niż godzinę. Po powrocie do domu Zola wysłała do Todda mail z numerem konta.

* * *

Mark wylądował w Bridgetown o trzynastej dwadzieścia; przy wyjściu z hali przylotów czekał na niego Todd.

– Ładna opalenizna – zauważył Mark.

– Dzięki, ale jestem już gotów stąd spieprzać.

– Mów.

Weszli do baru, zamówili po piwie i usiedli przy małym stoliku. Mark pociągnął długi łyk i otarł usta.

– Wyglądasz na zestresowanego – powiedział.

– Bo jestem. Słuchaj, wiem, że marzysz o paru dniach na plaży, ale musimy stąd uciekać. Naprawdę wiać. FBI może wyśledzić przelew do naszego banku w Brooklynie.

– Jak to przewidzieliśmy.

– Tak, i to wszystko, co mogą zrobić, w każdym razie w sprawie pieniędzy. Ale kiedy nas tam nie znajdą, zaczną się za nami rozglądać i mogą trafić tutaj. Tkwienie na tej wyspie nic nam nie da. Zola dziś rano bez problemu otworzyła konto w banku w Dakarze. Opóźnienie ostatniego przelewu z prowizją może mieć związek z nami, może nie mieć, ale po co ryzykować? Federalni mogą być już krok za nami. Zwiejmy im, zanim nas namierzą.

Mark pociągnął następny łyk piwa i wzruszył ramionami.

– Jak chcesz – mruknął. – Równie dobrze mogę siedzieć na słońcu w Dakarze.

– Mają tam przepiękne plaże i hotele, które dorównują najlepszym tutejszym. A wygląda na to, że będziemy mieli dużo czasu na siedzenie nad basenem.

Dopili piwo, wyszli na oślepiające słońce, złapali taksówkę i kazali się zawieźć do Drugiego Królewskiego Banku, gdzie musieli godzinę poczekać na pana Rudolpha Richarda. Todd

przedstawił Marka jako swego wspólnika w firmie York & Orange Traders i wyjaśnił, że chcą przelać trzy miliony dolarów na ich konto w banku w Dakarze. Pan Richard wyglądał na zaskoczonego, lecz nie dopytywał o szczegóły. On i jego bank robią to, czego życzą sobie klienci, a ci życzyli sobie podjąć dwadzieścia tysięcy dolarów w gotówce, po czym opuścili bank. Na lotnisku przestudiowali rozkład lotów i stwierdzili, że niemal wszystkie trasy mają międzylądowanie w Miami lub na JFK w Nowym Jorku, a obu tych miejsc woleli unikać. Zapłacili gotówką pięć tysięcy dwieście dolarów za dwa bilety w jedną stronę i o siedemnastej dziesięć wylecieli z Barbadosu na Gatwick w Londynie, ponad sześć tysięcy siedemset kilometrów i jedenaście godzin lotu na wschód. W samolocie Mark sprawdził pocztę i przeczytał mail od kierowniczki z Citibanku w Brooklynie, w którym informowała go, że drugi przelew do tej pory nie przyszedł.

– Możemy już machnąć ręką na ten milion z prowizji adwokackiej – mruknął do Todda.

– No cóż, tak naprawdę to jej nie zarobiliśmy – powiedział Todd.

Przez dwie godziny raczyli się piwem w barze na Gatwick, po czym wsiedli do samolotu

lecącego do Algierii, tysiąc sześćset kilometrów na południe. Musieli tam czekać całe osiem godzin, wlokących się w nieskończoność na upalnym i zatłoczonym lotnisku. Niemniej z każdym przebytym kilometrem i w miarę zmian kulturowych w otoczeniu coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że zostawiają za sobą grożące im niebezpieczeństwo. Pięć godzin później, o dwudziestej trzeciej trzydzieści czasu miejscowego, wylądowali trzy tysiące dwieście kilometrów na południe, w Dakarze. Mimo późnej pory port lotniczy aż tętnił aktywnością, z głośników płynęła głośna muzyka, a nachalni przekupnie próbowali wciskać biżuterię, wyroby skórzane i świeże owoce. Przed wejściem do budynku portu uwijał się tłum żebraków atakujących wszystkich przyjezdnych o jaśniejszej skórze – białych i Azjatów. Marka i Todda też obstąpili, ale udało im się uwolnić i znaleźć taksówkę i po dwudziestu minutach zajechali pod Radisson Blu Hotel na Sea Plaza.

Zola zarezerwowała na swoje nazwisko dwa pokoje przy basenie i zapłaciła z góry za tydzień pobytu. Najwyraźniej odpowiednio przygotowała grunt, bo Marka i Todda powitano z honorami jak celebrytów. Nikt nie poprosił ich nawet o paszporty.

Był to ich pierwszy w życiu pobyt w Afryce i nie zamierzali się zastanawiać, jak długo może potrwać. Ich przeszłość leżała w gruzach, przyszłość przedstawiała się niepewnie. Dlatego postanowili żyć teraźniejszością i niczego nie żałować. Życie mogło potoczyć się dużo gorzej. Mogli na przykład teraz ślęczeć nad egzaminem adwokackim.

* * *

Około południa w sobotę, gdy słońce rozpaliło kafelki wokół basenu i na tarasach niemal do białości, Mark wytoczył się ze swojego pokoju, zmrużył oczy w oślepiającym blasku, przetarł je dłonią, podszedł na krawędź basenu i runął do słonej, przyjemnie ciepłej wody. Chwilę popływał, leniwie machając rękami i nogami „na pieska”, i dał spokój. Usiadł na dnie płytkiego końca basenu w wodzie sięgającej brody i spróbował sobie uzmysłowić, co robił tydzień temu. Waszyngton, poranek po popijawie z kolegami z uczelni. Dzień po tym, jak stanęli przed sądem z Philem Sarrano i zetknęli się z rozwścieczonymi ludźmi. Dzień, w którym miał świętować ukończenie Foggy Bottom i wyruszać na podbój świata.

Świata nie zdobył, ale z całą pewnością rzeczywistość wokół była inna. Niektóre tygodnie wlekły się i nic się nie działo, inne – jak ten – były tak gęste od wydarzeń, że człowiek tracił rachubę dni. Tydzień temu mogli tylko marzyć o pieniądzach, dziś ich pieniądze leżały na koncie w senegalskim banku, gdzie nikt ich nie znajdzie.

Widać u jego przyjaciela zegar biologiczny działał podobnie, bo chwilę później Todd wyłonił się ze swojego pokoju i wskoczył do basenu, ale zamiast pływać, od razu skinął na chłopca z obsługi i zamówił drinki. Po dwóch kolejkach wrócili do pokoi, by wziąć prysznic, włożyć codzienne stroje i wyruszyć na zakupy, które stanowiły ważny punkt dzisiejszego programu.

Ich wspólniczka miała na sobie coś, czego nigdy wcześniej nie widzieli. Zola przyszła do hotelu w intensywnie czerwono-żółtej sukni do ziemi, z naszyjnikiem z wielkich kolorowych kulek i kwiatem we włosach; wyglądała bardzo po afrykańsku. Uścisnęli się na powitanie, starając się jednak nie zwracać na siebie zbytniej uwagi. Restauracja była w połowie zapełniona gośćmi, niemal samymi Europejczykami.

– Wyglądasz prześlicznie – rzucił Todd, gdy usiedli przy stoliku.

– Zola, wyjdź za mnie – powiedział Mark.

– Zaraz, ja miałem jej to zaproponować – obruszył się Todd.

– Przykro mi, żadnych więcej białych chłopców. Za dużo z nimi kłopotu. Znajdę sobie jakiegoś afrykańskiego chłopaczka, którym będę mogła rządzić.

– Od trzech lat nami rządzisz – mruknął Mark.

– Ale wy się odszczekujecie, a poza tym kłamiecie jak najęci. Chcę faceta, który nigdy się nie odzywa niepytany i zawsze mówi prawdę.

– Powodzenia – parsknął Todd.

Podeszła kelnerka i wszyscy troje zamówili coś do picia: chłopcy piwo, Zola herbatę. Spytali ją o rodzinę i usłyszeli, że rodzice i brat czują się bezpieczni i są szczęśliwi. Po budzącym grozę początku w areszcie wszystko wróciło do normy. Nikt z policji więcej się nie pojawił, nie interesowały się też nimi żadne inne władze. Bo i ona myślą o wynajęciu niedużego mieszkania w pobliżu rodziców. Potrzebują trochę więcej przestrzeni życiowej. Abdou poczuł się znów senegalskim muzułmaninem i chce dominować. Po czterech miesiącach przymusowej bezczynności w obozie przejściowym oboje z Fantą byli znudzeni i chcieli zacząć coś robić. W sumie żyło im się dobrze, choć wciąż jeszcze nie do końca pewnie. Adwokatka zajmowała się

przywróceniem im obywatelstwa i wydaniem odpowiednich dokumentów.

Zola chciała poznać szczegóły z ostatnich dwóch tygodni, począwszy od aresztowania chłopaków i ucieczki do Brooklynu i dalej na Barbados. Mark i Todd opowiadali na zmianę tak, że wszystko brzmiało dość komicznie. Kelnerka wróciła z napojami i Zola uparła się, by zamówili *yassa*, tradycyjne danie senegalskie z pieczonego kurczaka w sosie cebulowym. Gdy kelnerka odeszła, Todd i Mark podjęli na nowo opowieść. Do opowiedzenia sceny na sali rozpraw sędziego Abbotta, kiedy to połowa siedzących na miejscach dla publiczności była gotowa rzucić im się do gardeł, potrzebni byli obaj, bo wszyscy troje aż się zanosili śmiechem.

Tak głośno, że ludzie przy innych stolikach zaczęli im się przyglądać, więc trójka przyjaciół musiała trochę stłumić wybuchy śmiechu. Kurczak *yassa* wszystkim smakował, ale zrezygnowali już z deseru. Sącząc mocną kawę, ściszyli głosy i przeszli do poważniejszych spraw.

– Nasz główny problem jest oczywisty – powiedział Mark. – Jesteśmy tu na krótkich wakacjach i podróżujemy na fałszywych paszportach. Jeśli nas namierzą, trafimy do tego samego aresztu, do którego wsadzili twojego ojca

i Bo. Dwóch białych kolesi w naprawdę paskudnym areszcie.

Zola pokręciła głową.

– Nie, nic wam tu nie grozi. Możecie tu siedzieć, ile wam się podoba, i nikt nie piśnie ani słowa. Chodźcie tylko do miejsc odwiedzanych przez białych i trzymajcie się plaży. Nie róbcie nic, co zwracałoby na was uwagę.

– Jak tu się traktuje gejów? – zapytał Todd.

Zola się skrzywiła.

– Nie pytałam i właściwie nie wiem. A co, jesteście teraz gejami? Wystarczyło, że was spuściłam z oka na dwa tygodnie, i…

– Nie, ale kiedy meldowaliśmy się wczoraj wieczorem w recepcji, to tak jakoś dziwnie na nas patrzyli. Jakbyśmy byli parą. Ludzie snują domysły.

– Czytałem gdzieś, że geje w Afryce są przeważnie źle widziani, zwłaszcza w krajach muzułmańskich – dodał Mark.

– Nie są aż tak akceptowani jak w Stanach, ale nikt nie będzie was zaczepiał. Przy plażach stoją tu dziesiątki hoteli o zachodnim standardzie i mieszkają w nich setki białych turystów, głównie z Europy. Nie będziecie się wyróżniać.

– Ja z kolei czytałem, że tutejsza policja bywa strasznie ostra – wtrącił Todd.

– Ale nie na plażach. Turystyka jest zbyt ważnym działem gospodarki. Tylko musicie pamiętać, że mają prawo z byle powodu was zatrzymać i zażądać wylegitymowania się. Dwóch białych chłopaków w nieodpowiedniej części miasta mogłoby zwracać uwagę.

– Pachnie mi to rasizmem – zauważył Mark.

– O tak, tylko że na odwyrtkę.

Rozmawiali przez blisko dwie godziny. W pewnej chwili zapadła cisza i Zola pochyliła niżej głowę.

– To w jak poważnych opałach jesteśmy? – spytała szeptem.

Mark i Todd wymienili się spojrzeniami.

– Będzie zależało od tego, jak im pójdzie realizacja porozumienia – wyjaśnił Todd. – Jeśli dobrną do końca i nikt nie nabierze podejrzeń, to będziemy chyba mogli powiedzieć, że udało nam się idealne przestępstwo. Zostaniemy tu parę tygodni, upewnimy się, że pieniądze są tu bezpieczne, i ewentualnie ściągniemy resztę z Barbadosu.

– A potem po cichutku wrócimy do kraju – dodał Mark. – Będziemy trzymać się z dala od Waszyngtonu i Nowego Jorku i mieć oczy i uszy otwarte. Jeśli sprawa banku Swift w końcu

ucichnie, będzie to znaczyło, że jesteśmy wolni i bezpieczni.

– Z drugiej strony – podjął Todd – jeśli ktoś nabierze podejrzeń, to być może będziemy musieli przejść do planu B.

– Mianowicie?

– Jeszcze nad nim pracujemy.

– A ta awantura w Waszyngtonie? – spytała. – Bo muszę wam powiedzieć, że nie jestem zachwycona postawieniem mnie w stan oskarżenia, nawet za coś tak bzdurnego jak praktykowanie prawa bez licencji.

– Jak dotąd nie zostaliśmy postawieni w stan oskarżenia – zauważył Mark. – I pamiętaj, że zapłaciliśmy adwokatowi sute honorarium za przewlekanie sprawy i osiągnięcie porozumienia. Sytuacją w Waszyngtonie się nie martwię.

– A czym?

Mark na moment zapadł w zadumę.

– Tym, co się dzieje w Cohenie-Cutlerze. Już opóźnili przelew z tytułu prowizji adwokackiej. To może być czerwona chorągiewka.

* * *

Po lunchu Zola ich zostawiła, a oni wrócili nad basen podrzemać, popływać i wypić kolejne

drinki. Po południu atmosfera nad basenem uległa gwałtownej zmianie, bo zjawiła się grupa młodzieży z Belgii. Muzyka zrobiła się głośniejsza, w basenie było coraz bardziej tłoczno i hałaśliwie i obaj z przyjemnością przyglądali się igraszkom młodych przybyszów.

Zola wróciła o siódmej z dwiema dużymi torbami zabawek: nowych laptopów i smartfonów na kartę; korzystając z nich, wszyscy troje założyli po kilka nowych adresów mailowych, po czym przystąpili do omówienia różnych scenariuszy z punktu widzenia bezpieczeństwa działania. Porozmawiali też o pieniądzach, nie podjęli jednak żadnych istotnych decyzji. Jet lag dawał o sobie znać i Mark i Todd potrzebowali snu. Zola opuściła ich tuż po dziewiątej i wróciła do siebie.

Rozdział 44

Zadzwonił telefon numer trzy Todda, pierwszy z jego smartfonów na kartę kupiony jeszcze w Waszyngtonie w dniu wyjazdu Zoli do Senegalu. Teraz miał już telefon numer cztery i od pewnego czasu wszyscy troje zastanawiali się, jak skonsolidować posiadane komórki, tak by móc korzystać tylko z jednej, ale zadanie wydawało się niewykonalne.

Telefon numer trzy był tym, którego numer podał Rudolphowi Richardowi i to właśnie on zadzwonił z hiobową wiadomością. Oznajmił, że kontaktuje się, bo nie chce, by pozostał mailowy ślad po tej wiadomości: zgłosiło się do niego FBI z pytaniami o przelew telegraficzny z konta firmy Lucero & Frazier w Citibanku w Brooklynie. Oczywiście odmówił odpowiedzi na pytania agentów i nie potwierdził istnienia w jego banku konta firmy York & Orange Traders. Jak zwykle w takich sytuacjach odmówił

udzielenia jakichkolwiek informacji, a przepisy obowiązujące na Barbadosie nie dawały FBI prawa dostępu do danych objętych tajemnicą bankową. Niemniej czuł się w obowiązku poinformować swojego klienta, że interesuje się nim FBI.

Todd podziękował mu, po czym zepsuł nastrój Markowi, przekazując otrzymaną wiadomość. Pierwszą myślą Marka był telefon do Jenny Valdez w celu wysondowania, co się dzieje, szybko jednak odrzucił ten pomysł jako niezbyt rozsądny. Jeśli FBI ogłosiło alarm, zapewne wszystkie rozmowy z kancelarią Cohen-Cutler są nagrywane i sprawdzane.

Dotarcie do hotelu zajęło Zoli godzinę. Zasiedli w trójkę pod parasolem na tarasie z widokiem na ocean, ale nie poprawiło im to nastroju. Zaczynał się realizować ich najgorszy scenariusz i choć często rozważali, co się może wydarzyć, jeśli coś pójdzie nie tak, sytuacja wręcz ich poraziła. FBI było na ich tropie. To oczywiście znaczyło, że ich przekręt z pozwem zbiorowym został odkryty, co doprowadzi do postawienia ich w stan oskarżenia, wydania nakazów aresztowania, wpisania na listę poszukiwanych. W związku z trwającą wojną z terroryzmem i handlem narkotykami trudno było przewidzieć, jak

zostanie potraktowany stosunkowo niewielki szwindel z pozwem zbiorowym, ale należało się spodziewać najgorszego.

Szczególnie przerażona była Zola i miała ku temu powody. Przyleciała do Senegalu, posługując się prawdziwym, ważnym paszportem, co oznaczało, że zostawiła po sobie dobrze widoczny ślad, którego nawet ślepy agent nie mógł przegapić. FBI mogło łatwo pójść tym tropem. W dodatku, jak na złość, po przyjeździe zarejestrowała się w ambasadzie amerykańskiej w Dakarze.

Należało szybko podjąć decyzje. Ponieważ nie znali zamiarów FBI, nie wiedzieli, jak głęboko federalni się dokopali ani jak bardzo siedzą im na karku, postanowili przystąpić do działania. Todd miał się skontaktować z Richardem na Barbadosie i zlecić mu przelew reszty pieniędzy do banku w Senegalu. Zola miała zaufać Bo i zwierzyć mu się ze wszystkiego, ale nadal nie chciała mówić nic rodzicom. Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz. Jutro z samego rana miała się też skontaktować z Idiną Sangą i popchnąć sprawę swojej naturalizacji. Kiedy stanie się pełnoprawną obywatelką Senegalu, jej ekstradycja do USA będzie praktycznie niemożliwa. Spróbuje też ostrożnie wysondować

możliwość wyrobienia nowych dokumentów dla jej dwóch przyjaciół.

Cały wtorek i środę wszyscy troje spędzili nad laptopami, wyszukując w internecie wiadomości o realizacji porozumienia z bankiem Swift, nie znaleźli jednak niczego nowego. Ich prowizja adwokacka nie wpłynęła na konto w Citibanku, co jednoznacznie dowodziło, że sprawy rzeczywiście źle stoją. W końcu w czwartek rano na stronie serwisu finansowego znaleźli wiadomość, że wystąpiły kłopoty z realizacją porozumienia z bankiem Swift. Sędzia federalny z Miami wstrzymał wszelkie wypłaty w związku z prowadzonym śledztwem w sprawie podejrzenia o oszustwo; dokładnie to samo zrobił też sędzia federalny w Houston. W skali całego kraju Swift wypłacił już prawie trzy miliardy dolarów z uzgodnionej kwoty czterech miliardów dwustu milionów, ale problemy zaczynały się mnożyć.

Choć w komunikacie nie wspomniano ani słowem, o jakie oszustwo chodzi, troje wspólników wiedziało dokładnie, nad czym pracują śledczy.

* * *

Mark uważał, że powinni wyjechać z kraju, unikając kontroli celnej i paszportowej na lotnisku. Mieli wystarczająco dużo pieniędzy, by wszystko zaaranżować. Jego plan zakładał wynajęcie samochodu z kierowcą i wyruszenie w drogę. Mieli pojechać na południe, pokręcić się po Afryce Zachodniej i nie śpiesząc się i dobrze się bawiąc, dotrzeć ostatecznie do Republiki Południowej Afryki. Czytał gdzieś, że Kapsztad jest najpiękniejszym miastem świata, a w dodatku wszyscy mówią tam po angielsku. Todd podszedł do pomysłu z wielką rezerwą. Nie przemawiało do niego włóczenie się przez miesiąc po dziczy i wstrzymywanie oddechu za każdym razem, gdy kolejny strażnik z karabinem szturmowym na ramieniu i z lepkimi palcami będzie oglądał jego paszport na granicy kolejnego afrykańskiego państewka. Nie odrzucił całkiem pomysłu Marka, bo ucieczka może się któregoś dnia okazać konieczna, ale nie wyraził także zgody.

Natomiast Zola kategorycznie się sprzeciwiła. Nie zamierzała zostawić rodziny po tym wszystkim, co ostatnio przeszli.

Śledztwo trwało, choć praktycznie nie znali żadnych szczegółów i nie pozostawało im nic innego, jak czekać. Zola czuła się bezpieczniej

w Dakarze, ale znów musiała żyć w strachu, że ktoś może nagle zapukać do jej drzwi.

* * *

Kurort Saint-Louis leży nad samym Atlantykiem, trzysta dwadzieścia kilometrów na północ od Dakaru. Miasto liczy sto siedemdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców i jest o wiele mniejsze od Dakaru, ale nadal na tyle duże, że można się w nim zgubić. Niegdyś było stolicą kraju i Francuzi zbudowali w nim ładne domy, które dobrze się zachowały. Miasto znane jest ze swej kolonialnej architektury, luzackiego stylu życia, pięknych plaż i najważniejszego festiwalu jazzowego w Afryce.

Wyjazd zorganizowała Zola. Wynajęła kierowcę z klimatyzowanym SUV-em i wraz z Bo i oboma wspólnikami wyjechała na parę dni do Saint-Louis. Rodziców nie zaprosiła, bo oboje z bratem czuli się tłamszeni przez ojca i potrzebowali chwili oddechu. Tak naprawdę potrzebowali czegoś więcej: nowego miejsca do życia w pewnej odległości od rodziców. Coś jej mówiło, że Saint-Louis może się okazać takim miejscem.

Po wyjeździe z Dakaru okazało się, że kierowca mówi bardzo słabo po angielsku, i dzięki temu mogli po drodze całkiem swobodnie rozmawiać o wydarzeniach ostatnich sześciu miesięcy. Bo miał dużo pytań, chwilami dość zaczepnych. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę zrobili to wszystko, o czym opowiadali, i Mark z Toddem próbowali mu to wytłumaczyć. Bo był poirytowany, że wciągnęli jego młodszą siostrę w swoje niecne machinacje, a oni bez wahania przyjęli na siebie odpowiedzialność. Zola jednak zaprotestowała; powiedziała, że ma własny rozum i mogła sama za siebie decydować. Jasne, popełnili dużo błędów, ale uczestniczyła w tym z własnej woli i może mieć pretensje tylko do siebie.

Jej brat wiedział, że w banku leżą pieniądze, ale nie miał pojęcia ile. Walczył z sobą, by pogodzić się ze swą przyszłością z dala od Stanów, które nadal traktował jak swój dom. W Stanach została jego dziewczyna i Bo miał złamane serce. Porzucił także wielu przyjaciół, kolegów ze szkoły i kumpli z sąsiedztwa, a także dobrą pracę.

Z czasem jego nastroszenie zaczęło mijać. Wiedział, że gdyby nie pieniądze przekazane Zoli przez Marka i Todda, siedziałby wciąż

w areszcie. Nie sposób też było ignorować troski okazywanej siostrze przez obu jej wspólników.

Po sześciu godzinach jazdy przejechali rzekę Senegal mostem Faidherbe, zbudowanym według projektu Gustave'a Eiffela, tego samego, który zdobył światową sławę dzięki wieży w Paryżu. Stare miasto leżało na wyspie N'Dar, wąskim pasku ziemi z oceanem po obu stronach. Minęli szereg pięknych starych budynków i w końcu zatrzymali się przed hotelem Mermoz, tuż przy plaży. Zjedli sutą kolację na tarasie nad oceanem i rozeszli się wcześnie do łóżek.

Oferta nieruchomości na sprzedaż nie była tak szeroka jak w Stanach, ani nawet w Dakarze, ale Zola bez większego trudu znalazła to, czego szukała. Dom został zbudowany w roku 1890 przez francuskiego kupca i od tamtej pory wielokrotnie zmieniał właścicieli. Trzypoziomowa willa wyglądała atrakcyjniej z ulicy niż od wewnątrz, ale była urokliwa i przestronna. Parkiety gdzieniegdzie były wypuczone, meble mocno podniszczone, zakurzone i niepasujące do siebie. Na półkach i regałach stało pełno ozdobnych waz i innych skorup oraz starych książek po francusku. Kanalizacja działała tylko częściowo, lodówka o zaokrąglonych kształtach musiała pamiętać

lata pięćdziesiąte. Dziedziniec za domem i balkon były obrośnięte pnączami bugenwilli i zaprojektowane z myślą o tropikach. W salonie stał mały telewizor. W ofercie była też mowa o dostępie do internetu, ale pośrednik przyznał, że sieć działa wolno.

Rozdzielili się i rozeszli po domu, którego dokładne spenetrowanie zajęłoby kilka godzin. Na balkonie pierwszego piętra przy sypialni, którą już sobie w myślach zaklepywał, Todd spotkał się z Markiem.

– Nigdy nas tu nie znajdą – rzucił radośnie.

– Może, ale jesteś w stanie uwierzyć, że naprawdę tu jesteśmy?

– Nie. To czysty surrealizm.

Nie bacząc na ich zastrzeżenia, Zola zachwyciła się domem, z miejsca podpisała umowę dzierżawy na pół roku za równowartość mniej więcej tysiąca dolarów miesięcznie i dwa dni później wszyscy czworo się wprowadzili. Todd i Mark zajęli piętro z trzema sypialniami i dwiema łazienkami, w których nie działał ani jeden prysznic; Zola przejęła główny salon na parterze, Bo znalazł się jakby między nimi, dostając w rezultacie największą przestrzeń w metrach kwadratowych. Zostali kolejne dwa dni, żeby lepiej zapoznać się z domem,

zaopatrzyć go w najpotrzebniejsze rzeczy, wymienić żarówki, bezpieczniki i tak dalej. W ramach umowy przypadł im w udziale ogrodnik, Pierre jakiś tam, który nie mówił słowa po angielsku, za to był bardzo wymowny w komunikowaniu się na migi i stękaniu.

Atmosfera na wyspie przypominała Wenecję – zamknięte miasto otoczone ze wszystkich stron wodą – z tą jednak różnicą, że tu wszędzie ciągnęły się przepiękne plaże. Ich miałki piasek przyciągał turystów i wzdłuż brzegów stały dziesiątki eleganckich hoteli. Wszystkie chwile wolne od obowiązków domowych Mark i Todd spędzali na plaży, popijając rumowe koktajle i gapiąc się na dziewczyny.

Gdy Zola i Bo wsiedli w końcu do SUV-a, by wyruszyć w drogę powrotną do Dakaru, obaj serdecznie ich pożegnali i przykazali szybki powrót. Rodzeństwo planowało, że nie będzie ich jakiś tydzień, podczas którego się spakują i wyplączą spod kurateli rodziców.

Siedząc w półmroku salonu starego domostwa zbudowanego przez Europejczyków w innym wieku i w innych czasach, dwaj młodzi Amerykanie spędzili ten wieczór, zmagając się z butelką szkockiej whisky i próbując dogłębnie

analizować swoje życie. Druga część zadania okazała się ponad ich siły.

* * *

W niedzielę dwudziestego drugiego czerwca na pierwszej stronie „Washington Post” ukazał się artykuł zatytułowany: *Przekręt z prywatnymi uczelniami prawniczymi wiedzie do szefa nowojorskiego funduszu*. W dolnej części strony znajdowało się duże zdjęcie Hindsa Rackleya, a artykuł był w zasadzie lepiej skonstruowaną wersją opowieści Gordy’ego ze ściany jego pokoju, ukazującą powiązania między dziesiątkami kancelarii prawnych, firm wydmuszek i uczelni; tylko pominięto w niej niemal zupełnie sprawę banku Swift. Nie ulegało wątpliwości, przynajmniej dla Marka i Todda, że autorowi nie udało się przeniknąć do należących do Rackleya firm poza granicami Stanów, które miały udziały w banku.

Tekst można było uznać za potwierdzenie słuszności tez Gordy’ego. Gordy miał rację, a Głównego Szatana czekało teraz wizerunkowe piekło. Artykuł nie sugerował tego wprost, ale można było z dużą dozą pewności sądzić, że Rackley znajdzie się na celowniku FBI.

Żyli tym artykułem przez kilka dni, szybko jednak przestali o nim myśleć.

Dwa dni później, dwudziestego czwartego czerwca, Mark Frazier, Todd Lucero i Zola Maal zostali przez wielką ławę przysięgłych w Miami postawieni w stan oskarżenia z zarzutem wymuszenia. Oskarżenie było odpryskiem trwającego śledztwa w sprawie licznych oszustw w pozwie zbiorowym przeciwko bankowi Swift. Według informacji podanych na kanale Bloomberg można się było spodziewać dalszych oskarżeń. Mark i Todd obserwowali, jak spekulacje w sprawie oszust rozlewają się szeroko w sieci, nie osiągnęły jednak statusu sensacji z pierwszych stron gazet. W świecie wielkiego biznesu cała sprawa nie była czymś szczególnie znaczącym.

Za to dla trójki oskarżonych znaczyła bardzo wiele i choć się tego spodziewali, wiadomość ich zmroziła. Ale zdążyli się przygotować. Dysponowali odpowiednią kryjówką, a FBI nie miało pojęcia, gdzie są.

Zola była w innej sytuacji. Mark i Todd nie sądzili, by FBI zawracało sobie głowę tropieniem jej aż do Dakaru, liczyło na pomoc lokalnej policji przy jej aresztowaniu i oczekiwało, że senegalski sąd zgodzi się na jej ekstradycję za przestępstwo

niemające nic wspólnego z terroryzmem, zabójstwem lub handlem narkotykami. Byli tego niemal pewni, ale nie dzielili się tym z przyjaciółką. Zdawali sobie sprawę, że dziewczyna nie ma zbytniego zaufania do ich opinii i ma ku temu powody.

Zola snuła własne plany. Wezwała ich do Dakaru w ważnej sprawie, którą od pewnego czasu się zajmowała. Korzystając z kontaktów Idiny Sangi, cierpliwie rozglądała się wśród potencjalnych kandydatur, aż wreszcie znalazła właściwą osobę. Deal był jednocześnie bardzo prosty i bardzo skomplikowany. Za dwieście tysięcy dolarów od osoby wszyscy wspólnicy firmy UPL mieli dostać komplety nowych dokumentów: nowe dowody osobiste, nowe paszporty i nowe obywatelstwo. Urzędnik, który miał to wszystko załatwić, pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i dysponował odpowiednimi kontaktami. Zola odbyła z nim aż trzy spotkania, zanim obie strony nabrały do siebie zaufania. Nigdy nie zostało powiedziane, ile ów urzędnik osobiście na tym zarobi, ale podejrzewała, że znajdzie się wielu beneficjentów na różnych szczeblach władzy.

Deal był prosty, bo kupowanie obywatelstwa za pieniądze nie było niczym niezwykłym, i to nie tylko w Senegalu; skomplikowany, bo wymagał wyrzeczenia się dotychczasowych tożsamości i pochodzenia. Możliwe było wprawdzie zachowanie podwójnego obywatelstwa, ale już nie nazwisk. Jeśli chcieli stać się Senegalczykami, korzystać z ochrony władz tego kraju i ukrywać się przed amerykańskimi władzami, nie mogli być dłużej Markiem, Toddem i Zolą. Podwójne obywatelstwo oznacza podwójną tożsamość, a tego żadne władze nie chcą sankcjonować.

Bez wahania przystali na propozycję Zoli i tylko pohandryczyli się trochę w sprawie kosztów. Ich łup zdążył zmaleć do około dwóch i pół miliona dolarów, co nadal stanowiło niezłą sumkę, ale ich przyszłość wyglądała bardzo niepewnie.

Wrócili do Saint-Louis i rozsypującej się willi z nowymi dowodami osobistymi, nowymi kartami kredytowymi i uśmiechniętymi twarzami na fotografiach w nowiutkich paszportach. Pan Frazier nazywał się teraz Christophe Vidal, w skrócie Chris, i mieszkał pod jednym dachem z Tomasem Didierem, w skrócie Tommym. Ot, dwaj młodzi mężczyźni

o francuskich korzeniach, nieznający ani słowa w ojczystym języku. Biała populacja Senegalu liczyła niecały jeden procent ludności i zwiększenie jej o dwóch nowych członków nie było w żadnym sensie odczuwalne.

Zola nazywała się teraz Alima Pene, co brzmiało bardzo po afrykańsku. Obaj przyjaciele zaczęli nazywać ją Alice.

Bo, za którym nie ciągnął się smród popełnionych w Stanach przestępstw, pozostał, kim był. Wyrobienie dla niego papierów byłoby bez porównania tańsze, ale musiałoby potrwać dużo dłużej.

* * *

Rozleniwione życie, na które składało się spanie, czytanie, zaglądanie do internetu, spacery po plażach, picie i jedzenie o północy kolacji nad oceanem, wkrótce zaczęło ich nudzić. Po miesiącu funkcjonowania w roli Senegalczyków, Chris i Tommy zaczęli się rozglądać za jakimś zajęciem, najchętniej całkowicie legalnym.

Ich ulubiony bar plażowy mieścił się w szałasie ze słomianą strzechą między dwoma ośrodkami wypoczynkowymi, pięć minut

spacerem od ich willi. Przesiadywali w nim całymi godzinami, grając w domino, rzucając strzałkami, gawędząc z turystami, wygrzewając się na słońcu, jedząc lunche i popijając krajowe piwo o nazwie Gazelle. Bar należał do zdziwaczałej Niemki, której mąż niedawno zmarł. Od czasu do czasu zaglądała do baru, żeby wypić drinka i powarczeć na personel, a ten robił miny za jej plecami. Tomas zaczął z nią flirtować i wkrótce przedstawił jej swojego przyjaciela Christophe'a. Usiedli razem do długiego lunchu i roztoczyli przed nią pełnię swego uroku. Następnego dnia przyszła zjeść z nimi kolejny lunch, przy czwartym Tomas zapytał, czy myślała kiedyś o sprzedaży baru. Wyszło na to, że oni się nudzą i szukają jakiegoś zajęcia, a ona czuje się stara i zmęczona.

Kupili od niej bar i zamknęli go na czas remontu. Dopuścili Alice do interesu i wpompowali osiemdziesiąt tysięcy dolarów w nowoczesne urządzenia kuchenne i barowe, wielkoekranowe telewizory i podwojenie liczby miejsc konsumpcyjnych. Zamierzali upodobnić bar do typowego amerykańskiego lokalu sportowego przy jednoczesnym zachowaniu miejscowej muzyki, jedzenia, drinków i wystroju. W wyremontowanym lokalu Alice wzięła na

siebie odpowiedzialność za część restauracyjną, Chris i Tomas zajęli się barem, Bo kierował pracą nielicznego personelu kuchennego. Od pierwszej chwili zaczęły walić do nich tłumy i życie nabrało barw.

Na pamiątkę dawnych czasów i jakby puszczając oko do dawnego życia, swój nowy bar nazwali Pod Kogutem.

OD AUTORA

Jak zwykle potraktowałem rzeczywistość na luzie i bez szczególnej pieczołowitości, zwłaszcza jeśli chodzi o aspekty prawnicze. Przepisy prawa, działalność sądów, procedury sądownicze, sędziowie i ich sale rozpraw, adwokaci i ich zwyczaje – wszystko zostało ubarwione na potrzeby wymyślonej fabuły.

Mark Twain twierdził, że dla potrzeb swych opowieści zmieniał lokalizację całych miast i stanów. Takie prawa mają – lub je sobie przypisują – powieściopisarze.

Alan Swanson oprowadzał mnie po ulicach Waszyngtonu. Bobby Moak, specjalista od prawa karnego, dysponujący encyklopedyczną wiedzą na ten temat, ponownie zrecenzował mój maszynopis. Jennifer Hulvey z wydziału prawa Uniwersytetu Stanu Wirginia była moją przewodniczką po skomplikowanym świecie

kredytów studenckich. Wszystkim im dziękuję. Wszelkie moje błędy ich nie obciążają.

Pytanie, którego nienawidzą pisarze, brzmi: „Skąd bierzesz swoje pomysły?”. Na szczęście tym razem odpowiedź jest prosta. W numerze „The Atlantic” z września 2014 roku przeczytałem artykuł autorstwa Paula Camposa zatytułowany *Przekręt z uczelniami prawniczymi*, stanowiący przykład rzetelnego dziennikarstwa śledczego. Pod koniec czytania tego artykułu już wiedziałem, że mam pomysł na następną powieść.

Dziękuję panu, panie Campos.

PRZYPISY

[1] *Coop* (ang.) – slangowa nazwa więzienia lub aresztu.

[2] *Foggy bottom* (ang.) – mgliste dno.

[3] Nieprzetłumaczalna gra słów: *piss* (ang.) – siki; *ant* (ang.) – mrówka.

[4] DHS – Department of Homeland Security (Departament Bezpieczeństwa Publicznego); DRO – Office of Detention and Removal (Biuro Zatrzymań i Wydaleń); ICE – Immigration and Customs Enforcement (Urząd Celny i Imigracyjny).

[5] ACLU (American Civil Liberties Union) – Amerykański Związek Swobód Obywatelskich.

[6] Bezprawna Praktyka Prawnicza.